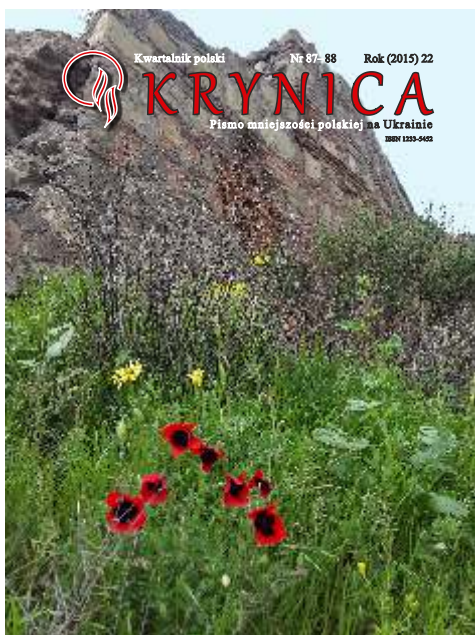




Gdzieś tam, na wschodzie Ukrainy słychać wybuchy. Każdego dnia i o każdej porze dnia. Tam giną ludzie, którzy bronią Ukrainę przed terrorystami: własnymi i tymi z Rosji. Tam giną ludzie, którzy pozostali w swych „małych ojczyznach” i ci, którzy po prostu nie mają dokąd uciec. Tam codziennie ziemię orzą bomby, pociski, i po takiej orce wyrasta tylko strach. Tam ciężka praca ludzkich rąk niszczona jest w kilka sekund. Tam panuje głód, brakuje wody i gazu. Tam brakuje wszystkiego. Tam dzieci spędzają wakacje w schronach i głębokich piwnicach. Tam ludzie (?) za kilka hrywien sprzedają wrogowi informacje na temat pozycji ukraińskich żołnierzy. A przy okazji —

sprzedają życie własnych sąsiadów. Tam trwa wojna. PRAWDZIWA WOJNA!

A tutaj, w stolicy, też słuchać wybuchy. Prawie każdego dnia. Mieszkańcy stolicy nie wyobrażają już sobie obchodzenia urodzin czy organizację wesel bez fajerwerków. Mimo oficjalnego zakazu. Tutaj trwa ogólna radość: kawiarnie, puby, restauracje pełne są wesołych gości. O każdej porze dnia. Kierowcy bardzo głośno włączają muzykę w swoich samochodach. Pora — nie ma znaczenia. A letnie wieczory wręcz zachęcają do biesiadowania na ławeczkach przed blokami.

Tutaj przed Radą Najwyższą Ukrainy ludzie protestują wyłącznie przeciwko bankom-kredytorom. Chociaż każdy, kto pożycza dobrze wie, że dług trzeba będzie zwrócić. Zaś politycy prowadzą niekończące się dyskusje, które powodują jedynie niezauważalny ruch powietrza. To dlatego ranni w wojnie na Wschodzie, którzy trafiają do stolicznych szpitali wielkim, wielkim zdziwieniem i rozczarowaniem reagują na kontrast między „tam” i „tutaj”.

Bo tutaj (i nie tylko tutaj) nic, zupełnie nic i nikt (może z wyjątkiem telewizji) nie przypomina o tragedii rozgrywającej się na Donbasie. A przecież każdy dzień powinien być dniem żałoby. Wszak każdego dnia tam giną ludzie — obywatele tego samego kraju: żołnierze i cywile. I każdego dnia ktoś dowiaduje się o śmierci bliskiej mu osoby. I każdego dnia w kolejnej rodzinie kobiety wkładają na głowy czarne chustki...

Współczesna Ukraina — kraj kontrastów.

Dorota JAWORSKA

KRYNICA

*kwartalnik mniejszości
polskiej na Ukrainie*

Zespół redakcyjny:

Dorota Jaworska (*red. naczelny*)
Mariusz Woźniak OP
Stanisław Panteluk
Oleksij Brasławiec

Stali korespondenci:

Teresa Dutkiewicz (Lwów)
Stanisław Stępień (Przemyśl)
Jan Ciechanowicz (Wilno)
Wiktoria Wachowska (Żytomierz)
Michał Micel (Nowy Jork)

Skład i łamanie:

Wydawniczy Oddział Instytutu Nauk
Religijnych Św. Tomasza z Akwinu
Red. tech. Mychajło Rojik
Zdjęcie na 1–4 str. okładki:
Jelena Gonczarowa



Projekt jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r.”

Koordynator projektu:
Fundacja Wolność i Demokracja



Adres redakcji:
Ukraina, Kijów, 04119,
ul. Jakira, 13
tel/fax: (044) 570 19 45
e-mail: dorota57@ukr.net
www.krynica.in.ua

SPIS TREŚCI:

WYDARZENIA

W 75. rocznicę zbrodni katyńskiej (<i>KOS</i>)	3
„Polska jest szczególnym sąsiadem Ukrainy” (<i>Stanisław Panteluk</i>)	4
Media polskie na Wschodzie jako przeciwwaga dla rosyjskiej propagandy (<i>Portal Polacy na Kresach Wschodnich</i>)	5
Jan Paweł II był człowiekiem pokoju (<i>Andżelika Płaksina</i>)	6
W pokłonie prochom niewinnie zabitych przodków (<i>A. Kosowski</i>)	7
Pamięć (<i>KOS</i>)	7
Orzeł z Tryzubem – znów na Kreszczatiku (<i>Stanisław Panteluk, Marcin Romer</i>)	8
Seminarium o współpracy polsko-ukraińskiej (<i>Janusz Fuksa</i>)	9

POŻEGNANIE

Zmarł Adolf Kondracki (<i>Nekrolog</i>)	10
Odeszła Bożena Rafalska (<i>Nekrolog</i>)	11
Między Wilnem a Lwowem... (<i>Rafał Dzięciołowski</i>)	12

W KRAJU

Sami sobie. Niżej – lepiej (<i>Eugeniusz Jabłoński</i>)	14
---	----

GOSPODARKA

Informacja o działaniach w zakresie eksportu w 2014 i 2015 roku (<i>Zespół Programowy SEP</i>)	18
Gmina mała – zaszczyt wielki (<i>Mikołaj Oniszczyk</i>)	23

POLSKA, UNIA, ŚWIAT

Warszawskie felietony Mikołaja Oniszczyka	24
---	----

POSTACI

600. rocznica urodzin Jana Długosza (<i>Dr Jan Ciechanowicz</i>)	30
Mychajło Hruszewski – tytan myśli narodu ukraińskiego (<i>Dr Jan Ciechanowicz</i>)	36

HISTORIA

Historia z doktorem Janem Matkowskim	50
--	----

HYMNIKA POLSKA

U źródeł hymniki polskiej (<i>Bogdan Zakrzewski</i>)	62
--	----

SZTUKA

Wybitni Polacy: Król rylca – Czesław Słania (<i>Dr Jan Ciechanowicz</i>)	74
--	----

POEZJA

„Ciasto z promyków”. Wiersze Agaty Linek	80
--	----

WYWIAD

Nowe książki: O tańczącej mądrości i myślącej trzcinie (<i>Dorota Jaworska</i>)	86
---	----

PEDAGOGIKA

Rodzice i dzieci (<i>Dr Jan Ciechanowicz</i>)	88
---	----

LEGENDY POLSKIE

Legendy Lipskie. Cz. II (<i>Jerzy Drzewi</i>)	90
---	----

PROZA

„Pod żaglami «Zawiszy». Don Kichoci z «Cietrzewia»” (<i>Piotr Dymitr Wiszniewski</i>)	100
---	-----

W 75. ROCZNICĘ ZBRODNI KATYŃSKIEJ

O Ukraińcach i Polakach – ofiarach komunistycznego terroru, o przestępczych deportacjach, o metodach i wynikach prac poświęconych badaniom i udokumentowaniu tego obmierzłego okresu naszej historii rozmawiali czołowi ukraińscy i polscy naukowcy, historycy, eksperci, działacze kultury, publicyści i dziennikarze na międzynarodowej konferencji zatytułowanej: „*Wspólna przeszłość. Ukraińcy i Polacy jako ofiary terroru komunistycznego*”.

Organizatorami konferencji, która odbyła się 25 marca 2015 r. w Instytucie Badań Politycznych i Etnicznych im. Kurasa NAN Ukrainy byli: Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie, Instytut Badań Politycznych i Etnonarodowych im. I.F. Kurasa, Narodowa Akademia Nauk Ukrainy, Kijowskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe im. Adama Mickiewicza, Ministerstwo Kultury Ukrainy, Narodowe Muzeum Pamięci Historycznej „Bykowniańskie Mogiły”, Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej oraz Zjednoczenie Naukowo-Wydawnicze „Duch i Litera”.

W imieniu Premiera Ukrainy Arsenija Jaceniuka konferencję otworzył wiceminister Spraw Zagranicznych Ukrainy Danyło Łubkiwskyj, zaznaczając, iż niniejsza konferencja jest wydarzeniem nieprzeciętnym, niezwykle instrumentalnym i potrzebnym: „*To powinna być spokojna rozmowa wskrzeszająca pamięć, która pomoże nam ukrzepić siły dla wspólnych działań w imię prawdy, w imię stabilizacji stosunków między Polakami i Ukraińcami, które wyznaczać będą naszą przyszłość w atmosferze pobratymstwa i szczerości na podstawie dogłębnego uświadomienia sobie, co z nami działo się w przeszłości*”.

Konsul Generalny RP w Kijowie Rafał Wolski dziękując tak licznym instytucjom – współorganizatorom konferencji podkreślił, że jednym z efektów Rewolucji Godności jest to, że w ukraińskiej oficjalnej przestrzeni

możemy obecnie, jak nigdy dotąd, tak otwarcie rozmawiać o tak trudnych sprawach. Zwracając się do obecnych na sali przedstawicieli Polonii Konsul Generalny powiedział: „*Ciesz się, że w kole polskich i ukraińskich historyków, ekspertów obecna jest dziś duża grupa nieobojętnych wobec historii ukraińskich Polaków, reprezentujących środowiska polskie Ukrainy*”.

Prezes Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej Wołodymyr Wiatrowycz przypominając, iż zbliżają się obchody 70. rocznicy zwycięstwa nad nazizmem, zaznaczył: „*Wtedy, w 1945 roku, dla Ukraińców i Polaków ostateczne zwycięstwo, niestety, nie nastąpiło: reżim totalitarny został zastąpiony przez inny. Ale im szerzej odśladano prawdę o zbrodniach reżimu komunistycznego, tym bardziej tracił on siły, aż w końcu upadł*”.

Sesję wprowadzającą konferencji poprzedziła prezentacja filmu dokumentalnego „Miejsce pamięci – Bykownia”, emitowanego wcześniej w telewizji UT-1, autorstwa prof. dr hab. Jurija Szapowała.

Po krótkiej dyskusji o filmie J. Szapowała wygłosił referat na temat: „*Ludobójstwo Ukraińców i Polaków przez władze komunistyczne w latach 1930 – 1941*”. Gość z Polski – dr Sławomir Kalbarczyk, Naczelnik Wydziału Badań Naukowych Instytutu Pamięci Narodowej, zreferował temat: „*Polacy i Ukraińcy – więźniowie zamordowani na Ukrainie w ramach Zbrodni Katyńskiej*”.

O polskim śladzie w pochówkach w Bykowni opowiedział syn spoczywającego tam Polaka dr Adolf Kondracki, honorowy prezes Kijowskiego Stowarzyszenia Więźniów Politycznych i Ofiar Represji Politycznych. Nad tajemnicami zbrodni katyńskiej pochylił się Ołeksandr Zinczenko – doradca Prezesa Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, który wraz z kierownikiem Sektora Badań Historyczno-Encyklopedycznych w Instytucie Historii Ukrainy NANU Walerym Wasyliwym moderował także panele dyskusyjne konferencji.

O deportacjach Polaków w z Galicji i Wołynia, egzekucjami w Bykowni i rehabilitacjach Polaków na Ukrainie opowiedział płk Andrij Amons – członek Rady Naukowo-Dydaktycznej Narodowego Muzeum Pamięci Historycznej „Bykowniańskie Mogiły”.

Wystąpienia i materiały konferencji zostaną wydane przez Zjednoczenie Naukowo-Wydawnicze „Duch i Litera”.



Otwarcie konferencji. Od lewej: Konsul Generalny RP w Kijowie Rafał Wolski, Prezes Ukraińskiego IPN Wołodymyr Wiatrowycz, Wiceminister Spraw Zagranicznych Ukrainy Danyło Łubkiwskyj

KOS

„POLSKA JEST SZCZEGÓLNYM SĄSIADEM UKRAINY”

Dwa dni (8-9 kwietnia 2015 r.) Prezydent RP Bronisław Komorowski z małżonką gościł na Ukrainie z wizytą oficjalną. W pierwszym dniu złożył kwiaty na Grobie Nieznanego Żołnierza w Kijowie i przeprowadził rozmowy z Prezydentem Ukrainy Petrom Poroszenką.

W drugim dniu pobytu, po wystąpieniu w Radzie Najwyższej Ukrainy, Prezydent Polski wraz z Prezydentem Ukrainy udał się do Państwowego Muzeum Historyczno-Memorialnego „Mogiły Bykowni”, gdzie wspólnie uszanowano pamięć ofiar represji politycznych totalitaryzmu.

Msza św. i główne uroczystości poświęcone 75. rocznicy zbrodni katyńskiej odbyły się na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bykowni. Po południu delegacja polska spotkała się z Premierem Ukrainy Arsenijem Jaceniukiem. W tym też dniu w Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Kijowie Prezydent RP spotkał się z przedstawicielami środowisk polskich Ukrainy.

Na konferencji prasowej przywódcy państw podkreślali ogromne znaczenie strategicznej współpracy w niezwykle trudnym dla Ukrainy okresie. Prezydent Bronisław Komorowski zapewnił, iż Polska zdecydowanie popierać będzie europejskie aspiracje Ukrainy: *„Polska stała, stoi i stać będzie na stanowisku, że Ukraina powinna mieć prawo do ubiegania się o członkostwo w UE i w innych strukturach świata zachodniego”*.

Petro Poroszenko przyznał, że Polska jest krajem, który dziś świadczy niezwykle istotną pomoc Ukrainie. *„Gdy byliśmy razem, zwyciężaliśmy. Przegrywaliśmy osobno i to jest nasze historyczne doświadczenie”* – stwierdził.

Podczas rozmów plenarnych polski Prezydent poinformował o przyznaniu Ukrainie 100 mln euro kre-

dytu, z czego połowa – 50 mln będzie wykorzystana na modernizację przejść granicznych, celem udoskonalenia ich wspólnej obsługi, co ułatwi przejazd i ukróci korupcję. Druga część zostanie przeznaczona na modernizację ukraińskich elektrociepłowni, w których będzie można spalać nie tylko antracyt – węgiel najwyższej jakości, lecz także jego gorsze gatunki.

Mówiono o postępie w sprawie utworzenia polsko-ukraińsko-litewskiej brygady i o pomocy, jaką okaże Polska poprzez doradztwo w przeprowadzeniu reform niezbędnych Ukrainie.

Prezydent Komorowski podkreślił, że jego kraj jest zwolennikiem jak najszybszego wprowadzenia ruchu bezwizowego Ukrainy z Europą.

„Głęboko wierzę, że los się do nas uśmiechnie we wspólnym europejskim domu” – konstatował Prezydent RP Bronisław Komorowski w wystąpieniu w Radzie Najwyższej Ukrainy.

W czasie tego historycznego przemówienia padły z ust Prezydenta Polski i takie znamienne słowa:

„Łączy nas wspólnota doświadczeń historycznych – długi okres wspólnej państwowości, tworzenie zrębów bytu narodowego w warunkach braku niepodległości i braku własnego państwa, także okrutne represje obcych hegemonów. Bliskie sobie są nasze języki, obyczaje, stroje, pieśni. Mimo to, w okresie zniewolenia przez wielkie dziewiętnastowieczne imperia i Polacy, i Ukraińcy ulegli złowrogim podszeptom i ich narodowowyzwoleńcze dążenia zostały w niemałej mierze skierowane przeciwko sobie. Tragiczne apogeum konfliktu nastąpiło w latach II wojny światowej, gdy przelało się tyle niewinnej krwi polskiej i ukraińskiej. Pamiętajmy więc – gdy Polacy i Ukraińcy stawali przeciwko sobie, zawsze korzystał z tego ktoś trzeci; ktoś, kto czyhał na naszą niepodległość i na naszą wolność.

Mam nadzieję, że współczesnego dobrego dialogu naszych państw i naszych narodów nie zakłócą dawne spory, dawne swary; że Polacy i Ukraińcy potrafią stawić czoła trudnej dyskusji o historii swoich konfliktów i o ich tragicznych skutkach. Wiemy przecież już bardzo dobrze, że właściwą drogą jest tylko i wyłącznie wzajemne wybaczenie i wzajemne pojednanie. Tak, by nie pozostawało ono pustym gestem – musi się realizować przez wspólne polsko-ukraińskie działania”.

Przemówienie Prezydenta Polski Bronisława Komorowskiego spotkało się z dużą aprobatą i atencją zebranych.



Bykownia. Prezydent Polski Bronisław Komorowski i Prezydent Ukrainy Petro Poroszenko z Małżonkami

Stanisław PANTELUK

MEDIA POLSKIE NA WSCHODZIE JAKO PRZECIWWAGA DLA ROSYJSKIEJ PROPAGANDY

W dniu 22 kwietnia br. w Sejmie RP odbyła się konferencja „*Media Polskie na Wschodzie*”. Na spotkanie w polskim parlamencie, poświęcone nowej roli i wyzwaniom, które stoją przed mediami polskimi na Ukrainie, Białorusi, Litwie i Łotwie w warunkach wszechobecnej w krajach byłego ZSRR agresywnej propagandy rosyjskiej, przybyli redaktorzy i wydawcy ponad czterdziestu mediów polskich, ukazujących się w krajach, które się zmagają bądź są zagrożone rosyjską ekspansją.

Forum dziennikarzy polskich, mieszkających i działających za wschodnią granicą Polski, zorganizowała Komisja Łączności z Polakami za Granicą Sejmu RP wspólnie z Fundacją „Wolność i Demokracja”, będąca partnerem większości redakcji działających w krajach reprezentowanych na konferencji.

Konferencja składała się z pięciu paneli, pierwszy z których był poświęcony sytuacji mediów polskich na Ukrainie w czasie transformacji. O tym właśnie opowiedział Jerzy Wójcicki – redaktor naczelny „Słowa Polskiego”.

W kolejnym panelu, poprowadzonym przez redaktora naczelnego dziennika „Kurier Wileński” Zygmunta Klonowskiego, uczestnicy konferencji mieli okazję dowiedzieć się o tym, jak wygląda rola mediów polskich na Litwie w neutralizowaniu wpływów rosyjskiej propagandy na społeczeństwo litewskie, w tym mniejszość polską.

Trzeci panel był poświęcony Białorusi. W charakterze referentów głos zabrali w nim: przewodnicząca Rady Naczelnej Związku Polaków na Białorusi Andżelika Borys oraz redaktor portalu znadniemna.pl Andrzej Pisalnik. Tezą podstawową reprezentantów polskiej mniejszości i mediów polskich na Białorusi było stwierdzenie, iż na Białorusi proces tak zwanej „pełzającej” okupacji rosyjskiej trwa właściwie od momentu objęcia władzy na Białorusi przez prezydenta Aleksandra Łukaszenkę.

O sytuacji na Łotwie opowiedział w kolejnym panelu prezes Związku Polaków na Łotwie Ryszard Stankiewicz, który zaznaczył, iż wpływy propagandowe Rosji w jego kraju są niezwykle duże.

O tym, że agresywne zachowanie Rosji wobec swoich sąsiadów jest reakcją na wciąż odbywający się proces rozpadu imperium sowieckiego mówił podczas ostatniego panelu członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Andrzej Krajewski. Ekspert wyraził podziw dla działających w niezwykle trudnych warunkach uczestników konferencji ze Wschodu.

W Konferencji „*Media Polskie na Wschodzie*” udział wzięli, poza dziennikarzami i wydawcami polskich mediów z Ukrainy, Białorusi, Litwy i Łotwy, także polscy parlamentarzyści, przedstawiciele MSZ oraz organizacji współpracujących ze środowiskami polskimi na Wschodzie. Byli to między innymi: Adam Lipiński, przewodniczący Komisji Łączności z Polakami za Granicą Sejmu RP, Konrad Pawlik, podsekretarz stanu ds. współpracy rozwojowej, Polonii i polityki wschodniej w MSZ RP, Wojciech Tyciński, wicedyrektor Departamentu Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą MSZ RP.



Przemawia Wojciech Tyciński, wicedyrektor Departamentu Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą MSZ RP. Obok Andrzej Krajewski z Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji

Po konferencji obecni na niej członkowie powstałej rok temu Federacji Mediów Polskich na Wschodzie przeprowadzili posiedzenie organizacji, która w ciągu roku pod kierownictwem prezes Doroty Jaworskiej (Ukraina) zdobyła podmiotowość prawną, rejestrując w sądzie Statut Federacji. Zgodnie z zasadą rotacyjnego przewodnictwa w Federacji, przy jednogłośnie akceptacji jej członków, prezes Dorota Jaworska przekazała stery organizacji reprezentantowi Litwy Robertowi Mickiewiczowi z „Kuriera Wileńskiego”.

Już pod przewodnictwem Litwy FMPnW przyjęła na swoim posiedzeniu dwie uchwały, z których jedna zawiera apel dotyczący poprawy mechanizmów i zasad wspierania mediów polskich na Łotwie, a druga – postulat zwiększenia zakresu finansowania mediów polskich na Wschodzie w warunkach, kiedy muszą one, będąc realizatorami między innymi polskiej racji stanu, stawiać opór neoimperialnej doktrynie rosyjskiej.

Portal Polacy na Kresach Wschodnich

JAN PAWEŁ II BYŁ CZŁOWIEKIEM POKOJU

18 maja 1920 roku w podkrakowskim mieście Wadowice przyszedł na świat Karol Wojtyła – przyszły Papież i Święty Jan Paweł II, jeden z największych autorytetów moralnych XX wieku. Z okazji 95. rocznicy urodzin Wielkiego Polaka w Nieżynie odbył się II Festiwal Muzyki Duchowej, który jak inne imprezy organizowane przez polskie Kulturalno-Oświatowe Stowarzyszenie „Aster” – przeprowadzono z rozmachem i na wysokim poziomie.

Imprezę zaszczytli swoją obecnością: biskup pomocniczy Jacek Pyl OMI z Symferopola oraz Konsul Generalny RP w Kijowie Rafał Wolski. Prezes Stowarzyszenia „Aster” Feliksa Bielińska i przedstawiciele władz miejskich gościnnie – kwiatami i tradycyjnym chlebem i solą przywitani dostojnych gości.

Mer Nieżyna, Anatolij Linnyk, i przewodniczący Nieżyńskiej Rady Rejonowej, Oleg Buzun, zaprosili Gości do ratusza, gdzie odbyła się rzeczowa rozmowa. Prezydent miasta przypomniał o tradycyjnych już ukraińsko-polskich kontaktach i wskazał perspektywę ich rozwoju. Konsul Generalny RP w Kijowie Rafał Wolski wyraził podziękowanie za tradycyjnie gościnne przyjęcie „w zawsze życzliwym Nieżynie” i przekazał pozdrowienia od Ambasadora RP na Ukrainie Henryka Litwina.

Goście złożyli wieniec pod pomnikiem na Cmentarzu Katolickim. Zwiedzając Centrum Kultury Polskiej, będące dumą Stowarzyszenia „Aster”, goście zapoznali się ze stałą ekspozycją odzwierciedlającą 15 lat jego działalności. Bardzo interesujące było także spotkanie z mecenasem – prezesem Federacji Piłki Nożnej Rejonu Nieżyńskiego Wołodymyrem Mamedowym, który oprowadził gości po sponsorowanych przez niego i wzorowo funkcjonujących obiektach sportowych i gastronomicznych.

Inaugurując festiwalowy koncert Prezes Stowarzyszenia „Aster” Feliksa Bielińska przedstawiła widowni dostojnych gości oraz przedstawicieli władz miasta, z którymi Stowarzyszenie od wielu lat owocnie współpracuje.

Po Pani Prezes głos zabrał o. Jacek Pyl OMI, który m.in. powiedział: *„Trzeba zaznaczyć, że Jan Paweł II był człowiekiem pokoju i dialogu. Jego pierwszą modlitwą była zawsze modlitwa o pokój. I dziś również, w tych burzliwych czasach, intencja ta dla nas wszystkich jest niezwykle ważna”*.

W koncercie uczestniczyły najlepsze zespoły, znane nie tylko w regionie, lecz również poza granicami Ukrainy. Jeden z nich – Młodzieżowy Chór „Switocz” Nieżyńskiego Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego im. M. Gogola, prowadzony przez Zasłużone Artystki Ukrainy, prof. Ludmiłę Szumską i Ludmiłę Kostenko, jest laureatem międzynarodowych konkursów. To chluba nie tylko uczelni, miasta, lecz także Stowarzyszenia „Aster”, które z nim ściśle współpracuje.

Długo oklaskiwano również słynną Orkiestrę Instrumentów Ludowych uniwersyteckiego Wydziału Kultury i Sztuki, laureata szeregu międzynarodowych festiwali oraz ukraińskiego Konkursu im. Borysa Łatoszyńskiego. Kierownikiem i dyrygentem orkiestry jest Zasłużony Artysta Ukrainy doc. Mikołaj Szumski.

Niezwykle udane były także występy dziecięcego zespołu piosenki polskiej „Gwiazdeczka” pod kierownictwem Katarzyny Rowenczyn, dziecięcego chóru Nieżyńskiej Szkoły Muzycznej „Сяйво”, żeńskiego chóru „Канцона”. Zasłużone brawa otrzymali pozostali uczestnicy festiwalu, którego program – ilustrowany przeźroczami i słowem prowadzących koncert: Iryny Rostowskiej i Dany Morenec – przybliżył publiczności życie Ojca Świętego.

Na zakończenie Festiwalu Konsul Generalny RP w Kijowie Rafał Wolski powiedział:

„Polska zawsze wspierała i wspierać będzie dążenia do tego, aby Ukraina nie tylko wywalczyła niepodległość, lecz zbudowała silne i nowoczesne państwo, które będzie autentycznym wspólnym domem dla wszystkich zamieszkujących tu narodowości. Wierzę, że i nasz wielki rodak – Jan Paweł II, gdzieś z nieba, również temu sprzyja”.

Andżelika PŁAKSINA
Zdj. autora



Dostojnych gości przywitano kwiatami, chlebem i solą

W POKŁONIE PROCHOM NIEWINNIE ZABITYCH PRZODKÓW



W samym sercu Polskiego Cmentarza Wojennego w Bykowni Prezydent Ukrainy Petro Poroszenko ukląkł przed kwaterą Polaków zamordowanych przez NKWD. Obok – Ambasador RP na Ukrainie Henryk Litwin

17 maja br. na Ukrainie obchodzono Dzień Pamięci Ofiar Represji Politycznych. Centralne uroczystości odbyły się w podkijowskiej Bykowni, gdzie dziś

znajduje się największy na Ukrainie cmentarz ofiar komunizmu. Liczbę spoczywających tu ofiar szacuje się na 100-120 tys. osób.

„Każdy skrawek tej ziemi przesiąknięty jest niewinną krwią Ukraińców, jak też i innych narodów zamieszkujących ówczesny ZSRR – etnicznych Rosjan, Polaków, Żydów i innych. Tu mordowano «wrogów narodu» – nie «szpiegów», «dywersantów», a chłopów i robotników, nauczycieli, księży, naukowców i, co szczególnie ważne – pisarzy. Próbowano unicestwić duszę naszego narodu. Tu pozbawiono życia cały naród, który kilka lat wstecz nie zdążono zniszczyć Wielkim Głodem» – powiedział m.in. Prezydent Ukrainy Petro Poroszenko, który wraz najwyższymi dostojnikami państwa przybył tu, by oddać hołd ofiarom represji politycznych.

A. KOSOWSKI
Zdj. A. Płaksina

PAMIĘĆ



Na zdjęciu (w centrum) Anna Fotyga w towarzystwie Konsula Generalnego RP w Kijowie Rafała Wolskiego

W dniu 29 maja br. na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bykowni Anna Fotyga – Posłanka do Parlamentu Europejskiego, Przewodnicząca Podkomisji Bezpieczeństwa i Obrony (SEDE) Parlamentu Europejskiego, Minister Spraw Zagranicznych RP w latach 2006 – 2007, wraz z przedstawicielami polskiej diaspory uczciła pamięć ofiar reżimu stalinowskiego. Europosłanka uczestniczyła w obradach VIII Forum Bezpieczeństwa, które odbywało się w Kijowie w dniach 28-29 maja br.

KOS
Zdj. A. Płaksina

ORZEŁ Z TRYZUBEM – ZNÓW NA KRESZCHATIKU

W 95. rocznicę wyzwolenia Kijowa od bolszewików na Majdanie Niepodległości w Kijowie, pod gołym niebem, otwarto wystawę pt.: *„Za waszą i naszą wolność”*. Szesnaście dwujęzycznych plansz, unikalne zdjęcia, mapy, obszerne komentarze opowiadają o tamtych wydarzeniach.

Wystawę zorganizowali: Fundacja „Wolność i Demokracja”, telewizja espresso.tv, „Kurier Galicyjski”, który dostarczył content wystawy oraz firma Plastics.ua, której prezes – polski biznesmen Ireneusz Derek niejednokrotnie wspierał już podobne inicjatywy.

W uroczystym otwarciu wystawy wzięli udział przedstawiciele Ambasady RP na Ukrainie, m.in. Konsul Generalny Rafał Wolski, ukraińscy parlamentarzyści, m.in. Kniażycki – przewodniczący komitetu ds. kultury Rady Najwyższej Ukrainy, prezesi ukraińskiego i polskiego Instytutu Pamięci Narodowej – Wołodimir Wiatrowycz i Paweł Ukielski (wiceprezes IPN), przedstawiciele Fundacji „Wolności Demokracja”: prezes Michał Dworczyk i członek zarządu Rafał Dzieciolowski oraz członkowie polskich organizacji z Kijowa, Winnicy i Żytomierza.

Uroczystość uświetnił swoim występem polski chór „Mazury”, który specjalnie na tą okazję przybył do stolicy z Chmielnickiego Ośrodka Związku Polaków Ukrainy (kierownik artystyczny Irena Medlakowska). Chór wykonał kilka pieśni popularnych w latach 20. XX w. wśród żołnierzy sojuszniczych armii, m.in. „Pierwszą brygadę” i „Czerwoną Kałynę”.

W czasie otwarcia wystawy nie brakło historycznych paraleli, wyrazów uznania i poparcia dla Ukrainy.



Otwarcie wystawy. Od lewej: Rafał Dzieciolowski, Wołodimir Wiatrowycz, Paweł Ukielski, Mykoła Kniażycki, Rafał Wolski, Michał Dworczyk

MICHAŁ DWORCZYK – Prezes Fundacji „Wolność i Demokracja”:

„[...]Wystawa mówi o czymś więcej – mówi o politycznej i wojskowej współpracy polsko-ukraińskiej. Współpracy, ideą której było odrodzenie się przed 95. laty wolnej Ukrainy i niepodległej Polski.”

MYKOŁA KNIAŻYCKI, deputowany, przewodniczący komitetu kultury Rady Najwyższej Ukrainy:

„Otwieramy wspaniałą wystawę w symbolicznym dla nas wszystkich miejscu, tu, w sercu Kijowa, na Majdanie. Tu właśnie narodziła się ukraińska demokracja. Ta ukraińska demokracja, jestem o tym absolutnie przekonany, nie byłaby możliwa bez pomocy Polski.”

RAFAŁ WOLSKI, Konsul Generalny RP w Kijowie:

„Jestem przekonany, że dzisiejsza wystawa pomoże powrócić do wspólnej pamięci w dzisiejszym Kijowie i dzisiejszej Ukrainie do tego, że nasz sojusz jest dawny, że nasz sojusz był pomyślny i dziś po prawie 100 latach znajduje on swoją kontynuację w tych słowach naczelnika państwa polskiego, które państwu zacytowałem.”

WOŁODYMYR WIATROWYCZ, prezes Ukraińskiego IPN:

„W chwili obecnej, jak nigdy, aktualne jest hasło, które jest tytułem tej wystawy: «Za waszą i naszą wolność». Te wydarzenia na wschodzie Ukrainy, ta walka na Donbasie jest nie tylko walką o ukraińskie ziemie, jest to walka za waszą i naszą wolność, nasi sąsiedzi, panowie Polacy!”

PAWEŁ UKIELSKI, wiceprezes IPN, Polska:

„Miejsce, w którym się znajdujemy jest szczególnie i ta wystawa jest szczególnie. Jest ona świadectwem tego, że dzisiaj zajmujemy się nie tylko teraźniejszością, obecną walką za wolność waszą i naszą. To co dzieje się od ponad roku na Ukrainie jest walką za wolność waszą i naszą. Zajmujemy się także przeszłością.”

RAFAŁ DZIECIOŁOWSKI – członek zarządu Fundacji „Wolność i Demokracja”:

„[...]My nie mamy tak tragicznych doświadczeń i tym łatwiej powinniśmy budować naszą wspólną europejską przestrzeń. Ale tu, na Majdanie, gdzie ginęli ludzie pod europejską flagą to nie jest slogan. To jest zespół najbardziej fundamentalnych wartości. Jeżeli ta wystawa przyczyni się do budowania wspólnoty polsko-ukraińskiej będziemy szczęśliwi.”

Oprac. Stanisław PANTELUK

Transkrypcja wypowiedzi: Marcin ROMER

SEMINARIUM O WSPÓŁPRACY POLSKO-UKRAIŃSKIEJ



Uczestnicy seminarium na wspólnym zdjęciu

Kolejne seminarium „Współpraca gospodarcza z Ukrainą”, zorganizowane przez Sekcję Wychowanków Politechniki Kijowskiej przy Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT, odbyło się w Domu Wypoczynkowym DWÓR RYCHWAŁD w Rychwałdzie koło Żywca 22-24 maja 2015 r. Przybyła delegacja Politechniki Kijowskiej: prof. Borys Cyganok, prof. Wasyl Gerasymczuk i doc. Switłana Andros. Zebrani chwilą ciszy uczcili pamięć zmarłych kolegów, a także pracowników i studentów Politechniki Kijowskiej, którzy zginęli podczas walk w Donbasie.

Profesorowie z Kijowa wygłosili prelekcje o działalności Politechniki Kijowskiej oraz o sytuacji społecznej i politycznej na Ukrainie, ilustrując je zdjęciami wyświetlanymi na ekranie. Goście odpowiedzieli na wiele pytań, jakie zadali absolwenci.

Referat o gospodarce Ukrainy wygłosił Paweł Wiechecki. Na podstawie danych Państwowej Służby Statystycznej Ukrainy stwierdził, że w 2014 r. obniżył się produkt krajowy brutto Ukrainy, spadła produkcja przemysłowa i budowlana, nastąpił spadek eksportu i importu, trwał odpływ inwestycji zagranicznych. Natomiast wyniki rolnictwa były lepsze niż przed rokiem.

Z referatem o polsko-ukraińskiej współpracy gospodarczej wystąpił Janusz Fuksa. Na podstawie danych

Ministerstwa Gospodarki RP poinformował, że obroty towarowe między obu krajami w ubiegłym roku zmalały, przy tym nastąpił spadek polskiego eksportu na Ukrainę i wzrost importu. W polskim eksporcie nadal dominowały maszyny i produkty chemiczne, zaś w imporcie – wyroby metalurgiczne i produkty mineralne. Zaznaczył się spadek wartości polskich inwestycji na Ukrainie.

Uczestnicy seminarium otrzymali 30. broszurę z cyklu „Wspomnienia z Kijowa”, opisującą dzień dzisiejszy i dzieje Kijowa.

Głównym organizatorem seminarium był Paweł Wiechecki.

Wieczorem 22 maja uczestnicy seminarium biesiadowali przy ognisku obok hotelu. W sobotę po obradach zwiedzili Muzeum Piwowarstwa w Żywcu, zaś wieczorem wspominali macierzystą uczelnię podczas uroczystej kolacji. W niedzielę, po opuszczeniu Rychwałdu uczestnicy samochodami udali się do Międzybrodzia Żywieckiego i wjechali kolejką linowo-terenową na górę Żar, na której zlokalizowano górny zbiornik wodny elektrowni szczytowo-pompowej.

Janusz FUKSA

ZMARŁ ADOLF KONDRACKI

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 25 kwietnia 2015 zmarł w Kijowie odnowiciel i apologeta ruchu polskiego na Ukrainie, wieloletni członek kolegium redakcyjnego „Dziennika Kijowskiego” dr Adolf KONDRACKI.

Adolf Kondracki urodził się 17 maja 1934 r. w Charkowie w rodzinie ukraińskich Polaków. W 1937 roku jego ojcu, na podstawie sfabrykowanego donosu, zarzucono szpiegostwo na rzecz Polski i Japonii i skazano na karę śmierci. Rodzinie udało się uniknąć deportacji na Syberię dzięki ucieczce z wysyłkowego punktu. Ojca rehabilitowano w 1957 roku, zaś pozostałych członków rodziny dopiero w 1994 roku.

50 lat owocnej pracy naukowej Zmarłego, jak też aktywnej działalności w sferze zarządzania, przyniosły bogaty dorobek – publikację ponad 1000 prac w krajowych i zagranicznych wydawnictwach z dziedziny historii Ukrainy i Polski, archeografii, bibliografii, dokumentalistyki, kartografii, krajoznawstwa, wychowania fizycznego i sportu. W roku 1975 obronił pracę doktorską.

Był autorem idei, uczestnikiem i prelegentem sześciu naukowo-praktycznych międzynarodowych i ogólnoukraińskich konferencji, poświęconych m.in. problemom obrony praw osób represjonowanych i udoskonaleniu ustawodawstwa w tej kwestii, trudnym tematami związanym z Tragedią Wołyńską, jak też zagadnieniom dotyczącym położenia polskich rodzin na Ukrainie.

Był dla wielu osób wielkim autorytetem, dlatego wybierano go do kierowniczych organów na I-XVII Kongresach Związku Polaków na Ukrainie. Był uczestnikiem projektu „Z polskich rodzin”. Wspólnie z dr hab. Henrykiem Strońskim stał u źródeł Zrzeszenia Polskich Naukowców Ukrainy.

Szczególnie konstruktywnie przejawiała się Jego działalność społeczno-polityczna w ostatnim dwudziestolecu. Trzykrotnie pełnił funkcję kierownika społecznej organizacji „Kijowski Związek Więźniów Politycznych i Ofiar Represji”. W 2003 roku na konferencji sprawozdawczo-wyborczej Międzynarodowego Stowarzyszenia Ofiar Totalitaryzmu Krajów WNP został wybrany Wiceprezydentem tej organizacji.

Na stanowisku zastępcy przewodniczącego, a z czasem sekretarza stałej Komisji Rady Miejskiej Kijowa ds. Nowacji Praw Rehabilitowanych, prowadził szeroką pracę organizacyjną, skierowaną na rehabilitację obywateli Ukrainy – ofiar represji politycznych.



To on zainicjował ustanowienia pamiętnego znaku ku czci ofiar politycznych represji obok Międzynarodowego Centrum Kultury i Sztuki niedaleko Kreschatiku. Aktywnie popierał starania o odpowiednie państwowe uhonorowanie miejsc masowych pochówków ofiar politycznych represji w podkijowskiej Bykowni, gdzie spoczywa również Jego ojciec.

Nosił zaszczytny tytuł „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Za istotny udział w dziele umacniania kontaktów polsko-ukraińskich odznaczono Go Orderem Krzyża Grunwaldu. Za wielostronną działalność wyróżniono Go wieloma medalami i odznaczeniami państwowymi Polski i Ukrainy.

Na kilka tygodni przed śmiercią z rąk Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi RP za wybitne zasługi w popularyzowaniu polskiej historii i kultury, za działalność na rzecz środowiska polonijnego na Ukrainie.

Łącząc się z bólu z Rodziną i Bliskimi, składamy wyrazy głębokiego współczucia.

*Zarząd Główny Związku Polaków na Ukrainie
Kolegium Redakcyjne „Dziennika Kijowskiego” i „Krynicy”*

ODESZŁA...

W dniu 23 marca 2015 roku zmarła we Lwowie

Ś.P.

BOŻENA RAFALSKA

dziennikarka polska, założycielka „Gazety Lwowskiej”, redaktor naczelny „Lwowskich Spotkań”,
animatorka życia polskiego w Wilnie, we Lwowie i na Ukrainie.

Mądry, dobry człowiek, należący do tych, o których Zbigniew Herbert powiedział:

*„[...] tylko osierocą
wyziębły pokój parę książek
pusty kałamarz białą kartę –
zaprawdę nie umarli cali”*

Na zawsze pozostaniesz w naszej pamięci, zawsze będzie nam Ciebie brak.

*Rada, Zarząd i pracownicy
Fundacji „Wolność i Demokracja”*

Z najgłębszym bólem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Naszej Drogiej **Bożeny Rafalskiej**

dziennikarki polskiej ze Lwowa, redaktor naczelnej „Gazety Lwowskiej” i „Lwowskich Spotkań”,
orędowniczki pamięci o Zbigniewie Herbercie w jego mieście rodzinnym.

Z Jej odejściem utraciliśmy część nas samych – przyjaciela...

Rodzina Zbigniewa Herberta



Między Wilnem a Lwowem...

Wspomnienie Bożeny Rafalskiej wygłoszone przez Rafała Dzieciotłowskiego podczas Mszy świętej pogrzebowej w kościele św. Antoniego we Lwowie, w dniu 26 marca 2015 roku

Polska dziennikarka ze Lwowa – Bożena Rafalska nie żyje. Zmarła 23 marca. W kwietniu obchodziłaby 14-lecie założenia kwartalnika „Lwowskie Spotkania”, którego była redaktorem naczelnym i wydawcą.

To pismo poświęcone kulturze i sztuce było niezwykle, wprost wyrastające z klimatu przedwojennego Lwowa. Stanowiło mieszankę melancholii i marzenia o bezpowrotnie utraconej polskiej epoce. Tylko Bożena – ze swoją wrażliwością, bezkompromisowością estetyczną i dbałością o zgodność formy i treści – mogła wydawać takie pismo. Inne niż wszystkie – jedyne. Secesyjna winieta z panoramą Grodu Lwa autorstwa Sergiusza Szachwerdow-Krochmala, Ormianina ze Lwowa, niedzisiejszy format, dużo przestrzeni dającej czytelnikowi oddech – czystą przyjemnością było przeglądanie pismo jakby wprost przeniesionego z dawnych, lepszych czasów.

Pomimo krytyki nie rozumiejących niczego wyznawców nowoczesności, którzy chcieliby wszystko zgłajchszachtować do formatu ulotki reklamowej z supermarketu – Bożena się nie ugięła. I wygrała. Niezapomniane pozostaną numery pisma poświęcone Obronie Lwowa w 1918 roku i Orlętom Lwowskim, Akcji Burza we Lwowie, trylogia o królu Janie III Sobieskim czy numery tematyczne o Zbigniewie Herbercie.

Jak trudno zrozumieć, że Bożeny już nie ma; wymknęła się nam, zagubiła, odeszła. Trudno zrozumieć, bo najpierw trzeba by pokonać nieprzekraczalny szczyt bólu, narastającego buntu i rozpacz...

Była jedną z najbliższych mi Osób. Pewnie też dla wielu z nas, tu zgromadzonych w Kościele św. Antoniego we Lwowie. Utraciliśmy Ją...

Ale jest jakimś pocieszającym paradoksem, a nawet więcej – może znakiem od Boga, że Bożenę żegnamy w tej właśnie świątyni, tak dla Niej ważnej. Przecież to tu, dzięki Bożenie Rafalskiej, Jej wieloletniemu zaangażowaniu i wysiłkom udało się po raz pierwszy uczcić Księcia Poetów Polskich – Zbigniewa Herberta – tablicą upamiętniającą jego chrzest. I tuż za rogiem, drugą tablicą na domu przy Łyczakowskiej 55 – gdzie się urodził. Tylko ci, którzy wtedy razem z Bożeną (w 2002 roku) starali się o to upamiętnienie – wiedzą ile to wymagało hartu i determinacji. Bez niej – nic by się nie udało. Jej sukces ma w tym miejscu materialny, trwały ślad.

Bożena Rafalska urodziła się w 1949 roku we Lwowie, na Łyczakowie, nieopodal dawnych koszar 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. Jak sama pisała:

„Jestem dzieckiem Łyczakowa, wyrastałam w cieniu Orląt. Na 1 listopada najpierw szliśmy na grób Babci, a potem zawsze na Cmentarz Obrońców Lwowa, który zapamiętałam jeszcze z czasów, kiedy nie był doszczętnie zniszczony. Mama uczyła nas, mnie i moją siostrę Krysytynę, jak robić lampiony, które ustawialiśmy u Babci i na Obrońcach. Tak o Nich zawsze mówiliśmy – Obrońcy. 1 listopada, w Dzień Zaduszny działo się tam coś pięknego, uroczystego i autentycznego. Coś przeciw powszechnemu zakłamaniu”.

Ukończyła polską szkołę im. Marii Konopnickiej, a na studia pojechała do Wilna, do jedynej wówczas szkoły wyższej w ZSRR z językiem polskim – Instytutu Pedagogicznego. „Pewnego razu, kiedy przyjechałam na wakacje – wspomina w artykule w „Lwowskich Spotkaniach” – spotkałam swego kolegę Ukraińca – Jurka. Powiedział mi: musisz się przygotować, oni to wszystko zburzyli. Nie idź tam, chyba śledzą.... Nie poszłam, pobiegłam tam. Kiedy zobaczyłam te zniszczenia, te powalone krzyże, wydarte płyty piaskowca miałam tylko jedno pytanie: za co? Wtedy, w tym momencie oszołomienia, egoistycznie myślałam tylko o tym, dlaczego nam zniszczyli to piękne miejsce? Nam, dzieciom Łyczakowa, które wyrastały wśród tego tajemniczego cmentarza.” Czy trzeba czegoś więcej, byśmy zrozumieli w jak niezwykłych okolicznościach kształtował się charakter i postawa Bożeny Rafalskiej?

Po ukończeniu studiów rozpoczęła pracę w jedynej wydawanej wtedy w Rosji Sowieckiej polskiej gazecie – wileńskim „Czerwonym Sztandarze”. Unikała komunistycznej propagandy, pisząc głównie o literaturze, historii i kulturze. Miała świetny zmysł plastyczny, sama dobrze malowała, więc zajmowała się też pisanem recenzji z wystaw malarskich. W końcu lat osiemdziesiątych, w okresie odrodzenia polskości na Ukrainie wróciła do rodzinnego Lwowa i korzystając z doświadczeń wileńskich – stała się pomysłodawczynią, założycielką a właściwie odnowicielką, pierwszej polskiej gazety na Ukrainie – „Gazety Lwowskiej”. Przez dziesięć lat była Jej redaktorem naczelnym. Nadała gazecie unikatowy charakter i niepowtarzalny klimat, wiążąc polskość z uniwersalną tradycją Lwowa. W roku 2001 założyła miesięcznik „Lwowskie Spotkania”, poświęcony głównie kulturze, sztuce i życiu artystycznemu Polaków we Lwowie, na Ziemi Lwowskiej i na Ukrainie.

Bożena Rafalska była nie tylko dziennikarką, ale nade wszystko jednoosobową instytucją kulturalną we Lwowie. To Ona inspirowała i realizowała takie pro-

jekty, jak Dni Zbigniewa Herberta, polsko-ukraińskie wydanie jego poezji, a także trwałe upamiętnienie miejsc związanych z poetą we Lwowie. Wymagało to zgromadzenia wokół miesięcznika grupy światłych, aktywnych i odważnych Polaków oraz Ukraińców, a także przy ich pomocy – przewycięzania wielu trudności, uprzedzeń i niechęci. Nie tylko w środowisku ukraińskim niestety...

Bożena Rafalska zawsze uczestniczyła w Dniach Kultury Polskiej we Lwowie, zajmowała się promocją młodych twórców polskich: poetów, fotografów, malarzy, literatów. Inspirowała szereg działań kulturalnych służących współpracy polsko-ukraińskiej, czego najlepszym dowodem jest bogata seria literatury polskiej w tłumaczeniu na język ukraiński Wydawnictwa „Kamieniar” ze Lwowa, z którym Bożena współpracowała przez 15 lat. Sama też zajmowała się literaturą, co zostało docenione przez jury Konkursu Literackiego im. Kazimierza Wierzyńskiego pod przewodnictwem prof. Jacka Łukasiewicza. Za cykl opowiadań zdobyła pierwszą nagrodę.

W roku 2002 Bożena Rafalska była inicjatorem założenia Lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Jako jego wiceprezes propagowała działalność Towarzystwa na łamach „Lwowskich Spotkań”, a także przyczyniła się do przekazania na jego rzecz poddasza przy ulicy Rylejewa (dawnej Badenich). Była członkiem Związku Dziennikarzy Polskich na Wschodzie oraz Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie.

Trudno wyobrazić sobie Lwów bez Bożeny Rafalskiej. Dla wielu zakochanych w tym mieście jego czar urzekał właśnie przez Nią – Jej wrażliwość, subtelność, nawet kruchość. Obca była Jej wszelka ostentacja. Pol-

skość, w której obronie, nieraz stawiała niezłomnie i bezkompromisowo, była wciąż delikatna, wsparta na głębokiej wiedzy i kulturze. Była dobrym, wrażliwym człowiekiem, oddanym i wiernym przyjacielem.

Dzisiaj nie ma już z nami Bożeny. Pewnie idzie ulicami swojego nieistniejącego a jednak rzeczywistego miasta. Jedyne prawdziwego. Z torbą wypchaną materiałami, które wreszcie nic nie ważą. Przebiega od Ostrej Bramy wprost na lwowski Rynek. Przez Cmentarz Orłąt do tego grobu, gdzie leży Matka i Serce Syna. Z góry Trzykrzyskiej patrzy, o zachodzie słońca, na katedrę św. Jura i wieżę kościoła Elżbiety. Z Antokola, spod kościoła św. Piotra i Pawła – na katedrę Ormiańską. A ponad dachami Lwowa wznoszą się delikatnie wieże wileńskich Misjonarzy. I jest tam jeszcze jedno – gdzie z Kopca Tatarskiego widać panoramę Przemyśla, a dalej – srebrną wstęgę Sanu. Widać mały domek otoczony malwami. Wreszcie jest u siebie. W swojej spełnionej Arkadii dobra i piękna. I są tam z Nią najlepsi przyjaciele – mąż Aleksander Oboładze – polski Gruzin z Wilna, Sergiusz Szachwerdow-Krochmal – ormiański książę Szachwerdzian, Walery Bortiakow – Rosjanin z najbardziej polską duszą na świecie. I przychodzi tam Zbigniew Herbert, bo lwowianie zawsze znajdą sposób, by sobie porozmawiać, nawet w takich nadzwyczajnych okolicznościach. I zapewne my także chcielibyśmy być na takim spotkaniu. Ale nie będziemy. Zabrakło nam miłości i wierności. Teraz więc będziemy do tego spotkania dojrzywać. A, że się spotkamy, Bożeno – jestem tego pewien...

*Zdjęcie z uroczystości pogrzebowych Maria Basza
„Kurier Galicyjski”*



SAMI SOBIE NIŻEJ – LEPIEJ

Sprawną administracją publiczną (rządową, państwową) i prężny samorząd terytorialny mają zasadnicze znaczenie dla dobrego funkcjonowania całego kraju i dla dobrej obsługi obywateli. Nic dziwnego, że te dwie kwestie, ściśle z sobą splecione ogniskowały uwagę elit politycznych i społecznych od samego początku tych transformacji ustrojowych i reform, które zaczęły się w 1989 r. I przykuwają tę uwagę po dzień dzisiejszy. Szybko bowiem uznano, że z centrum, z Warszawy, nie da się dopilnować przekształceń, postępu, rozwoju i zaspokoić codziennych oczekiwań ludności w każdym zakątku Polski. Uznano, że lepiej, aby państwo bezpośrednio nie ingerowało w te obszary życia społeczno-gospodarczego, w których obywatele są w stanie poradzić sobie samodzielnie. A po drugie – wzrastająca stale liczba zadań spoczywających na państwie powoduje, iż nie jest ono w stanie zająć się ich pełną realizacją. Niezbędna więc jest decentralizacja władzy publicznej, to jest przekazanie wielu zadań, praw i środków finansowych z „góry” na „dół”, bo obywatele, specjaliści, działacze i urzędnicy tam, na dole, niżej, są w stanie zadbać o swe sprawy i potrzeby znacznie lepiej niż administracja centralna, państwowa. Najpowszechniejszą i najskuteczniejszą formą takiej decentralizacji jest przekazanie znacznej części uprawnień samorządom terytorialnym.

Ustawę o samorządzie terytorialnym Sejm przyjął już w 1990 r. Obowiązuje ona – z pewnymi zmianami – po dzień dzisiejszy.

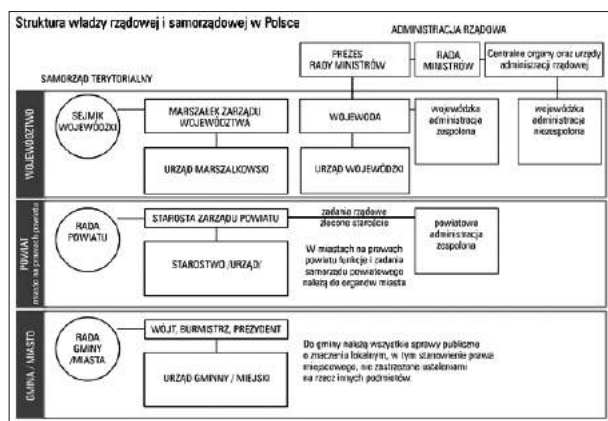
W ten sposób Sejm przywrócił – po 40 latach – moc i znaczenie samorządności lokalnej, praktycznie

znielowanej w 1950 r. po wprowadzeniu jednolitych organów władzy państwowej w postaci rad narodowych. W okresie minionych 25 lat Sejm uchwalił jeszcze wiele innych ustaw odnoszących się do różnych aspektów funkcjonowania samorządu terytorialnego, w tym bardzo ważną: o samorządzie powiatowym, które przywróciła w Police trójstopniowy podział administracyjny kraju (gminy i miasta, powiaty oraz województwa), także wprowadziła od 2002 r. wybór w głosowaniu powszechnym wójtów, burmistrzów i prezydentów dużych miast (starostów powiatowych i marszałków województw nadal wybierają właściwe rady). Wszystkie one tworzą dość spójny i dobrze się sprawdzający katalog samorządowy.

Wbrew powierzchownym i potocznym odczuciom samorząd miejski i wiejski ma w Polsce bogate tradycje. Sięgają one III wieku, kiedy to w miastach o tzw. prawie magdeburskim powstały pierwsze załączki samorządu miejskiego. Podobne procesy zachodziły także na wsi. Jednakże na szerszą skalę samorząd miejski rozwinął się dopiero w VIII wieku, kiedy nasiliła się walka mieszczaństwa o większe uprawnienia i co znalazło wyraz w uchwałach Sejmu Czteroletniego i w Konstytucji 3 Maja z 1791 r. Samorząd na wsi, mimo ograniczeń zaborczych, przybrał z kolei na sile po uwłaszczeniu chłopów.

W okresie międzywojennym samorząd miał duże ograniczenia rządowe, a jednolitą strukturę prawno-ustrojową uzyskał dopiero na mocy ustawy z 1933 r. Ale mimo wszystko odegrał ważną rolę w rozwoju miast i wsi. Jest więc do czego się odwoływać.

Te tradycje i rodzime doświadczenia z niedawnej przeszłości legły u podstaw wspomnianej już ustawy z 1990 r. o samorządzie terytorialnym, jako podstawowej formie organizacji życia publicznego w gminach wiejskich i miejskich. Na mocy tej ustawy gminy otrzymały osobowość prawną, a także prawo i obowiązek wykonywania we własnym imieniu zadań publicznych. We własnym imieniu, czyli bez zbędnych i uciążliwych konsultacji oraz uzgodnień z władzami zwierzchnimi. Prawo do posiadania mienia komunalnego i ustawa o finansowaniu gmin z 1993 r. (z późniejszymi uzupełnieniami) dają gminom dużą niezależność finansową,



Struktura władzy rządowej i samorządowej w Polsce

aczkolwiek stawiają niektóre z nich, zwłaszcza te biedne, wiejskie w trudnym położeniu. Samorządy są też pod ochroną sądową.

Ustawa o samorządzie terytorialnym głosi, że „mieszkańcy gminy tworzą z mocy prawa wspólnotę samorządową”. Mieszkańcy w wyborach powszechnych co cztery lata wyłaniają radę gminy (miasta, powiatu, sejmik wojewódzki), do właściwości której należą następujące podstawowe sprawy:

- uchwalanie statutu gminy,
- wybór i odwoływanie zarządu, stanowienie o kierunkach jego działalności i przyjmowanie sprawozdań,
- powoływanie i odwoływanie skarbnika gminy (głównego księgowego) oraz sekretarza,
- uchwalanie budżetu, przyjmowanie sprawozdań finansowych udzielanie zarządowi absolutorium z tego tytułu,
- uchwalanie miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego,
- uchwalanie programów gospodarczych,
- uchwalanie zakresu działania sołectw lub dzielnic (osiedli),
- podejmowanie uchwał w sprawie podatków i opłat lokalnych w granicach określonych odrębnymi ustawami,
- podejmowanie uchwał w sprawach majątkowych gminy: nabycia, zbycia, dzierżawy, najmu, zaciągania pożyczek długoterminowych, inwestycji, tworzenia i przystępowania do spółek i spółdzielni, rozwiązywania i występowania z nich,

wnoszenia, cofania i zbywania udziałów i akcji, tworzenia, likwidacji i reorganizacji przedsiębiorstw,

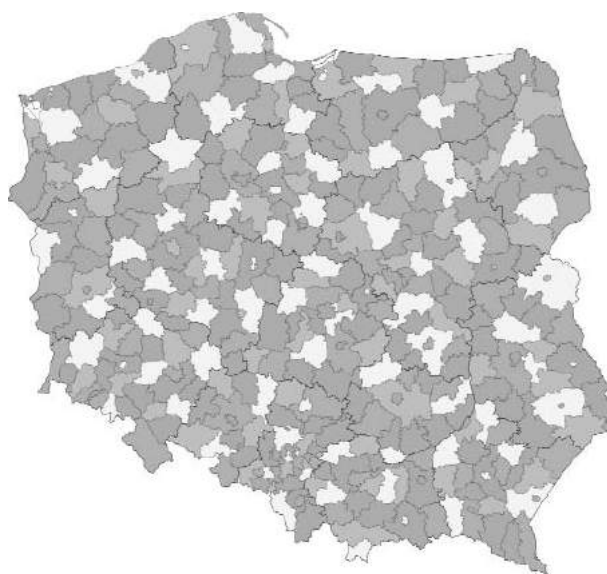
- określanie sum zobowiązań,
- przyjmowanie zadań rządowych,
- podejmowanie uchwał o współdziałaniu z innymi gminami,
- ustalanie herbu, nazw ulic i placów, wznoszenia pomników,
- nadawanie honorowego obywatelstwa gminy.

Zadania gmin są niemałe. Obejmują rozległą sferę organizacji życia ekonomicznego, gospodarki terenami i ochrony środowiska, dbałości o gospodarkę komunalną, utrzymanie w dobrym stanie dróg i mostów, organizację ruchu drogowego i komunikacji lokalnej (miejskiej), wspieranie handlu i usług, funkcjonowania i rozwoju oświaty, ochrony zdrowia, opieki społecznej, kultury, kultury fizycznej, sportu i rekreacji, budownictwa komunalnego, porządku publicznego i ochrony pożarowej, troska o zieleni i zadrzewianie i wiele podobnych kwestii życia codziennego, a w tym troskę o dobro rodziny, podnoszenie jakości bytu i warunków mieszkaniowych. W gminach typowo wiejskich i miejsko-wiejskich na plan pierwszy są wysuwane zagadnienia związane z rozwojem produkcji rolnej i funkcjonowania gospodarstw chłopskich.

Po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. i po otwarciu się możliwości uzyskania z Brukseli znacznych środków finansowych na inwestycje, rozwój infrastruktury, budowę wodociągów, kanaliza-



Podział administracyjny Polski. Województwa



Podział administracyjny Polski. Powiaty, stan na 1 stycznia 2007 r.

cji, oczyszczalni ścieków, na inne dobra cywilizacyjne, a także na podnoszenie poziomu wiedzy i nauki, zmianę kwalifikacji na zgodne z potrzebami rynku, na rozwój Internetu i na sporo innych celów – na samorządy spadły nowe i pilne zadania. Ocenia się, że samorządy wszystkich szczebli dobrze sobie poradziły z tymi obowiązkami i nie marnują szans. Wydają one przydzielane im środki – w zasadzie w drodze konkursu ofert – sprawnie, rzetelnie, terminowo, zgodnie z surowymi przepisami unijnymi i przy tym bardziej oszczędnie niż często ma to miejsce w jednostkach państwowych.

Dzięki tym unijnym środkom i środkom z budżetu państwa oraz własnym gruntownej zmianie na lepsze uległo oblicze większości miast i wsi, a poziom życia ludności mocno się poprawił. Nie znaczy to, że wszędzie jest tak, jak być powinno. Sporo ludzi żyje nadal skromnie a nawet w biedzie i ubóstwie. Ludzi i obszarów wykluczonych, zapomnianych jednak ustawicznie ubywa. Wszędzie się polepsza. Minusem jest to, że nie maleje lub maleje za wolno rozpiętość między obszarami najbiedniejszymi i opóźnionymi w rozwoju a tymi najbogatszymi i dobrze się rozwijającymi. Na tym polu samorząd odgrywa niepoślednią rolę. Działa samorządowy fundusz wyrównawczy. Wszystkie samorządy – bez względu na poziom rozwoju i możliwości – w praktyce realizują swe podstawowe przesłanie, by każdy obywatel mógł załatwić swe pilne oraz codzienne sprawy i potrzeby jak najbliżej miejsca zamieszkania.

Dobra praca samorządu terytorialnego w ogromnej mierze zależy od osobowości, umiejętności i talentu wójta, burmistrza, prezydenta miasta, starosty powiatowego i marszałka wojewódzkiego. Pozytywnym zjawiskiem jest to, że w całej Polsce przez ćwierć wieku wyrosła wielka armia utalentowanych, pracowitych, energicznych gospodarzy lokalnych małych i większych ojczyzn. Wielu z nich zaskarbiło sobie do tego stopnia zaufanie i wdzięczność mieszkańców, iż są oni wybierani na trzecią, czwartą i kolejną kadencję. Praca w samorządzie przynosi ludziom satysfakcję i prestiż. Nie ma nic dziwnego w tym, że niektórzy z nich przedkładają pracę na stanowisku burmistrza, prezydenta miasta czy marszałka województwa nad działalność w charakterze posła na Sejm czy senatora (funkcji w samorządzie i parlamencie nie można w Polsce łączyć).

Rady gmin, miasto-gmin, miast, powiatów i województw oraz sternicy tych jednostek są bardzo samodzielni i na ogół niepodatni na naciski z zewnątrz, na przykład ze strony partii czy stronnictw politycznych, nawet tych, do których oni należą i które akurat sprawują władzę w kraju. Nie ma to w ogóle porównania z tym, co działo się w poprzednim systemie ze strony Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Nie znaczy to, że obecne partie i stronnictwa nie rywalizują między sobą o wpływy w samorządzie. Rywalizują i to bardzo, co uwidoczniło się choćby podczas wyborów samorządowych odbytych 16 listopada 2014 r. Jest jednak znamienne, że wielu kandydatów na radnych, wójtów, burmistrzów i prezydentów miast ukrywało swą przynależność polityczną, występując jako osoby niezależne lub z list lokalnych komitetów wyborczych. W wyborach do samorządu nie liczy się taka czy inna legitymacja, tylko to, co kandydat sobą przedstawia, jaki ma praktyczny dorobek, jakie pomysły i koncepcje, czym się wyróżnia. Wyborcy głosują na konkretnego człowieka, najczęściej z ich środowiska, którego często znają osobiście i którego są pewni, że pokładanych w nim nadziei nie zawiedzie. Jest znamienne i wymowne hasło, pod którym w wyborach sprzed kilku miesięcy występowało Polskie Stronnictwo Ludowe: „Samorząd. Tu zaczyna się Polska”. Czyli: jaki samorząd – taka cała Polska.

Istotnie „małe ojczyzny” stały się po 25 latach bastionami prawdziwej demokracji i legitymacją skuteczności całej władzy. Jest ona rzeczywiście blisko ludzi i jest to władza tych ludzi. Bardzo rozwinął się i stale ugruntowuje patriotyzm lokalny. Ludzie dobrze czują, że jak sami o siebie nie zadbają, to nikt inny za nich tego nie zrobi, a manna sama nie spadnie im z nieba. Dlatego bardzo się angażują w różnego rodzaju akcje i przedsięwzięcia na rzecz rozwoju i upiększenia swoich miejscowości, najbliższej okolicy. Wiedzą oni doskonale, że samorządności nie można tylko zadekretować, a samorządu jedynie powołać, aby wszystko zaczęło grać na jedną nutę jak w najlepszej orkiestrze symfonicznej. Samorząd to przede wszystkim ludzie z inicjatywą, przedsiębiorczością, lokalni miłośnicy, odważni, o samodzielnym myśleniu. Z badań socjologicznych wynika, że takich ludzi, jak już wspomniałem, jest dużo i stale przybywa. Samorządowcy (radni) coraz bardziej czują swą rzeczywistą władzę i umieją ją wykorzystać, zakręcić się wokół spraw własnego środowiska. Ponadto są uświadomieni na to, aby ich władza



Podział administracyjny Polski. Gminy

była faktyczna, żeby nie sprowadzała się do gadulstwa i rzucania grochem o ścianę.

Samorządy cechuje też szeroka autonomia. Nikt nie dąży do jednoliceń – jak w przeszłości w radach narodowych – w zakresie metod i planów działania, sięgania po fundusze na realizację zadań. Rozwiązania idące w tym duchu są powszechnie popierane i forsowane. Tak więc często jedni są niepodobni do drugich.

Jest znamienne, że w kraju działa ponad trzy tysiące stowarzyszeń i organizacji społecznych grupujących miłośników konkretnych miast, gmin czy regionów. Stanowią one znaczącą giełdę dobrych pomysłów i przyczyniają się w sposób odczuwalny do odradzania i kultywowania regionalnych tradycji i kultury ludowej, do dbania o miejscowe zabytki, parki, zakątki krajobrazowe, zespoły artystyczne, muzea regionalne, zabiegają o zachowanie pamięci o czynach i mądrościach wyrażonych w słowach przez wybitnych rodaków tutaj urodzonych czy o bojownikach o wolność i niepodległość.

W ostatnim okresie coraz silniej, zwłaszcza w dużych miastach, rośnie w siłę ruch obywatelski, którego celem jest wymuszanie na władzach samorządowych konsultowania – drogą plebiscytów – na jakie cele przeznaczyć w pierwszej kolejności przynajmniej część funduszy miasta. Preferencje tych obywatelskich grup nie zawsze pokrywają się z planami gospodarzy miast. Ale muszą być brane pod uwagę przez ratusze.

Skuteczność działania samorządów terytorialnych zależy o wielu czynników. Wymienię tylko dwa z nich.

Po pierwsze – konieczny jest jasny podział kompetencji, zadań i środków pomiędzy administracją rządową a samorządami. Na szczęście z tym nie jest źle. Z zasady jedni drugim nie wchodzą z butami w paradę. Współpracują z sobą z zasady dość harmonijnie.

Po drugie – bardzo ważne jest, aby nie dochodziło do kolizji pomiędzy ponoszącymi osobistą odpowiedzialność wójtami, burmistrzami, prezydentami miast, starostami i marszałkami województw a właściwymi miejscowymi radami, które – jak to już przytaczałem – mają szerokie ustawowe uprawnienia i kompetencje oraz mogą rozliczać na bieżąco te wymienione osoby na funkcjach i udzielać im absolutorium. Wiem z praktyki, że na forum niektórych rad dochodzi do ostrych spięć. Krytyka płynie najzjadlej z ław opozycji. Podobne dyskusje ze swej natury mogą być nawet pobudzające i dopingujące. I mogą one służyć dobrej sprawie, przyczyniać się do wyboru najlepszych rozwiązań. Najgorzej jest wtedy, gdy „naczelnny wódz” przestaje się liczyć z głosem rady, bo on wie najlepiej, co i jak robić. Albo po prostu zaniedbuje się w pracy, zawala sprawy czy też otacza się tylko krewnymi i kumotrami. W krańcowych przypadkach podobną „osobistość” można odwołać w drodze referendum. W Polsce do podobnych rozwiązań dochodzi stosunkowo rzadko. Ale dochodziło już do odwoływania tą drogą niektórych wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. Gdy w samorządzie nie dochodzi do podobnych starć, gdy po obu stronach panuje zrozumienie i dobra wola, korzystają tylko na tym lokalni mieszkańcy. Bo zgoda nie rujnuje, tylko buduje.

Samorząd terytorialny stał się w Polsce niekwestionowany motorem rozwoju i siłą państwa, jej wszystkich regionów. Dobrze służy on wszystkim pokoleniom Polak i Polaków. Jest też często pierwszą i praktyczną szkołą przyszłych wybitnych polityków, biznesmenów, ludzi nauki i kultury.

Te zalety polskiego samorządu terytorialnego są dostrzegane w wielu państwach świata, także i na Ukrainie. Nic dziwnego, że Prezydent Petro Poroszenko poprosił Polaków, by współdziałali przy przygotowaniu konkretnych zmian w usytuowaniu ukraińskiego samorządu terytorialnego – z większymi uprawnieniami – jeszcze przed przyjęciem ustawy i wyborami do organów tegoż samorządu.

Eugeniusz JABŁOŃSKI
Warszawa

W STOWARZYSZENIU EKSPORTERÓW POLSKICH

Informacja o działaniach w zakresie eksportu w 2014 i 2015 roku

Dzięki aktywnym działaniom przedsiębiorców na rynkach zagranicznych eksport towarów z Polski w 2014 r. zwiększył się o 5,2 proc. w stosunku do 2013 r. i osiągnął poziom 163,1 mld euro.

W 2014 r. aktywna działalność firm koncentrowała się na zwiększeniu eksportu do krajów trzecich. Procesu tego nie zahamowało nawet wprowadzenie przez Rosję embarga na produkty pochodzące z Polski. Polscy producenci towarów objętych embargiem zrekompensowali sobie straty w wysyłce towarów na Wschód zwiększając dostawy do krajów UE i na rynki krajów trzecich. Na uwagę zasługuje wysoki wzrost polskiego eksportu do krajów takich, jak Maroko o ponad 50 proc., Nigerii o 55,5 proc., RPA o 11 proc., Zjednoczonych Emiratów Arabskich o 48 proc. czy Arabii Saudyjskiej o 37 proc.

W 2014 r. Polska pozostawała regionalnym liderem w napływie inwestycji zagranicznych. Należy podkreślić, że dzięki inwestorom zagranicznym w ubiegłym roku uruchomione zostały kolejne projekty inwestycyjne, m.in. produkcja nowej generacji silnika Toyoty w Wałbrzyskiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej czy produkcja silnika MDB koncernu Volkswagen w zakładzie w Polkowicach.

W 2015 r. Polska będzie wspierać i stymulować dalszy wzrost eksportu i bezpośrednich inwestycji zagranicznych do kraju oraz polskich inwestycji za granicą. Resort gospodarki planuje dywersyfikację struktury geograficznej obrotów handlowych poprzez zwiększenie udziału krajów pozaunijnych w globalnym eksporcie Polski. Najważniejszymi celami i zadaniami we współpracy międzynarodowej w 2015 r. będzie intensyfikacja dialogu gospodarczego z partnerami z krajów pozaeuropejskich, promocja polskiej gospodarki na rynkach zagranicznych oraz rozbudowa bazy międzyrządowych umów bilateralnych o współpracy gospodarczej i umów o ochronie inwestycji.

W roku 2014 odnotowano wzrost umiędzynarodowienia polskiej gospodarki. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego w 2014 r. eksport towarów z Polski ogółem zwiększył się o 5,2 proc. w stosunku do



2013 r. i osiągnął wartość 163,1 mld euro. W tym samym okresie polski import wzrósł o 5,5 proc. osiągając wartość 165,5 mld euro. Podjęto szereg czynności mających na celu aktywizację eksportu do krajów trzecich. Działania na rzecz dywersyfikacji wymiany handlowej przyniosły efekty m.in. w odniesieniu do towarów objętych rosyjskim embargiem. Polscy producenci towarów objętych embargiem zre-

kompensowali straty w wysyłce towarów na wschód, zwiększając dostawy do państw UE i na rynki krajów trzecich (głównie Afryki i Azji).

Działania przedsiębiorców dotyczące międzynarodowej współpracy gospodarczej w 2014:

- Wzrost umiędzynarodowienia polskiej gospodarki – wzrost eksportu o 5,2 proc.;
- Wysoki wzrost eksportu do krajów Afryki – o 14,6 proc. (szczególnie do Algierii, Maroka, Nigerii, RPA, krajów Zatoki Arabskiej (ZEA, Arabia Saudyjska);
- Utrzymanie wysokiej pozycji atrakcyjności inwestycyjnej Polski;
- Przeciwdziałanie skutkom negatywnych tendencji w relacjach gospodarczych z krajami wschodnimi, działania na rzecz pozyskiwania nowych rynków zbytu dla polskich towarów;
- Aktywny dialog gospodarczy – ok. 150 spotkań na szczeblu kierownictwa Ministerstwa Gospodarki z partnerami z ponad 60 krajów, obsługa części gospodarczej wizyt na najwyższym szczeblu – Prezydent RP, Premier RP;
- Podpisanie umowy z Izraelem o współpracy w zakresie przemysłowych prac badawczo-rozwojowych, rozpoczęcie prac nad umowami BIT z Armenią i Etiopią oraz nad umowami o współpracy gospodarczej z Nigerią, Iranem i Wietnamem;
- Zakończenie negocjacji handlowych, umów EPA z trzema regionami Afryki: Afryką Zachodnią, Krajami Wspólnoty Rozwoju Afryki Południowej oraz Wspólnotą Wschodnioafrykańską;

- Zapewnienie polskim producentom niższych kosztów dostaw surowców i komponentów z krajów trzecich (modyfikacja unijnej ochrony celnej od lipca 2014 r. oraz od stycznia 2015 r.);
- Ochrona polskich producentów przed nieuczciwą konkurencją ze strony krajów pozaunijnych;
- Aktywny udział na forum multilateralnym – WTO, prace nad uzgodnieniami plurilateralnego porozumienia o handlu elektroniką (ITA), w zakresie usług (TiSA) oraz w zakresie towarów o charakterze środowiskowym (green goods initiative);
- Działania na Forum OECD (raport OECD nt. polskiej gospodarki) i UNIDO;
- Dalsze działania na rzecz budowy jednolitego rynku UE, realizacja strategii Single Market Act II;
- Aktywne działania na forum UE na rzecz poprawy bezpieczeństwa energetycznego, ukończenia budowy wspólnego rynku energii, rozwoju infrastruktury przesyłowej oraz wypracowania jak najkorzystniejszych dla Polski ram polityki klimatyczno-energetycznej, w szczególności pod kątem procesu redukcji emisji gazów cieplarnianych (uzgodnienie ram polityki energetyczno-klimatycznej UE do 2030 r., promowanie koncepcji Europejskiej Unii Energetycznej);
- Priorytety Ministerstwa Gospodarki, tj. – ograniczenie do minimum ryzyka wzrostu cen energii oraz zachowanie konkurencyjności Europy, konieczność zachowania spójności pomiędzy politykami UE, w tym polityką przemysłową, energetyczno-klimatyczną i handlową.

Aktywny udział Ministerstwa Gospodarki w kształtowaniu i realizacji wspólnej polityki handlowej w kontekście poprawy dostępu do rynków krajów trzecich dla polskiego eksportu:

- Podpisanie umów stowarzyszeniowych (w tym DCFTA) UE-Ukraina, UE-Mołdawia, UE-Gruzja;
- Negocjacje umowy UE-USA o transatlantyckim partnerstwie handlowym i inwestycyjnym (TTIP);
- Negocjacje umów o strefach wolnego handlu i współpracy z krajami trzecimi – w różnym zakresie z: Kanadą, Japonią, Wietnamem, Malezją, Tajlandią.

Promocja polskiej gospodarki na rynkach międzynarodowych:

- Realizacja 15 branżowych programów promocji;
- Realizacja programów promocji ogólnej na rynkach perspektywicznych: Algieria, Brazylia, Kanada, Kazachstan, Turcja, Meksyk i ZEA;

- Kontynuacja kampanii promocyjnej „Made in Poland” (Chiny, Rosja);
- Kontynuacja projektów GO CHINA i GO AFRICA;
- Przygotowanie programu „Aktywizacja eksportu na wybranych rynkach wspierającego przedsiębiorców i branże najbardziej dotknięte spadkiem eksportu na rynki wschodnie (11 rynków azjatyckich i bałkańskich);
- Otwarcie kolejnego Wydziału Promocji Handlu i Inwestycji Ambasady RP w Abu Dhabi (ZEA);
- Przygotowywania do udziału Polski w Wystawie Światowej EXPO 2015 w Mediolanie.

Cele strategiczne w obszarze współpracy międzynarodowej w 2015 r.:

- Dalszy wzrost umiędzynarodowienia gospodarki;
- Wspieranie i dalszy wzrost eksportu i bezpośrednich inwestycji zagranicznych;
- Dywersyfikacja struktury obrotów handlowych poprzez dalsze zwiększenie udziału krajów pozaunijnych w globalnym eksporcie Polski;
- Ochrona polskich interesów gospodarczych, w tym zapewnienie dostępu do rynków krajów trzecich, w tym także dostępu do surowców;
- Zapewnienie spójności pomiędzy poszczególnymi politykami UE, w tym polityki przemysłowej, energetyczno-klimatycznej i handlowej;
- Łagodzenie negatywnego wpływu dekonunktury na rynkach wschodnich i ryzyk wynikających z sytuacji na Ukrainie i uwarunkowań politycznych w relacjach z Rosją, w tym współpraca z Komisją Europejską mająca na celu otwieranie rynków zbytu krajów trzecich na towary unijne, w tym polskie, których import do Rosji jest lub może być blokowany;
- Wzmacniania unijnego systemu regulacji handlowych, aktywny udział w pracach na forum UE w zakresie negocjacji umów handlowych prowadzonych przez Komisję Europejską z krajami trzecimi (w szczególności USA, Japonia, kraje ASEAN oraz umowa inwestycyjna z Chinami);
- Wspieranie dalszej integracji rynku wewnętrznego UE, aktywny udział w kształtowaniu przyszłej Strategii Komisji Europejskiej na rzecz jednolitego rynku towarów i usług;
- Promowanie kwestii odrodzenia przemysłu w Europie (reindustrializacja), działania na rzecz osiągnięcia w UE 20 proc. wkładu przemysłu w PKB;

- Poprawa bezpieczeństwa energetycznego, aktywne promowanie stanowiska Polski w toku prac nad koncepcją Europejskiej Unii Energetycznej, dalszy rozwój infrastruktury przesyłowej, wypracowanie jak najkorzystniejszych dla Polski ram polityki klimatyczno-energetycznej;
- Aktywne działania na rzecz wypracowania aktów prawnych pakietu klimatyczno-energetycznego oraz udział w procesie operacjonalizacji ram polityki klimatyczno-energetycznej do 2030 r., promowanie polskich interesów narodowych w zakresie rozwiązań proponowanych w nowych ramach polityki klimatyczno-energetycznej UE;
- Aktywny udział w negocjacjach i procesie decyzyjnym dot. rewizji Rozporządzenia 994/2010 w sprawie środków zapewniających bezpieczeństwo dostaw gazu ziemnego;
- Rozwój współpracy regionalnej w zakresie elektroenergetyki, w tym dotyczącej zagadnienia synchronizacji Państw Bałtyckich z Europą Kontynentalną;
- Kontynuowanie współpracy międzynarodowej w ramach Grupy Wyszehradzkiej, Międzynarodowej Agencji Energii Odnawialnej IRENA oraz Europejskiej Agencji Kosmicznej ESA.

Narzędzia realizacji działań:

- Budowa sprzyjającego klimatu dla działalności polskich firm na zagranicznych rynkach, udział Ministra Gospodarki i członków Kierownictwa Ministerstwa Gospodarki w dialogu gospodarczym, w tym w formie dwustronnych Komisji Mieszanych, konsultacji i rozmów gospodarczych, którym towarzyszą przedsięwzięcia informacyjno-promocyjne z udziałem przedstawicieli biznesu;
- Organizacja misji, seminariów, konferencji, for gospodarczych z udziałem przedsiębiorców, towarzyszących wizytom na najwyższym szczeblu: Prezydent, Prezes Rady Ministrów, ewentualnie wizyty do lub z następujących krajów: USA, Japonia, Rumunia, Finlandia, Francja, Belgia, Łotwa, Ukraina, ZEA, Katar, Indie, Angola, Etiopia, Kazachstan, Turkmenistan, Meksyk;
- Rozbudowa bazy międzyrządowych umów bilateralnych z krajami pozaunijnymi, podpisanie umów o współpracy gospodarczej z Turkmenistanem i Nigerią, procedowanie umów BIT z Armenią i Etiopią;
- Inicjatywy w ramach partnerstwa wschodniego działania na rzecz wsparcia sprawnej implementacji handlowej części umów stowarzyszeniowych

z Unią Europejską po stronie Ukrainy, Gruzji i Mołdawii, pomoc techniczna, dzielenie się polskimi doświadczeniami w tym w ramach projektów pomocy rozwojowej w zakresie realizacji reform rynkowych (Ukraina).

Cele strategiczne w obszarze współpracy międzynarodowej

Misją resortów gospodarczych jest stworzenie najlepszych warunków prowadzenia działalności gospodarczej. W ramach tej misji strategicznym priorytetem w sferze współpracy międzynarodowej jest umocnienie polskiej marki na rynku międzynarodowym oraz bezpieczeństwo gospodarcze kraju.

Ministerstwo Gospodarki w 2015 r. będzie wspierać i stymulować dalszy wzrost polskiego eksportu i bezpośrednich inwestycji zagranicznych do Polski oraz polskich inwestycji za granicą. Planuje dywersyfikację struktury geograficznej obrotów handlowych poprzez zwiększenie udziału krajów pozaunijnych w globalnym eksporcie Polski. Będzie chronić polskich interesów gospodarczych, w tym zapewniać dostęp do rynków krajów trzecich oraz do surowców zlokalizowanych w tych krajach. Planuje podejmować działania w zakresie utrzymania konkurencyjności przemysłu, w tym zapewnić równą i uczciwą konkurencję na rynku Unii Europejskiej dla produkcji unijnej i pochodzącej z importu. Ważnym elementem będzie również poprawa bezpieczeństwa energetycznego. Na forum europejskim drogą do realizacji celów będzie aktywny udział w pracach poszczególnych formacji Rady Unii Europejskiej (UE), spotkaniach ministrów, ekspertów i grup roboczych w obszarach należących do kompetencji Ministerstwa Gospodarki. Ministerstwo Gospodarki będzie podejmować działania na rzecz zwiększenia wykorzystania kredytów rządowych dla wybranych krajów pozaeuropejskich – jako ważnego instrumentu wspierania polskiego eksportu.

Najważniejszymi celami i zadaniami we współpracy międzynarodowej w 2015 r. będzie intensyfikacja dialogu gospodarczego na szczeblu kierownictwa Ministerstwa Gospodarki z partnerami z krajów pozaeuropejskich, promocja polskiej gospodarki na rynkach zagranicznych, rozbudowa bazy międzyrządowych umów bilateralnych o współpracy gospodarczej i umów o ochronie inwestycji. Resort będzie działać na rzecz łagodzenia negatywnego wpływu dekonjunkury na rynkach wschodnich i ryzyk wynikających z sytuacji we wschodniej Ukrainie, a także uwarunkowań politycznych w relacjach z Rosją. Będzie współpracować z Komisją Europejską w celu otwierania rynków zbytu kra-

jów trzecich na towary unijne, w tym polskie, których import do Rosji jest lub może być blokowany. Ministerstwa Gospodarki planuje aktywny udział w pracach na forum UE w zakresie negocjacji umów handlowych prowadzonych przez Komisję Europejską z krajami trzecimi (w szczególności USA, Japonia, kraje ASEAN oraz umowa inwestycyjna z Chinami) na rzecz otwierania rynków krajów trzecich dla polskich eksporterów przez obniżkę cel i likwidację barier pozataryfowych oraz dostęp do rynków zamówień publicznych. Resort podejmie szereg działań na rzecz zapewnienia polskim producentom niższych kosztów dostaw surowców i komponentów z krajów pozaunijnych, nie produkowanych w UE lub produkowanych w niewystarczającej ilości lub jakości. Planuje się również podjąć działania w celu zwiększania zaangażowania polskich ekspertów, instytucji naukowych i badawczych oraz przedsiębiorstw w projektach pomocy technicznej UNIDO oraz pracach międzynarodowych organizacji surowcowych. Ponadto Ministerstwo Gospodarki będzie podejmować działania na rzecz odrodzenia przemysłu w Europie w ramach tzw. „Grupy Przyjaciół Przemysłu”. Dlatego już na jesieni 2015 r. Ministerstwo Gospodarki zorganizuje spotkanie robocze dla państw członkowskich grupy: Francji, Niemiec, Włoch i Hiszpanii. W działaniach promocyjnych nastąpi kontynuacja już podjętych działań. W takich krajach, jak Niemcy, Chiny, Zjednoczone Emiraty Arabskie oraz Brazylia zostanie przeprowadzona kampania informacyjno-promocyjna „Made in Poland”. Kontynuowane będą branżowe programy promocji. Do maja 2015 r. zostanie zrealizowany program „Aktywizacja eksportu na wybranych rynkach”. Utrzymane zostaną programy promocyjne „Go China” i „Go Africa”, do których dołączy „Go India” oraz „Go Arctic”.

W ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój zostaną wprowadzone nowe projekty. Wśród nich znalazły się m.in. akcelerator technologiczny w USA, Chinach, Niemczech oraz Mosty Technologiczne z USA, Wielką Brytanią, Irlandią oraz Izraelem. Ponadto w ramach PO IR zostanie również przeprowadzona promocja gospodarki w oparciu o polskie marki produktowe – Brand.PL.

Promocja polskiej gospodarki – działania w 2014 r.

W zakresie promocji gospodarczej w 2014 r. Ministerstwo Gospodarki kontynuowało realizację projektu systemowego Promocja Polskiej Gospodarki na rynkach międzynarodowych, którego celem jest wykreowanie silnej, nowoczesnej i rozpoznawalnej w świecie marki polskiej, podniesienie konkurencyjności polskich branż w oparciu o innowacyjne produkty i

usługi, zacieśnienie współpracy gospodarczej z krajami objętymi programami oraz zwiększenie świadomości konsumentów na temat polskiej oferty eksportowej w wyniku akcji promocyjnej na rynkach tych krajów.

W 2014 r. zakończono przeprowadzoną w Niemczech, Czechach, na Ukrainie, w Chinach i Rosji kampanię informacyjno-promocyjną „Made in Poland”. Jej celem było wzmocnienie wizerunku Polski wśród partnerów zagranicznych z tych krajów poprzez reklamę w prasie, Internecie, outdoor, a także działania Public Relations. Ponadto kontynuowano realizację 3-letnich branżowych programów promocji. Celem tych programów był wzrost konkurencyjności 15 priorytetowych i perspektywicznych branż polskiej gospodarki oraz zacieśnienie współpracy z 33 krajami objętymi działaniami.

Ministerstwo Gospodarki zakończyło również realizację jednorocznych programów promocji o charakterze ogólnym na rynkach perspektywicznych takich, jak Algieria, Brazylia, Kanada, Kazachstan, Meksyk, Turcja oraz Zjednoczone Emiraty Arabskie. Kraje te były wyselekcjonowane przez Ministerstwo Gospodarki w oparciu o potencjał rozwojowy i proimportowy oraz zainteresowanie polskich przedsiębiorców. Sfinalizowano także program promocji gier komputerowych w Niemczech, USA, Chinach i Francji.

Resort gospodarki przygotował program „Aktywizacja eksportu na wybranych rynkach”. Wspiera on przedsiębiorców i branże najbardziej dotknięte spadkiem eksportu na rynki wschodnie, w tym towary rolno-spożywcze, na jedenastu wyselekcjonowanych rynkach.

Ministerstwo Gospodarki kontynuowało działania w ramach projektów „Go China” oraz „Go Africa”. W ramach programu „Go Africa” wspólnie z Polską Agencją Informacji i Inwestycji Zagranicznych zorganizowano 3 misje typu fact finding do Senegalu, Ghany i Angoli oraz 2 misje biznesowe polskich przedsiębiorstw do tych państw. Ponadto zorganizowano kilkanaście wydarzeń promujących Polskę, jako wiarygodnego partnera biznesowego. W Łodzi odbył się także kongres POLAND-AFRICA 2014.

W pierwszej połowie 2014 r. Ministerstwa Gospodarki otworzyło Wydział Promocji Handlu i Inwestycji Ambasady RP w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Zakres kompetencji Wydziału poza ZEA obejmuje wybrane rynki krajów stowarzyszonych w Radzie Współpracy Zatoki Perskiej oraz państwa Afryki.

Ponadto resort prowadził również prace przygotowawcze dotyczące udziału Polski w wystawie Światowej EXPO 2015 w Mediolanie.

Wydziały Promocji Handlu i Inwestycji podlegające pod Ministerstwo Gospodarki po wprowadzeniu przez Rosję embarga dodatkowo zintensyfikowały promocję polskiej oferty rolno-spożywczej.

Wydziały Promocji Handlu i Inwestycji (WPHI) wykonały szereg analiz sektorowych. Informacje o polskiej ofercie rolno-spożywczej były szeroko dystrybuowane w krajach urzędowania. Dane przekazywano w kontaktach bezpośrednich z właściwymi urzędami, organizacjami biznesowymi oraz zainteresowanymi firmami. Na portalach WPHI oraz w bieżącej korespondencji prowadzonej przez placówki stale aktualizowano wiadomości dotyczące polskich produktów. Działania te miały szczególnie istotne znaczenie w przypadku rynków pozaeuropejskich, które były relatywnie mniej rozpoznane przez polskich przedsiębiorców.

Placówki WPHI uczestniczyły w działaniach mających na celu rozpoznanie warunków uzyskania dostępu polskich produktów rolnych do wybranych rynków zagranicznych. Współpracowały w tym temacie z Głównym Inspektoratem Weterynarii oraz Państwową Inspekcją Ochrony Roślin i Nasiennictwa. Wydziały pośredniczyły w kontaktach z zagranicznymi służbami fitosanitarnymi i weterynaryjnymi. Przekazywały także informacje na temat warunków dostępu do rynków polskim instytucjom, organizacjom biznesowym oraz przedsiębiorcom.

W 2014 r. WPHI zrealizowały blisko 180 przedsięwzięć promocyjnych obejmujących swoim zasięgiem sektor rolno-spożywczy. W ramach działań organizowano stoiska informacyjne na targach, misje gospodarcze, konferencje, a także spotkania B2B.

Program promocji pt. „Aktywizacja eksportu na wybranych rynkach” będzie realizowany na rynkach, istotnych z punktu widzenia możliwości rozwoju polskiego eksportu. Wykonawcą programu została Agencja M Promotion.

Do rynków, które wybierają polscy przedsiębiorcy należą kraje azjatyckie, m.in. Azerbejdżan, Indie, Indonezja, Mongolia, Wietnam, Malesja, Turkmenistan oraz kraje bałkańskie, m.in. Chorwacja, Serbia, Bośnia i Hercegowina, Macedonia. Tam właśnie zaplanowane zostaną działania promujące polegające m.in. na organizacji konferencji, misji przyjazdowych do Polski dla potencjalnych kontrahentów oraz dziennikarzy z poszczególnych krajów. Ponadto realizowana będzie kampania „Made in Poland”.

W ramach programu wspierane będą sektory najbardziej dotknięte spadkiem eksportu. Jednym z nich jest branża polskich specjalności żywnościowych, która będzie promowana we wszystkich krajach objętych programem.

W ramach misji przyjazdowych odbędą się spotkania B2B z polskimi przedsiębiorstwami, a także wizyty w wybranych polskich firmach. Ponadto przedsiębiorcy będą mogli przekazać własne materiały promocyjne, które będą rozpowszechniane podczas konferencji promocyjnych organizowanych we wszystkich krajach objętych programem.

Program promocji o charakterze ogólnym pt. „Aktywizacja eksportu na wybranych rynkach” będzie realizowany i finansowany w ramach projektu systemowego Ministerstwa Gospodarki pt. „Promocja polskiej gospodarki na rynkach międzynarodowych”, Poddziałanie 6.5.1 Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka. Jego realizacja potrwa do 25 maja 2015.

Wsparcie finansowe dla eksportujących przedsiębiorców

Ministerstwo Gospodarki we współpracy z Ministerstwem Finansów, Ministerstwem Skarbu Państwa, Ministerstwem Rolnictwa i Rozwoju Wsi, Ministerstwem Spraw Zagranicznych oraz Narodowym Bankiem Polskim przygotowało preferencyjne zasady ubezpieczeń transakcji eksportowych dla przedsiębiorców dotkniętych skutkami rosyjskiego embarga.

Działaniom tym służy Uchwała Komitetu Polityki Ubezpieczeń Eksportowych, podjęta w dniu 26 sierpnia 2014 r. Zgodnie z nią Korporacja Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych upoważniona została do stosowania preferencyjnej, obniżonej o 20 proc. stawki ubezpieczeniowej. Mogą z niej skorzystać podmioty gospodarcze, zainteresowane ubezpieczeniem transakcji eksportowych do wybranych krajów Azji, Afryki Północnej, Bliskiego Wschodu oraz Bałkanów.

Ministerstwo Gospodarki wspólnie z Ministerstwem Finansów podejmują działania na rzecz stymulowania eksportu na rynki zagraniczne. Proponują preferencyjne kredyty rządowe udzielane władzom krajów trzecich na sfinansowanie zakupów polskich towarów i usług. W 2014 r. podpisane zostały umowy z Etiopią, Mołdawią oraz Kirgistanem. Podejmowane są działania na rzecz zachęcenia partnerów z innych krajów do skorzystania z tego typu rozwiązania.

Ponadto Ministerstwa Gospodarki przygotowało nowe rozporządzenia de minimis dotyczące przyznawania pomocy publicznej na realizację przedsięwzięć w zakresie promocji i wspierania eksportu.

Polska na EXPO 2015

Tegoroczna Wystawa Światowa EXPO 2015 rozpoczyna się 1 maja i potrwa do 31 października. Jej hasło przewodnie brzmi: „Wyżywienie planety, energia dla życia”. Włoscy organizatorzy szacują, że w ciągu

sześciu miesięcy przez tereny EXPO przejdzie blisko 20 milionów zwiedzających.

Zwiedzających Pawilon Polski przywita motto: „Abbiate ogni speranza, voi che entrate!” – trawestacja „Lasciate ogni speranza, voi che entrate!” – napisu na bramie Piekła z „Boskiej komedii” Dantego (w wolnym tłumaczeniu „Nasyćcie się wszelką nadzieją wy, którzy wchodzicie!”). Napis jest obietnicą, że każdy zwiedzający znajdzie w Pawilonie Polski wszystko, co dobre i budzące nadzieję – świat pełen energii vitalnej.

Pawilon Polski na EXPO 2015 powstaje w centralnym punkcie Wystawy Światowej, tuż obok ekspozycji narodowych Wielkiej Brytanii, Francji, Hiszpanii i Węgier oraz w bliskim sąsiedztwie najbardziej okazałej budowli, która należy do gospodarza Wystawy – Włoch.

Piętrowa architektura i ekologiczna fasada Pawilonu Polski oraz zaskakująca, pełna życia organizacja terenu przed nim ma zachęcać zwiedzających do bliższego za-



poznania się z walorami naszego kraju, w szczególności z osiągnięciami i ofertą eksportową polskiego sektora rolno-spożywczego.

Całość kryje się pod elegancką, ażurową konstrukcją, nawiązującą do prostych w formie, coraz częściej wykorzystywanych we współczesnym meblarstwie i wzornictwie oraz ekologicznych z natury skrzynek na jabłka. Projekt łączy zatem w sobie elementy polskiej symboliki z trendami nowoczesnego designu.

Zespół Programowy SEP

Gmina mała – zaszczyt wielki

Wreszcie doczekałem się wydarzenia znaczącego. Pokazano grupę twórczych ludzi na to zasługujących, czyli wójtów aż dziesięciu gmin naraz. A wszystko to za sprawą 14 już konkursu na WÓJTA ROKU! Impreza odbyła się w gmachu głównym telewizji w dniu 25 kwietnia br. w Warszawie. Impreza wysokiej, ogólnokrajowej rangi, a nadto pod honorowym patronatem samego Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego. Zaszczycili ją m.in. wiceminister rolnictwa i rozwoju wsi Tadeusz Nalewaj, wiceprezes TVP Marian Zalewski i szef programów rolniczych tejże Wojciech Nalazek.

Finalistami tegorocznego konkursu byli: Grzegorz Kapica z lubelskiej gminy Józefów, Dariusz Kolczyński ze Skrwilna i Stanisław Bernard Sadowski z Baruchowa z woj. kujawsko-pomorskiego, Jerzy Kołakowski z gminy Ustronie Morskie w woj. zachodniopomorskim, Tadeusz Zakrzewski z Chynowa i Andrzej Żołyński z Somianki z woj. mazowieckiego, Wojciech Kubicki z Zarzecza w woj. podkarpackim, Iwona Agnieszka Łebek z Długołęki w woj. dolnośląskim oraz Janusz Perzyna z Jasienicy i Maria Włodarczyk z Dąbrowy Zielonej w woj. śląskim.

I właśnie ta ostatnia z wymienionych – magister Maria Włodarczyk została WÓJTEM ROKU 2014 (na zdjęciu). Słowom uznania i gratulacjom nie było końca. Po prostu stała się osobą docenioną i znaną w



całej Polsce, celebrytką z mało szerzej znanej gminy! A dlaczego ona i jej gmina zasłużyli na ten prestiżowy tytuł? Chyba najdokładniej określił to Prezydent w swoim liście skierowanym do laureatów: to są ludzie potrafiący godzić ambitne cele z realnymi możliwościami! Nic dodać, nic ująć! Dzięki tym umiejętnościom gmina wyróżnia się wzorową gospodarnością, efektywnością produkcji i działań ponad 4 tys. ludzi oraz wykorzystaniem inwestycji na rozwój w imię przyszłości gminy i jej mieszkańców. Ci ostatni publicznie nie ukrywają płynącej stąd satysfakcji.

Tylko trzeba życzyć powodzenia w tym twórczym dziele. Więc – życzyć!

Mikołaj ONISZCZUK

WARSZAWSKIE FELIETONY MIKOŁAJA ONISZCZUKA

Ukraińskie realia, aktywa i szanse gospodarcze

Okazją dla ich prezentacji było II Międzynarodowe Forum pn. DZIEŃ UKRAIŃSKIEGO BIZNESU, zorganizowane w dniach 14 i 15 maja br. w Warszawie, a dokonali owej prezentacji wysocy przedstawiciele centralnych instytucji państwowo-administracyjnych Polski i Ukrainy. I tak, ze strony polskiej – wiceminister gospodarki Andrzej DYCHA, a ze strony ukraińskiej – wiceminister finansów Elena MAKIEJEWA i wiceminister rozwoju gospodarczego i handlu Julia KŁY-MENKO. Tematyka Forum ujęta została w formie czterech sesji problemowych i obejmowała:

- atrakcyjność inwestycyjną Ukrainy, zarysowana przez Olegę Dubisza – wiceprezesa Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej i rozwinięta przez Ksenię Lapinę – dyrektora Państwowej Służby Ukrainy ds. Polityki Regulacyjnej oraz parlamentarzystów Rady Najwyższej Ukrainy – Stepana Kubiwa, przedstawiciela Prezydenta Ukrainy w tejże Radzie;
- strategię rozwoju miast oraz możliwości współpracy gospodarczej w regionach prezentowali przedstawiciele Rad Miejskich Kijowa, Odessy, Charkowa i Dniepropietrowska;
- opodatkowanie działalności gospodarczej na Ukrainie i reformę gospodarczą w 2015 roku omówiła m.in. Nella Priwakowa – dyrektor Wydziału Metodologii Opodatkowania z Państwowej Służby Fiskalnej Ukrainy i Larysa Wróblewska – przewodnicząca Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej ds. polityki podatkowej i celnej;
- praktyczne doświadczenia i rady polskich inwestorów dla działań na Ukrainie. A ten, najbardziej

chyba praktyczny temat, omawiali: Andrzej Grabowski – b. szef WPHiI Ambasady RP w Kijowie, Ireneusz Derek – prezes firmy Plastics Ukraine, Damian Ragan – wiceprezes Zarządu KREDO-BANK-u SA, dyrektor generalny firmy „Bikor” oraz doradca podatkowy Międzynarodowego Związku Audytorskiego Serhij Krawcow.

O działaniach informacyjno-promocyjnych i wspierających służb dyplomatyczno-konsularnych mówił Ambasador Ukrainy w Warszawie Andrij DESZCZYCA.

I to w obszarze tych czterech bloków następowała wymiana stanowisk, ocen i poglądów w sprawie całości kształtu współpracy dwustronnej, a więc stanu i perspektyw ich rozwoju, zgodnie z zainteresowaniem i interesami obu krajów. Tu ocena była jednoznaczna – nasze stosunki są dobre i przyjazne, i powinny pójść nadal w tym kierunku. Było to kolejne potwierdzenie haseł Majdanu, że „RAZOM – KRASZCZE”, czyli RAZEM – LEPIEJ!

Ale żeby to hasło nabierało coraz bardziej wymiernego i materialnego formatu i znaczenia, jest jeszcze sporo spraw i problemów do załatwienia, głównie po stronie ukraińskiej. A więc potrzeba konkretnych i skutecznych działań, by móc wiarygodnie powiedzieć, że BIZNES NAS ŁĄCZY! I właśnie ten motyw dominował w czasie Forum. No i tu dochodzimy do sedna sprawy...

A tych spraw do rozwiązanie jest co niemiara. I im to poświęcono najwięcej uwagi i czasu. W mojej ocenie, wiodącym tematem była współpraca inwestycyjno-kapitałowa w postaci polskich i zagranicznych inwestycji. Do niej to najbardziej zachęcała strona ukraińska. Dotyczy to energetyki, branży rolno-spożywczej, budownictwa, sektora dóbr konsumpcyjno-przemysłowych i usług. Na razie polskie inwestycje na tym rynku minimalnie przekroczyły poziom 830 mln USD. A obroty handlowe zaledwie 6,5 mld USD. Było to niewątpliwie ważne wydarzenie w stosunkach polsko-ukraińskich, po ubiegłorocznym, grudniowym spotkaniu Prezydentów obu krajów w Warszawie.

Ale faktu tego nie odnotowały główne polskie media w blokach infor-



macyjnych, ani szczupła, bo w granicach 100 osób frekwencja uczestników forum. Nie było nawet reprezentanta Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Za to była godna szacunku dla ich codziennej pracy kilkusobowa grupa pracowników Departamentu Promocji i Współpracy Dwustronnej MG, z wicedyrektor Elżbietą BODIO i główną specjalistką Małgorzatą GOŁĘBIEWSKĄ. To chyba najbardziej kompetentni i skuteczni orędownicy i promotorzy polsko-ukraińskiej współpracy gospodarczej w skali kraju na szczeblu ministerialnym. Potwierdzają to przez kilkadziesiąt lat dotychczasowej pracy, a znam to z autopsji, i co istotne, w obecnym bar-

dzo trudnym okresie tej współpracy z rynkami wschodnimi.

A gdy chodzi o nieobecnych i „ciszę medialną” na temat forum – to rodzi się pytanie: czyżby wystraszyła ich opłata za wstęp na salę obrad w wysokości 180 złotych, czyli 45 euro „od łebka”? Nie wiem czy i co to za pomysł z tą opłatą? Zwłaszcza od dziennikarzy...

Ale na moje pytanie na ten temat, usłyszałem jednoznaczную odpowiedź od jednego w współorganizatorów: nam dla promocji wystarczy dwóch dobrych dziennikarzy! W ten sposób i ja znalazłem się... za burtą, bo nie znalazłem się w tej dwójce... Potwierdziło się chcąc nie chcąc przysłowie, że... nie dla psa – kiełbasa!

Nadzieja na zmiany nie ginie

Sytuacja na Ukrainie jest wyjątkowo trudna i złożona, o czym mówi już w zasadzie cały świat. Mieszają się w tym różne oceny, opinie i poglądy. Godząc się z nimi czy nie – jednym z podstawowych problemów jest sytuacja gospodarcza, a ta na razie optymizmem nie napawa, choć nie jest beznadziejna. Nic tak nie przekonuje, jak wiarygodne fakty. A tych nie brakuje, choćby w postaci „najświeższych”, bo z końca stycznia br. danych Państwowego Komitetu Służb Statystycznych Ukrainy. Najpełniejszym odzwierciedleniem stanu gospodarki jest handel zagraniczny. Więc o nim – konkretnie:

- globalne obroty handlowe Ukrainy z zagranicą w okresie 11 miesięcy ub. roku ukształtowały się na poziomie zaledwie 99,9 mld USD i były niższe aż o 20,3% niż w porównywalnym okresie minionego roku. W tym samym czasie
- eksport ukraiński stanowił 50,1 mld USD, a import – 49,8 mld USD,
- saldo obrotów, jakby na otarcie łez, było minimalnie dodatnie rzędu 0,3 mld,
- eksport spadł o 11,3%, a import aż o 27,6%,
- w strukturze geograficznej eksportu zmiany są niewielkie. Nadal dominuje Rosja (udział 18,7%), po niej Egipt (5,1%), Polska (4,9%), Chiny (4,8%), Włochy (4,6%), Indie (3,4%) i Białoruś (3,0%),
- w strukturze geograficznej importu – podobnie. Dominują dostawy z Rosji (23,9%), a potem z Chin (9,9%), z Niemiec (9,7%), z Białorusi (7,4%), z Polski (5,7%), z USA (3,6%), z Włoch (2,8%) i z Węgier (2,6%),
- w strukturze towarowej eksportu zmian prawie nie ma. Dominują dostawy metali nieszlachetnych (28,4), produktów pochodzenia roślinnego (15,5%), produktów zbożowych (11,7%), pro-



duktów mineralnych (11,6%) oraz rud, żużli i popiołów (6,5%),

- w strukturze towarowej dostaw importowych tradycyjnie dominują produkty mineralne (29,6%), urządzenia mechaniczne i maszyny elektryczne (16,0%), produkty chemiczne (12,4%), metale nieszlachetne (6,2%) i obiekty pływające (5,0%).

Nie ma się czym chwalić również handel wewnętrzny, skoro w całym ub. roku placówki handlowe i gastronomia zmniejszyły sprzedaż detaliczną w stosunku do roku 2013 o 8,6%, tj. osiągając tylko 903,5 mld UAH. Ludziom zapewne brakuje pieniędzy!

Ale nie ma co upadać na duchu. Jest nowa władza, nowy rząd, więc taka sytuacja jest dla nich wyzwaniem i szansą.

I w tej materii, już z innych źródeł, nadchodzą całkiem dobre wieści. Oto bowiem ujrzała światło dzienne STRATEGIA ROZWOJU UKRAINY do roku 2020, dokument programowy, podpisany przez Prezydenta Petra Poroszenkę, przewidujący przeprowadzenie 62 reform, w tym 8 priorytetowych, obejmujących reformę systemu bezpieczeństwa narodowego, zwiększającą m.in. liczebność sił zbrojnych z 68 do 250 tysięcy osób, reformę antykorupcyjną i sądowniczą, systemu

zarządzania i decentralizację uprawnień decyzyjnych, przewidującą rozwój przedsiębiorczości, w tym małej i średniej, a także reformę systemu ochrony zdrowia i systemu podatkowego. Już nawet w tej fazie określono 25 docelowych mierników do osiągnięcia. Chyba nadzwyczaj ambitnych w stosunkowo krótkim czasie. Program zakłada m.in.:

- wzrost PKB na 1 mieszkańca do 16 tysięcy dolarów,
- doprowadzenie wydatków na bezpieczeństwo narodowe i obronę do 3% PKB, a przyływu

inwestycji bezpośrednich netto do 40 mld USD,

- uplasowanie Ukrainy w rankingu Banku Światowego „DOING BUSINESS” w grupie 30 krajów na czołowych pozycjach,
- a także uplasowanie kraju w grupie 50 najlepszych krajów, skutecznie przeciwdziałających korupcji i od niej uwolnionych.

Tak czy owak – Ukraina stan obecnych trudności, nie wcześniej to później, przemoże, a Unia i Polska w tym jej także pomoże.

Niedosyt w eksporcie, jak w sporcie

Żyjemy w świecie konkurencyjności, a ta dotyczy praktycznie wszystkich już dziedzin.

Kto silniejszy, ten lepszy! Nie wszystko nam się udaje, choć jesteśmy dobrzy i nie gorsi od rywali, a wtedy mamy do czynienia... z niedosytem. Tak było w meczu piłki nożnej, rozegranym 29 marca w Dublinie, gdzie do ostatniej minuty wygrywaliśmy, aby w końcu tylko zremisować. A jak gramy na innych boiskach, w tym gospodarczych, czyli na rynkach eksportowych? Też gramy dobrze, ale możliwości, apetyty i ambicje są jeszcze większe.

A jak gramy, świadczy nasza współpraca gospodarcza z krajami unijnymi. Dane na koniec ubiegłego roku wskazują, że skutecznie, bo jesteśmy w grupie liderów wzrostu PKB – i co jeszcze ważniejsze, aż 77,1% globalnego eksportu lokujemy na rynkach unijnych, w tym 26,1% na rynku niemieckim. Z Niemcami też czasem udaje nam się wygrać. Ale handel zagraniczny, to nie piłka nożna, więc popatrzmy, jak to wygląda w przypadku dwóch wybranych krajów – Irlandii i Grecji. Oba kraje, przyjazne i partnerskie, ale prawo konkurencji działa: oni atakują eksportem nasz rynek, a my ich rynki, też tą samą bronią, czyli eksportem, w tym rolno-spożywczym, którego politycznie np. Rosjanie nie lubią.



To, co nas i naszych eksporterów interesuje i powinno interesować, to tendencje zmian w dynamice i strukturze wzrostu gospodarczego i popytu wewnętrznego, oprócz kondycji finansowej partnerów. Bo te makroczynniki wpływają i decydują o naszych możliwościach współpracy z nimi. Pod tym względem oceny są różne. W lepszej kondycji jest gospodarka irlandzka niż grecka, choć obie są unijne, gdzie warunki do rozwoju są podobne, a miejscami identyczne pod względem uregulowań prawno-systemowych.

Irlandia jest na fali wzrostu, bo w roku 2014 jej PKB wzrósł o 4,8% w stosunku do roku 2013, co plasuje ją na liście liderów wśród wszystkich krajów UE. Grecki PKB wzrósł w tymże roku tylko o 0,8%, ale jest to wynik dodatni, osiągnięty po raz pierwszy od sześciu lat. To sygnał, że zastopowana została recesja w tym kraju.

Oba wymienione kraje są partnerami ważnymi dla nas, choć nie są zaliczane ani do strategicznych, ani do priorytetowych. To zresztą widać po danych statystycznych choćby za styczeń obecnego roku. Eksport nasz do tych krajów jest relatywnie niewielki. W handlu z Irlandią mamy ujemne saldo obrotów, a z Grecją – dodatnie. Ale na tym dość ogólnym tle, warto dodać nieco informacji bardziej konkretnych i szczegółowych, może niekompletnych, ale najświeższych, otrzymanych z obu naszych placówek.

Zawężając pole widzenia do handlu zagranicznego, a to ono jest ponoć zwierciadłem całej gospodarki – wynika zeń, że w irlandzkim eksporcie Polska zajmuje 12 pozycję, a w całości irlandzkiego importu – 16 miejsce. Jeszcze słabsze pozycje kraj nasz zajmuje w obrotach greckiego handlu zagranicznego, bo 21 miejsce w imporcie i 22 miejsce w eksporcie Grecji.

A czym z tymi krajami handlujemy? Eksportujemy do Irlandii głównie wyroby przemysłowe, w tym kotły i urządzenia mechaniczne, pojazdy nieszynowe, ma-

szyny i urządzenia elektryczne, kable, meble nawozy mineralne i inne. A importujemy – produkty farmaceutyczne, maszyny i urządzenia elektryczne, preparaty kosmetyczne, chemikalia organiczne, kotły i urządzenia mechaniczne, przyrządy optyczne i medyczne i inne. Na dwie grupy towarowe, tj. na wyroby przemysłu chemicznego i elektromaszynowego przypada aż 81% całości importu z tego kraju. O strukturze towarowej obrotów nie mam aktualnych danych, choć jest ona też różnorodna. A jak wygląda handel wyrobami rolnospożywczymi z tymi krajami? Bo to teraz u nas temat na topie. Więc bardziej szczegółowo, bo walczymy o zwiększenie zbytu na wszystkich rynkach zagranicznych, po politycznym embargu rosyjskim. Eksport na rynek irlandzki obejmuje głównie mięso i podroby jadalne, przetwory z mięsa i ryb i inne przetwory spożywcze, produkty mleczarskie, napoje alkoholowe i bezalkoholowe i przetwory z warzyw i owoców. Z Irlandii też importujemy produkty mleczarskie, mięso i podroby jadalne i przetwory spożywcze, produkty pochodzenia zwierzęcego i oczywiście – ryby.

Bardzo dobrym, chłonnym i perspektywicznym rynkiem zbytu dla dostaw polskich towarów rolnospożywczych był, jest i będzie rynek grecki. Tutaj naturalnym stymulatorem popytu jest turystyka. To ona i zdrowa polska żywność są walorem i gwarantem zdrowia i optymizmu. Nic więc dziwnego, że na tym rynku jesteśmy stale obecni i aktywni. Nasza oferta ekspor-

towa jest bogata i atrakcyjna – i obejmuje:

- nabiał, sery, makarony i dania gotowe;
- dżemy, miód, lody, cukierki, słodycze i orzechy;
- świeże warzywa i owoce, mrożonki i warzywa mrożone;
- mięso, owoce morza i ryby;
- półprodukty dla przemysłu piekarniczego i cukierniczego;
- przechowywanie produktów;
- sprzęt do produkcji i pakowania;
- detergenty przemysłowe;
- napoje: kawa, woda, soki, napoje alkoholowe, wino i piwo.

Zatem, oferta jest wszechstronna i bogata, kompleksowa.

To, co napawa nadzieją na poprawę sytuacji, to dość duża aktywność naszych producentów i eksporterów oraz struktur informacyjno-promocyjnych, w tym Wydziałów Promocji Handlu i Inwestycji. W tym przypadku – w Atenach i w Dublinie. Rośnie też aktywność krajowych władz samorządowych, a wraz z nią – międzynarodowa współpraca międzyregionalna. Najświeższym tego przykładem jest podpisanie 13 marca br. umowy partnerskiej o współpracy między województwem lubuskim a regionem Krety. A to, jak stwierdził gubernator Krety, świadczy o tym, że „*tak się rodzi nowa, dynamiczna Europa*”.

Region konstruktywnych działań i zamierzeń

Takich regionów jest w skali kraju więcej, ale tym razem chodzi o Warmię i Mazury. A była znakomita okazja, by się o tym dowiedzieć i przekonać w czasie konferencji „*Produkt z Warmii i Mazur*”, zorganizowanej przez Urząd Marszałkowski tegoż województwa 21 maja br. w Domu Dziennikarza w Warszawie. Prezentacji tematu: rzeczowo, konkretnie i kompetentnie dokonali: wicemarszałek Wioletta ŚLĄSKA-ZYŚK, zastępca dyrektora Departamentu Polityki Jakości Stanisław HARAJDA i inni. Wśród innych, ale znaczących, była grupa pracowników naukowych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego z Olsztyna. Było więc połączenie praktyki z nauką.

Nie było nikogo z „Gazety Olsztyńskiej”, a szkoda! Była natomiast trójka dziennikarzy z mediów ukraińskich, białoruskich i rosyjskich, żadnego zaś z mediów unijnych. Też szkoda! Bo kto ma promować ten region w świecie zamożnych? A jest co promować!

W skali kraju jest to region znany, tyle, że raczej od strony walorów turystyczno-rekreacyjnych niż potencjału gospodarczego i aktywności w innych dziedzi-



nach. Poza granicami kraju – podobnie. Żeby tę lukę wypełnić wiedzą i faktami – zorganizowano tę konferencję. I to udaną i pożyteczną. W dobrym okresie, bo przed letnim sezonem turystycznym.

Z nieukrywanym zainteresowaniem wysłuchałem, wraz z blisko setką uczestników spotkania, wszystkich wystąpień i zawartych w nich informacji.

Dla przypomnienia tylko – województwo warmińsko-mazurskie jest czwartym co do wielkości regionem Polski o powierzchni 24 tys. km². Składa się ze 116 gmin i 19 powiatów. Stolicą regionu jest Olsztyn liczący ponad 170 tys. mieszkańców. Inne większe miasta, to Elbląg (130 tys. mieszkańców) i Ełk (60 tys.). 30% powierzchni województwa zajmują lasy, 46,3% – użytki rolne i 6% – wody. Ludność województwa liczy ponad 1,4 mln osób. Nie ma więc obaw o przeludnienie.

Osią merytoryczną spotkania, w mojej ocenie, były sprawy gospodarcze. Bo to ona – gospodarka jest podstawą bytu i rozwoju społeczno-gospodarczego regionu. Była więc mowa o jednej ze sztandarowych jej dziedzin, czyli o turystyce. A równocześnie o produkcji materialnej, o handlu i usługach, o rolnictwie, rzemiośle, trochę o transporcie i o rynku pracy. Sporo uwagi poświęcono też wydarzeniom kulturalnym. O stanie istniejącym i o kierunkach i perspektywach rozwoju. Podawano konkretne przykłady skutecznych działań firm i podmiotów gospodarczych. Tylko dla ilustracji podano, że na terenie województwa funkcjonuje około 110 tys. objętych rejestrem systemu REGON podmiotów gospodarczych. Dominuje aż w 94% sektor prywatny, a jego udział w produkcji sprzedanej sięga 86%. Pod względem wartości produkcji region zajmuje 11 miejsce na 16 województw. W całokształcie podjętej tematyki dominowały sprawy wewnętrzne regionu. Brakowało mi szerszego spojrzenia na świat, czyli możliwości współpracy z zagranicą, w tym eksportu.

Dobrze, że podkreślano potrzebę aktywności na rzecz wysokiej konkurencyjności, z akcentem na wysoką jakość i nowoczesność produkcji i usług, bo możliwości rywalizacji niskimi cenami i kosztami są na wyczerpaniu i nie mają przyszłości. Z tej oferty warto skorzystać! Można ją, a nawet trzeba jak najszerzej upowszechnić za pośrednictwem polskich placówek dyplomatyczno-konsularnych, w tym ich służb ekonomiczno-handlowych. Za pośrednictwem prasy polonijnej – także, którą warto zauważać i doceniać informacyjnie i promocyjnie. Dobrze, że do udziału w konferencji zaproszone zostało Stowarzyszenie Eksporterów Polskich, które jest od lat sojusznikiem i orędownikiem tego typu regionalnych inicjatyw informacyjno-promocyjnych. I jest nim i będzie w tym przypadku.

Atrakcyjnym urozmaicheniem była wystawa certyfikowanych produktów, usług i wydarzeń oraz poczęstunek przygotowany przez restaurację wyróżnioną marką regionalną „*Produkt Warmia i Mazury*”, będącą członkiem Sieci Dziedzictwa Kulinarного Warmia, Mazury, Powiśle.

Licho nie śpi

Licho – to według odwiecznych wierzeń – zły duch, diabeł, coś złego. To niepowodzenie, nieszczęście i bieda. A nawet – nieproszony gość, jak w powiedzeniu: „*lichu go tu przyniosło*”. I tak jest do dziś. Licho, to zło wędrujące, które jest wszędzie, u nas, na Ukrainie i w każdej dziedzinie. Ostatnio dotarło nawet do Tunezji, dotykając z marszu i niespodziewanie turystów zagranicznych, w tym z Polski. To nowa odmiana – lichu terrorystyczne, antyturystyczne. Jego podłożem jest fanatyczna skrajność religijna.

Czy na lichu nie ma mocnych? Są – i to kilku „mocarzy”. Najważniejszym i najsukuteczniejszym jest przeznaczone postępowanie i działanie. Jego nieodzownym warunkiem jest umiejętność i skuteczność przeciwdziałania ryzykom. Przeczność, to nic innego jak prze-

widywanie skutków działań dzisiejszych i w przyszłości, dla tejże przyszłości.

Ryzyko, to zdolność spotkania się z wszechobecnym lichem, czyli ze złem, ale z przemyślanym sposobem obrony i przeciwdziałania, nie dając się zaskoczyć jego negatywnym skutkom. Nie przestrzegając tych dwóch zasad – wpadamy w pułapkę mniej lub bardziej groźną. Nie wpadajmy w pułapkę powiedzenia, że „*Polak mądry po szkodzie*”.

Przykładów wpadek jest sporo. Podać można choćby ten, biznesowy. Chodzi o handel z Rosją, a ściślej o eksport na ten rynek. Mało kto – a wygląda, że nikt – nie przewidział rosyjskiego embarga i innych zakazów dotyczących naszego eksportu mięsa i wyrobów żywnościowych na ten rynek. Unia Europejska – także. Nieprzewidywalna decyzja polityczna jednego polityka i jego dworu zaskoczyła wszystkich. A dotknęła od 30 do 50% drobnych producentów i eksporterów polskiej żywności. Daliśmy się uzależnić nadmiernie od jednego rynku. Podobne uzależnienie ma miejsce w przypadku importu rosyjskiego gazu i ropy. Więc nawet, jak jest dobrze, trzeba przewidywać wariant negatywny. Bo inaczej mamy to, co mamy.

A na zakończenie myśl i przesłanie bardziej ogólne, acz i w tym przypadku – użyteczne. Wiedzę trzeba i możemy zdobywać od innych, ale mądrości musimy nauczyć się sami! I tego się trzymajmy!



Reinkarnacja vel Rewitalizacja

To nic innego, jak przejście starego ducha w nowe ciało. A mówiąc konkretniej – stosowanie starych idei i praktyk w nowych realiach. Może to zakrawać na paradoks, ale tak to jest. Pełna rewitalizacja! I to nie w Rosji, a u nas, na naszym podwórku...

– Był socjalizm, a jest kapitalizm. Z pozoru dwa przeciwstawne systemy. A jednak podobieństw – bez liku. Zwłaszcza w obszarze polityki. Dla przykładu tylko...

– Ongiś tylko jedna partia była siłą przewodnią narodu. Dziś choć partii jest wiele – każda uważa, że to ona jest tą jedyną siłą. Nic dodać, nic ująć!

– Dawniej była jedna słuszna racja. Teraz, choć demokracja, dla każdej partii – słuszna tylko jego racja.

– Był też kult jednostki. Teraz jest prezes albo przewodniczący czy szef partii. Co powie, to święte i niepodważalne. Bez mru, mru... Bo inaczej jest traktowany jak dzik w szkodzie na Podlasiu. Nawet do odstrzału.

– Przestrzegano dawniej: roli partii – nie podważaj, Sybir czeka, więc uważaj! Dziś przestroga podobna, tyle że nie pod groźbą deportacji na Syberię, a pozbawienia mandatu i utraty diety. A nic tak nie boli, jak pusta kieszeń.

– Dawniej była dyktatura. Dziś dyktuje w partiach – „góra”!

– Kiedyś na tych, co rządili, nieoficjalnie mówiono, że „baran – zawsze wyżej”. Dziś – podobnie, a nawet śmieiej, bo niekiedy oficjalnie, w tym z ław Sejmu.

– Naczelnym hasłem minionego czasu była przepowiednia, że jutro będzie lepiej! A czym się to skończyło – wiemy. Teraz, a w kampanii wyborczej nade wszystko – autentycznie. Po prostu – plagiat! Ale nie tracmy nadziei...

– Podobnie, jak dawniej, tak i dziś prawdziwe jest stwierdzenie, że kto chce pożyć w dobrobycie, musi być na władzy „szczycie”. Kolejka na szczyty nie maleje!

– Argumentem na wszystko – były zawsze mowy. I dawniej, i dzisiaj z niczego, czyli... z głowy. Ale niektórzy czytają z kartek, a wtedy głowy są zbędne, nawet jak są. Na ogół kto inny pisze, a mądrzejszy – czyta.

– Nieodłącznym elementem naszego życia i bycia była i jest biurokracja. A w niej – zasada: pracy w biurze się nie lękaj, mało rób, a dużo stękaj!

– Nie ma też różnic z prominentami. Co wybory – wciąż ci sami!

Od Redakcji

8 maja 2015 roku o godzinie 10.00
Pan **Mikołaj ONISZCZUK** ukończył 75 lat.

Z tej okazji Redakcja „Krynicy” w imieniu Czytelników i własnym składa Szanownemu JUBILATOWI i naszemu niezawodnemu, wieloletniemu AUTOROWI najserdeczniejsze życzenia zdrowia, częstych odwiedzin Weny i wielu, wielu powodów do radości.

A sobie życzymy... lektury jeszcze wielu, wielu znakomitych tekstów naszego Drogiego JUBILATA.

600. ROCZNICA URODZIN JANA DŁUGOSZA

Mąż zacny i uczony

W roku bieżącym Polska obchodzi 600. rocznicę urodzin jednego z największych swoich synów – Jana Długosza. Wywodził się ten zacny i uczony mąż z rodziny szlacheckiej herbu Wieniawa, od najdawniejszych czasów zasiedziały w Ziemi Sieradzkiej. Miejscem jego przyjścia na świat były dobra dziedziczne Brzeźnica. Rodzina do biednych nie należała, lecz dzieciństwa „sielskiego i anielskiego” zdolny chłopczyk raczej nie miał. Serdeczna i łagodna matka umarła bowiem bardzo wcześnie i pograżyła syna w nieutulonym żalu na długie lata. Tym bardziej, że ojciec po jakimś czasie zawarł powtórny związek małżeński, a wprowadzona do domu macocha czterech małych pasierbów nadmierną miłością nie darzyła, ani troską nie otaczała.

Ojciec, co prawda, nie był człkiem ani złym, ani głupim. Dzielnym i zapobiegliwym szlachcic, właściciel kilku wsi, w 1410 roku wyróżnił się chwałebnie w bitwie pod Grunwaldem; pokonał mianowicie w pojedynku sławnego rycerza Szumborka oraz własnoręcznie pojmał komtura krzyżackiego Markwarda, czym zaszkodził sobie przychylności i wdzięczności wielkiego księcia litewskiego Witolda. Otoczony tedy aureolą sławnego woja i patrioty powrócił do rodzinnych pieleszy, osiadł na roli i – jak przystało na karmazyna – poświęcił się zarządzaniu dobrami ziemskimi. Synów – a miał ich prócz najstarszego Jana, o którym tu mowa, jeszcze trzech – też Janów (!) wychował w duchu staropolskim, to jest katolickim i patriotycznym. Dwaj z nich poświęcili się rzemiosłu rycerskiemu, najmłodszy zaś, podobnie jak najstarszy, przywdział szaty kapłańskie i przez kilka dziesięcioleci wiernie sławnemu bratu asystował, wspierał w niełatwych chwilach, dzielił z nim trudy, radości i zmartwienia działalności publicznej w służbie Ojczyźnie.

Roku Pańskiego 1421 Długoszowie przenieśli się do małopolskiego Nowego Korczyna, w którym ojciec objął urząd starosty. W tym mieście, w tutejszym zamku piastowskim regularnie, po kilka razy w ciągu roku zatrzymywał się król Władysław Jagiełło w trakcie swych tradycyjnych podróży „inspekcyjnych” po kraju, aby wypocząć i posłuchać nocnego śpiewu słowików, co, jak wiadomo, stanowiło ulubioną rozrywkę tego monarchy. Objęcie tedy urzędu starosty tak ważnego miasta stanowiło niewątpliwie zaszczyt i wyraz zaufania władz do Jana Długosza seniora. Tutaj też, w

Nowym Korczynie, sześciolatek Jan Długosz – przyszły nasz historyk, pisarz i polityk – rozpoczął pobieranie nauk w szkole parafialnej. Już w tym wczesnym okresie wykazał prawdziwie męski charakter, upór i konsekwencję w realizacji raz obranego celu. A zostać chciał uczonym. Powyrzucał nawet zabawki do stawu, aby mu nie przeszkadzały w nauce. Wstawał przed wschodem słońca, zasiadał do książek, a potem biegł do szkoły.

Wieczorem ponoć, po owocnym spędzeniu dnia pracowitego, miał zwyczaj – po modlitwie wieczornej – rozważać nad tym, jak mu ten kolejny dzień minął, co w nim uczynił dobrego, a co złego i niewłaściwego. Rozczytany już w dzieciństwie w autorach greckich i rzymskich, uległ ich przemożnemu wpływowi etycznemu oraz intelektualnemu, co nie mogło się nie odbić na jego stylu postępowania. To przecież właśnie jeden z wielkich myślicieli helleńskich – Pitagoras w VI wieku przed narodzeniem Chrystusa w swej słynnej „*Carmen aureum*” („Złotej pieśni”) radził młodemu człowiekowi:

„Przede wszystkim czcij Boga... Szanuj rodziców i najbliższych swych krewnych, wybieraj na przyjaciół tych, którzy są cnotami najznakomitsi. Słuchaj ich głosu, kiedy ci radzą życzliwie lub wyświadczać ci dobre przysługi... Nad tym zaś staraj się zapanować: przede wszystkim nad żołądkiem i snem, następnie nad rozkoszą i gniewem... Niech sen nie spocznie na twoich zmęczonych powiekach, zanim nie przejdiesz w myślach poszczególnych uczynków dnia minionego. W czym źle postąpiłem? Co wykonałem, a co opuściłem spośród mych powinności? I tak od początku do końca badaj kolejno wszystkie uczynki i złych żałuj, a z dobrych się raduj. W tych rzeczach musisz usilnie się ćwiczyć, o tych rozmyślać, te musisz pokochać. One zaś cię utwierdzą na drodze do boskiej cnoty”...

Mając lat zaledwie trzynaście niezwykle uzdolniony chłopiec rozpoczął studia w Akademii Krakowskiej. Przez osiem semestrów był słuchaczem wydziału sztuk wyzwolonych, lecz z jakichś powodów do egzaminu końcowego nie przystąpił. Poziom jego wiedzy i mądrości był wszelako tak wysoki i ewidentny, że biskup krakowski, a następnie kardynał Zbigniew Oleśnicki zaangażował do pracy tego 17-letniego młodziana jako swego najbliższego pomocnika, powiernika i admi-

nistratora dóbr biskupich – i to na okres ponad dwudziestu lat. W tym okresie Jan Długosz zmanifestował niezwykle zmysł organizacyjny (odziedziczony zapewne po ojcu), znakomite uzdolnienia polityczne, bawił bowiem niejednokrotnie w charakterze dyplomaty poza granicami Królestwa Polskiego. Działalność zawsze poważnie i rozważnie, odpowiedzialnie i mądrze, niezmiennie mając na celu dobro Państwa, a nie własne korzyści. Ta Długoszowa tradycja wierności i nieprzekupności osób piastujących urzędy państwowe przetrwała jeszcze grubo ponad stulecie po jego zgonie, a potem urwała się i niemal każde państwo europejskie miało w Warszawie swoje „polityczne ładacznice”, które frymarczyły interesami narodowymi i wiodły powoli kraj ku zgubie. Długosz uważał, że w polityce dobre jest tylko to, co służy Polsce. Bawiąc na Litwie poskramiał m.in. porywanie się panów litewskich na Moskwę; uważał, iż Słowianie powinni unikać konfliktów, a tym bardziej wojen między sobą.

Historycy podkreślają jego zasadniczą i bezkompromisową postawę: gdy uważał, że coś jest sprzeczne z polską racją stanu – nie ustępował nawet królowi. I... naraził się. W pewnym momencie król Kazimierz Jagiellończyk kazał go aresztować, skonfiskować dom i cały dobytek. Choć wypuszczono pana Jana na wolność, to i tak musiał przez kilka lat tułać się po cudzych kątach. Dobrze, że miał kilku odważnych przyjaciół, bo w nieszczęściu większość tchórzliwie odwróciła się od niego, udając, że go nie zna i nie odpowiadając nawet na pozdrowienie podczas przypadkowego spotkania na ulicy.

Mając 21 lat Długosz przyjął święcenia kapłańskie, lecz nadal pozostał na służbie przede wszystkim Państwa Polskiego.

Pod względem zarówno psychicznym, jak i fizycznym był typowym reprezentantem rasy staropolskiej. Jeden z biografów odnotował:

„Wzrostu był między średnim a wysokim, ciała i członków szczupłych, nosa długiego i w niższej części nieco zakrzywionego, oczu ożywionych, lecz wściebskich, nieco złodziejskich, mowy i wystąpienia nieco zająkliwego. Tę ulomność wyrównywał pilnością i gorliwością”...

W latach trzydziestych XX wieku przeprowadzono badania antropologiczne szczątków doczesnych Jana Długosza, które potwierdziły powyższe słowa średniowiecznego autora. Reprezentował on rzeczywiście tzw. typ wielkopolski, nordyczny; był dość wysoki, szczupły i prawdopodobnie nader sprawny fizycznie; miał jasne włosy i niebieskie oczy. Posiadał takie cechy charakteru, jak odwaga i niezależność, pracowitość i nieustępliwość, szczerość i uczciwość, zapobiegliwość, umiarko-



Jan Długosz

wanie i poczucie godności osobistej. Potwierdzają to słowa anonimowego biografy:

„O sprawy domowe miał najtroskliwsze staranie... Nigdy nie zyskiwał zachwyty elegancją szat, lecz zadowolony umiarkowanym odzieniem dbał o potrzeby, a nie o chęć się. Był w tym zamiysł szlachetności, chociaż gmin, który podąża za marnotrawstwem, czasem nazywał go skąpym, a niekiedy nawet chciwym. Wypowiadał się na tyle swobodnie, żeby być publicznie znienawidzonym, i bez miary piętnował obyczaje i błędzenie naszego wieku... Nigdy, czy to ze strachu czy jakimś innym sposobem, nie mógł się zmusić, aby zamilczeć to, co wypowiedzieć otwarcie postanowił, albo wyjawić, co zataić postanowił”...

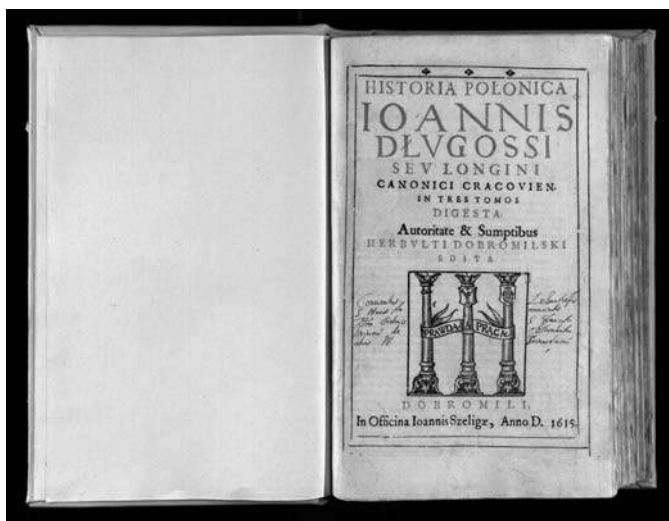
W swych kazaniach i dziełach spisanych częstokroć poddawał ostrej krytyce stosunki społeczne i wady współczesnych mu ludzi.

Pisał po łacinie, nie po polsku. Do najbardziej znanych jego dzieł należą: *„Życie św. Stanisława”*, *„Życie św. Kingi”*, *„Herby rycerstwa polskiego”* (*„Clenodia nobilitatis Polonorum”*) oraz wielkopomna *„Historia Polonica”*, czyli *„Dzieje Polski”*.

To ostatnie wielkie, wielotomowe dzieło, nie mające sobie równych w ówczesnej Europie, szczegółowo opisywało dzieje ojczyste: od legendarnych początków aż do roku 1480, w którym zacny autor pracowitego żywota dokonał. Można twierdzić, że Jan Długosz wzorował swe *opus* na pisarstwie historyków rzymskich, przede wszystkim Tytusa Liwiusza, a więc było to dziejopisarstwo nie tylko deskrypcyjne, opisujące fakty, lecz też filozoficzne, dociekające głębszego sensu, w tym moralnego, politycznego i eschatologicznego, w dziejach ludzkości i narodu. Czasem dawał się ponosić nadmiernym uczuciom patriotycznym lub religijnym; jak ognia piekielnego unikał jednak nienawiści narodowej do kogokolwiek oraz fanatyzmu pseudoreligijnego, tak bardzo zaciemniających obraz świata.

Nigdy nie usiłował przypodobać się świeckim czy duchownym potęgom tego świata. Jak na prawdziwego uczonego przystało, poszukiwał prawdy i ją ogłaszał, takie bowiem jest powołanie nauki. Każdej, w tym historycznej. Aby osiągnąć bardziej obiektywny obraz zdarzeń, korzystał nasz kronikarz z mnóstwa wcześniejszych zapisów i kronik polskich, czeskich, niemieckich, ruskich, węgierskich – dziś przeważnie bezpowrotnie utraconych. Uwzględniał też różne punkty widzenia, aby osiągnąć dla siebie interpretacje najbardziej obiektywne. Nic tedy dziwnego, że często dosięgł korzenia zdarzeń i potrafił podać ich do dziś – po tylu stuleciach (!) – trafną wykładnię.

Jan Długosz nieraz, i to na dłuższy okres czasu, przybywał do Wielkiego Księstwa Litewskiego, bawił m.in. w Wilnie i Miednikach. W „*Rocznikach*” przytoczył dokładny opis geograficzny kraju. „*Tak Litwini*



„Historia Polonica”, tom 1, wydrukowany w Dobromilu, w oficynie Jana Szelię, w 1615. Zbiory specjalne Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie

zaś, – pisał – *jak i Żmudzini, zamieszkują w krainie mroźnej, po największej części ku północy zwróconej*”. Zauważył, że na rozległym obszarze WKL ścierają się ze sobą dwa czynniki klimatyczne: kontynent i ocean, co powoduje gwałtowne wahania temperatury bardzo szkodliwe dla wegetacji roślin. Zaznaczał więc Długosz, jako autor pierwszego obszernego i dokładnego opisu warunków klimatycznych Litwy, że jej mieszkańcy „*nieraz zmuszeni bywają zboża niedostałe w ciepłe osuszać*”, co istotnie utrudnia prowadzenie gospodarstw rolnych.

Był nasz historyk zwolennikiem hipotezy o rzymskim pochodzeniu narodu litewskiego. „*Mowa Litwinów* – przekonywał – *jest łacińska, z małymi tylko odmianami*”. Wiele pięknych zdań poświęcił wielkiemu księciu Witoldowi, władcy naprawdę wybitnemu, mądrymu i odważnemu, o którym zresztą wiele dobrego słyszał w dzieciństwie od swego ojca. Napisze tedy w „*Dziejach*”:

„*Za naszego wieku utrzymuje się między ludźmi takie zdanie, że z Witoldem żaden współczesny mu książę równać się nie mógł wspaniałością umysłu i dokładnością w sprawach... I jest rzeczą pewną, że wielkość Litwy z nim powstała i z jego śmiercią się skończyła*”...

To ostatnie zdanie jest, być może, nieco przesadzone, gdyż i przed Witoldem i po nim Litwa nieraz dowodziła swego znaczenia – także na polach bitewnych, jak chociażby w 1515 roku gromiąc pod Orszą wojska moskiewskie.

Dotychczas nikt nie zwrócił uwagi na okoliczność, że nasz historyk był też genialnym psychologiem społecznym, niesłychanie wnikliwym obserwatorem społeczeństwa, które go otaczało w połowie XV wieku.

„*Czasy te były, niestety, płodne we wszelakiego rodzaju występki, czy to z przyczyn ich bezkarności, czy skutkiem ustawicznych i długo toczących się wojen, czy wreszcie z dopuszczenia i nielaski Niebios. Mężczyźni trefili włosy i obyczajem niewiast skręcali w sploty. Stroili się w szaty długie, w domu i poza domem, we dniu zarówno jak w nocy, przesadzając się w zniewieściatości z kobietami i na ich wzór zapuszczając kędziory*”...

A więc okazuje się, iż lansowana obecnie „europejskość”, „tolerancja”, „postępowość” i „nowoczesność” wcale nie są tak nową datą, jak się je przedstawia, lecz stanowią zjawisko wcale „noble”, liczące sobie setki, jeśli nie tysiące lat. Choroby istniały zawsze. Grypa, tryper, cukrzyca,



Król Kazimierz Jagiellończyk. Litografia Theodora Mayerhofera

paranoja, debilizm – stanowią schorzenia towarzyszące ludzkości od niepamiętnych czasów.

Dążąc do naprawy i odnowy moralnej narodu polskiego Długosz nie przejmował się opinią o sobie ani szlachty, ani chłopów, ani arystokracji, ani motłochu, ani patrycjatu. We wszystkich stanach piętnował zawiść, chciwość, wszeteczeństwo, pijaństwo, sprzedajność, obłudę i głupotę. Lecz nie po to Wielki Kaznodzieja wytykał ludziom wady, by ich poniżyć, lecz by ich naprawić. I w ten sposób uratować przed zgubą. Jego rozważania nad psychologią etniczną uderzają do dziś swą trafnością i precyzją. Tak, iż można twierdzić, że był nasz uczony protoplastą europejskiej etnopsychologii. Oto co na przykład napisał w „Rocznikach czyli Kronice sławnego Królestwa Polskiego” z lat 1455 – 1480. Napisał tak, jakby patrzył na współczesne pokolenie rodaków:

„Szlachta polska jest pożądliwa sławy, tępów wojennych, chciwa, gardząca niebezpieczeństwem i śmiercią, przyrzeczeń nie dotrzymująca, ciężka dla poddanych i ludzi niższego stanu, w mowie nierozważna, do wydatków ponad stan wzzwyczajona, monarsze swojemu wierna, oddana rolnictwu i hodowli bydła, dla obcych i

gości ludzka i uprzejma, w gościnności rozmiłowana i przodująca w niej nad innymi narodami. Lud wiejski zaś jest skłonny do pijaństwa, kłótni, wyzwisk i zabójstw, i niełatwo znajdziesz inny naród tak skalany rodzinnymi zabójstwami i okaleczeniami. Nie wzdryga się on przed żadną pracą czy ciężarem, na mróz i głód jednako wytrzymały, postępujący w myśl zabobonów i przesądów, na zdobycz również łasy, kierujący się złośliwością, chciwy nowinek, gwałtowny i cudzego łakomy...

Odwagi ani zuchwałości im nie brak, umysły mają przebiegłe i nieufne, ruchy i postawy piękne, górują nad innymi siłą fizyczną, wzrostu są rosłego i wyniosłego, ciała zdrowego, o członkach zręcznych, o barwie włosów mieszanej: jasnej i ciemnej. Powietrze tu dokuczliwe, prądy powietrzne surowe, niebo mroźne, wichry bezlitosne, śniegi długotrwałe, wierzchołki gór stale zamarzające: wszystko to kształtuje naturę i umysły Polaków”.

Nie jest to wizerunek zbyt sympatyczny, ale... prawdziwy.

Był Jan Długosz jednym z wpływowych dyplomatów swego czasu. Odbił misje do Ziemi Świętej i Rzymu, przyjaźnił się z wielkiego formatu intelektualistami i politykami, wśród których był m.in. wybitny humanista Eneaszy Sylwiusz Piccolomini. Wniósł znaczny wkład w dzieło zawarcia w 1466 roku pokoju z Krzyżakami w Toruniu, na mocy którego Polska odzyskiwała Pomorze i brała Zakon pod swoje berło. Cieszył się ze zhołdowania groźnego rywala politycznego i z odzyskania odwiecznych polskich ziem. W roku 1467 zanotował:

„Teraz szczęśliwym mienię i siebie, i swoich społecznych, że oczy nasze oglądają połączenie się krajów ojczystrych w jedną całość; a szczęśliwszym byłbym jeszcze, gdybym doczekał odzyskania za łaską Bożą i zjednoczenia z Polską Śląska, Ziemi Lubuskiej i Słupskiej... Z radością zstępowałbym do grobu i słodszy miałbym w nim odpoczynek”...



Jan Długosz – medal autorstwa W. Głowackiego wybitny w 1880 r. z okazji 400-lecia śmierci historyka w Krakowie



Jan Matejko. „Jan Długosz w swojej pracowni”

Mając lat około pięćdziesięciu cieszył się Długosz powszechnym szacunkiem rodaków. Wyszedł ze zmagających życiowych obronną ręką, był tak sprawiedliwy i uczciwy, iż nawet najjadowitsi zawistnicy musieli się ugryźć w język, zanim powiedzieli o nim coś złego. Co na to król Kazimierz? – Także i on, mimo całej zawziętości swego usposobienia, potrafił w końcu docenić piękny charakter i wielki umysł Długosza. Zamanifestował w stosunku do Długosza tak wielkie zaufanie, że większego okazać już nie mógł: oddał mu na wychowanie wszystkich swych synów! Stało się to wkrótce po wojnie pruskiej, w roku 1467. Wówczas to najstarszy spośród królewiczów – Władysław (w przyszłości król Czech i Węgier) liczył lat blisko dwanaście, drugi – Kazimierz lat dziewięć, trzeci – Jan Olbracht osiem, czwarty – Aleksander zaledwie sześć. Później, gdy starsi bracia sukcesywnie w miarę dorastania powracali na dwór ojca, przybyło do Długosza jeszcze dwóch królewiczów na wychowanie: Zygmunt oraz Fryderyk.

Z zachowanych źródeł pisanych wiadomo, że nauczyciel trzymał swych wychowanków w spartańskim rygorze i w niejako klasztornej skromności. Wszystkich bez wyjątku synów królewskich potrafił wychować na prawdziwych mężczyzn: zdyscyplinowanych, twardych, odpowiedzialnych, uczciwych, myślących. A przy tym nieprzekupnych patriotów, wiernych Ojczyźnie, znających jej chlubne dzieje, kulturę i język. Nie lada był to wyczyn pedagogiczny, zważywszy, iż np. liczni ówcześni książęta i królowie w krajach europejskich wcale nie znali języka swych poddanych, a dbali raczej o interes osobisty lub dynastyczny. Nawiasem mówiąc, wszystkich swych wychowanków Długosz nauczył także perfekcyjnego posługiwania się językiem łacińskim, czyli ówczesną „angielszczyzną”.

Kazimierz Jagiellończyk z wdzięcznością, ale także z podejrzliwością obserwował zabiegi wychowawcze Długosza, lecz gdy próbował do tej sprawy dodać swe przysłowiowe „trzy grosze”, synowie przeciwstawiali się własnemu ojcu i zawzięcie bronili starego nauczyciela, który przecież wcale ich nie rozpieszczał, lecz trzymał w ryzach i dlatego właśnie wychował na mądrych, dzielnych, przyzwoitych ludzi. Później, mając już monarsze korony na czole, mężowie owi z wdzięcznością i rozrzewnieniem rozpamiętywali dni i lata, kiedy to uczono ich, jak być ludźmi i ludzi szanować.

Żaden z wychowanków Długosza nie okazał się tyranem czy okrutnikiem, wszetecznikiem czy wykolejńcem, choć przecież nie od dziś wiadomo, że władza demoralizuje. Co najmniej kilku z nich nie raz ponosił porywczy temperament, a sposobności ku zmanifestowaniu złych skłonności mogli mieć bardzo wiele, jednak żaden z nich nigdy nie przekroczył granic przyzwoitości. Wszyscy dobrze służyli narodowi i Państwu Polskiemu. Młodość, choć sama przemija szybko, to jednak cios jej dłuta jest „wiecznotrwały”



Jan Matejko. „Bitwa pod Grunwaldem”

(że użyjemy słownictwa Zygmunta Krasińskiego).

Udało się więc genialnemu nauczycielowi zaszcześcić królewiczom przekonanie, że człowiek dopiero wówczas jest człowiekiem, gdy jego ukształtowanym umysłem kierują uczucia szlachetne, a wola posłusznie wykonuje to, co nakazują prawe sumienie i rozum. Światli ci monarchowie uważali podobnie jak grecki filozof Kleantes, iż „*najgorszą niewolą dla człowieka jest niewola własnej głupoty*” oraz że im wyższe ktoś zajmuje stanowisko w hierarchii społecznej, tym widoczniejsze stają się dla ogółu jego wady, które więc należy zdecydowanie w sobie zwalczać.

Prócz funkcji świeckich pełnił Jan Długosz także szereg poważnych urzędów w Kościele: był kanonikiem krakowskim, kieleckim, sandomierskim, gnieźnieńskim. Wznosił świątynie, „*bursy w Krakowie dla ubogich studentów dwie ufundował i dochodami opatrzył*”. Pracował z samozaparciem nad znakomitymi dziełami naukowymi, należącymi dziś do złotej skarbnicy kultury narodowej. Tryb życia prowadził surowy i świątobliwy, co go korzystnie wyróżniało spośród kleru ówczesnego, niekiedy wynoszącego się dumnie nad ludzi, nad swoją „*trzódką*”, a nawet oddającego się pijanstwu, zbytkom, chciwości, przepychowi i nieobyczajności. Nie należał do tych, co to publicznie chwalili wodę, a potajemnie spijali wino.

Niedługo przed śmiercią otrzymał książdz Jan nominację na arcybiskupstwo lwowskie. Nie zdążył już jednak urzędu tego objąć. Wszelako dosłownie do ostatnich dni żywota intensywnie pracował. Na trzy dni przed śmiercią poczuł się bardzo źle i nie był już w stanie samodzielnie się poruszać. Zmarł 19 maja 1480 roku.

Pogrzeb Jana Długosza był bardzo uroczysty. W kondukcie żałobnym szli synowie królewscy, duchowni, profesorowie Akademii Krakowskiej, studenci, szlachta, mieszczenie, chłopci. „*Długosz – napisze Adam Mickiewicz – był opłakiwany przez króla, którego postępkom nieraz przyganiał, któremu wielokroć sprzeciwiał się w radzie; nie mniej żałowali go panowie, których samowolę starał się powściągać*”. Szczątki doczesne tego wielkiego męża złożono w kościele św. Stanisława na Skałce, gdzie do niedawna chowano tylko osoby najznakomitsze i najbardziej dla Ojczyzny zasłużone.

Dziś można bez przesady twierdzić, że Jan Długosz był jednym z najwybitniejszych uczonych późnego europejskiego średniowiecza, wielkim mędrcom i nauczycielem narodu, twórcą polskiej historiografii narodowo-patriotycznej. Zaś jego dzieła, mające wartość nieprzemijającą, także po tylu stuleciach czyta się dosłownie z zapartym tchem.

Dr Jan CIECHANOWICZ



Szymon Kobyliński. „Jan Długosz”

Jan Długosz

CYTATY

– *Znajomość [...] historii czynów dokonanych w kraju i poza granicami jest uważana przez ludzi mądrych za rodzicielkę i nauczycielkę życia.*

– *Każdy tyle dłużeń swojej ojczyźnie, na ile go stać przy jego zdolnościach i siłach.*

– *Polacy winni je [chorągwie] strzec i przechowywać jako wieczystą pamiątkę i symbol, w miejsce starych winni tkać nowe, by ze względu na ogromną i nieprawdopodobną walkę i odniesiony w niej triumf istniał dowód tak wielkiego zwycięstwa i by widniały części te same chorągwie, części takie, jak gdyby były te same.*

– *Polkę, którą zastał glinianą, drewnianą i brudną, zostawił murowaną. [O Kazimierzu Wielkim]*

– *Miłość ojczyzny przewyższa zwykle wszelką inną miłość.*

MYCHAJŁO HRUSZEWSKI – TYTAN MYŚLI NARODU UKRAIŃSKIEGO

Mychajło Hruszewski, urodzony 29 września 1866 roku w Chełmie, zmarły 25 listopada 1934 roku, był, jak podają kanadyjskie źródła encyklopedyczne, „*najbardziej dystygowanym historykiem ukraińskim, głównym organizatorem szkolnictwa ukraińskiego, czołowym społecznym i politycznym liderem, publicystą i pisarzem*”. Jego ojciec, Sergiusz, był sławistą i nauczycielem gimnazjum. Pochodził z rodziny szlacheckiej pieczętującej się herbem Korczak i Lubicz, a rozsiedlonej szeroko na ziemiach Polski, Białorusi, Ukrainy i Żmudzi, m.in. (a początkowo przede wszystkim) w powiecie pińskim (Centralne Państwowe Archiwum Historyczne Litwy w Wilnie, f. 391, z. 6, nr 612). Wersji nazwiska „Hruszewski” używali obok „Gruszewski”.

Z materiałów dokumentalnych przechowywanych w zbiorach Narodowego Archiwum Historycznego Białorusi w Mińsku, a dotyczących dziejów tego rodu, dowiadujemy się, że „*familia urodzonych Hruszewskich herbu Korczak od najdawniejszych czasów polskich klejnotem szlachectwa będąc zaszczyconą, wszelkich praw używała, przywilejów i prerogatywy temu stanowi przyzwoite piastując, do dziś dnia trwa. Z pomiędzy owej licznie rozmnożonej rodziny dziś wywodzący się urodzeni Michał, Aleksander, Jan Hruszewscy, bracia między sobą rodzeni, nie zajmując dalekich pokoleń imienia swego, lecz trzymając myśli prawa w dyplomacie pod rokiem 1785 najmiłościwiej szlachcie danego – od dziada procedencją rodu szlacheckiego zaczawszy, aż do siebie doprowadzając, że w pokoleniu pierwszym Antoni Hruszewski spłodził syna Ludwika, że w pokoleniu drugim Ludwik Antonowicz Hruszewski spłodził dziś wywodzących się synów trzech*”... Zgromadzenie Deputatów Szlacheckich Województwa Mińskiego uznało tedy tych braci „*za rodowitą i starożytną szlachtę polską*” (NAHB w Mińsku, f. 319, z. 2, nr 800, s. 30-31).

Z kolei „*Wywód rodziny Gruszewskich czyli Hruszewskich herbu Lubicz*” z 19 lutego 1828 roku, dotyczący drugiej gałęzi tego samego rodu, m.in. zaznaczał: „*Familia ta od dawnych czasów mając swe ziemne posiadłości w Królestwie Polskim i Wielkim Księstwie Litewskim, szczególnie w powiecie pińskim, wszelkiemi temu stanowi właściwymi szczyliła się prerogatywami i znajdowała, jako obywateli i szlachta, w ukrzywdzeniach od możniejszych protekcję i obronę u tronu*”... Tym razem heroldia uznała Macieja, syna Jana a wnuka Ludwika, Hruszewskiego „*za rodowitego i prawdziwego*

szlachcica polskiego”, wpisując jego imię do części pierwszej Ksiąg Szlachty Guberni Mińskiej (NAHB w Mińsku, f. 319, z. 1, nr 147, s. 39-42; f. 319, z. 1, nr 149, s. 10).

Nobilis Stanislaus Hruszewsky, scultetus de Hruszowka, figuruje w 1524 roku w zapisach sądu sanockiego. Jan Hruszewski, starosta niegniewicki, mieszkał niedaleko Nieświeża w roku 1566. W 1616 roku zbuntowani chłopci powiatu nowogródzkiego, przeważnie wyznania prawosławnego, napadli znienacka na biwakujący nieduży oddział wojsk królewskich koło Hłuska i m.in. „*chłopca rotmistrzowskiego przy wozie będącego, Juria Hruszewskiego, szlachcica uczciwego, zabili i ciało, nie jest wiadomo, gdzie zadzieli*”. 8 marca 1631 roku Jan Benedykt Hruszewski, właściciel dóbr Hruszowce, złożył w sądzie brzeskim protestację o oczernianie przeciwko Wawrzyńcowi Worotyńskiemu. (Obszerne dane o tym rodzie w: Jan Ciechanowicz, „*Rody rycerskie Wielkiego Księstwa Litewskiego*”, t. 3. Rzeszów 2001 oraz tegoż autora „*Księga herbowa Białej, Czarnej i Czerwonej Rusi, Inflant, Litwy, Moskwy, Polski, Ukrainy i Żmudzi*”, Siemianowice Śląskie 2014)

Michał Hruszewski należał do licznej grupy wybitnie uzdolnionych osób polskiego pochodzenia, które przyjęły ukraińską opcję narodową i istotnie przyczyniły się do rozwoju i utwierdzenia kultury bratniego narodu słowiańskiego, nieraz zresztą występując nawet przeciwko swej pierwotnej narodowości. „*Hruszewski ce diament ukraińskoho narodu, fundament i patriarch ukraińskiej derżawy*” – pisał profesor Leonid Reszočko, prezydent Międzynarodowej Fundacji im. Michała Hruszewskiego z siedzibą w Kijowie, mającej wydziały w Kanadzie i USA.

W 1917 roku Hruszewski odrodził samą nazwę Ukraina, której wschodnia część przedtem od dawna była zwana „Małorosją”, a zachodnia – Małopolską. Utało się mniemanie, że wyraz „Ukraina” znaczy to samo, co „okraina”, czyli „opole”, „kresy”, otoczka podstawowego kadłuba państwa. Tymczasem nie można wykluczyć, iż ta nazwa to (jak nazwa Iranu) trawestacja wyrazu „Ariana”, owej pradawnej cywilizacji Wielkiego Stepu, Kraju Ariów, Aryjczyków. Murad Adży w książce „*Azjatycka Europa*” (Moskwa 2006) zaznacza: „*Kiedy dokładnie zjawiała się Ukraina, nie zupełnie jest*

jasne, widocznie jak Wielka Bułgaria nad Wołgą, w IV wieku. Także w językach tureckich wyraz «Ukraina» znaczy «skrajny», «kresowy», znajdujący się na obrzeżach państwa Deszt-i-Kipczak, które powstało około 370 roku na skutek bitwy Turków z Alanami. Aż do przyjścia Normanów zachowywała w pierwotnej czystości wiarę w Jedynego Boga Niebieskiego, leżąc w patriarchalnej ciszy Deszt-i-Kipczaku»... Tureccy (tiurkscy) książęta Askold i Dir zostali ponoć podstępnie zwabieni do obozu skandynawskich Waregów i zabici przez żołnierzy Olega (Helga) i Igora (Ingwara). Odtąd Księstwo Kijowskie stało się „ruskim”, to jest szwedzkim. „Rusią” bowiem zwano dawniej w Skandynawii morskie wybrzeże koło Sztokholmu, a „ruskimi” liczne księstwa założone przez Szwedów na terenie obecnej Białorusi, Ukrainy, Rosji. Pierwotnie, przez kilka stuleci „*Rusami* nazywano Skandynawów – Waregów” – pisze Murad Adży i dodaje – „Założyli oni nie tylko Ruś Kijowską. Biała Ruś, Czarna Ruś i inne państwa ruskie – tam również panował język szwedzki na szczytach władzy... Pod wyrazem „Ruś” Skandynawowie mieli na myśli swych współplemieńców ze Szwecji Północnej. Byli to zuchwali, gotowi na wszystko ludzie; ich odwaga nie знаła granic: wspaniali żeglarze, śmiali wojownicy, kontrolujący całą Europę Północną. Ani na lądzie, ani na wodzie nie mieli równych sobie... Wyraz «Ruś» nauka europejska wyprowadza od starowareskiego (staroislandzkiego) «żeglarze», «morskie wilki». Skandynawowie są postrzegani na świecie właśnie jako «żeglarze». Rzeki były ich szlakami, zatoki morskie ich miejscami wypoczynku. Ich pradawne sagi to potwierdzają.

Ostatnie wątpliwości są rozpraszane przez Finów i Estończyków, którzy tradycyjnie nazywają Szwecję jakże współbrzmiającym z wyrazem «Rosja» – «Ruotsi». Jednocześnie swego sąsiada południowego, czyli krainę Słowian, nazywają «Wenia»: kraj Wenedów, czyli Słowian. To jest norma fińskiej i estońskiej leksyki i toponimiki”. Sławizacja imion książąt skandynawskich nastąpiła później: Helga została Olgą, Helg – Olegiem, Ingwar – Igorem, Waldemar – Włodzimierzem; jakieś „ekwiwalenty” znalaziono dla Wermunda, Gunnara, Ingalda i innych Szwedów X wieku.

Jak wiadomo, w niektórych językach słowiańskich funkcjonuje przezwisko „Chochol” jako pogardliwe, ironiczne miano dla Ukraińców, a między tym w językach tureckich (tiurkskich) ten wyraz znaczy „syn nieba”, człowiek wierzący w Boga. Wyraz zaś „Kacap”, jako sarkastyczna nazwa Rosjan w języku polskim i białoruskim, w tłumaczeniu z tureckiego znaczy „koziół brodaty”.



Mychajło Hruszewski

Jeśli idzie o pochodzenie Ukraińców, istnieje kilka rozmaitych koncepcji, z których każda jest po części prawdziwa. Oto np. co pisze wybitny antropolog Jan Czekanowski: „*Najwcześniejszą fazę ekspansji Słowian Wschodnich, wychodzącej niewątpliwie z dorzecza Wisły, stanowiła migracja przodków teraźniejszych Ukraińców, zmierzająca ku południowemu wschodowi. Wyniki antropologiczne wskazują na to, że strefą, w której zachowali w swej nieznacznie tylko zmienionej postaci swój dawny skład antropologiczny, był Wołyń. Początek tej ekspansji przypada przypuszczalnie na początek drugiej połowy pierwszego tysiąclecia p.n.e.. W początkowej swej fazie nie była to ekspansja najeźdźcza, ale raczej ruch osadniczy rolników, sprowadzanych przez Scytów, jako siły roboczej do uprawy ziem ukraińskich, opuszczonych przez Traków. Scytowie płacili bowiem pszenicą za wytwory greckiego rzemiosła artystycznego, tak licznie znajdowane w scytyjskich kurhanach*”...

W ciągu wielu stuleci na terenie Ukrainy nordycko-lechicki typ rasowy uległ zmieszaniu z innymi pierwiastkami, przede wszystkim ze scytyjskim, i obecnie znaczna większość narodu ukraińskiego stanowi mieszkankę krótkogłowego elementu armenoidalnego z la-



Uniwersytet św. Włodzimierza w Kijowie, 1888 r.

ponoidalnym. Pierwiastek nordycko-lechicki zaznaczony jest w stopniu ograniczonym. Natomiast legendarni Polanie (nordycy), którzy mieli założyć Kijów są tymi samymi Polanami, którzy siedzieli nad Wisłą i od imienia których powstało imię Polski.

Po tej dygresji w głąb dziejów wracamy do czasów nam bliższych. Na zjawisko ruszczenia się wielu Polaków kresowych wskazywał m.in. Stanisław Lenczewicz („Polska”, Warszawa 1934, s. 144): „Żywiołowa ekspansja Mazurów w Lubelskie i na Pobuże zaczęła się już przed XIV wiekiem. Później kolonizacja ta stała się planowa, a unia lubelska przyczyniła się do spolszczenia wyższej warstwy społeczeństwa ruskiego. Natomiast unia brzeska wpłynęła odwrotnie, gdyż wielu Polaków rozsiadanych wśród żywiołu ruskiego przyjęło obrządek religijny unicki”. Później ten proces jeszcze bardziej się spotęgował. Mówiąc o wczesnych stosunkach polsko-ukraińskich inny uczony odnotowuje: „Członkowie polskiego plebsu udawali się tu w dużej liczbie, wsiadając w naród ukraiński. Każdy z tych, którzy mieli złego pana, uciekał z własnej sadyby, czyniąc przy tym wszystko, by zatrzeć ślady i kierunek swej ucieczki... Osiągał zaś to

przez staranną i możliwie najszybszą identyfikację siebie z lokalną populacją, nieraz łącznie ze zmianą swego wyznania” (Paweł Jasienica, „An Interrupted Evolution”, in: „Poland in Christian Civilization” London 1985, s. 332). Z kolei Halina Chamarska w książce „Drobna szlachta w Królestwie Polskim (1832 – 1864)” (Warszawa 1974, s. 33) odnotowuje: „Tereny gęsto zasiedlone przez drobną szlachtę, to – jak się na ogół przyjmuje – jej tereny „gniazdowe”, skąd w ubiegłych stuleciach emigrowała na inne, głównie wschodnie ziemie dawnej Rzeczypospolitej, „kolonizując” je. Ślady tego były jeszcze dobrze widoczne w okresie międzywojennym na terenie Pińszczyzny, województw: tarnopolskiego, stanisławowskiego i wołyńskiego, a także na Kijowszczyźnie. Zresztą tereny litewsko – podlaskie były też skolonizowane przez „Mazurów”, tyle, że o wiele dawniej”. Być może dlatego w pewnym okresie swoich dziejów tak bardzo skłaniały się ku Polsce. Wiosną 1569 roku kijowianie postanowili połączyć się z Koroną Polską. Wówczas to Chodkiewicz pisał do Radziwiłła: „Postowie wołyńscy, zasiadłszy z posły kijowskiemi, radzili, aby król jego mość, gdyż już Wołyń przyłączył do Polski, żeby i Kijów zaraz, gdyż nie k Rusi, a k Wołyniowi należy... Y już Wołyńscy podali tego między posły, że Kijów i Brześć im należą,

[...] po Narew y Jasolde, Pińsk, Kobryń też do Wołynia licząc. Y już tak między sobą: że z nami [Litwą] unii mało potrzebują, bo już mają za swe, y owszem, za trudność to sobie poczytują wielką – bronić nas od Moskwy, mówią, niech się tam Litwa wije, wszak mają swój skarb y hetmana... Żmojdź – tę też Prusom oddać chcą” („Archeograficzeskij sbornik dokumentow”, t. 7, s. 38-39). ...Podobną postawę manifestowali też panowie brzescy i podlascy. A 10 lutego 1626 roku hetman zaporoski Mychajło Doroszenko pisał do hetmana koronnego księcia Krzysztofa Radziwiłła: „Oświecone, wielmożne, miłościwe xiążę, panie nasz miłościwy! Po wszystkim wiek swój staraliśmy się o to zawżdy, jako najlepiej służbę Rzeczy Pospolitej odprawować, jakoś za pomocą Bożą a szczęściem jego królewskiej Mości, pana naszego miłościwego, czyniąc powinności dosyć, gardł y krwie przelanie nie litując, na różnych expeditiach stawaliśmy przeciw każdego nieprzyjaciela Koronnego jako się cnotliwemu wojsku godziło...” („Archeograficzeskij sbornik dokumentow”..., t. 7, s. 84).

Podobne do losów ludzi były też dzieje języków słowiańskich tego regionu: ruskiego, ukraińskiego, białoruskiego i polskiego, rozpowszechnionych i używanych na olbrzymim terytorium od Morza Czarnego do Bałtyckiego. Jednak należałoby w tej materii unikać

uproszczeń, roszczeń i urojeń. Jeden z autorów „Tygodnika Polskiego” 4 czerwca 1914 roku pisał: „Język ruski, którego lojalnie używała Rzeczpospolita w województwach wschodnich, był zupełnie różny od dialektów mało- i białoruskich. Nic fałszywszego, jak łączenie w jedno pasmo literatury dawnej, przeważnie cerkiewnej i polemicznej, z literaturą „ukraińską”, zrodzoną w wieku XIX”. Profesor Aleksander Jabłoński w dziele „Historia Rusi Południowej” zaznaczał: „Piśmienny ówczesny język ruski, wpływem polskiego przeziąknięty, różny od obu żywych mów, używanych w obrębie zuniowanej Rzeczypospolitej-małoskiej (ukraińskiej) i białoruskiej, nie posiadał w sobie warunku samorządnego rozwoju”. Niejako więc żywiołowo i naturalnie ustępował pola mowie polskiej, coraz mocniej się ugruntowującej. „Język polski był używany na Rusi nie tylko przez arystokrację, ale był językiem piśmiennym nawet w cerkwi, nawet w Kozaczyźnie, sięgał Rumunii i Krymu”... Język ten utożsamiano tu – mniejsza w tej chwili, czy słusznie – z cywilizacją zachodnią i chętnie go używano w sferze kultury i nauki aż do końca XVIII wieku, do rozbiorów. Następnie zaborcy moskiewscy systematycznie rugowali z użycia publicznego zarówno język polski, jak też białoruski i ukraiński. Przy tym dokuczliwie nekano i rusyfikowano kościoły, szkoły podstawowe, a



Uniwersytet św. Włodzimierza w Kijowie, koniec XIX w.

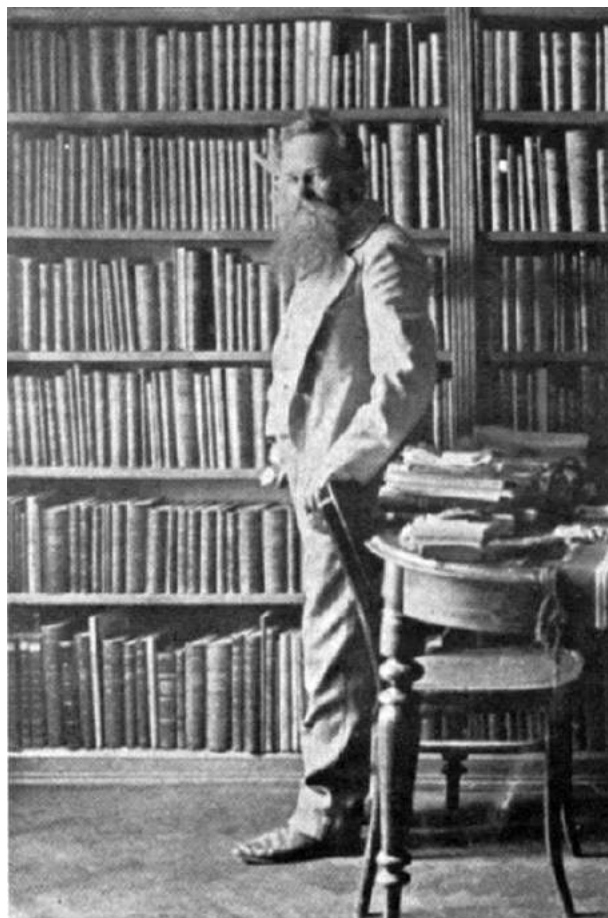
nawet rodziny. „Depolonizacja Ukrainy oznaczała nie tylko banicję języka i kultury polskiej, ale także wpływów religii katolickiej, z którą słusznie łączyli Rosjanie narodowość polską... Rosjanie tak samo jak starali się pozyskać chłopstwo udając, że chronią je przed nieprawościami polskich ziemian, tak samo troszczyli się o rozszerzenie wpływów prawosławia, które jawiło się im jako jeden z najpewniejszych sposobów odzyskania kontroli nad ukraińskimi duszami, kontroli bardziej lub mniej osłabionej od XVI wieku” (Daniel Beauvois). Cerkiew, według jednego z rosyjskich dokumentów urzędowych, była „najsilniejszą i najporęczniejszą bronią w unicestwianiu szkodliwych wpływów [polskich] i utrzymaniu niższych warstw społeczeństwa w należytych postępkach”.



Mychajło Hruszewski. Lwów, 1901 r

Imperializm moskiewski był pod tym względem konsekwentny, niezależnie od tego, w jakie szaty się przebierał. Po rewolucji żydokomunistycznej 1917 roku w zdruzgotanym Imperium Rosyjskim – jak pisze świadek wydarzeń – „historia gotowała dla polskość na Rusi (Ukrainie) doświadczenia cięższe daleko od doświadczeń rebelii Chmielnickiego, okrutniejsze od krwawej rzezi humanśkiej, powszechniejsze od ucisku carskiego...

Cała Ukraina oblała się krwią i zapaliła łunami pożarów... Najwięcej ucierpiało zachodnie Podole, a na Wołyniu powiaty krzemieniecki i starokonstantynowski. Mnóstwo rodzin polskich, stosunkowo zamożnych, bo pracowitych, znalazło się nagle bez dachu... Najbardziej ucierpiała szlachta jednowioskowa, stanowiąca rdzeń i główne oparcie życia polskiego na Rusi. Dwory i majątki Czosnowskich, Minkiewiczów, Skibniewskich, Dwernickich, Giżyckich, Kownackich, Starzyńskich, Gradowskich, Rogulskich, Radłowskich, Żurakowskich, Tołkaczów i wielu, wielu innych ziemian wołyńsko-podolskich, uległy zupełnemu zniszczeniu.



Mychajło Hruszewski w swoim gabinecie. Lwów, 1905 r

W Stawiszczach wśród parku wznosił się pałac hr. Branickiego. Pewnego razu w piękny poranek styczniowy upadła do parku z wrzaskiem i piskiem hatastra... Tłum bezlitośnie poniszczył statue marmurowe i inne dzieła sztuki. Obrazy pocięto i wrzucono do stawu. Porcelana poszła na czerepy. W oranżerii drzewa palmowe padły ofiarą siekier... 350 ton mąki zabranej z młyna chłopci rzucili do wody... Ze wspaniałego majątku Radziwiłłów w Białej Cerkwi prawie nic nie pozostało. Słynna stadnina w Szawrejówce z 400 angielskimi i arabskimi fol-

blutami znikła z powierzchni ziemi. Zrównano z ziemią zakład produkcji nasion w Wielkiej Połowieckiej, który dostarczał Europie rocznie 10 tysięcy cetnarów nasion. Jak daleko wzrok sięgnie, ruiny i ruiny.



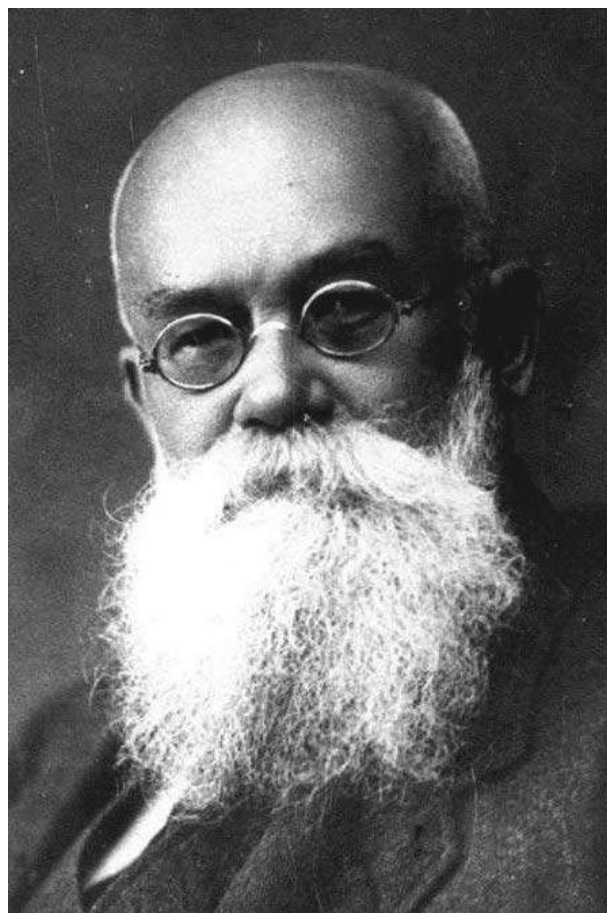
Mychajło Hruszewski. Około 1910 r.

Podole całe jest już tylko ziemią i rozpostartym nad nią niebem. Ani jednego dworu szlacheckiego, ani jednej rezydencji wielkopańskiej, ani jednego zabudowania folwarcznego. Nawet ogrody i parki wycięto w pień. Pożar objął cały kraj. Łuny krwawiły co noc na niebie. A czego ogień nie strawił, to niszczyły nazajutrz ludzkie ręce, w przeświadczeniu, iż kamień na kamieniu nie powinien zostać. Tak padły ofiarą barbarzyństwa chłopsko-żołnierskiego kosztowne pałace wraz z całym ich urządzeniem, cenne zbiory sztuki, biblioteki, inwentarze, zapasy zboża i w ogóle wszystko”... Świadoma i kulturalna część narodu polskiego i ukraińskiego nie różniła się w ocenie tego barbarzyństwa rewolucyjnego, jak zresztą i w ocenie wielu innych spraw.

Ale faktem pozostaje również co innego. Mianowicie stałe i szybkie cofanie się polskości, gwałtowne trącenie jej na atrakcyjności w konfrontacji nie tylko z fizycznym naciskiem Moskwy, ale i w zetknięciu z młodymi, dynamicznymi kulturami Ukraińców, Litwini-

sów, jak i Białorusinów. Polskie stereotypy zachowań, jak m.in. pijaństwo, swarliwość, odrażający amoralizm połączony w jedno z „chodzeniem do kościoła”, głupia pyszałkowatość, prymitywizm intelektualny i ciemnota, małostkowe cwaniactwo i nieuczciwość – już nie tylko nie pociągały ku sobie, lecz wręcz odpychały ludzi pogranicza, w tym wielu rodowitych Polaków. Także zhybrydyzowana inteligencja półpolska (Żydopolacy) od pewnego czasu nie potrafiła, nie mogła i nie chciała nic atrakcyjnego pod względem kulturalnym zaproponować ludziom pogranicza, gdyż niczego takiego nie posiadała.

W maju 1942 roku Jerzy Stempowski wskazywał w jednym z listów na pewne prawidłowości psychologiczne interferencji międzyetnicznej na pograniczu kulturowym (patrz: Adam Zieliński, *„Korespondencja z Jerzym Stempowskim 1941 – 1942. Myśli o problemach polsko-ukraińskich”*. W: *„Zeszyty Historyczne”*, Paryż 1978, t. XLV, s. 8-56): *„W 1936 oglądałem z Piotrem Borkowskim pod Trembowłą stare, katolickie wsie polskie, których mieszkańcy od pewnego czasu zaczęli w domu mówić po ukraińsku. Zjawisko to nie jest nowe. Proces taki odbył się już przedtem na Litwie, gdzie potomkowie*



Mychajło Hruszewski w ostatnich latach życia



Sergiusz i Głafira
Hruszewscy z dziećmi.
Od lewej:
Zachar, Hanna
Fedir i Mychajło.
Stawropol, ok. 1876 r.

Horeszków i Sopliców porzucili częściowo język polski dla litewskiego. W Irlandii, we Flandrii widziano też, jak język o sławniejszych tradycjach ustępował językowi chłopów, rybaków i pasterzy. Wydaje mi się, że zjawisko to nie ma żadnych reguł ogólnych i w każdym wypadku wynika z określonych przyczyn lokalnych. W ciągu ostatnich 10 lat przed wojną spędzałem corocznie parę miesięcy na Wołyniu i w Galicji Wschodniej i miałem sposobność zapoznania się z warunkami, w których język polski zaczął ustępować ukraińskiemu, mimo presji szkolnej i administracyjnej. Główną przyczyną tego zjawiska wydaje mi się być zubożenie wsi polskiej w inteligencję i obniżenie kwalifikacyjne tej ostatniej. Kto ukończył szkoły, zostawał urzędnikiem lub jednym z niezliczonych oficerów Wojska Polskiego. Inteligencja ukraińska pozostawała na wsi i życie wewnętrzne wsi ukraińskiej stało się bardziej bogate i pociągające od życia wsi polskiej. Mieszkając na wsi sam mówiłem więcej po ukraińsku niż po polsku, po prostu dlatego, że rozmowy w tym języku były bardziej interesujące...

Wszyscy wiedzą, że tzw. granica etnograficzna Polski od strony wschodniej jest dość niejasna, pełna enklaw i szachownic, mało kto jednak zdaje sobie sprawę ze stopnia tej płynności. Nie chcę tu oczywiście poruszać tego wszystkiego, co mówi o tym historia (wymagająca zresztą ostrożnej interpretacji) i pomniki, jakie dotąd stoją na tych ziemiach. Same wspomnienia tego, co widziałem na Kresach za mego życia, dają mi już dosyć do myślenia. Pierwszą podróż wzdłuż Kresów Wschodnich, z północy na południe, od Libawy i Kłajpedy przez Kowno, Wilno, Hajnowkę aż do Morza Czarnego odbyłem jako młody chłopak z ojcem moim w 1909, jadąc rzemiennym dyszlem i informując

się wszędzie u licznych znajomych. Później kilka razy jeszcze oglądałem przy różnych okazjach cały ten pas ludności mieszanej między dwoma morzami.



Rodzina Hruszewskich. W centrum – Mychajło. Władykaukaz, 1886 r.



Maria Hruszewska z domu Wojakowska z mężem Mychajłom Hruszewskim w roku zawarcia małżeństwa. Lwów, 1897 r.

W 1909 Kowno było tak polskie, jak za czasów Mickiewicza, i część dzisiejszych nacjonalistów litewskich mówiła w domu po polsku. Wpływy i tradycje polskie sięgały wówczas daleko poza późniejszą granicę ryską. Wpływy tego rodzaju, oparte na samorzutnym promieniowaniu ludności i cywilizacji polskiej, cofnęły się w niespełna 30 lat o kilkaset kilometrów.

Cofanie się to nie osiągnęło jeszcze, być może, swej ostatecznej granicy. W Galicji Wschodniej wystarczy spoj-

rzeć na jakąkolwiek przypadkową listę nazwisk ukraińskich, aby przekonać się, że połowa ich brzmi wcale nie-żle po polsku. Ale wystarczy też wziąć takż listę nazwisk polskich, by zobaczyć, że znaczna część ich może uchodzić w potrzebie za ukraińskie. Tak samo na właściwych Kresach Wschodnich wszyscy Podhorodeccy, Nehrebecy, Medyńscy itd., dawna szlachta ukraińska, mogą jeszcze odbyć wewnętrzną ewolucję i obudzić się któregoś dnia jako Ukraińcy. Przecież nawet sam Dostojewski, fanatycznie nienawidzący Polaków, pochodził ze szlachty wołyńskiej spod Łucka, i gałąź polskich Dostojewskich liczyła nawet senatorów. Zresztą nie takie rzeczy widziano w Irlandii, we Flandrii i krajach bałtyckich. [...]

Żadne tradycje kulturalne i językowe nie giną, nawet najstarsze, a jeżeli która z nich ma wygasnąć, ochotnicy zbiegają się ze wszystkich stron świata, aby ją na nowo zapalić. Jest to sprawą pewnego rodzaju koniunktury kulturalnej, nie pokrywającej się wcale z polityczną. W okresie odrodzenia się państwa polskiego najwybitniejszym poetą rosyjskim był Władysław, syn Felicjana, Chodasiewicz, syn Polaka i matki Polki, urodzony na Kresach i mówiący po polsku z rodzicami. Polska nie ma żadnej granicy etnograficznej powstałej z fatalizmu rasowego. Granica ta jest ze swej istoty płynną, zależną od koniunktury kulturalnej i mogąca ulec jeszcze znacznym wahaniom. Na wahania te nie mają wpływu pilnie strzeżone granice...

Za mojej pamięci jeszcze Niemcy trzęśli dworem petersburskim i zajmowali najwyższe stanowiska w Rosji,



Mychajłom Hruszewski z rodziną. Na zdjęciu stoją (od lewej): Oleksander Hruszewski (brat), Hanna Szamraj (siostra), Mychajłom Hruszewski, Maria Hruszewska (żona). Siedzą (od lewej): Sergij i Olga Szamraj (siostrzeńcy), Kateryna Hruszewska (córka), Głafira Hruszewska (matka). Kijów, ok. 1907 r.

panowali jako pańszczyźniani magnaci w krajach bałtyckich, liczyli 3 miliony osadników w Rosji Europejskiej i niezliczone tysiące lekarzy, aptekarzy, techników i agronomów. Niemiecki uniwersytet w Dorpacie i politechnika w Rydze ściągały m.in. wielu studentów polskich; nawet na uniwersytecie petersburskim można się było doktoryzować z niemieckiej dysertacji, i niemieckie koneksje naszego Tadeusza Zielińskiego pochodzą z jego petersburskiego okresu. Czerniowce były „małym Wiedniem” i miały bardzo dobry niemiecki uniwersytet; Budapeszt otoczony niemieckimi osadami, jak Odessa, był na pół niemiecki. Wiele budapeszteńczyków tam urodzonych nigdy nie umiało po węgiersku; nie mówię już o Pradze z jej Karls-Universität. W każdym szanującym się domu polskim lub rosyjskim była szafa z niemieckimi książkami; znaczna część lekarzy, większość szkolonych rolników Kongresówki była wychowankami niemieckich szkół wyższych; Łódź [Litzmannstadt] była równie niemiecka jak Bielsko (Bielitz).

Co dziś zostało z tej imponującej ekspansji? Chyba tylko niezliczona ilość Schmidtów, Schmidów, Szmitów, Smytów etc., patriotów polskich, węgierskich, rosyjskich, nawet ukraińskich, których nawet sam Hitler nie umie namówić do zapisania się na niemiecką Volkslistę. Byłoby niestudnie przypisywać ten proces klęsce Niemiec w 1918. Również i dla ekspansji niemieckiej w pierwszej połowie XIX wieku nie mamy takiego łatwego objaśnienia. Regresja żywiołu i wpływów niemieckich zaczęła się na długo przed 1914, kiedy Niemcy konsolidując się w państwo narodowe i trawione nacjonalizmem, przestały wytwarzać wartości kulturalne niezbędne do dalszej ekspansji lub nawet do utrzymania uprzednio zajętych pozycji. [...]

Nieraz wydawało mi się, że Kresy Wschodnie odpadną od Polski, pomijając wszystkie inne przyczyny, z braku zainteresowania dla nich samych Polaków. Spotkałem tu kilku cudzoziemców, którzy podróżowali po Polsce. Wszyscy uważali Kresy Wschodnie za najciekawszą część Polski i dziwili się trochę, że w Warszawie nikt nie podzielał tego zdania. Kresy znajdowały się, być może, w przededniu ich odkrycia przez Polaków, jak po powstaniu listopadowym. Niestety, terminarz Polski zawsze odbiega od terminarza europejskiego... Nic dodać, nic ująć.

Powracając do życiorysu Michała Hruszewskiego przypomnijmy, że młodość spędził na Kaukazie, gimnazjum kończył w stolicy Gruzji Tbilisi. 1886 wstąpił na studia na wydział historyczno-filologiczny Cesarskiego Uniwersytetu Kijowskiego św. Włodzimierza. Będąc na ostatnim roku studiów został nagrodzony

złotym medalem uczelni za rozprawę naukową pt. „Istoria kijewskiej ziemi ot śmierci Jarosława do końca XIV w.” (opublikowana 1891). Nawiasem mówiąc, znacznie wcześniej, w wieku zaledwie lat dwudziestu, gdy był jeszcze uczniem gimnazjum, pan Michał opublikował swój pierwszy utwór beletrystyczny.

Jednym z uniwersyteckich nauczycieli Hruszewskiego był profesor W. Antonowicz, a pierwszą publikacją naukową tekst „Jużnorusskije hospodarskije zamki w połowinie XVI w.”, wydrukowany 1890 w periodyku „Kijewskije Uniwersitetskije Izwiestija”. W tymże roku studia zostały pomyślnie ukończone, a rok później ukazała się publikacja „Wołynskij wopros”, następnie, tym razem po ukraińsku, „Hromadskij ruch na Ukraini – Rusi w XIII wici”. Od 1894 roku autor już pełni obowiązki profesora dziejów powszechnych na Uniwersytecie Lwowskim; wówczas też ukazuje się monografia „Barskoje starostwo”.

W 1895 roku Hruszewski założył Komisję Archeograficzną, która pod jego kierownictwem wydała fundamentalne materiały źródłowe w języku ukraińskim „Dżereła do istorii Ukraini-Rusi”, „Pamiatki ukraińskoruskoj mowy i literatury”, „Etnograficznij Zbornik” i in. W 1898 wspólnie z I. Franko i W. Hnatiukiem założył periodyk „Literaturno-Naukowyj Wisnyk”, najważniejsze ukraińskie pismo literacko-polityczne. W tymże roku ukazał się we Lwowie pierwszy tom jego wielopomnego dzieła „Istoria Ukrainy-Rusi”. Do 1937 roku we Lwowie i Kijowie ukazały się dalsze 9 tomów, przedstawiające dzieje Ukrainy do roku 1658.

W 1899 roku profesor Hruszewski postawił na ostrzu noża kwestię dopuszczenia języka ukraińskiego jako jednego z oficjalnych na zjeździe archeologów w Kijowie. Rosjanie i Polacy sprzeciwili się, a wówczas naukowcy ukraińscy na znak protestu opuścili obrady zjazdu; Hruszewski zaś zreagował i opublikował we Lwowie w kolejnych dwu tomach periodyku „Zapiski” Towarzystwa Naukowego imienia Szewczenki ich referaty w języku ukraińskim. (Koniecznie należy w tym miejscu zaznaczyć, że w Rosji carskiej mieszkało 196 różnych narodowości i że była ona prawdziwym „wieloznieniem narodów”, o czym świadczy m.in. okoliczność, iż cesarz Aleksander II 30 maja 1876 roku podpisał ukaz zabraniający Ukraińcom posługiwania się ich językiem ojczystym; odtąd nie wolno było po ukraińsku śpiewać najpiękniejszych na świecie piosenek, nie wolno rozmawiać w miejscach publicznych, w tym w cerkwiach i kościołach, nie wolno było drukować gazet i książek!) W 1904 ukazał się po raz pierwszy w Petersburgu w języku rosyjskim „Oczerk istorii ukraińskogo naroda”, pióra M. Hruszewskiego, wznawiany



Mychajło Hruszewski
wśród studentów.
Połtawa, 1913 r.

następnie wielokrotnie w postaci nieco zmienionej jako „*Ilustrowana historia Ukrainy*”.

W swych publikacjach autor dowodził, że naród ukraiński różni się od rosyjskiego zarówno pod względem pochodzenia, jak też – co wynika z uwarunkowań genetycznych – pod względem obyczajów moralnych, politycznych, gospodarczych, kulturowych, preferencji estetycznych. Nie bacząc na sprzeciw historiografii rosyjskiej, lansującej fałszywy pogląd, jakoby Moskwa była bezpośrednią kontynuatorką i dziedziczką Rusi Kijowskiej, większość historyków ukraińskich (także przed 1929 rokiem, rokiem ludobójstwa na tym narodzie, czyli głodomoru) akceptowała pogląd Hruszewskiego, że rozwój Rusi-Ukrainy stanowi unikalny i osobny wynik dziejów, a Ukraińcy to nie część etnosu rosyjskiego, lecz zupełnie odrębny od Moskwy naród. Uczony odważył się też zdemaskować szereg chwytów zaborczej polityki rosyjskiej, stosowanych w celu dokonywania i umacniania podbojów; zjadliwie wyśmiewał m.in. demagogię o rzekomej „przyjaźni” czy „braterstwie”, którą Moskwa nagminnie maskowała swe imperialistyczne zapędy. Dowiódł niezbicie, że gadanie o domniemanej „przyjaźni” i „pokojoych” intencjach władcy moskiewscy od dawna wykorzystywali w charakterze kamuflażu agresywnej praktyki militarno-politycznej.

Przypomnijmy, że wysłannik Stolicy Apostolskiej od cara Iwana Groźnego, Antonio Possevino, jeszcze w 1581 roku pisał: „*To, co o ciągłej przyjaźni z papieżami, cesarzami i książętami [...] mówili Wasyl, ojciec księcia, i on sam, miało służyć do rozszerzenia granic ich władzy i schizmy oraz do przygotowania sobie broni dla osiągnięcia tych celów. Nie inaczej postępował w poprzednich latach Turek, który podstępnie, na drodze szukania lub ofiarowania chrześcijaństwu przyjaźni, wdarł się do środka Europy*”. Owa „przyjazna” demagogia była niezmiennie stosowana przez Rosję w ciągu kilku stuleci. Jeszcze w 1654 roku car Aleksy Michajłowicz zwracał się do mieszkańców Białej Rusi, Wołynia, Podola i Podgórze, jak też do biskupa lwowskiego Żeleborskiego, z listem uroczystym, w którym twierdził, że idzie oto z dużym wojskiem „*w miasta polskie i litewskie, gdzie będą zebrani naszej wiary chrześcijańskiej prześladowcy*”, aby „*nad nimi sprawiedliwość czynić*” („*Akty odnoszący się do historii Jugo-Zapadnoji Rosji*”, t. 14, s. 199-204). Obiecywał też ułatwienie losu i życia codziennego. I rzeczywiście, w okresie początkowym okupacji nowa władza pozwalała czynić wszystko, co się komu żywnie podobało, byle nikt jej nie przeszkadzał, a biegnący czas czynił najeźdźców „swoimi”. Taka przebiegła polityka poskutkowała i Iwan Zołotarenko zgromadził pod swoimi sztandarami setki tysięcy Ukraińców, szermując właśnie hasłami obrony wiary prawosławnej i „przyjaźni” z Moskwą przeciwko Polakom i Żydom. Gdy w sierpniu 1654 roku przybyło do Bohdana Chmielnickiego poselstwo z Moskwy i urządzono z tego powodu obficie zakrapiane przyjęcie, pijany hetman kozacki wznosił toast (co skrzętnie odnotowano w donosie do władcy moskiewskiego) za zdrowie „*cara naszego Aleksiego Michajłowicza*”, mówiąc m.in.: „*Podaj, Boże, jemu, wielikomu hosudaru naszemu, nieprzyjaciela swojho i wroga Bożoho i prześladowcę wiary chrześcijańskiej, polskiego i litewskiego króla zwyciężyć, i aby Koronę Polską i Wielkie Księstwo Litewskie pod swą hosudarewą*”

wysoką rękę przyprowadził”... A gdy zdrowie cara wypito po wielokroć, kazał hetman „bić po litawram i w truby trubić i iz puszek strzelali”... Wysoką jednak, jeśli nie powiedzieć strasliwą, cenę przyszło już niebawem narodowi Ukrainy zapłacić za naiwność swych elit, dających wiarę syrenim śpiewom Moskwy. Otrzeźwienie oczywiście nastąpiło, lecz o wiele za późno.

Joseph Scholmer w książce *„Die Toten kehren zurück”* (Köln-Berlin 1954, s. 193) odnotuje: „Ukraińcy nienawidzą Rosjan na podstawie liczącej trzysta lat tradycji zniewolenia”.

Broniąc Ukrainy przed obczyzną Michał Hruszewski atakował nie tylko imperialne zakusy Rosji, ale też negował jakiegokolwiek prawa Polaków do dziedzictwa ukraińskiego. W swych polemikach ten rodowity Polak posuwał się często do przejaskrawianego antypolonizmu, nie brzydząc się przeinaczaniem lub przemilczaniem tych czy innych faktów. Czynił zaś to bardzo sprytnie, w sposób przebiegły, tak przyprawiając fałszerstwa prawdą, że dopiero wytrawny znawca dziejów politycznych mógłby w jego tekstach oddzielić przysłowiowe ziarna od plew. „Kłamstwo bowiem nie jest twierdzeniem czegoś nieprawdziwego. Jest ono mową skierowaną na ukrywanie czegoś i wiedzącą o tym, co ona ukrywa. Dlatego zadanie polega na zdemaskowaniu kłamstwa, a dokładniej na zrozumieniu fałszu kłamstwa, odpowiadającego prawdziwym intencjom kłamcy” (Hans Georg Gadamer, *„Semantyka i hermeneutyka”*). Intencją zaś wszystkich wysiłków Hruszewskiego było krzepienie i zagrzewanie serc ukraińskich do wydobywania się za wszelką cenę spod dyktatu polskiego i moskiewskiego.

Nic tedy dziwnego, że antyrosyjskie i antypolskie koncepcje profesora znalazły żywy i powszechny odzew w szerokich kręgach inteligencji ukraińskiej, ale również przyczyniły się do zaognienia stosunków między naszymi narodami. Wydaje się, że przez pewien okres Hruszewski znajdował się pod wpływem antypolonizmu niemieckiego (dokładnie tak, jak teoretyk nacjonalizmu litewskiego Jonas Basanavicius, żonaty z Niemką), antypolonizmu, jak wiadomo, nader wyczelowanego i perfidnego. Jak np. pisał Walter Blachetta w książce *„Prawdziwe oblicze Polski”*, „jeszcze w całym średniowieczu Polska była straszakiem całej Europy” [*„Kinderschreck Europas”*] ze względu na swą agresywną politykę. Tego rodzaju wypowiedzi znajdziemy na kartach dzieł naukowych Michała Hruszewskiego; nie powinna więc dziwić okoliczność, że np. warszawski *„Tygodnik Polski”* 4 czerwca 1914 roku nader krytycznie ocenił poziom naukowy tekstów Hruszewskiego, zarzucając mu „odrażające pierwiastki antypolskie, fałszywe naukowe, zjadliwe kłamstwa i oszczerstwa”. Piórem publicysty Tadeusza Turkowskiego pismo konstatoowało: „Nazywamy po imieniu i barbarzyństwo i niegodziwość. Lud, budzący się do życia kulturalnego, do odrębności dziejowej zasługuje na szacunek, na współzawodnictwo uczciwe i poważne. Ale nieczne metody walki muszą być potępiane wszędzie. Nie wolno nazywać dziełem kultury stosu zadrukowanego papieru... Ruch ukraiński czy matoruski jest z istoty swej szlachetny i poważny. Ale zwróciwszy się na drogę «najmniejszego oporu», na drogę przeciwpolską, został zdeprawowany, skażony fałszem i nienawiścią. Niskie pierwiastki znieprawili życie



Mychajło Hruszewski
w gronie założycieli
Ukraińskiej Akademii
Sztuk Pięknych.
Kijów, 5 grudnia 1917 r.

duchowe młodego szczepu od wyżyn nauki aż do rozłogów życia praktycznego, spaczyły jego kulturę na długie lata. Dla Polaka jest on wstrętny albo niebezpieczny”...

Chcąc czy nie chcąc profesor Hruszewski przyczynił się do tego, że stosunki polsko-ukraińskie w XIX wieku układały się coraz bardziej nieprzyjaźnie, a według interesu imperialistycznego Wiednia i takież Moskwy. Jeśli chodzi o Ukraińców, to „*rząd carski wpajał im przekonanie, że Polska już nie istnieje i że powinni w swoim własnym interesie uznać cara za swego prawowitego pana, skoro Ukraińców i Rosjan łączy ta sama religia...* Nie wszyscy Polacy byli posiadaczami ziemskimi, chociaż wszyscy zaliczali się do szlachty. Chłopi nienawidzili również tych bez skrawka gruntu, ponieważ biedota szlachecka bardzo często pozostawała na służbie u ziemian, pełniąc obowiązki zarządców, ekonomów itd.” (Daniel Beauvois, „*Polacy na Ukrainie*”, s. 32. Paryż 1987). Pociągało to za sobą pewne implikacje społeczno-psychologiczne. Klasa niższa bowiem wszędzie i zawsze skłania się nieustannie do tego, by oskarżać i rysować w czarnej tonacji minione dzieje, albowiem to one właśnie są odpowiedzialne za jej aktualne położenie. A znowu klasa wyższa, zwłaszcza w swym apogeum, skłania się ku dokładnie odwrotnej postawie: z wdzięcznością i szacunkiem spogląda ku przeszłości, z lękiem zaś – ku przyszłości. Dziejopisarz powinien się liczyć z tym perspektywizmem jako z wielkością stałą i wystrzegać się, by jej nie ulec. Profesor Hruszewski, reprezentujący punkt widzenia chłopstwa ukraińskiego, uległ i natychmiast perspektywa jego patrzenia na dzieje ukraińsko-polskie uległa pewnemu „przesunięciu”, odwrotnemu w stosunku do idealizującego przeszłość punktu widzenia polsko-szlacheckiego. Jeśli idzie o psychologię społeczną szerokich rzesz ludności, to warstwy uprzywilejowane mają zawsze skłonność do przeżywania danej sytuacji społecznej jako następstwa pewnego stabilnego, sensownego, teleologicznego, obiektywnego porządku świata. Klasa upośledzona spostrzega aktualną sytuację jako element zmienny, historycznie uwarunkowany, przemijający, względny, taki, o którego zmianę można i należy się starać. Tę postawę reprezentował ukraiński ruch narodowy XIX wieku.

Postawa rzeczywiście obiektywna i naukowa rozpoczyna się jednak dopiero wówczas, gdy się świadomie przewycięży skłonność do klasowo lub narodowo uwarunkowanego myślenia. Hruszewski jednak się nie potrafił z owych uwarunkowań społecznych wyłamać. A wszystko to zmusiło też stronę polską do ewolucji światopoglądowej.

Dawny nostalgiczny i serdeczny stosunek wielu Polaków do Ukrainy zaczął w XIX wieku powoli zanikać. Miało to jednak nie tylko ujemne konsekwencje. Czas już bowiem był najwyższy do porzucenia anachronicznego paternalizmu i dziwacznie pobłażliwego mniemania o swej rzekomej „wyższości kulturalnej”, do zapomnienia o anachronicznej i martwej „idei jagiellońskiej”, do spojrzenia na rzeczywistość rozumnie i realistycznie. „*Nuta idylliczna dominowała w polskim mniemaniu o Ukrainie i najlepiej stwierdzić od razu, że było to źródło najczęściej katastrofalnych stosunków między Ukraińcami i Polakami...* Do dzisiejszego dnia Ukraina stanowi dla Polaków temat drażliwy. Emocje zastępują prawdę. Polska obecność na Ukrainie, która należy już tylko do historii, jest podobna do polskiej obecności na Litwie. Każde jej przypomnienie ukracza w sferę mitu, przywołuje czar utraconego świata, w którym ongiś żyło się tak szczęśliwie. Niektórzy Francuzi podobnie mówią o Algierii [...] i porównanie to nie jest absurdalne” (Daniel Beauvois, „*Polacy na Ukrainie*”).

Jednym z terenów, na którym starły się tendencje polskie z ukraińskimi, stała się Wszechnica Lwowska. W „*Historii nauki polskiej*”, t. IV, cz. I - II, s. 249. Warszawa 1987) czytamy: „*W latach 1888 – 1895 namiestnikiem Galicji był zwolennik porozumienia z Ukraińcami Kazimierz Badeni i za jego kadencji panował w Uniwersytecie spokój. [?!] Z jego inicjatywy na przykład sprowadzono w 1894 roku na katedrę historii powszechnej kijowskiego uczonego Michała Hruszewskiego, organizatora badań nad historią Rusi, promotora całego naukowego ruchu ukraińskiego skupionego w Towarzystwie Naukowym im. Szewczenki, zarazem czołową postać nacjonalistycznego odłamu Ukraińców*”. Był to niewątpliwie charakterystyczny przejaw polskiej „głupoty organicznej”, łudzącej się, że jak się będzie do wroga przymilać, to on zmięknie, a potem można będzie go „oblaskawić” i „udomowić”. Nic z tego! Zamiast przymilać się do Polaków, Hruszewski przystąpił do ukrajinizacji uniwersytetu, szerząc na nim antypolonizm. A przecież od szeregu dziesięcioleci była to uczelnia, rzecz by można, czysto polska; po tym jak w 1856 roku katedrę języka i literatury polskiej – nie bez sprzeciwu Ministerstwa Oświaty Austrii – objął we Lwowie dotychczasowy profesor filologii klasycznej na uniwersytecie w Innsbrucku Antoni Małeck i zaczął prowadzić wykłady w języku polskim, uczelnia błyskawicznie przekształciła się z niemieckiej w polską. Choć przyznać należy, że przyszło mu stoczyć niemało zacieklej starć z wojującym germani-



Mychajło Hruszewski w gronie ukraińskich uczonych i działaczy kultury.
Wiedeń 1923 r.

zатorem uniwersytetu Karolem Rappaportem, żydowskim profesorem filozofii.

Po kilku dziesięcioleciach więc główny front walki o polskość przesunął się w kierunku ukraińskim, m.in. na skutek krótkowzrocznej postawy Kazimierza Badeniego. Stanisław Brzozowski zaznacza: „W 1894 roku utworzono na Uniwersytecie Lwowskim katedrę historii powszechnej z ukraińskim językiem wykładowym, powierając ją wybitnemu uczonemu z Kijowa Michałowi Hruszewskiemu, czołowej postaci ukraińskiego ruchu niepodległościowego, publikującemu wyłącznie po ukraińsku lub niemiecku”. (Sprecyzujmy: także po rosyjsku, po polsku, po angielsku, po francusku, po czesku; w sumie 549 publikacji różnej objętości – J.C.) „We Lwowie przewodniczył 20 lat Towarzystwu Naukowemu im. Szewczenki i redagował jego wydawnictwa. Jego osobista tytaniczna działalność nie pozostawiła we Lwowie głębszego śladu, nie zorganizował seminarium przy swej katedrze, nie stworzył szkoły badawczej. W 1914 r. przeniósł się do Kijowa dla działalności politycznej i do Lwowa nie wrócił”. Po prostu ze względu na wybitnie polski charakter tego miasta nie znalazł tu odpowiedniego gruntu do działania.

Ale i w Rosji droga Hruszewskiego nie była usłana różami. W 1914 roku władze carskie wtrąciły go do więzienia, a następnie zesłały kolejno do Symbirsk, Kazania i Moskwy. Wypuszczony na wolność został dopiero po rewolucji lutowej 1917 roku i natychmiast wrócił do umiłowanej Ukrainy. 17 marca tegoż roku obrano go na przewodniczącego Ukraińskiej Rady Centralnej. Odsunięty od władzy na skutek zamachu stanu hetmana P. Skoropadskiego, kontynuował prace naukowe i społeczne.

W tym okresie (1917 – 1919) kształtowało się niepodległe Państwo Ukraińskie i rozgorzały m.in. dyskusje dotyczące wizerunku godła państwowego.

M. Hruszewski opracował własny projekt, wedle którego w środku herbu na niebieskim tle znajdował się złoty pług, jako symbol pracy, która stanowi podstawę bytu narodowego i osobowego; a dookoła projektant umieścił swoiste symbole: tryzub, lwa, kozaka z muszkietem, arbalet, zbrojnego rycerza. U góry zaś tej konstrukcji miał się znajdować symbol zgody i pokoju – gołąb z gałązką oliwną w dziobie. Z dwu stron godło trzymali „tarczonoścy” – chłopka i robotnik.

Było to nie po prostu godło państwowe, lecz ujęta w alegoryczne obrazy mądra filozofia państwowa i polityczna. Niestety, ten piękny wizerunek nie został przez organa państwowe Ukrainy zaakceptowany, ponieważ powołana komisja heraldyczna doszła do wniosku, że jest zbyt złożony i mało przejrzysty.

Jeśli zaś idzie o jego filozofię polityczną, to profesor Hruszewski w 1906 roku streszczał ją w następujący sposób: „*Rękojmię swobodnego rozwoju narodowego, gospodarczego i kulturalnego społeczeństwo ukraińskie może znaleźć tylko w autonomii, obejmującej całe terytorium ukraińskie, a więc tereny Rosji, na których ludność ukraińska stanowi większość mieszkańców... Wraz z powstaniem terytorium narodowego i nadaniem mu rozległych uprawnień samorządowych narodowość przekształca się z hasła bojowego, z przedmiotu walki, paraliżującej porządkowanie stosunków ekonomicznych i kulturalnych, w coś, co się rozumie samo przez się, w coś, co nie wymaga żadnych wysiłków, w grunt, na którym po prostu się doskonali stosunki ekonomiczne i kulturalne... Dla narodowości ukraińskiej wszystko inne, poza autonomią narodową, nie może być czym innym jak tylko formami przejściowymi, etapami prowadzącymi naród ukraiński do samostanowienia*”... Tak też rzeczywiście się stało, krok po kroku Ukraina w ciągu XX wieku zdobywała sobie pełną i przez nikogo nie kwestionowaną niepodległość, narażoną na szwank dopiero w 2013 roku na skutek ingerencji szatańskich mocy z zewnątrz.

Na początku XX wieku M. Hruszewski został kimś w rodzaju dyplomaty, podróżował po Europie Zachodniej, usiłując pozyskać poparcie dla idei niezawisłej Ukrainy. Ukazują się w tym czasie także jego dzieła „*Z dziejów myśli religijnej na Ukrainie*”, „*Historia literatury ukraińskiej*” oraz zredagowane przezeń „*Studia z historii Ukrainy*” (3 tomy), „*Ukraińskie archiwum*” (3 tomy), „*Za sto lat*” (6 tomów).

W 1920 roku młoda republika ukraińska padła ofiarą agresji bolszewickiej. Polscy sojusznicy – wbrew wcześniejszym przyrzeczeniom – słowa nie dotrzymali i Ukraińców zdradzili. Sowieccy marksiści zajadłe atakowali Hruszewskiego jako „nacionalistę” i „nieprzejednanego wroga władzy radzieckiej”. 1929 wydano

go z Akademii Nauk Ukrainy, w 1931 wywieziono do Moskwy; zamknięto i zlikwidowano wszystkie pisma i organizacje przezeń założone i prowadzone. I nie bez powodu z moskiewskiego punktu widzenia. Nawet bowiem jako beletrysta uczony często wyznawał ideologię ukraińsko-polskiego partnerstwa dziejowego i notorycznie dawał wyraz antypatii do Rosji. (Może dlatego sowiecka żydokomuna przez pewien czas zachowała jego życie, choć przecież zaszlachtowała w tymże okresie około 10 milionów innych Ukraińców).

Koncepcje historyczne Hruszewskiego odbiły się echem również w polskiej myśli politycznej. Jeden z polskich teoretyków w połowie XX wieku pisał: „*Ci, którzy głoszą zasadę zbratania wszystkich Słowian, nie rozumieją, że Rosja to Azja, a przyszłość Polski, misja Polski, posłannictwo Polski jest przeciw Azji. Tu nie może być kompromisów ani łzawych sentymentów. Los nam kazał warować między Azją a Europą i żadnymi frazesami nie wykpimy się od tego naszego przeznaczenia. Przeciagnąć Ruś do Europy i zespolić się z nią na dolę i niedolę – nie jakąś mechaniczną federacją, ale najgłębszym zespoleniem psychicznym, jakie daje wspólnota narodowa – to warunek istnienia i dla Rusi, i dla Polski. To warunek bytu i wielkości... Z dziejów ostatniego tysiąclecia wynika jasno, że Rusi południowej powodziło się – czasem świetnie, czasem jako tako – tylko w oparciu o Rzeczpospolitą. Krótki okres własnej państwowości, urozmaicony walkami z Połowcami, Chazarami, Jadźwiniżami itd., skończył się w pożodze najazdów tatarskich. Ruś rozkwita ponownie z chwilą oparcia się o Rzeczpospolitą. Epoka Chmielniczyny – tak przecież krótka – sprowadza potworną ruinę. Po rozbiórce Polski prowadzi Moskwa Ukrainę do katastrofy bolszewizmu, która wymiata z Ukrainy nie tylko całą jej elitę, ale i miliony chłopów, by stłumić ostatecznie wszelkie próby rozdmuchania ukraińskiej odrębności. Wreszcie poczynania bolszewików naocznie dowodzą Ukraińcom, że tylko potężna Rzeczpospolita może na wschodzie Europy zapewnić ład i pomyślność.*” W dalszym ciągu swych wywodów z 1941 roku Adam Doboszyński, jeden z czołowych narodowców polskich, pisze, iż Ruś-Ukraina musi wreszcie zrozumieć, iż za wszelkie zapędy wrogie Polsce to ona pierwsza będzie płaciła krwawy rachunek i że tylko we wzajemnym oparciu się na sobie Polaków i Ukraińców istnieje możliwość trwania tych narodów w ich otoczeniu geopolitycznym. Wzajemne zaś wpływy kulturalne są w tym przypadku korzystne dla obu stron. „*Sama nawet mowa polska uległa silnym przekształceniom pod wpływem ruskim... Szczególnie silny był wpływ Ukrainy na polską mowę literacką na przełomie wieków XVIII i XIX. Mielśmy tzw. „ukraińską” szkołę literacką*

(Goszczyński, Zaleski, Malczewski, Słowacki), która silnie wzbogaciła polską mowę o ruskie wyrażenia i zwroty... Znawczy twierdzą, że połowa słów, używanych przez Polaków i Ukraińców wspólna jest obu językom. [...] Przestając z Ukraińcami miałem zawsze nieodparte wrażenie swojskości. Czulem, że to ludzie ulepiani z tej samej gliny, co i my, krewniacy spowinowaceni z nami pochodzeniem, dziejami i cywilizacją”. Trzy lata po napisaniu tych słów przez polskiego politologa Ukraińcy wymordowali w trakcie czystki etnicznej na Wołyniu około 150-200 tysięcy bezbronnej ludności polskiej. Nie ma to jak nienawiść między braćmi!

Borys Sokołow w artykule pt. „*Jad żydokomuny*” (tygodnik „*Tylko Polska*” nr 15 2005) napisał: „*W 1934 roku został otruty znany ukraiński historyk Mychajło Hruszewski, były przewodniczący Centralnej Rady. Zmarł ukrótce po iniekcji wykonanej w jednej z moskiewskich klinik*”. Zabiegu egzekucyjnego miał dokonać kierownik tajnego laboratorium toksykologii NKWD, specjalizującego się m.in. w syntezie niewykrywalnych trucizn, Grigorij Abramowicz Majranowski, pułkownik służby medycznej bezpieki sowieckiej. Oficjalna wersja sowiecka głosiła, że M. Hruszewski zmarł na atak serca w sanatorium w Kisłowodsku. Nie poinformowano jednak, że w arsenale NKWD były niewykrywalne preparaty powodujące „na zamówienie” ponad 90 odmian zgonów, w tym ataki serca.

Być może warto jeszcze wspomnieć o tym, że Maria Hruszewska (z domu Wojakowska, rodowita szlachcianka polska herbu Zadora, 1870 – 1953), żona profesora, była znaną działaczką i pedagogiem, członkinią zespołu redakcyjnego periodyku „*Literaturno-Naukowyj Wistnyk*”; w 1917 wchodziła w skład Ukraińskiej Rady Centralnej oraz Ukraińskiego Narodowego Komitetu Teatralnego.

Znakomitym uczonym był Ołeksander Hruszewski (ur. 1877), rodzony brat Michała, docent prywatny na uniwersytetach Odessy, Kijowa i Sankt Petersburga. To właśnie on jako pierwszy w 1906 roku rozpoczął na Wszechnicy w Odessie wykłady w języku ukraińskim. Opublikował liczne szkice z dziejów ukraińskiej kultury i literatury oraz kilka poważnych opracowań, jak „*Pinskoje Polesje*” (1901), „*Oczerki Istorii Turowskiego Kniażestwa*” (1902), „*Goroda Wielikogo Kniażestwa Litowskiego*” (1918). Miejsce i data zgonu jego nie są znane; prawdopodobnie padł ofiarą terroru bolszewickiego.

Dr Jan CIECHANOWICZ

HISTORIA Z DOKTOREM JANEM MATKOWSKIM

Słów kilka na temat metod inwigilacji i penetracji Kościoła katolickiego na Ukrainie w latach 20. XX wieku

Po 1991 roku odtajniono wiele dokumentów w archiwach służb specjalnych. W tym i te, które świadczą o inwigilacji Kościoła katolickiego na Ukrainie. Niezwykle interesująca jest pod tym względem „Sprawozdawcza notatka Państwowego Zarządu Politycznego USRR dla KC PK USRR o działalności wśród duchowieństwa rzymskokatolickiego i ludności polskiej” przedstawiona autorami w 1926 roku.

Zarząd Polityczny (późniejsze NKWD i KGB) dzielił ludność polską na trzy kategorie:

- 1) reakcyjną i szowinistyczną, na czele z księżmi i kontrrewolucyjną częścią inteligencji;
- 2) drobnoburżuazyjną, składającą się głównie z osób z kręgu inteligencji i mieszczaństwa, które „płaczą się w ognie reakcji politycznej”;
- 3) ugrupowanie chłopów i robotników, jeszcze nie do końca zakażonych religijnymi i fantastycznymi uprzedzeniami i ideologią polskiego patriotyzmu.

Zaczynając od 1923 roku bolszewicy zaczęli realizować wśród Polaków plan inwigilacji i manipulacji środowiskami. Wstępne działania wykazały, że największy wpływ wśród Polaków ma duchowieństwo rzymskokatolickie. W notatce zaznaczono, że hierarchia kościelna ma bezpośrednie powiązanie z zagranicą, a największy wpływ wywierany jest przez diecezję łucko-żytomierską, na czele której stoi biskup Ignacy Dub-Dubowski.



Biskup Ignacy
Dub-Dubowski

Autorzy notatki zaznaczali, że w celu zwalczania Kościoła rozpoczęto proces „rozdrobnienia jednolitego środowiska katolickiego poprzez ujawnienie niezadowolonych i podporządkowania ich sobie”. W tym celu w parafiach z grup agentów utworzono grupki, których zadaniem było obserwowanie sytuacji, podsycanie i szerzenie niezadowolenia. Ich zadaniem było również krytykowanie biskupów i zwierzchników Kościoła, a nawet ich dyskredytacja. Bolszewicy organizowali w parafiach akcje propagandowe, których celem było rozpowszechnianie idei, iż hierarcha kościelna, która w większości przebywa w Polsce, szkodzi katolikom na Ukrainie. Agenci szerzyli informację, że „burżuazyjna i faszystowska Polska” wykorzystuje Kościół na Ukrainie we własnych celach i dlatego należy się go pozbyć. Argumentem były kompromitujące materiały umieszczane w prasie oraz sfingowane procesy sądowe. Księżę oskarżano o szpiegostwo i działania na rzecz Polski. Jednocześnie „ujawniano” fakty świadczące o szkodnictwie i zaangażowaniu w antyradziecką propagandę. Tworzono obraz księdza – wroga chłopów i robotników.

Jako element antykościelnej operacji wykorzystano osobę ks. Andrzeja Fedukowicza, o czy świadczy wspomniana notatka. Ksiądz zwrócił się publicznie do Papieża z listem, w którym oskarżył duchowieństwo katolickie i Rzeczpospolitą o szerzenie antyradzieckich nastrojów. Do „apelu” dołączyły się „tysiące wiernych” i zwykłych obywateli. Wynikiem presji był list biskupa diecezji tyraspolskiej, ks. Józefa Kruszyńskiego, w którym zwracał się do wiernych z apelem, by nie angażowali się w antyradzieckie protesty. Nie wiadomo, czy ks. Kruszyński rzeczywiście napisał ten list, ale w notatce z 1925 roku wspomniano o tym fakcie jako o sukcesie. Kruszyński zaapelował także o niepotępienie ks. Fedukowicza i ks. Nikołaja Tołstoja. Ten ostatni zwrócił się do Stolicy Apostolskiej z pretensją, że Kościół rzymskokatolicki polonizuje wiernych, szczególnie greckokatolickich. Z podobnym apelem wystąpił także i inny ksiądz – Kazimierz Nanowski. Dzisiaj już wiadomo, że były to tylko elementy działań operacyjnych służb komunistycznych w celu dyskredytacji Kościoła. Inna część agentury, w tym sporo księży, zaczęła wypowiadać się na temat

całkowitej autonomii Kościoła katolickiego od polskich wpływów.

W notatce autorzy ujawnili współpracę z ks. prałatem Kruszyńskim, wikarym diecezji tyraspolskiej. W jednym ze zdań napisali, że to „nasz” człowiek. Prawdopodobnie był to także rodzaj kompromitacji, ponieważ ujawnienie sylwetki agenta należącego do tak wysokiej hierarchii kościelnej wydaje się nieco dziwne. Ks. Kruszyński zmarł w 1940 roku w Kazachstanie, w obozie dla więźniów reżimu komunistycznego.

Ks. Tołstoj władze bolszewickie wykorzystywali jeszcze nie raz w swoich operacjach. Był to pierwszy ksiądz grekokatolicki wywodzący się z Rosji. Służby pokładały w nim wielkie nadzieje, ponieważ z jego pomocą planowali dokonanie rozłamu w szeregach katolików obrządku wschodniego. Przedstawiciele Głównego Zarządu Politycznego w 1926 roku relacjonowali, że ks. Tołstoj dostał rozkaz znalezienia sobie do pomocy kilku księży grekokatolickich. W tym celu miał pojechać do wielu miast i do Watykanu. Po sformowaniu grupy duchownych, Tołstoj miał za zadanie zwołanie pseudosoboru grekokatolickiego i na nim ogłoszenie autonomii diecezji katolickich obrządku wschodniego. Z historii wiemy, że dokonano tego dopiero w 1946 roku.

W latach 1935 – 1936. Tołstoj jako świadek uczestniczył w procesie dotyczącym *„działalności faszystowskiej organizacji rzymskokatolickiego i unickiego duchowieństwa utworzonej na Prawobrzeżnej Ukrainie”*. Powiązania z NKWD jednak nie uratowały go; 12 grudnia 1937 roku został aresztowany a miesiąc później rozstrzelany.

Tragicznym był także los ks. Kazimierza Nanowskiego. Nie wiadomo, czy był on autorem wspomnianych apelów i listów otwartych oskarżających Kościół. W latach 20. XX w. był niejednokrotnie aresztowany przez bolszewików. Pierwszy raz został aresztowany w 1925 roku przy przekraczaniu polsko-radzieckiej granicy. Władze oskarżały go o szpiegostwo, przerzucanie ludzi przez granicę, a nawet o przemyt. Od tamtego czasu często posługiwano się jego nazwiskiem a jego życie przekształcono w koszmar. W 1929 roku ksiądz uciekł z radzieckiej Ukrainy i do końca życia, w 1936 roku, służył w parafiach na Wołyniu. Zmarł i został pochowany w Poczajowie.

W notatce omówiono także samobójstwo ks. Fedukowycza. Autorzy przyznają się, że stworzyli cały mit, którego celem było udowodnienie, że Fedukowicz popełnił samobójstwo z powodu presji, jaką wywierało nań duchowieństwo. W tym celu opublikowano nawet

w prasie fałszywe listy biskupa Kruszyńskiego i ks. Tołstoj, w których obaj autorzy potępiali nagonkę na Fedukowycza. Operacja powiodła się i w notatce zaznaczono, iż spora część katolików uwierzyła, że to działalność hierarchii kościelnej przyczyniła się do jego samobójstwa.

Informacje zawarte w notatce są także cennym źródłem informacji na temat działalności edukacyjnej, jaką prowadził Kościół katolicki. I tak służby specjalne potwierdziły, że potrzebne były dwa lata działań inwigilacyjnych, aby uciszyć antyradzieckie nastroje. Jednocześnie duchowieństwo organizowało w polskich środowiskach różnorodne zajęcia dla młodzieży, których celem było zagwarantowanie zachowania tradycji rodzinnych i narodowych. Odradzano młodzieży członkostwo w komunistycznej organizacji pionierów czy w Komsomole. Aby ocalić podstawy edukacji narodowej, księża zakładali przy Kościele prawie podziemne szkoły, gdzie uczono religii i prawdziwej historii. Według czekistów, na Prawobrzeżnej Ukrainie w ciągu krótkiego czasu powstał w ten sposób cały system oświatowy.

Notatka zawiera także informację na temat agentów-duchownych. W 1926 roku było w tym gronie 21 księży. Wielu współpracowników wprowadzono do komitetów kościelnych. Jako przykład dobrej współpracy, czekisci przytaczali wzór z Połtawy. Tam w parafii służył *„całkowicie oddany bolszewikom człowiek”*. Agent-ksiądz w swojej działalności był całkowicie wspierany przez komitet kościelny i czołowych parafian. Zadaniem służb bolszewickich było zdobycie jak największej ilości parafii podobnych do tej z Połtawy.

Notatka kończy się dość optymistycznie dla zwolenników reżimu bolszewickiego: *„Razem z perspektywami, które powyżej wymieniliśmy, w naszej dalszej działalności spotykamy się i będziemy się spotykać z przykładami wielkiej aktywności księży. Na wielu z nich obecnie posiadamy oraz spodziewamy się posiadać materiały kompromitujące, które pomogą nam stosować te czy inne represje. To również jest jedno z planowanych przedsięwzięć w naszej działalności”*.

Artykuł napisano na podstawie publikacji: 3 архівів ВУЧК-ГПУ-НКВД-КГБ, 2 2003 – „Доповідна записка ДПУ УСРР для ЦК КП(б)У про роботу серед римо-католицького духовенства і польського населення [1926 р.]”

Bolszewicka walka z Kościołem w Ukrainie

Komunistyczna gazeta „Bolszewik” (БІЛЬШОВИК, 1924, 14 вересня) w dwóch zdaniach określiła strategię stosowaną w celu zniszczenia Kościoła rzymskokatolickiego na radzieckiej Ukrainie:

„Należy zniszczyć wpływ księży i kulaków, jednak w taki sposób, żeby to nie było zauważalne, bo jeśli będziemy używać jakiegokolwiek widocznych represji czy podobnych do tego środków, to polska ludność stanie dokładnie po przeciwnej do nas stronie”.

W tym czasie komuniści posiadali już kilkuletnie doświadczenie w walce z religią. Wydawało się, że po obaleniu cara Kościół rzymskokatolicki powinien zająć lepszą pozycję niż to było do tej pory. W związku z powstaniem Polaków w imperium rosyjskim – Kościół nie był lubiany w Petersburgu. Wtedy nikt jeszcze nie mógł wiedzieć, że system komunistyczny postawi na całkowite zniszczenie jakiegokolwiek kościoła. Niechęć proletariatu do religii była tłumaczona, przede wszystkim, błędem, jaki Cerkiew prawosławna popełniła w stosunku do carskiej władzy. Ponieważ dynastia Romanowych zbyt mocno opierała się na tradycji prawosławnej, nic więc dziwnego, że rewolucjoniści zaliczali Cerkiew do swoich wrogów. Tych argumentów nie można było zastosować w stosunku do Kościoła rzymskokatolickiego, uciskanego właśnie przez Romanowych. Ale po 1917 roku coraz bardziej jasne się stało, że bolszewicy w podjęciu decyzji odnośnie Kościoła kierowali się zupełnie innymi intencjami.

W 1922 roku wszedł w życie pierwszy Kryminalny Kodeks Ustaw USRR. Cały jego rozdział „Łamanie zasad o odłączeniu Państwa od Kościoła” opisywał różnorodne sankcje i kary, które miały być stosowane wobec kleru z powodu „wtrącenia się w sprawy państwowe”. Ta definicja określała różnego rodzaju dzia-



łalność księży, którą można było uznać za „wtrącania się w sprawy państwowe”. Kary były rozmaite – od grzywny pieniężnej do jednego roku więzienia.

W 1926 roku radziecki wymiar sprawiedliwości wzbogacił się o nowy termin: „łyszenci”. Do tej grupy społecznej zaliczono wraz z kryminalistami i kulakami także i duchowieństwo. Zgodnie z tymi normami, jeśli ksiądz np. zrezygnował ze swoich obowiązków i wystąpił z Kościoła, to tylko po pięciu latach mógł nabyć pełne prawa obywatelskie i, na przykład, wziąć udział w wyborach. Jednak pod warunkiem, że w ciągu tych lat sumiennie pracował na rzecz społeczeństwa komunistycznego.

W tym okresie władze zaczynają intensywnie tworzyć Spółkę Wojujących Ateistów. Pojawiło się pojęcie „front religijny”, które przewidywało zwalczanie wszystkiego, co kojarzyło się z religią i Kościołem. Członkowie tej organizacji przeszkadzali w świętowaniu świąt religijnych, niszczyli kościoły, atakowali księży i donosili na nich władzom. Szczególnie cierpieli przez nich wierni Kościoła rzymskokatolickiego. Działalność księży zostawała zaklasyfikowana jako antyrządowa i sąd wyznaczał stosowną karę. Oprócz grzywny pieniężnej, księży karano zamykaniem na kilka miesięcy w klasztorze OO. Misjonarzy na Wołyniu, tzw. Iziasławskim Klasztorze. Tutaj bolszewicy urządzili więzienia dla duchowieństwa i zamykali księży na okres od kilka miesięcy do roku.

Mimo tych szykan – ilość parafii rzymskokatolickich na Ukrainie nadal rosła. W 1925 roku na Ukrainie funkcjonowały 332 parafie, a więc było ich o około 10 więcej niż przed I wojną światową. Najwięcej kościołów znajdowało się w podolskiej guberni, bo aż około 80. W wołyńskiej guberni działało aż ponad 60 kościołów i pracowało tutaj ponad 30 księży. Nieco mniej księży było w okolicach Kijowa – ponad 20; pracowali oni w ponad 50 kościołach. Wiernych w parafiach na terenie całej Ukrainy było około miliona. Z pośród nich ponad 700 tys. było polskiej narodowości, zaś inni katolicy – to Niemcy. Niemcy mieszkali przede wszystkim na Donbasie. Polacy zamieszkiwali głównie Prawobrzeżną Ukrainę oraz rejony graniczące z Rzeczpospolitą.

Do walki z Kościołem bezpośrednio po rewolucji stworzono Antyreligijną Komisję, która działała przy Centralnym Komitecie Komunistycznej Partii Ukrainy. Protokoły jej posiedzeń są do dzisiaj utajnione. Według

instrukcji nawet listy wysyłane z tej tajemniczej instytucji należało odsyłać z powrotem. Nawet obecnie nikt nie zna nazwisk członków tej komisji. Wiadomo jedynie, że do jej składu wchodził funkcjonariusze najwyższego szczebla. Sekretarzował na posiedzeniach przedstawiciel NKWD, a prowadził posiedzenia zastępca szefa Państwowego Zarządu Politycznego. Właśnie ta struktura była szczególnie zaangażowana w niszczenie kościołów.

Represje w stosunku do duchowieństwa rzymskokatolickiego doprowadziły do tego, że w połowie lat 20. XX w. na Ukrainie przebywało około 130 księży. Dla porównania – przed 1914 rokiem było ich tutaj ponad 300.

Znany jest tekst memorandum z 1926 roku „*O działalności wśród duchowieństwa rzymsko-katolickiego i polskich osad*”, które zostało przygotowane przez Państwowy Zarząd Polityczny dla Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej. Pozwala ono zrozumieć wiele procesów w polskich środowiskach i walkę, którą toczono z Kościołem. Bolszewicy uznawali, że solidarność Polaków w kwestiach związanych z Kościołem jest potężną bronią, która chroni duchowieństwo. Autorytet księży, którzy pozostali na Ukrainie i nie zrezygnowali ze swego powołania, był ogromny wśród wiernych. Czekał w wspomnianym dokumencie pisał, że praca księży jednoznacznie wskazuje na kierunek ich działania – na Rzeczpospolitą. Według autorów, stanowiło to poważne zagrożenie, ponieważ cała odpowiedzialność za działalność antyrewolucyjną i szpiegowską leży na duchowieństwie polskim i na „*elemencie, który go otacza*”. Memorandum sugerowało, że: „*zamkniętość polskiego społeczeństwa i jego lojalność w stosunku do księży jak nośnikiem i narzędziem propagandy idei wolnej Polski zdyscyplinowanie zjednoczonych wiernych, umiejętnie sterowanych w tym kierunku z kościelnej ambony i przy pomocy innych metod, skazują na nieuniknione niepowodzenie wszelkie próby policji starającej się przeniknąć na obszar, który nas interesuje; i próby te jedynie prowokują parafian do wzmacniania skrytości i ostrożności. Na ile bezsilna w tych działaniach jest policja, można sądzić po nieskuteczności prób dowiedzenia się czegoś o działalności[...] księży np. przy pomocy szpiegów*”.

Walka z Kościołem na Ukrainie przynosiła jednak bolszewikom pewne sukcesy. W memorandum znajduje się informacja o 21 zawerbowanych księżach, wśród których były nawet „wybitne postacie”.

Do skutecznej walki z Kościołem służby specjalne stosowały następujące środki: dyskretnie gromadzono informacje o księżach w celu ich skompromitowania;

przed polskimi placówkami dyplomatycznymi organizowano akcje protestacyjne z udziałem „robotników” z wymogą powstrzymania działalności szpiegowskiej na Ukrainie, do której używany jest rzymskokatolicki kler; szczepić w środowiskach katolickich myśl o oddzieleniu się od Watykanu i polskich biskupów oraz stworzeniu w ZSRR samodzielnego Kościoła katolickiego.

W 1926 roku Polski Zarząd przy Centralnym Komitecie Partii Komunistycznej przez jakiś czas badał stan spraw w polskich środowiskach na Wołyniu, Kijowszczyźnie i na Podolu. Komisja konstatowała, że widoczne są tam postępy w dziele budowania społeczeństwa komunistycznego. Jednak komisja zauważała, że owe „postępy” nie dotyczą wiary Polaków i ich stosunek do Kościoła. „*Ksiądz nadal jest największym autorytetem dla Polaka, nawet kiedy jest on członkiem partii komunistycznej*”.

Od połowy lat 20. XX w. służby specjalne przeprowadzały różnorodne operacje w celu dyskredytacji duchowieństwa. Najprostszym sposobem było zamykanie księży na kilka miesięcy do więzienia i zmuszania ich do podpisania różnych kompromitujących dokumentów, listów itp. W taki oto sposób pojawiały się listy do Papieża z różnymi „proradzieckimi” apelami i prośbami o tolerowanie władz bolszewickich. Był jednak odwrotny efekt tych działań. Ksiądz Fedukowicz został zmuszony do napisania listu do Papieża. Po tym, jak znalazł się na wolności dokonał aktu *autodafe*, czyli samospalenia. W 1927 roku czekał zmusił innego księdza, Eugeniusza Perkowicza z rejonu proskuriwskiego, do wystąpienia ze stanu duchownego. Z tej okazji w prasie sowieckiej została przeprowadzona cała kampania agitacyjna. W ciągu kilku lat wożono go po wsiach i miasteczkach, gdzie mieszkali Polacy, aby tam wygłaszał antypolskie i antykościelne odczyty. W 1927 roku odbyło się 57 tego typu spotkań w 52 miejscowościach. W następnych latach działalność eks-księdza wyglądała podobnie. W 1933 roku Perkowicz został aresztowany jako „członek” Polskiej Organizacji Wojskowej. Oświadczył wówczas, że polscy komuniści na najwyższym szczeblu w Ukrainie to szpiechy Józefa Piłsudskiego. Po czym został rozstrzelany.

Polskie duchowieństwo katolickie na Ukrainie broniło się, jak mogło. Jednak lata 30. XX w. wniosły swoją korektę do planów zniszczenia Kościoła z lat 20. Nowa koncepcja głosiła, że należało zniszczyć Polaków i wówczas Kościół sam zginie. Do 1937 roku ten plan był skutecznie realizowany...

Kościół niezłomny

Kościół rzymskokatolicki w okresie międzywojennym na radzieckiej Ukrainie nie miał jednego wspólnego administratora. Przyczyną były czynniki geograficzne, historyczne a nawet narodowościowe. Południowa Ukraina, Krym i Donbas wchodziły do składu ty-raspolskiej archidiecezji, która rozszerzała się przez Kuban i do Kaukazu. Jej wierni to w większości Niemcy. Wśród ponad 200 tys. parafian liczebność Polaków nie była zbyt wielka. Centrum archidiecezji znajdował się w Saratowie. Nie tylko biskup Josef Alois Kessler był Niemcem z pochodzenia, również większość duchowieństwa pracującego w tej diecezji wywodziła się z tego środowiska.

Tereny zamieszkałe przez Polaków należały do dwóch innych diecezji. Historyczny podział na Lewobrzeżną i Prawobrzeżną część Ukrainy pozostał także i tu. Czernihowszczyzna, Połtawszczyzna oraz Charkowszczyzna, czyli jednostki terytorialne Lewobrzeżnej Ukrainy, wchodziły w skład mohylewskiej archidiecezji. Obejmowała ona na początku tereny całej Rosji, a po 1917 roku cały obszar ZSRR. Biskup miał siedzibę w Petersburgu. Na terenie Ukrainy ilość wiernych diecezji nie był zbyt duża. Należało do niej zaledwie ponad 20 tys. Polaków i ponad dziesięciu księży. Największą diecezją na Ukrainie była łucko-żytomierska. Biskup diecezji rezydował w Żytomierzu. Ilość katolików w diecezji przewyższała 750 tys.; opiekowało się nimi ponad 300 księży.

Pierwsze prześladowania katolików rozpoczęły się tuż po wycofaniu się z Ukrainy wojsk polsko-ukraińskich pod dowództwem Józefa Piłsudskiego i Szymona Petlury. 14 listopada 1920 roku biskup Piotr Mańkowski został zmuszony do opuszczenia Kamieńca Podolskiego. Najpierw wyjechał do Lwowa, a później przeniósł się na Wołyń, do Łucka. Wraz z biskupem Podole opuściło ponad 100 księży, którzy również osiedli na Wołyniu. Wskrzeszoną w 1918 roku diecezją kamieniecką, która została reaktywowana przez Benedykta XV w 1918 roku, zarządzało trzech księży, których na tę misję posłał biskup Mańkowski. Byli to: ks. Walerian Szymański, ks. Ryszard Szyszko-Bohusz, ks. Jan Świdorski. Dwóch pierwszych wraz z innymi duchownymi w 1922 roku skazano na karę śmierci. Trybunał Rewolucyjny w Kamieńcu Podolskim podjął ową decyzję w związku z tym, że księża sprzeciwiali się konfiskacji mienia kościelnego. Na dodatek zarzucono im zdradę stanu. Nieco później wyrok zmieniono na karę więzienną, a jeszcze później wierni wykupili ich z

więzienia. W tym wypadku, na szczęście, była taka możliwość...

Podobnie działo się na radzieckiej części Wołynia. Ordynariusz diecezji łucko-żytomierskiej, Ignacy Dub-Dubowski, opuścił Żytomierz w 1920 roku. Rok wcześniej wraz z jedenastoma księżmi został skierowany do prac publicznych. W trakcie tych wydarzeń przeżył zamach na własne życie organizowany przez miejscowych bolszewików. Kiedy nie udało się zabić biskupa w sposób podstępny, zaczęto grozić mu publicznie. Biskup był przez kilka miesięcy strzeżony przez parafian w swoim domu. Dochodziło nawet do tego, że wokół domu zbierało się kilkuset uzbrojonych katolików na wieść, że w nocy banda bolszewicka zaatakuje biskupa. Eminencja w 1920 roku opuścił Żytomierz.



Ignacy Dub-Dubowski, biskup łucko-żytomierski,
w pięknym zestawie szat pontyfikalnych

Od 1921 roku rozpoczęły się areszty duchowieństwa. Według danych historyków, w okresie 1921 – 1924 roku aresztowano 96 księży. Na początku 1924 roku w areszcie przebywało 60 księży rzymskokatolickich i

20 siostr zakonnych. W następnym roku aresztowano kolejnych 9 księży, zaś w ciągu następnych trzech lat – aż 67. W latach 1929 – 1931 w areszcie przebywało 142 księży rzymskokatolickich.

Eskalacja nienawiści wobec katolików w 1926 roku była związana z objęciem władzy w Polsce przez Marszałka Józefa Piłsudskiego. W tym roku aresztowano wszystkich księży, którzy w latach 1922-23 potajemnie przebyli do ZSRR, aby zająć miejsca tych, których prześladowano od 1918 roku i zmuszono do ucieczki do Rzeczypospolitej. Głównymi zarzutami były antyradziecka i kontrewolucyjna działalność, którą rzekomo prowadzili po przekroczeniu granicy. Właśnie w 1926 roku pojawiło się memorandum *„O działalności wśród duchowieństwa rzymsko-katolickiego i polskich osad”*, przygotowane przez Państwowy Zarząd Polityczny dla Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej.

Nie pozostawiono w spokoju także następcę biskupa Dub-Dubieckiego – prałata Antoniego Skalskiego. W jednym z dokumentów czełkiści napisali o nim:

„Reprezentuje typ zawziętego reakcjonisty i polskiego szowinisty, ściśle związanego z polskimi konsulatami i rządem. Pod jego szkodliwym wpływem znajduje się katolicki kler całej Prawobrzeżnej Ukrainy, który swoją antyradziecką działalność prowadzi pod jego kierownictwem. Prowadzimy działania, których celem jest zmuszenie Skalskiego do opuszczenia ZSRR”.

Biskup nie zgadzał się na wyjazd. Wówczas został aresztowany i wywieziony do Moskwy. Dopiero w 1932 roku udało się dokonać wymiany biskupa oraz kilku innych polskich księży na grupę rosyjskich komunistów aresztowanych w Polsce. W więzieniach biskup stracił wszystkie palce na stopach.



Uroczystość pierwszej komunii świętej w parafii p.w. św. Teresy od Dzieciątka Jezus w Białowieży. W centrum ks. prałat Antoni Skalski.
Zdjęcie pochodzi ze zbiorów Tomasza Niechody

Według danych NKWD, w 1927 roku na Ukrainie przebywało 128 księży. W okręgu berdyczowskim – 9, biłocerkiewskim – 4, winnickim – 9, dnipropropietrowskim – 2, zinowjiwskim – 1, kamieniec-podolskim – 9, kijowskim – 7, korosteńskim – 3, krzyworooskim – 1, ługańskim – 1, meliotopolskim – 3, mikołajewskim – 10, mohylowskim – 3, niżyńskim – 1, odeskim – 19, oleksandrijiwskim – 1, proskurowskim – 14, tulczyńskim – 5, umańskim – 2, charkowskim – 1. Porównując te dane ze statystyką aresztów, nie trudno dojść do wniosku, że prawie wszyscy duchowni rzymskokatolicki w jakimś okresie przebywali w więzieniu.

Od 1926 roku i w kolejnych dziesięciu latach historia Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie to prawdziwa Golgota. Można przytoczyć setki przykładów i opowiedzieć setki historii o bohaterskiej postawie duchowieństwa i wiernych w walce „o prawo wierzyć”. Warto w tym miejscu przypomnieć historię biskupa Aleksandra Frizona, administratora diecezji tyraspolskiej. Po raz pierwszy aresztowano go w 1929 roku pod zarzutem jego nielegalnej sakry biskupiej, która miała miejsce w 1926 roku. Po dwóch lat zwolniono go z więzienia, ale już w 1933 ponownie aresztowano i oskarżono o nielegalne dopuszczanie nieletnich do służby liturgicznej. Na krótko został zwolniony, a następnie w 1935 roku po raz kolejny aresztowany wraz z matką i siostrzenicą. W trakcie rewizji przeprowadzonej w jego domu znaleziono kilka dolarów. Dla NKWD stało się to dowodem, że szpiegował za pieniądze. Przez pewien czas więziono go w piwnicach w Symferopolu, a później przewieziono do Moskwy. 20 czerwca 1937 roku został rozstrzelany w więzieniu na Butyrkach w Moskwie. W tym czasie biskup Frizon był ostatnim żyjącym hierarchą rzymskokatolickim na terenie ZSRR.

Nie udało się także zrealizować planu, przewidującego powstanie w Kijowie seminarium duchowego. W okresie represji bardzo potrzebni byli młodzi księża. Przy kościele św. Aleksandra w Kijowie w latach 1924 – 1929 w podziemiu działało seminarium duchowne. 4 grudnia 1928 roku wyświęcono tam dwóch księży, których aresztowano kilka miesięcy później. W kilka dni po tym wydarzeniu NKWD aresztowało trzech studentów seminarium, którzy jeszcze nie zdążyli się wyświęcić. Po tych zdarzeniach seminarium przestało istnieć.

Niektórzy księża bili swoje rekordy co do ilości aresztów i czasu spędzonego za kratami. W latach 30. ksiądz Jędruszczak i ksiądz Jankowski byli pięciokrotnie aresztowani. Ks. Jędruszczak przebywał w więzieniu



Kościół pw. św. Aleksandra w Kijowie

w Kamieńcu Podolskim, w Kijowie i Charkowie, a także w szeregu łagrów koncentracyjnych na północy Rosji. Ostatni raz aresztowano go w 1937 roku.

Ksiądz Jankowski przeszedł przez więzienia w Żytomierzu, Berdyczowie, Charkowie, obóz koncentracyjny na wyspach Sołowieckich i dwa zesłania do Kazachstanu. Przeżył pobyt w Kazachstanie i po zakończeniu II wojny światowej powrócił do Żytomierza. W II połowie lat 50. XX w. przebywał w Warszawie, gdzie spotkał się z Prymasem Polski, kardynałem Stefanem Wyszyńskim. Ks. Jankowski zmarł w 1987 roku, w wieku 98 lat. Przez 71 lat był księdzem.

Tylko jeden raz system totalitarny wymusił na księdzu wyrzeczenie się Chrystusa. W 1926 roku ksiądz Eugeniusz Perkowicz wystąpił ze stanu duchownego i

przyłączył się do antykościelnej i antyreligijnej propagandy. Rozstrzelano go w latach 30. jako „polskiego agenta”.

Wielki Głód, represje wobec Polaków, areszty duchowieństwa – wszystko to doprowadziło do sytuacji, że w dwóch diecezjach: Żytomierskiej i Kamienicko-Podolskiej przebywało zaledwie 7 księży. Ale w 1937 roku na Ukrainie nie było ani jednego rzymskokatolickiego duchownego. Kościoły pozamykano, a działalność katolików zakazano.

Dwadzieścia lat trwała walka, która nie zakończyła się wygraną systemu komunistycznego. Po II wojnie światowej wielu księży powróciło z obozów i nadal kontynuowało swoją duchowną misję na komunistycznej Ukrainie.

Jak zniszczono parafię pod wezwaniem Podwyższenie Krzyża Świętego w Jenakijewo

Miasteczko Jenakijewo na Donbasie do 1939 roku zamieszkiwało bardzo wielu Polaków, Niemców, a nawet Belgów. W latach 1898 – 1906 na koszt mieszkańców miasta wzniesiono kościół pod wezwaniem

Podwyższenie Krzyża Świętego. Ilość katolików wciąż rosła dzięki przybywającym tutaj z państw europejskich fachowcom-metalurgom, których brakowało z imperium rosyjskim. Parafia tutejsza istniała zaledwie 30 lat,



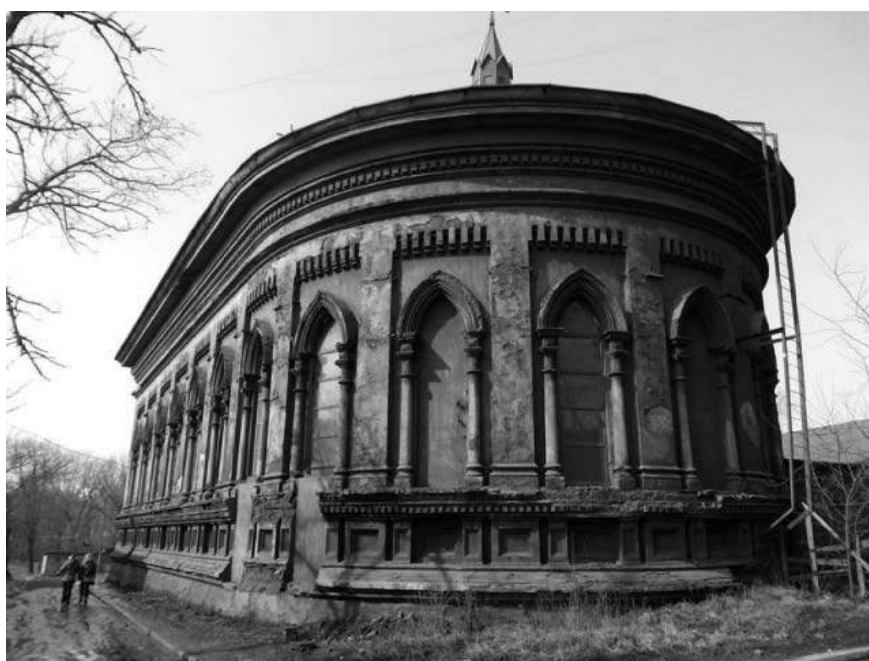
Kościół p.w. Bł. Matki Teresy z Kalkuty w Jenakijewo

a po 1933 roku została całkowicie zniszczona. Dopiero w 2006 roku została na krótko odnowiona, kiedy to mieszkańcom zwrócono budynek sakralny. W nowych czasach parafia w Jenakijewo była ponownie erygowana i obecnie nosi nazwę: pod wezwaniem Bł. Matki Teresy z Kalkuty.

Od połowy lat 20. XX w. w Jenakijewo próbowano

zamknąć kościół. W 1927 roku mieszkańcy miasta interweniowali w polskich i niemieckich konsulatach, szukając tam pomocy na poziomie międzynarodowym w celu ocalenia parafii. Władze radzieckie, które w owym czasie miały bardzo różne stosunki dyplomatyczne z Rzeszą Niemiecką i z Rzeczpospolitą, umyślnie przysłowiowo ręce od walki z parafią i powierzyły „rozwiązanie” całej sprawy Związkowi Wojujących Bezbożników obwodu donieckiego.

Przed świętami Bożego Narodzenia w 1932 roku ateści przygotowali się do batalii. W ramach antybożonarodzeniowej kampanii postanowili dopiąć swego: zamknąć kościół. Zgodnie z notatką sporządzoną przez funkcjonariuszy Komitetu Wykonawczego, która do dziś zachowała się w archiwum, zaczęto w tym celu prowadzić działalność informacyjno-rozjaśniającą. Związek Bezbożników zorganizował w mieście zebranie dla wszystkich Polaków i Niemców, na którym zarządzono zamknięcie kościoła. Sporządzono protokół, w którym napisano, iż decyzja owa została podjęta w czasie zebrania, w którym uczestniczyły 164 osoby. Jak wyglądało owo zebranie i kto w nim uczestniczył – można się jedynie domyślać. Podobne rozmowy zostały „przeprowadzone” z Niemcami w kopalniach „Junkom” i „Karola Marksa”, a także na chutorach Leśne i Ternowa Bałka. W różnych zakładach produkcyjnych „bezbożnicy” przeprowadziły 6 zebrań i 9 rozmów. Rzecz jasna, po każdym zebraniu sporządzono protokół, w którym odnotowano „dobrowolną chęć zamknięcia kościoła”. Równolegle zbierano podpisy pod petycją o konieczności likwidacji parafii. W zakładzie RHZ „Czermet” pod podobną petycją podpisało się



Wygład kościoła
p.w. Bł. Matki Teresy z Kalkuty
z tyłu

111 pracowników, na UKS-u – 48, wśród górników – 420, na chutorze Ternowa Bałka – 41. Łącznie Związek Bezbożników uzyskał poparcie 650 osób. Pod petycją podpisało się także 30 członków komitetu kościelnego, który liczył aż 50 osób. W jaki sposób zbierano te podpisy, kto rzeczywiście się pod nimi podpisał – tego już nigdy nikt się nie dowie.

Związek Bezbożników wymógł na komitecie kościelnym spis parafian. Po tym jak uzyskano nazwiska 548 katolików, na każdego była wywierana presja. Skutkiem akcji było to, że 90 osób z tego spisu, podobnie jak św. Piotr, nie przyznało się do przynależności do parafii katolickiej. Szantaż, agresja, zastraszanie i inne metody spowodowały, że na początku roku kościół został przekazany władzom miasta i zamknięty.

Notatka Związku Wojujących Bezbożników została sporządzona 27 grudnia 1932 roku. A 17 stycznia 1933 roku rada miejska Jenakijewo skierowała pismo do Komitetu Wykonawczego w obwodzie donieckim, w którym przedstawiono argumenty, z powodu których kościół został zamknięty. Głównym z nich było to, że parafia nie posiadała środków niezbędnych do

renowacji pomieszczeń. Według rady miejskiej, latem we mszy uczestniczyło nie więcej niż 100 osób. Zimą kościół „nikt nie odwiedzał”, ponieważ nie był ogrzewany. Z powodu braku pieniędzy na dalsze utrzymanie, według władz, parafia przekazała kościół miastu. „Na propozycję władz miejskich, że one przeprowadzą remont kościoła – parafia i komitet kościelny kategorycznie odmówiły. Przy czym w ostatnich dniach z komitetu kościelnego wybyło 30 osób”.

Z całą pewnością nie warto komentować zawartą w notatce pozycję bolszewickich władz miejskich i absurdalne informacje zawarte w doniesieniu. W podsumowaniu władze stwierdziły, że ponad tysiąc katolików i ponad 27 tys. (!) chrześcijan innych narodowości opowiedziało się za zamknięciem kościoła. W tej sytuacji bolszewicy, rzecz jasna, nie mieli innego wyjścia, „jak przysłuchać się głosowi ludu”. 15 października 1933 roku przez miejscowych czekistów został aresztowany ksiądz Ferdynand Pflug. Oskarżony o szpiegostwo na rzecz Niemiec, został skazany na 10 lat łagrów. Wyrok odsiadywał na Kołymie, gdzie zmarł w 1943 roku.

Pomieszczenia kościoła najpierw wykorzystywano jako dom ludowy, a później jako salę sportową.

Pół wieku w łagrach: ks. Roman Jankowski

Ks. Roman Jankowski urodził się 28 sierpnia 1889 roku we wsi Bebechy proskurowskiego powiatu podolskiej guberni. Dzisiaj ta miejscowość nazywa się Jasnózirja i znajduje się około 50 km na południe od Chmielnickiego.

Jak sam wspominał w życiorysie napisanym jesienią 1936 roku w ramach prowadzonego śledztwa, po-

chodził z włościańskiej rodziny, w której wychowywało się czterech synów i córka. Ojciec był kowalem i kiedy dzieci podrosły, przeprowadził się do Płoskirowa (dziś Chmielnicki), gdzie prowadził własną kuźnię. Rodzina, podobnie jak wiele innych, żyła w biedzie i dzieci od najmłodszych lat musiały pracować. Roman skończył dwie klasy szkoły miejskiej i zatrudnił się w



Stalinowski gulag



Do stalinowskich gułagów wtrącano wszystkich – działaczy partyjnych, chłopów, robotników i... księży. Można tam było trafić na długie lata

miejskowej aptece. Po przepracowaniu trzech lat zdolny chłopak złożył egzamin na asystenta prowizora. W 1910 roku wstąpił do seminarium duchowego, które ukończył w 1915 roku. W tym czasie umarł jego ojciec Władysław.

Po ukończeniu seminarium został oddelegowany na ponad rok do Braclawia. Stamtąd trafił do Humania, gdzie uczył w miejscowej szkole. Po tym, jak Wojsko Polskie z oddziałami Szymona Petlury odeszło z terenów Ukrainy, ks. Roman wyruszył do Berdyczowa, który pozostał bez księdza rzymskokatolickiego. W tym czasie wielu księży i przedstawicieli miejscowych polskich elit wycofało się wraz z armią do Rzeczypospolitej. W Berdyczowie nie zatrzymał się długo i następną parafię otrzymał w ówczesnym miasteczku, a dzisiejszej wiosce Trojaniw. Miejscowy ksiądz Sawicki także poszedł za Piłsudskim.

Ks. Roman pracował w tamtejszej parafii przez pięć lat i powrócił do Berdyczowa. Tutaj, w czerwcu 1925 roku po raz pierwszy został aresztowany. Ponie-

waż nie udowodniono mu winy (oskarżano go o pomoc osobom polskiego pochodzenia w nielegalnym przekraczaniu granicy i ucieczce z ZSRR), księdza wypuszczono z aresztu.

Ponownie aresztowano go w 1927 roku. Władze bolszewickie ponownie oskarżyły księdza o stworzenie punktu przerzutowego Polaków do Rzeczypospolitej, który, rzekomo, istniał w Berdyczowie przy klasztorze OO. Karmelitów od 1920 roku. Zachowała się prośba śledczego GPU w Berdyczowie z dnia 11 lipca 1927 roku o przedłużenie śledztwa o dwa miesiące. Księdzu zarzucano, że razem z o. Bronisławem Jarosińskim przerzucił przez granicę wiele polskich rodzin. Komuniści znajdowali okoliczne rodziny, które miały krewnych w Polsce, i zmuszali je, by świadczyły, że to właśnie ks. Roman namówił ich do porzucenia rodzinnych stron. Jeden podobny wypadek udowodniono Jankowskiemu. Przyznał się mianowicie do tego, że dał swojemu bratu 25 rubli na drogę, kiedy ten uciekał do Polski.

Z Berdyczowa w 1928 roku ksiądz został przewieziony do więzienia w Charkowie, gdzie w dniach 29-30 września odbył się proces za „zamkniętymi drzwiami”. Sąd uznał Jankowskiego za winnego i skazał go na 9 lat łagrów. Z okazji 10 rocznicy rewolucji październikowej wyrok skrócono do 6 lat.

Dwa lata spędził ksiądz w areszcie śledczym a 4,5 roku na Wyspach Sołowieckich. Po tym okresie władze zesłały księdza do Kazachstanu, gdzie przez ponad pół roku mieszkał w Ałma-Acie. Dopiero w 1934 roku dostał zezwolenie na powrót do rodzinnych stron. W Berdyczowie i Żytomierzu jednak nie zatrzymał się na długo i wyjechał do parafii do wsi Uszomyr, dziś rejon korosteński. Pobytowi księdza sprzeciwiła się miejscowa milicja, motywując to tym, że jest zbyt niebezpieczny, by mieszkać w strefie przygranicznej. Tak więc znaleziono dla ks. Romana parafię leżącą jak najdalej od granicy, we wsi Kotelnia (dzisiaj wieś Stara Kotelnia obwodu żytomierskiego).

Ks. Jankowski pracował w tej parafii przez ponad rok, aż do momentu, kiedy władze bolszewickie zamknęły kościół, a jemu poradzono wyjechać. Ponieważ jechać nie miał dokąd, dlatego ks. Roman pozostał na miejscu jeszcze przez pewien czas. Pod koniec lata 1935 roku został ponownie aresztowany.

Zarzucano mu, że od jesieni 1934 r. i do chwili aresztowania prowadził działalność kontrrewolucyjną i nacjonalistyczną, zwłaszcza wśród młodzieży. Zachęcał ją do nie brania udziału w pracach komsomolskich, pionierskich i innych radzieckich organizacji społecznych; zajmował się antykołchoźnianą propagandą, której celem było przeciwdziałanie wzrostowi kolektywizacji i sprzyjanie upadkowi kołchozów; był organizatorem zbiorowego oszczerczego protestu przeciwko przedsięwzięciom władz radzieckim w dziedzinie religii. Sprawę ks. Jankowskiego połączono z tak zwaną „*Sprawą rewolucyjnej i faszystowskiej organizacji rzymsko-katolickiego i unickiego duchowieństwa na Prawobrzeżnej Ukrainie*”. Oskarżono 19 osób: 7 księży rzymskokatolickich, jednego gracko-katolickiego i 11 wiernych. Wyrok w tej sprawie wydał nie sąd, a specjalne kolegium dowództwa NKWD na Ukrainie. Jankowskiego skazano na 5 lat i zesłano do łagru Czybiu w Komi ASSR. Po upływie 5 lat ks. Roman Jankowski został przeniesiony do Kazachstanu.

Na Ukrainę wrócił dopiero po zakończeniu II wojny światowej. Od 1946 do 1987 roku prowadził pracę duszpasterską. Zmarł w wieku 98 lat. Dwa lata później na podstawie decyzji prokuratora ks. Roman Jankowski został zrehabilitowany i oczyszczony z zarzutów.

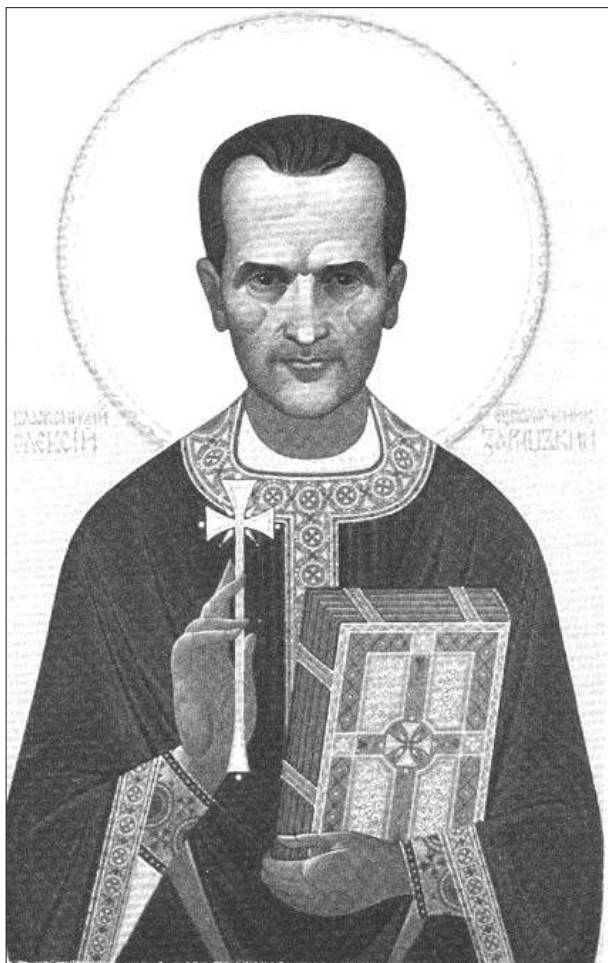
Karaganda – centrum katolicyzmu w ZSRR

W latach 30. ubiegłego wieku obwód karagandyjski w Kazachstanie gwałtownie stał się wielonarodowy. Przyczyną tego była polityka ZSRR wobec mniejszości narodowych, szczególnie Polaków. Polaków zsyłano na mocy rozporządzenia Rady Komisarzy Ludowych ZSRR nr 776-120 z dnia 28 kwietnia 1936 „*O przesiedleniu osób narodowości polskiej z Ukraińskiej SSR*”. Według danych z Kazachstanu, w tym czasie na tereny wokół Karagandy trafiło 14 048 rodzin, czyli 63 976 osób. 75% procent, czyli około 48 tysięcy z nich byli polskiej narodowości. Drugi transport z Polakami z Kresów Wschodnich przybył do Kazachstanu w latach 1939 – 1941, za czasów „pierwszych sowitów”. Do tej liczby należy dodać deportowanych do Azji Środkowej Niemców, z których wielu także było katolikami. Nie można tu nie wspomnieć o Ukraińcach wyznania grecko-katolickiego. Dokładną ilość katolików zgromadzonych w Karagandzie i okolicach trudno ustalić. Bez wątpienia było ich tutaj około 300 tysięcy.

Wśród więźniów było także bardzo wielu księży. Od lat 50. w Karagandzie służył ks. Władysław Bukowski. Jak pisali oficerowie służ specjalnych w doniesieniach do swoich przyłożonych, „*ksiądz w Karagandzie przeprowadzał nielegalne zebrania wierzących katolików, gromadząc na nich znaczną ilość młodzieży, w tym także dzieci w wieku szkolnym. Zachęcał na nich do kontynuowania religijnego fanatyzmu i odrywał młodzież od edukacji komunistycznej i uczestnictwa w społeczno-politycznym życiu kraju. Nabywał, przechowywał i propagował reakcyjną literaturę o antyradzieckiej treści*”.

Po dziesięciu latach łagrów w Karagandzie zamieszkał ks. Aleksander Staub, Niemiec z pochodzenia, w swoim czasie jeden z najbardziej wpływowych zesłańców w środowisku niemieckich.

Obok nich ukraińskich katolików gromadził ks. Oleksy Zarycki – w 1957 roku mianowany greckokatolickim administratorem apostolskim dla Kazachstanu i Syberii. Odprawiał msze nie tylko dla Ukraińców, ale również w obrządku zachodnim dla Polaków i Nie-



Bl. Oleksa Zarycki

mców. W 2001 roku został beatyfikowany przez Jana Pawła II.

Przebywał tu także biskup dwóch obrządków Kościoła katolickiego Aleksander Chira, rektor Seminarium Duchownego greckokatolickiego w Użhorodzie. W Karagandzie wyświęcił ponad 30 księży i trzech biskupów.

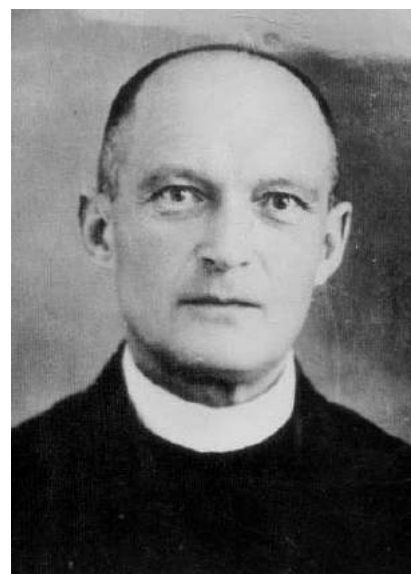
Tutaj przebywali także: ks. Stanisław Drzepecki, ks. Józef Kuczyński, ks. Józef Świdnicki. Nie można nie wspomnieć o litewskim księdzu Albinasie Dumbliauskasie, który przybył do Karagandy nieco później, na początku lat 60. XX w.

W połowie lat 50. w Karagandzie powstały trzy podziemne kościoły. Ks. Władysław Bukowiński założył jeden dla Polaków, litewski ksiądz – dla Niemców i ukraiński – dla grekokatolików. Istniały niedługo, zaledwie kilka lat. W 1957 roku władzom bolszewickim udało się je zlikwidować. Brak kościołów rekompensowano w bardzo prosty sposób: księża chodzili po domach, w których zbierano sąsiadów, i odprawiali msze. Informacje o katolickich księżach różnych narodowo-

ści z Karagandy szybko rozchodziły się w katolickim podziemiu. Z różnych zakątków ZSRR ciągnęli do Karagandy wysiedleńcy-katolicy, którzy mieli zakaz powrotu w rodzinne strony. Szczególnie wielu było wśród nich Niemców. Jest znana historia zakonniczki Klary Ritter, która mieszkała z rodziną na Północy. Ich ojciec pojechał do Kazachstanu i po pewnym czasie wrócił i zabrał bliskich do Karagandy. Dzieciom powiedział, że mieszkać można wszędzie, „a w Karagandzie jest wiara”.

Ks. Bukowski wspominał, że „pracy duszpasterskiej było tu bardzo dużo. Szczególnie z powodu przyjezdnych. Jechali nawet po kilka tysięcy kilometrów, żeby znaleźć księdza. Jechali tak z Zachodu, jak i ze Wschodu. Z Północy i dalekiej Syberii.”

Pierwszy kociściół władze pozwoliły budować dopiero w połowie lat 70 XX w. Biskup Chira do tego momentu podzielił kraj na parafie, które liczyli nie więcej niż 1,5 tys. wiernych. W parafiach rządziły komitety kościelne, które składały się z przedstawicieli tych narodowości, które zamieszkały na terenie parafii. Na początku lat 80. w Karagandzie funkcjonowało już 12 oficjalnie zarejestrowanych parafii, liczących ponad 150 tys. katolików. Udało się nawet zorganizować podziemną produkcję krzyżyków, medalików i obrazków, które wierni rozpowszechniali po całym ZSRR.

Ks. Władysław
Bukowiński

Ks. mgr Władysław Bukowiński, Ukrainiec biskup Chira, Litwin ks. Albinas Dumbliauskas, Niemiec ks. Aleksander Staub spoczywając dziś na cmentarzu na terenie parafii kościoła p.w. św. Józefa w Karagandzie. Tego samego kościoła, który jako pierwszy został zbudowany w tym mieście wspólnym wysiłkiem wszystkich katolików.

U ŹRÓDEŁ HYMNIKI POLSKIEJ

*Pieśni polska, tyś jak rosa,
Co na spiektą duszę spada!
[...]
Szczęsny, ponad czyją głowę
Skrzydło swoje tyś rozpięta,
Gdy mu z piersi rzucisz słowo:
„Jeszcze Polska nie zginęła!”*

Władysław Bełza



„Boże, coś polskę” Alojzego Felińskiego (część 2)

Próba interpretacji hymnu Felińskiego

1. Analizę hymnu „Boże, coś Polskę” przeprowadzamy tylko na jego dwóch wersjach: macierzystej z pierwodruku (= F.) oraz składankowej z rękopisu (= F.G.), co nie oznacza pominięcia innych, ważnych dla nas, jego wariantowych ujęć. (Oba teksty cytujemy w niniejszej pracy.) Najwięcej oczywiście uwagi poświęcimy tekstowi macierzystemu z 1816 r., choćby i z tego względu, że, jak pisaliśmy, dwie pierwsze jego strofy wraz z przerobionym refrenem stały się do dziś.

Autorytatywne informacje źródłowe, cytowane już przez nas, wskazują, iż hymn Felińskiego powstał „z

ducha” angielskiego hymnu „God save the King”, granego na galówkach kościelnych w Królestwie Polskim w 1816 r. W poprzednim rozdziale pisaliśmy o jego funkcji w genezie hymnu Felińskiego, co wyjaśnia w zupełności problem wyboru wzorca przez poetę. Prawozorca, z którego wywodzą się inne głośnie hymny, np. „Gott erhalte Franz den Kaiser”, „Boże, cara chrań” (ten ostatni ze słowami Wasilija Żukowskiego).

Hymn angielski anonimowego autorstwa słów i melodii (choć przypisuje się je różnym twórcom), po raz pierwszy wykonany w 1745 r., był wtedy wyłącznie wyrazem lojalności wobec panującego Jerzego II, a słowa „*pokrzyżuj ich chytne plany*” dotyczyły pokonanych w 1745 r. powstańców Jakobitów, zwolenników byłej dynastii Stuartów, i nie miały odniesienia ogólniejszego do jakiegoś zewnętrznego wroga całego kraju. Tekst został nieznacznie zmieniony, kiedy pieśń stała się narodowym hymnem Wielkiej Brytanii.

Nie mają racji ci badacze, którzy bez uzasadnień dopatrują się naśladownictwa hymnu angielskiego przez Felińskiego. W rzeczywistości inspiracja ta była natury ogólniejszej, wynikała co najmniej z dwóch źródeł powiązanych ze sobą: obrzędowego oraz gatunkowo-topicznego. O pierwszym była już mowa w poprzedniej części pracy. „God save the King” zdomował się już w paradnej obrzędowości państwowo-kościelnej Królestwa Polskiego, a więc nawiązanie do niego gwarantowało nowemu hymnowi zdobycie szybszej popularności, oraz, co nie jest bagatelne, hymn angielski był wzorcem zarówno arcywysokim, jak i politycznie nie drażliwym. Jego topika odpowiadała hymnicznemu gatunkowi już nowoczesnemu, to jest kościelno-świeckiej proveniencji: była adekwatna do podniosłej i uroczystej pieśni nie tyle sławiącej Boga i pośrednio króla, ile proszącej Boga o roztoczenie opieki nad królem,

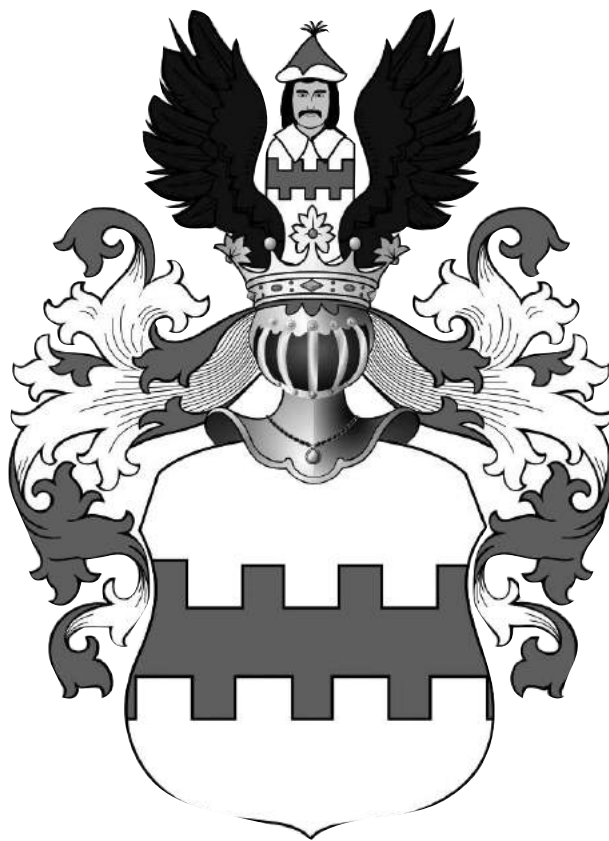


Alojzy Feliński

opieki – oczywiście – zapewniającej mu zwycięskie, szczęśliwe, świetne, długie i pełne innych łask panowanie, w którym monarcha będzie obrońcą praw poddanych oraz zawsze będzie dawał im „powody” do wdzięczności wyrażanej śpiewem z pełnego serca i głosu: „God save the King”. Te górujące w utworze świeckie elementy, związane pośrednio z tematyką religijną, poświadczają jego przeznaczenie obrzędowe.

W hymnie angielskim podmiot zbiorowy jako wykładnik patriotycznych odczuć jedności narodowej eksponuje w modlitewnej apostrofie Boga i króla. Nie występują oni jednak na równych prawach i pozycjach władców. Hierarchiczny dystans i zależność króla od Boga są w hymnie angielskim silnie akcentowane. Oczywiście, Feliński przejął słynne, arcypopularne w obrzędowości hymnicznej archetypy Boga i króla, ale na innych prawach ich wzajemnego stosunku (o czym będzie mowa później). W incipitowej apostrofie modlitewno-błagalnej (ten drugi, jakże istotny element emocji hymnu Felińskiego nie ma odpowiednika w angielskim hymnie) eksponował jednak Boga i Polskę, akcentując już na wstępie hierarchię najwyższych wartości. Dopiero ostatni wers refrenu wprowadza motyw króla reprezentatywny dla funkcjonowania i adresu pieśni. Ale ten motyw w strukturze ideowo-artystycznej pieśni jest niewspółmiernie późniejszy w stosunku do wiodącego: Boga. W hymnie angielskim jest przeciwnie: apeluje się do Boga o zachowanie (strzeżenie) króla, ale jemu pośrednio poświęca się najwięcej uwagi przez wyliczanie i określanie wielu prośb do Niego skierowanych, a związanych przecież z osobą panującego króla i jego obowiązkami wobec narodu. Tych koncepcji (także o obowiązkach króla wobec narodu) hymn Felińskiego nie podejmuje. Aluzje i realia historyczno-narodowe oraz poglądy polityczne są w hymnie Felińskiego szeroko rozbudowane dla argumentacji historiozoficznej, mocno zakotwiczonej w dziejach Polski. W utworze angielskim nie ma tak rozbudowanej argumentacji ani tylu służebnych jej realiów historycznych. Natomiast obie pieśni wiąże ich hymniczna poetyka: kościelno-świecka, modlitewna.

2. Błagalno-liryczny rodzaj pieśni Felińskiego, w stylu hymnicznej tradycji antyku, realizował założenia gatunkowe owoczesnej poetyki reagującej bezpośrednio na wielkie wydarzenia historyczne czasów napoleońskich i pośnapoleońskich. W pierwodruku – jak informowałem – utwór uzyskał tytuł określający wyłącznie jego gatunek: Hymn. W edycji drugiej, z „Pamiętnika Warszawskiego”, ów wyznacznik gatunkowy został wzbogacony informacjami dotyczącymi



Herb Felińskiego „Farensbach”

okazjonalności oraz przeznaczenia tej pieśni: „Hymn na rocznicę ogłoszenia Królestwa Polskiego z woli naczelnego wodza wojsku polskiemu do śpiewu podany”. Natomiast w spisie rzeczy tegoż „Pamiętnika Warszawskiego” figuruje tytuł: „Hymn do Boga za pomyślność króla”. Liczne przeobrażenia tekstu (o czym pisaliśmy w części 1, powodowały oczywiście zmienność jego tytułów, a więc np.: „Modlitwa”, „Do Boga”, „Boże, coś Polskę” (bardzo często stosowany tytuł incipitowy).

Struktura podmiotu lirycznego „Boże, coś Polskę” jest znamieną dla takiego gatunku hymnicznego. Wiąże się ona z apostroficzno-modlitewnym, podniosłym i uroczysto-obrzędowym charakterem pieśni. Jej podmiot liryczny występuje w formie monologu we wszystkich czterech strofach jako bliżej nie określony partner – „petent” Boga, do którego kieruje w apostroficznych zwrotkach prośby, będące wszakże – jak akcentują niezmiennie refreny pieśni – własnością zbiorowości potraktowanej jako chór uczestniczący w litaniijnej modlitwie narodowej. Owe refreny ujawniają i podkreślają obecność podmiotu zbiorowego, którym jest naród polski. Podmiot liryczny, tj. ów petent, posiada głęboką koncepcję dziejów narodu polskiego i jego stosunku do Boga. Koncepcję tę wyznaje – oczy-

Alojzy FELIŃSKI (ur. 1771 w Łucku, zm. 23 lutego 1820 w Krzemieńcu) – polski poeta, dramatopisarz, tłumacz, historyk i teoretyk literatury.

Pochodził z rodziny szlacheckiej Felińskich herbu „Farensbach”. Był synem Tomasza Felińskiego (sędziego ziemskiego), bratem Gerarda Felińskiego, szwagrem Ewy Felińskiej i stryjem św. Zygmunta Felińskiego. Młodość spędził w rodzowym majątku w Wojutyniu pod Łuckiem. Od lat dziecięcych był przyjacielem, poznanego w Porycku, Tadeusza Czackiego.

Kształcił się w kolegium pijarów w Dąbrowicy oraz w szkole powiatowej we Włodzimierzu Wołyńskim. Od 1788 roku pracował jako dependent w kancelarii prawnej w Lublinie, a poprzez tamtejszą palestrę zbliżył się do K. Koźmiana. Wkrótce porzucił palestrę, wyruszył do T. Czackiego i wraz z nim w roku 1789 wyjechał na sejm do Warszawy. W latach 1789 – 1792 przebywał w Warszawie i uczestniczył w obradach Sejmu Czteroletniego. W tym okresie pisywał bezimiennie broszury polityczne i tworzył swe pierwsze poważniejsze utwory literackie. Bywając w domu kanclerza Jacka Małachowskiego poznał wielu ówczesnych pisarzy i poetów. Wespół z Michałem Wyszowskim, K. Tyminieckim, M. Dzieduszyckim czynnie uczestniczył w spotkaniach kółka dyskusyjnego młodych literatów warszawskich, nad którym pieczę sprawował O. Kopczyński. W roku 1790 wraz z T. Czackim przebywał w Krakowie, a kilka miesięcy później (1791 r.) objął rolę nauczyciela jego siostrzeńca Jana Tarnowskiego. W tym okresie często przebywał w Warszawie oraz w należącej do rodu Tarnowskich Dzikowie.

W 1794 roku podczas insurekcji pełnił funkcję sekretarza do korespondencji francuskiej i adiutanta Tadeusza Kościuszki oraz komisarza porządkowego wołyńskiego. Po upadku powstania na krótko zamieszkał u Tarnowskich w Dzikowie. Począwszy od lutego 1795 roku mieszkał w Wojutyniu, gdzie administrował rodzinnym majątkiem i prowadził dzierżawę Klepaczu. W roku 1800 poślubił Józefę Omiecińską i osiadł we wsi Osowa (pow. Nowogród Wołyński), którą zarządzał już od maja roku 1796.

W 1809 roku został wybrany członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W 1815 roku zamieszkał w Warszawie i związał się z grupą pseudoklasyków. W 1818 roku został profesorem literatury i dyrektorem Liceum Krzemienieckiego. W 1819 roku otrzymał członkostwo honorowe Uniwersytetu Wileńskiego.

Pierwsze utwory zaczął pisać w latach 1788 – 1789 będąc kancelarzystą (dependentem) w Lublinie. Większość swoich dzieł napisał jednak w latach 1800 – 1815 podczas pobytu w Osowej. Jego najslynniejszym utworem jest pieśń hymniczna „Pieśń narodowa za pomyślność króla” (1816 r.), która w wersji Antoniego Goreckiego zyskała popularność w okresie XIX wieku jako hymn patriotyczny i kościelny „Boże, coś Polskę”. Poza tym był autorem dramatu „Barbara Radziwiłłówna” (1811 r.) i pieśni: „Pochwała Kościuszki” (1792 r.) oraz „Pieśń ochotników” (1794 r.). W 1816 roku opublikował pracę na temat ortografii.

wiście – owa refreniczna zbiorowość, podkreślając swą szczególną więź emocjonalną z Bogiem.

Podmiot liryczny zwraca się do Boga w imieniu zbiorowości, która jego wypowiedzi wieńczy, w czterech refrenach litanijnych, błagalną formułą:

*Przed twe ołtarze zanosim błaganie,
Naszego Króla zachowaj nam, Panie!*

W pierwodruku „Hymnu” tę pozorną dwoistość podmiotów ujawnia instrukcja dla śpiewających znajdująca się nad refrenem: „Chór”. Mamy zatem jakby dwie odmiany podmiotu w apostroficzno-chóralnej strukturze hymnu, które w wykonaniu melicznym – jak świadczą ówczesne sprawozdania prasowe – uzyskały również charakterystyczne rozróżnienie: strofy śpiewane były przez „*dobrane spomiędzy wojskowych [...] głosy*”, a „*reszta wojska śpiewa chór kończący każdą strofę*”, to jest refreny.

Język artystyczny utworu operuje wielkimi udratyzowanymi pojęciami: Bóg, Polska, król; liryzmem patriotyczno-religijnych wzruszeń, podniosłym tonem, uroczystym stylem pozbawionym wszakże grandilo kwencji, retorycznego deklamatorstwa czy pietystycznego sztafażu.

Utwór Felińskiego jest pieśnią błagalną do Boga w sprawie Polski i jej Króla. Bóg i Polska są podstawowymi wyznacznikami hymnicznej modlitwy, nadrzędnymi, lecz spójnymi w stosunku do „*Naszego Króla*”. Wyznaczniki te, konstytutywne dla podniesłego tonu i wysokiego stylu wypowiedzi, są wobec siebie w różnorodnych relacjach i zależnościach. Najwyższy autorytet sprawczy losów Polski, tj. Bóg, jedyny tylko partner podmiotu lirycznego, eksponowany w każdej strofie, (podobnie jak i Polska), nie jest wszakże adresatem, „autonomicznym przedmiotem” – jak to bywa w wielu hymnach – któremu poświęca się najwięcej uwielbiającego czy dziękczynnego „zainteresowania”. Jego wielkość opieki nad Polską, jego wszechmoc sprawiedliwej nad nią władzy, jego surowa ojcowska miłość do wybranego narodu są dobrane i podnoszone wyłącznie w aspekcie kwestii polskiej. Nie dla refleksji moralizatorsko-dydaktycznych czy adoracyjno-hołdowniczych, jak w innych tego typu hymnach. Owo „zainteresowanie” jest służebne w stosunku do szeroko potraktowanej i rozbudowanej problematyki historycznej, historiozoficznej dotyczącej Polski. To ona wraz ze swoimi świetnymi, a jednocześnie tragicznymi dziejami, ze swą nową współczesnością jest „bohaterem” modlitewnych błagań. Tak rozłożone akcentowanie sprawi, iż utwór, będąc modlitwą błagalną, jest przede wszystkim patriotycznym hymnem w sprawie Polski, którą opiekuje

się Bóg. Ten właśnie czynnik sprawił, iż pieśń mimo wiernopoddanego charakteru zasłużyła i zapewniła sobie żywotność w bogatym swym potomstwie sfolkloryzowanych wariantów i adaptacji.

W każdej z czterech strof hymnu obecna jest Polska w swej poczwórnej dziejowej panoramie: I – „*licznych wieków [...] potęgi i chwały*”; II – upadku oraz walk o niepodległość; III – wskrzeszenia w postaci Królestwa Polskiego; IV – przyszłości, która wróci jej „*światność starożytną*”. Ta doskonale skonstruowana syntetyczna dziejowość jej epok (choć później nie ostała się w pełnym wymiarze strof tekstu) jest poważnym osiągnięciem artystycznym, nadającym utworowi znamiona hymnu o Polsce, z błagalną prośbą o wrócenie jej „*światności starożytnej*”. To znaczy, iż ów *status quo* Królestwa Polskiego (ze strofy trzeciej), mimo iż zakwalifikowany został jako cudowne wskrzeszenie Polski, nie zadowala, nie uzyskuje akceptacji, zgody na taką okrojona Polskę. Stąd prośba błagalna do Boga o wrócenie jej – powtórzmy – „*światności starożytnej*”, to jest tej, która w strofie I – dzięki opiece Boga – trwała „*przez tak liczne wieki*”. Ta ostatnia prośba błagalna musiała śpiewających napawać szczególnym optymizmem, w okolicznościach oficjalnego „państwowego” jej zgłaszania.

Inwokacje i apostrofy do Boga wzywającego w różnych wielkich sprawach, wierzeniach, nastrojach, konwencjach i stylizacjach posiadają archetypową proveniencję. Najwyższą swą hierarchię uzyskują w sferze przeżyć oraz odniesień czysto religijnych i religijno-patriotycznych, właśnie jak w pieśni Felińskiego.

Wiemy, ile popularności zawdzięczają pieśni swym chwytliwym w tradycji narodowej incipitowym frazom, pełnym skojarzeń dziejowych i pragnień pokoleniowych (klasycznym tego przykładem „Jeszcze Polska nie zginęła”) wraz z ich unarodowioną topiką. „Boże, coś Polskę” jest doskonałym tego świadectwem. Bóg i Polska w tej ewokacji korespondują ze sobą w kwestiach najistotniejszych dla narodu, mianowicie wolności oraz świetności państwa zarówno w jego historii jak i współczesności.

Intymność wzruszeniową tej nielicznej modlitwy do Boga w sprawie Polski uzyskuje także Feliński za pomocą kreowania podmiotu lirycznego w pełni pokory i ufności akceptującego wyroki Boga. Boga, który w tej wysokiej roli jest przecież adresatem traktowanym przez ów podmiot wyłącznie w kategoriach sprawy polskiej.

3. Wiadomo, iż refreniczne błagania chóru o zachowanie przez Boga „*naszego króla*” są związane kon-

Alojzy Feliński

„HYMN”

Boże! coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
I tarczą swojej zasłaniał opieki
Od nieszczęść, które przywalić ją miały;

Przed twoje ołtarze zanosim błaganie,
Naszego Króla zachowaj nam, Panie!

Ty, coś ją potem, tknięty jej upadkiem,
Wspierał walczącą za najświętszą sprawę
I chcąc świat cały mieć jej męstwa świadkiem,
Wśród samych nieszczęść pomnożył jej sławę;

Przed twoje ołtarze itd.

Ty, coś na koniec nowymi ją cudy
Wskrzesił, i sławne z klęsk wzajemnych w boju
Połączył z sobą dwa braterskie ludy
Pod jedno berło Anioła pokoju;

Przed twoje ołtarze itd.

Wróć nowej Polsce światność starożytną
I spraw, niech pod Nim szczęśliwą zostanie;
Niech sprzyjażnione dwa narody kwitną
I błogosławia Jego panowanie;

Przed twoje ołtarze itd.

„Gazeta Warszawska” nr 58, Warszawa 20.07.1816 r., s. 1321 (zdjęcie poniżej). Jest to pierwodruk utworu Alojzego Felińskiego, poprzedzony informacjami m.in. o okolicznościach powstania i funkcjonowania tej pieśni. (Tekst macierzysty – F.)



BOŻE! COŚ POLSKĘ...

Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki
Okrytą blaskiem potęgi i chwały
Nagle spod swojej usunął opieki
I wznioł te Ludy, co Jej służyć miały.

Przed Twe Ołtarze zanosim błaganie,
Naszą Ojczyznę racz nam wrócić, Panie!

Ty! coś ją potem, tknięty jej upadkiem,
Wspierał walczącą za najświętszą sprawę
I chcąc świat cały mieć Jej męstwa świadkiem,
Wśród samych nieszczęść pomnożył Jej sławę.

Przed Twe – itd.

Niedawno zabrał wolność z Polskiej ziemi
A łez, krwi naszej popłynęły rzeki;
Jakże okropnie to być musi z temi,
Którym ty wolność odbierzesz na wieki.

Przed Twe – itd.

Jedno Twe słowo, wielki gromów Panie!
W chwili nas z prochów wskrzesić będzie zdolne,
Gdy znów zasłużym na Twe ukaranie.
Obróć nas w prochy, ale w prochy wolne!..

Przed Twe – itd.

AGAD, Kanc. Nowos. 564, s. 172. Tekst otrzymałem dzięki uprzejmości dr Wiesława Pusza. Tekst jest składanką „Hymnu” A. Felińskiego (2 pierwsze strofy i refren) oraz „Hymnu do Boga o zachowaniu wolności” A. Goreckiego (2 dalsze strofy). (Tekst składanki – F.G.)

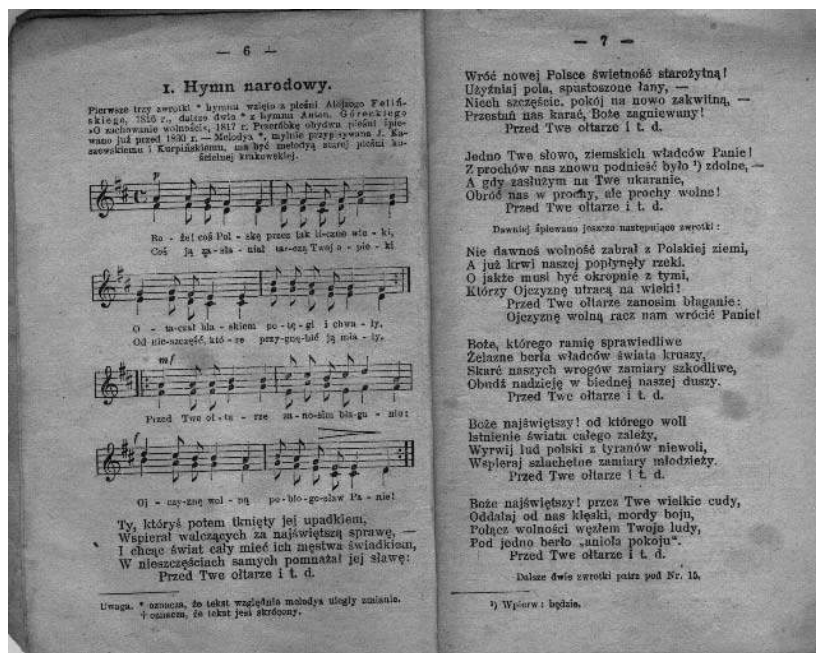


Pocztówka z tekstem pieśni
„Boże coś Polskę...” wydana
w Warszawie w 1910 r.
i przechowywana w
Bibliotece Narodowej

kretnie z caro-królem Aleksandrem I. Dla współczesnego czytelnika ów komentarz jest niezbędny, pieśń bowiem nie nazywa imiennie króla, a więc operuje pozornie uogólnieniem „ponadhistorycznym”. Również kontrowersyjny atrybut caro-króla: „*Anioł pokoju*” nie ujawnia adresata, a więc w rozumieniu „*maluczkich śpiewaków*” posiada wymiar uogólniający. Z historii wiemy jednak, iż mianem „*Anioła pokoju*” obdarzali współcześni Aleksandra I, przeciwstawiając go „*aniołowi burzy*”, tj. Napoleonowi – „*bogowi wojny*”. „Millenaryzm antynapoleoński” kreował cara Aleksandra I, pogromcę Napoleona, na opatrnościowego mesjasza, wnosząc zmianę orientacji mesjanistycznej. [...] „*Anioł pokoju*” w hymnie Felińskiego nie ma konkretnego odniesienia antynapoleońskiego, lecz dotyczy ono wyłącznie losów „wskrzeszonej” Polski pod berłem caro-króla. Nie jest również symbolem europejskiego czy słowiańskiego mesjasza. Nie jest nawet potraktowany w funkcji rzeczywistego mesjasza, ów „*Anioł pokoju*” w pieśni Felińskiego jest toposem zarówno skonwencjonalizowanym, jak i skonkretyzowanym imiennie (o czym wie dziś historyk). Występując w tych dwóch funkcjach, uzyskuje jeszcze trzecią, mianowicie obrzędowo-religijną. Jest ona stylowo prymarną w tym hymnie przeznaczonym do śpiewu w kościele podczas galowych mszy. A więc ów topos uzyskuje dystynkcje religijne, upoważniające również do wykładni angelologicznej.

„*Anioł pokoju*” zaczerpnięty z bogatego repertuaru popularnej topiki angelologicznej, będąc przeciwieństwem „*anioła niszczyciela*”, „*anioła burzy*” (z płomiennym mieczem), jest wysłannikiem Boga spełniającym na ziemi jego wyroki. Felińskiego „*Anioł pokoju*”, tak udatnie stylowy, symbolizuje nie tylko pokój militarny po strasznej zawierusze napoleońskiej, która wyczerpała organizm społeczny i ekonomiczny oraz wyniszczyła gospodarczo ziemie polskie, ale również jest gwarantem ładu, stabilizacji polityczno-ekonomicznej, zapewniającej Królestwu Polskiemu wszechstronny rozkwit dobrobytu, wolności, przemysłu, handlu, rolnictwa, nauki i sztuki, jak to poświadcza wspomniany wiersz Kopczyńskiego „*Ad Alexandrum Rossiarum...*” znany dobrze Felińskiemu. Symbolizuje także braterski pokój między dwoma walczącymi dotąd narodami. Właśnie owemu „*Aniołowi pokoju*” dał Bóg sankcje („*bertło*”) panowania nad połączonymi z woli Boskiej dwoma „*braterskimi ludami*”.

Przyrównania władcy do Boga i ich sojusze szczególnie mocno eksponowano w propagandzie polskiego napoleonizmu z lat Księstwa Warszawskiego. Np. w



Nuty miniaturowe nr 614. Brak informacji o dacie wydania

dniu urodzin Napoleona obchodzonych w Warszawie (15.08.1812 r.) iluminowano na transparentach slogan: „*Cieszcie się, dzieci, żeście Polakami, / Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z wami*”. Ten głośny slogan akcentujący uprzywilejowany status Polaków w opatrnościowych koncepcjach Napoleona, podejmowany w wielu wariantach przez ówczesnych poetów (np. Kajetana Kóźmiana w „Odzie na pożar Moskwy w

skiej „Odzie na upadek dumnego”, powstałej w 1815 r. Wówczas ów cytowany slogan mógłby brzmieć: „*Cieszcie się, dzieci, żeście Polakami, / Bóg jest z Aleksandrem, Aleksander z wami*.” Podjął zatem Feliński „uliczny” spopularyzowany slogan, nadając mu aktualną wymowę polityczną.

Topos „*Anioła pokoju*” posiada w utworze Felińskiego raczej stylizację religijną niż świecką, ze względu na charakter i służebność hymnu parakościelnego, ze względu na koncepcję Boga oraz jego stosunek do owego Anioła. Ten ostatni problem odpowiada w pełni angelologii katolickiej, która (według „Encyklopedii katolickiej”) traktuje naturę anioła wyłącznie „w odniesieniu do Boga”. Anioł jest wysłannikiem wypełniającym polecenia Boga (odpowiednio do spełnionych poleceń uzyskuje wiele nazw, imion). W hierarchii bytów zajmuje miejsce między Bogiem a ludźmi, stanowi o ich przymierzu, wobec nich spełnia służebne funkcje, z finalną: zbawieniem człowieka. Topos ten tak mocno był zakotwiczony w wierzeniowej świadomości odbiorców pieśni Felińskiego, iż pozostawał jeszcze w transformowanych tekstach hymnu nawet wówczas, gdy za-



Napoleon – „duch czarny”



Aleksander I – „car biały”

1812 r.”) znalazł się również w identycznym omalbrzmieniu w „Panu Tadeuszu” (ks. XI, w. 70). Rozczarowanie klęskami oraz upadkiem Napoleona przynosiło często w bankructwie mitu o niezwykłym geniuszu – obrońcy wolności Polaków inwersyjny adres, skierowany ku... Aleksandrowi I. Albo też odwoływanie apoteozy Napoleona, jak w Kóźmianow-

brakło mu caro-króla Aleksandra I. Dla tych maluczkich, którzy nie orientowali się w dziejach przeobrażeń tekstowych hymnu, ów topos stawał się atrybutem Boga!

„*Anioł pokoju*” należy, jak wspomniano, do grona aniołów dobrych, wykonuje więc polecenia Boże pomysłne i korzystne dla szczęśliwej przyszłości zarówno

narodu polskiego, jak i rosyjskiego. Jest zatem władcą wyłącznie dobrym, „*carem białym*”. [...] Przeciwnieństwem „*cara białego*” był „*duch czarny*” – Napoleon. Car jest zatem władcą dobrym, bo realizuje wolę boską, a jego panowanie zasługuje na błogosławieństwo narodów. Wszystko to, co czyni król, pochodzi z inicjatywy i woli Boga, zatem koneksje Boga z carem posiadają sankcje układu niebieskiego, akcentują sojusz Boga z carem w zgodnym rządzeniu narodem i Królestwem Polskim.

Koncepcja takiej topiki „*Anioła pokoju*” w modlitewnym utworze obrzędowo-kościelnym, topiki, której nie należy zatem traktować wyłącznie na prawach stereotypu literackiego, mogła już u współczesnych wywoływać różnorakie zastrzeżenia. Wiemy już, iż sarkali na nią późniejsi interpretatorzy pieśni. Sam Feliński, 13 lat wcześniej (w wierszu „Do Tadeusza Czackiego”), nazwał młodego cara „*Tytusem nowym*”.

Z taką koncepcją cara rozprawi się później romantyzm, a szczególnie głośno Mickiewicz. Ów bliski sojusz Boga z carem eksplodował najmocniej w słynnej bluźnierczej „demaskacji” zbuntowanego Konrada z „*Dziadów cz. III*”.

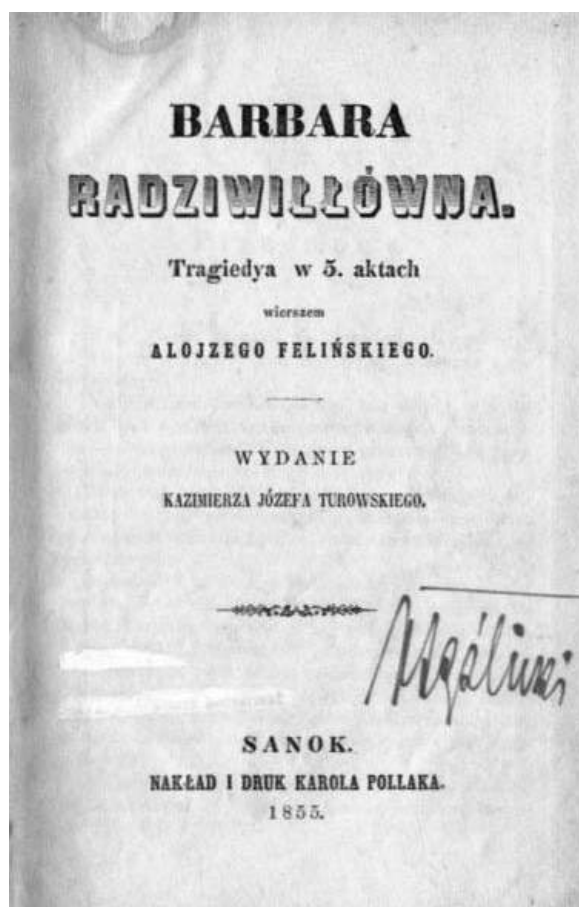
*Krzyknę, żeś Ty nie Ojcem świata, ale...
Głos diabła
Carem!*

Natomiast w „*Reducie Ordonu*”: „[...] *Sypią się wojska, których Bóg i wiara! Jest car [...]*”. Dla niektórych badaczy współczesnych, np. Szmy, problem sojuszu Boga z „*Aniołem pokoju*” w takiej koncepcji Felińskiego jest „bluźnierczy”, „gorszący” czy „zgrzytliwy”.

Poetyckie złudzenia Felińskiego co do planów politycznych Aleksandra I wobec Polski, rokujące jej „*świećność starożytną*”, były – jak wiemy – udziałem innych również ówczesnych poetów okolicznościowych oraz zwolenników orientacji Czartoryskich, powołujących się np. na braterstwo Słowian, przyrównujących cara do Bolesława Chrobrego. Nawet dawny napoleończyk Antoni Gorecki (szykanowany później przez cara za swoje wiersze), który polemizował z hymnem Felińskiego, jeszcze w 1818 r. liczył na króla Aleksandra, deklarując swą wierność obywatelsko-żołnierską w wizji przyszłej mocarstwowej Polski. W wierszu pt. „*Powrót do Polski*” pisał:



Helena Modrzejewska – najwybitniejsza odtwórczyni roli Barbary Radziwiłłówny w sztuce Alojzego Felińskiego



Strona tytułowa tragedii „Barbary Radziwiłłówny” autorstwa Alojzego Felińskiego. Sanok 1855 r.

*Ja wiem, że wzrośnie Polska, ale strasznym bojem –
I stoję, Aleksandrze, za puklerzem twojem.
Nie podłżym – przeciw tobie walczyłem pałaszem,
Dziś cię kocham, bom Polak, a tyś królem naszym.*

Nie ma potrzeby szerzej uzasadniać ówczesnej żywotności idei braterstwa polsko-rosyjskiego pod egidą caro-króla. W owych kilku latach po klęsce Napoleona były one reprezentatywne i często podejmowane przez twórców, głoszone np. w Warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk, sprzężone z głośnymi tendencjami słowianofilskimi, mesjanistycznymi. Odwoływały się do odległych koneksji historycznych, liczyły na zwiększenie europejskiego autorytetu Polski, na przywrócenie jej „świątyni starożytnej”.

Problem połączenia dwóch „braterskich ludów”, dwóch „sprzyjańsionych narodów”, ma w utworze Felińskiego podwójną argumentację: personalną związaną z caro-królem oraz pochodną – słowianofilską. Nurt słowianofilstwa nie pozbawiony różnorodnych i antagonicznych orientacji już dawno żłobił świadomość narodową Słowian, również w kierunku idei politycznego panslawizmu. Feliński podejmuje te polityczne tendencje poprzez motyw „jednego berła”. Jego słowianofilskie idee podkreśla braterskie partnerstwo dwóch „ludów”: polskiego i rosyjskiego. Uzyskuje ono jednakowo zaszczytną lokatę w hierarchii „sław” zbratanych ludów: są one bowiem „sławne z klęsk wzajemnych w boju”, to znaczy, iż wzajemne klęski uczyniły je sławnymi. W partnerstwie heroicznych klęsk oba ludy stały się sławne, a więc w równym stopniu tego najwyższego narodowego przymiotu są godne wzajemnego „sprzyjańsienia” i rozkwitu. Feliński nie nazywa – taktownie – owych „klęsk wzajemnych w boju”. Mogą one dotyczyć insurekcji kościuszkowskiej, a najpewniej wojen napoleońsko-polskich z Rosją. Komentator nie rozstrzygnie tej sprawy definitywnie, ale zaniepokoi się koncepcją historycznego równowartościowania „wzajemnych klęsk w boju” przynoszących „sławę”. Jak to – zapyta w interesach i racjach polskich także?! Wzajemne klęski mają być rękomią zbratania? Na jakiej zasadzie argumentacyjnej: historycznej, moralnej, religijnej czy politycznej? Jakkolwiek odbierzemy tę aluzję do „klęsk”, jest ona w naszym odczuciu patriotycznym niepokojąca.

Argumentacja „braterstwa” przeprowadzona przez Felińskiego jest – jak sądzę – dość charakterystyczna. Głównie polityczna. Autor nie sięga po typowe idee braterstwa plemiennego (braterstwo heroizmu stanowi kryterium dowodowe dla równopartnerstwa obu narodów), solidarności i pokrewieństw słowiańskich, oparte na przekonaniu o wyjątkowych wartościach



Antoni Gorecki (ur. w 1787 r. w Wilnie, zm. w 1861 r. w Paryżu) – polski poeta, satyryk i bajkopisarz, powstaniec listopadowy i uczestnik wojen napoleońskich

tkwiących w Słowiańszczyźnie, która ma do wypełnienia wielką misję dziejową. Stało się tak również – jak wolno przypuszczać – dzięki przewadze w hymnie tendencji mesjanistycznych, providencjalistycznych, związanych z dziejami wybranego i wyróżnionego przez Boga narodu, mianowicie polskiego.

4. Mesjanizm, providencjalizm Felińskiego nie jest także nowym zjawiskiem w jego koncepcjach historyzoficznych. Najbliższe ich koneksje odnajdujemy w twórczości Jana Pawła Woronicza, szczególnie w jego arcygłosnym „Hymnie do Boga” (1809 r.) oraz w poglądach carofilskich biskupa z okresu Królestwa Kongresowego, z wyłączeniem wszakże patriotycznego profetyzmu oraz pokutniczego cierpiętnictwa. (Porównanie obu hymnów wymaga oddzielnego opracowania.) Providencjalistyczny mesjanizm „Boże, coś Polskę”, wyrażany w stereotypowej jeremiadzie modlitwy błagalnej, dotyczy historii Polski, wybranej, wyróżnianej, doświadczanej oraz kierowanej przez Boga w jej dziejowych losach i zadaniach. Polski, pozostającej w całym biegu swej historii pod szczególną pieczęcią Opatrzności Boga – troskliwego i kochającego Ojca, a zarazem sprawiedliwego i surowego sędziego narodu. (Pamiętajmy, że ta koncepcja jest żywa i wyznawana przez określone kręgi aż do dnia dzisiejszego, stąd zapewnia aktualną żywotność hymnowi Felińskiego.) Wszystkie wyroki Boga kształtujące i kierujące dziejami Polski (nb. te dla narodu i państwa

najbardziej tragiczne znalazły w hymnie również optymistyczną interpretację!) są przyjmowane z pokorą, z pełną akceptacją i zgodą, ponieważ ufność w sprawiedliwą opiekę Boga nad wybranym narodem musi – w ostateczności – przynieść mu szczęśliwą przyszłość.

Ów „polski Bóg” otaczał Ojczyznę przez „liczne wieki” „blaskiem potęgi i chwały”, osłaniał od nieszczęść „tarczą swojej [...] opieki”, „wspierał” – wzruszony jej upadkiem – walczących „za najświętszą sprawę”, „pomnożył” w jej „nieszczęściach” sławę męstwa na skalę światową, cudownie „wskrzesił” i zbrałał narody sławne z „klęsk wzajemnych”. W błagalnej modlitwie wierzy się, iż ten Bóg wróci „nowej Polsce” „światłość starożytną”, że pod szczęśliwym, błogosławionym panowaniem caro-króla zakwitną dwa narody.

Hymn Felińskiego akcentuje aż dwukrotnie (w strofach 2 i 3) aktualne dobrodziejstwa wynikające z opieki Boga nad ojczyzną naszą, mianowicie jej cudowne „na koniec” wskrzeszenie jako „nowej Polski”, ów wyznacznik czasowy „na koniec” deklaruje wiarę w ostateczny kres nieszczęść narodu i jego zmartwychwstanie oraz pełną ufność w nieograniczoną miłość Boga do narodu polskiego. Natomiast określenie „nowa Polska”, w znamienitym kontekście: „Wróć nowej Polsce światłość starożytną”, oznacza jej nowy rozdział dziejowy, zarówno w klimacie „braterstwa dwu ludów”, jak i w nadziei wrócenia przez Boga Polsce jej dawnej, prastarej światłości!

Trzeba było streścić koncepcje historiozoficzne Felińskiego, aby uwypuklić ogrom łask opieki Boskiej nad Polską; nawet tych, które spotykają ją – z woli Boga – w najcięższych dla narodu chwilach, eufemistycznie potraktowanych w takiej właśnie koncepcji. Jest to zatem „polski Bóg” najbardziej dla nas łaskawy, wyróżniający szczególnie nasz naród!

Ale i sam naród w tej optyce mesjanistyczno-prowidencjalistycznej uzyskiwał wyłącznie tylko najwyższe wartości narodowo-religijne: męstwo, bohaterstwo, sławę walk „za najświętszą sprawę”, pełną ufność w opiekę Boga, zgodę na jego wyroki. Te cechy są szczególnie mocno akcentowane przez poetę. Motyw nie skomentowanych przyczyn upadku Polski jest wprowadzony tylko dla podkreślenia przejęcia się Boga („tknięty jej upadkiem”) losem Polski i udzielenia jej wsparcia w walkach. Nawet klęski w nich poniesione, z woli Boga, mają – jak już wiemy – dla wybranego narodu wyjątkowe, płodne i optymistyczne znaczenie. Powtórzmy: „Wśród samych nieszczęść” narodowych Bóg „pomnożył” właśnie sławę Polski, a świadkiem jej męstwa uczynił „świat cały”.

W takiej koncepcji historiozoficznej nie było miejsca na krytycyzm wobec przeszłości, na wskazanie przyczyn i winnych upadku Polski, a więc na stereotypowe dla idei mesjanicznych ciągi pokuty, oczyszczeń, doskonalenia się, upadków i odradzania, nagrody i kary. Mesjanistyczna heroizacja i monumentalizacja Polski w aspekcie Boskiej opieki, ufnie przyjmowanej, pozbawione są zatem w pieśni Felińskiego pokutniczego krytycyzmu wobec historycznych przewinień narodu oraz akcentów cierpiętnictwa narodowego, jakże częstych w tego typu utworach! (Sfolkloryzowane wersje „Boże, coś Polskę” z okresu przed Powstaniem Styczniowym i w czasie jego trwania – jak wiadomo – przesycane były tego rodzaju tendencjami i deklaracjami!) Koncepcja ta wypływała pośrednio z optymistycznego providencjalizmu, który głosił nieustanne ojcowskie rządy Opatrzności Boga nad Polską, wiarę w nieskończoną dobroć jego i wypróbowaną dziejowo przychylność dla naszej sprawy, akceptowane z ufnością i posłuszeństwem przez sławny i wybrany naród polski. Ta w pełni optymistyczna, a zarazem profetyczna argumentacja przywołująca najwyższy autorytet religijny, odsłania nam tajemnice powodzenia narodowego pieśni oraz jej moc mobilizowania, budzenia odwagi.

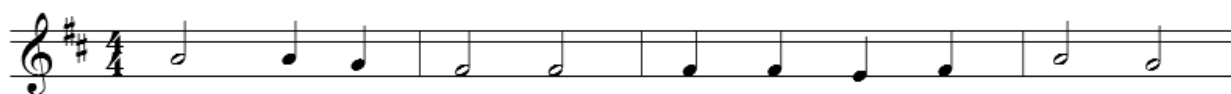
Scharakteryzowany przez nas mesjanistyczny providencjonalizm „Boże, coś Polskę”, tak silnie zakorzeniony w katolickiej kulturze Polaków, jest orientacją narodową bardzo żywą i popularną w naszej współczesności, omal chlebem powszednim wierzących. [...]

5. Jak wynika z informacji części 1 niniejszej pracy, już przed 1820 r. anonimowy sprawca dokonał kontaminacji dwóch pierwszych strof. „Hymnu” Felińskiego z dwiema ostatnimi „Hymnu do Boga o zachowaniu wolności” Antoniego Goreckiego, dokonując w tej składance rozmaitych zmian, szczególnie istotnych w przejętym przez niego refrenie Felińskiego, który to refren uległ przeróbce:

*Przed Twe Ołtarze zanosim błaganie,
Naszą Ojczyznę racz nam wrócić, Panie!*

Oczywiście, w tej nowej lekcji, po odrzuceniu 3 i 4 strofy „Hymnu” Felińskiego, nie było już ani „Anioła pokoju”, ani braterstwa dwu ludów pod jego berłem. Składanka jako całość podwyższyła ton modlitwy błagalnej, umniejszyła optymizm wiary w Opatrzność Boską kierującą dziejami Polski oraz zmodyfikowała koncepcje mesjanistyczne w aspektach hierarchicznego stosunku między narodem polskim i rosyjskim oraz

Boże, coś Polskę



1. Bo - że, coś Pol - skę przez tak li - czne wie - ki
 2. Ty, któ - ryś po - tem tknię - ty jej u - pad - kiem
 3. Po - wsta - ła zgro - bu na Twe wła - dne sło - wo



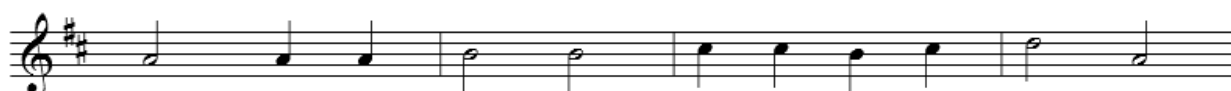
1. o - ta - czał bla - skiem po - tę - gi i chwa - ły,
 2. wspie - rał wal - czą - cych za naj - świę - tszą spra - wę,
 3. Pol - ska, wol - no - ści na - ro - dów cho - rą - ży,



1. coś ją o - sła - niał tar - czał swej o - pie - ki
 2. i chcąc świat ca - ły mieć jej mę - stwa świad - kiem,
 3. pierz - chnę - ły stra - że, a po - nad jej gło - wą



1. od nie - szczęść, któ - re po - gnę - bić ją mia - ły.
 2. w nie - szczę - ściach sa - mych po - mna - zał jej sła - wę.
 3. zno - wu swo - bo - dnie O - rzeł Bia - ły krą - ży!



Przed two oł - ta - rze za - no - sim bla - ga - nie:



Oj - czy - znę wol - ną po - bło - go - sław, Pa - nie!

martyrologii zniewolonej Polski. W szczegółach problemy owych zmian przedstawiają się następująco.

Już pierwsza strofa przeróbki Felińskiego (F.G.) sygnalizuje znamieny stosunek podmiotu lirycznego do Boga, sprawcy losów Polski, którą nagle („*Okrytą blaskiem potęgi i chwały*”) Bóg „*spod swojej usunął opieki*”. Brzmi w tym stwierdzeniu nuta gorczy, żalu, rozczarowania, może i pretensji o niesprawiedliwość wyroków, co akcentuje wers następny, powiązany przyczynowo z

poprzednim: „*I wzniósł te Ludy, co Jej służyć miały*”. To znaczy: odbierając Polsce wolność, Bóg nagrodził i wyróżnił zaborcze ludy (tj. głównie Rosję), które właśnie „*służyć miały*”. W aspekcie koncepcji mesjanistycznych, traktujących Polskę jako mesjasza, wybranca, wybawiciela narodów, stanowisko takie odbija radykalna poglądy z lat 20. XIX w., kształtując już idee narodowo-wyzwoleńcze nie pozbawione wszakże nacjonalistycznej argumentacji. Przypomnijmy, iż w „Hymnie” Feliń-

skiego jest z gruntu przeciwstawna koncepcja. Feliński głosił bowiem równorzędne „sprzyjażnione” braterstwo obu ludów, ugruntowane sławą... ich wzajemnych klęsk.

Refreniczna, niezmienna tekstowo prośba z F.G. w sposób jednoznacznie jawny wyraża błaganie zanoszone do Boga, by raczył wrócić narodowi „naszą Ojczyznę”. Ta jednoznaczność spuentowanej jakby prośby konkretyzuje i wyjaśnia wszystkie „materie” historyczne (zawarte w 4 strofach), sprowadzając je nieodmiennie do prośby o wolną Ojczyznę. Wyjaśnia je oczywiście nie w sensie komentowania faktów, sytuacji lub poglądów historycznych, lecz ukazywania ich służebności w stosunku do idei wolnej Ojczyzny. Jednoznaczna prośba, zanoszona w pokornym błagalnym tonie („*racz nam wrócić Panie!*”, – tj. *chciej łaskawie...*), łagodzi jakby gorzkie wyrzuty i lamentacyjne cierpiętnictwo doświadczanego tragicznie narodu.

Musimy zatem zwrócić uwagę na fakt, iż anonimowy przerabiacz owej składanki stał się jej współautorem, bowiem w sposób twórczy przeobraził patriotyczno-religijną ideologię hymnu F. Nie była to więc robota mechaniczna, rzemieślnicza.

Strofa druga F. została przejęta do tekstu F.G. bez jakichkolwiek zmian, pasowała bowiem organicznie do koncepcji owego przetwórcy, szczególnie w refleksji mesjanistycznej, iż Bóg nawet w nieszczęściach Polski wyróżnianej przez niego „pomnożył jej sławę”.

Strofa trzecia, autorstwa Goreckiego, poddana nieznaczącej (choć pod względem ideowym znamiennej) przeróbce, wniosła do hymnu F.G. istotny ładunek lamentacyjnej skargi, martyrologicznego pesymizmu, które w znaczniejszym jeszcze stopniu zawładną ową pieśnią, powiększoną bardzo znacznie pod względem objętościowym w okresie manifestacji patriotycznych 1860 i 1861 r. Dwa pierwsze wersy tejże strofy F.G. nawiązują do historycznych wydarzeń:

„*Niedawno zabrał wolność z polskiej ziemi,/ A łez, krwi naszej popłynęły rzeki*”.

Komentarza wymaga ów wyznacznik czasowy sformułowany około 1820 r.: „*Niedawno...*” oznacza on odległość czasową zaledwie kilkuletnią, a więc w tym utworze musi określać inną miarę czasu, mianowicie czasu sfolkloryzowanego. „*Niedawno*” nie jest zatem wyznacznikiem temporalnym konkretnych historycznych wydarzeń (bo ich nie było), lecz spełnia funkcję zsyntetyzowanego uogólnienia czasu dziejowego owych wydarzeń, tj. utraty wolności, która jest tak żywym, tak bolesnym i zawsze świeżym w świadomości narodowej wydarzeniem, iż uzyskuje kwalifi-

kacje „*aktualnej niedawności*”, lekceważy (jak w pieśni ludowej) miarę czasu rzeczywistego.

Ta „*niedawność*” w kompresji folklorystycznego czasu utraty niepodległości ma spotęgować, wyolbrzymić tragizm cierpienia narodu, który tak niedawno pozbawiony wolności, przelał już w tym krótkim czasie swej niewoli „*rzeki*” łez i krwi! Wiara w rychły Boski dar wolności jest zatem pośrednio mocno osłabiona. Szczególnie w kontekście następnej refleksji. Ta „*niedawność*” spełnia bowiem aluzyjną funkcję „*oskarżycielską*” w stosunku do jakże okrutnych wyroków Boga, który może nawet odebrać narodowi „*wolność [...] na wieki*”. Jest w tej lamentacji i refleksji aluzyjnej wyrażona pośrednio skarga na Boga i do Boga za jego bezwzględność wyroków wobec wybranego narodu polskiego. A refleksja o losie innych – którym Bóg odbiera wolność na wieki, nie jest pozbawiona narodowej trwogi o los Polski. Ten stosunek pokornego do granic jakby ostatecznego doświadczenia petenta wobec Boga, petenta, który czyni mu poprzez skargi i błagalne lamentacje „*wymówki*”, nie mógł być akceptowany przez przewencyjną cenzurę kościelną, która przyjąwszy hymn do obrzędowości kościelnej i wyraziwszy zgodę na jego obecność w książeczkach do nabożeństwa, odrzuciła czy też zrezygnowała z tych właśnie powodów z obu strof Goreckiego.

Ostatnia strofa pieśni Goreckiego, przyjęta do owej składanki z drobnymi wprowadzami, choć istotnymi zmianami, najlepsza w słabym skądinąd utworze tego „Tarteuszka”, spożytkowuje w wariantowym ujęciu głośny werigiański cytat z „Eneidy” (4,625/): „*Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor*” (oby z kości naszych powstał mściciel). Ten zasłużony patriotycznie w naszej kulturze aforyzm, spopularyzowany literackimi wariantami w patriotycznej poezji romantycznej, zwieńcza analizowaną składankę F.G., nadając jej zgoła odmienną od tekstu F. romantyczną puentę. Jej bogata obecność w polskiej tradycji literackiej zadecydowała o najdłuższej żywotności tej strofy, która ostała się w różnorakich przeróbkach hymnu.

6. Głośny „Hymn do Boga” J.P. Woronicza wyznaczył określoną karierę werigiańskiemu aforyzmowi, specyficznie skonstruowanemu na kanwie profetycznego mesjanizmu, który w upadku Polski widział jej odrodzenie z woli i decyzji Boga wyrzeczonej przez niego słowami skierowanymi do wybranego narodu: „*Kości spróchniałe! powstańcie z mogiły! Przywdziejcie ducha i ciała, i siły!*” Anonimowy przerabiacz strofy Goreckiego podjął ten motyw w wariantowym ujęciu, pełnym błagalnego patosu i tragizmu, nie po-

zbawionego jednocześnie nadziei. Ów tragizm wynika z operowania perspektywą dwóch periodów narodowych: aktualnego i przyszłego, kształtowanych z woli i według wyroków Boga-sędziego, który kieruje losami Polski. Liryczny petent błagając, wierzy, iż nawet jedno słowo Gromowładnego, tj. karzącego Boga, będzie zdolne w jednej chwili „z *prochów wskrzesić*” naród polski. Natomiast dla jego przyszłości, gdy ten naród ponownie zasłuży na karę boską, pragnie ów petent wyprosić inny wyrok Boga: „*Obróć nas w prochy, ale w prochy wolne!*..”

Bóg bowiem jest mocen zarówno z *prochów wskrzesić* naród, jak i karząc go ponownie, obrócić „w *prochy [...] wolne*”. A więc nieograniczona dobroć Boga w stosunku do przewinień narodu miłującego wolność jest obecna nawet w wyroku boskim skazującym Polskę na śmierć... w wolności. Ta tragiczna alternacja, absurdalna dla przyszłości życia narodu i losów państwa, sformułowana w romantycznym stylu, wypływa z mesjanicznych założeń o nawrotach niewoli i odrodzeń, nagrody i kary, pokuty i oczyszczenia, klęski i zwycięstwa. Wierzone, iż narodowy Feniks zmartwychwstaje z popiołów poprzez śmierć w oczyszczającym ogniu, że ten proces jego śmierci i odradzania się jest naturalny.

W wielu wierszach, szczególnie z Powstania Listopadowego, ów motyw „*prochów wolnych*” przynależny do wergilijskiego pnia występuje w rozmaitych unarodowionych wariantach. Największy rozgłos przyniosła mu „Warszawianka” Delavigne’a – Sienkiewicza: „*Kto przeżyje, wolnym będzie; / Kto umiera, wolnym już*”. Taka śmierć nie jest zatem karą Boga za grzechy, nie wynika z jego gromowładnej woli, z faktu pokuty narodowej.

Zważmy jednak, iż w tekście analizowanej składanki problem winy oraz grzechów głównych popełnionych przez naród polski, a także problem karzącego rozrachunku z tymi grzechami jest nieobecny, nie poruszony bezpośrednio ani w konkretach, ani w uogólnieniach. A to z przyczyn intencjonalnych, mianowicie konsolacyjnego apoteozowania i heroizowania narodu wybranego i wyróżnionego przez Boga. Nawet w nieszczęściach tego narodu! Ta konsolacyjna koncepcja wynikająca z mesjanistycznej wiary w życie i losy Polski podległej Bogu do dziś jest żywa, w czasach dla narodu ciężkich czy tragicznie poplątanych.

Wobec folklorystycznych przeobrażeń tekstów „Boże, coś Polskę”, o których wspominaliśmy w pierwszej części pracy, przeobrażeń rozmaitych, tj. zmieniających nieraz w sposób istotny koncepcję ideową czy realia historyczne tego hymnu, trzeba by podjąć szereg analiz szczegółowych, dotyczących reprezentatywnych

lekcji tekstowych. Robiliśmy to dorywczo i dość powierzchownie, przedstawiając najważniejsze etapy biegu życia pieśni.

Na koniec powtórzmy, w wariantowym ujęciu, naszą refleksję wstępną. Któż dziś wie lub pamięta, czy też „odważy się” przypominać o tej kontrowersyjnej prehistorii arcylojalnego hymnu? Nawet niektórzy monografiści stwierdzają pośpiesznie, że nie warto to zachodu badawczego, lub sterują zgrabnie po szlakach źródeł o jednoznacznej wymowie ideowej, służebnej ich koncepcjom. Wydaje się przecież, iż możliwie najpełniejsze ukazanie problemów antytetycznie poplątanych oraz formowanych przez naszą historię w dziejach tego hymnu jest nie tylko obowiązkiem badacza, ale wzbogaca nasze doświadczenia narodowe, chroni przed dziedziczeniem zwodniczych stereotypów i mitów narodowych tak często i tragicznie doświadczanych przez rzeczywistość. Ale przede wszystkim odsłonięcie całych dziejów hymnu, już od początku nacechowanych dramatycznością naszego historyzmu (zarówno w sferze przeobrażeń tekstowych jak i ich służebności narodowych), głębiej i mocniej nas przywiązuje do tej pieśni, nasyconej tak różnorodnymi i kontrowersyjnymi tradycjami historycznymi. Nie umniejsza to – bynajmniej – jej wielkości i splendoru narodowo-kościelnego. Właśnie przez to, iż jawi się nam ona jako ciągle żywy, pulsujący wielorako i zmiennie „organizm” służący najwyższym celom: Bogu i Polsce.

Stan badań nad pieśnią „Boże, coś Polskę” nie może satysfakcjonować ani historyka literatury, ani muzykologa. Wyjątkową wartość posiadają m.in. artykuł J. Stręciwilk „Boże, coś Polskę” z „Encyklopedii katolickiej” (t. II, Lublin 1976), czy komentarze M. Janion z „Reduty romantycznej poezji niepodległościowej” (Kraków 1979). Do najlepszych, choć dalekich od wyczerpania tematu, należą np. dwie prace: K. Bartoszyńskiego „Boże, coś Polskę (W setną rocznicę)” („Tygodnik Ilustrowany” 1916, nr 31-33) oraz T. Szymy „Boże, coś Polskę. Dzieje legendy” („Tygodnik Powszechny” 1979, nr 1). Naukowa wersja niniejszego eseju przyniesie Czytelnikowi zarówno pełniejszą bibliografię, jak i dokumentację źródłowo-komentarzową oraz polemiczną. Liczne informacje encyklopedyczne, antologiczne, a nawet podręcznikowe specjalistyczne nie przynoszą na ogół zadowalających ujęć syntetycznych.

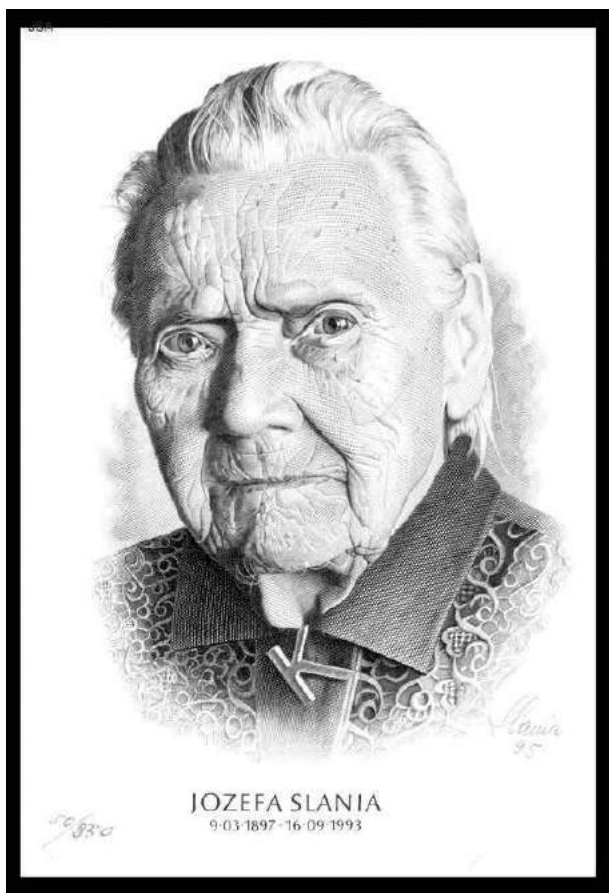
Bogdan ZAKRZEWSKI

WYBITNI POLACY: Król ryłca – Czesław Ślania

Filatelistyka, czyli kolekcjonowanie znaczków pocztowych, to nie zabawne dziwactwo, jak mniemają niektórzy, lecz – dokładnie tak, jak np. sport – rozległa i bogata dziedzina kulturotwórczej aktywności człowieka. Uprawiali ją m.in.: ostatni cesarz Imperium Rosyjskiego Mikołaj II Romanow (którego unikatowy zbiór zrabowali podczas rewolucji 1917 roku bolszewicy i przetransportowali do USA, przekazując go następnie bankierskiej rodzinie Hammerów, odesskich emigrantów, słynnych spekulantów i zapalonych filatelistów oraz numizmatyków), laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki Albert Einstein, dyktator Włoch Benito Mussolini, filozof Alfred Rosenberg, prezydent USA Franklin Delano Roosevelt, pisarz rosyjski Maksym Gorki, cała plejada intelektualistów, naukowców i artystów w wielu krajach. (Kolekcjonerami książek oraz srebrnych monet i medali byli m.in.: król Fryderyk II Wielki, kanclerz Rzeszy Adolf Hitler, Papież Jan Paweł II.)



Czesław Ślania, autoportret, staloryt



Józefa Ślania, matka Czesława Ślania, staloryt, 1995

A w pięknym opowiadaniu znakomitego pisarza czeskiego i filatelisty Karela Čapka pt. „Zbiór znaczków” czytamy:

„Gdy miałem dziesięć lat, zacząłem zbierać znaczki pocztowe. Mój ojciec jednak patrzył na to niechętnie, widocznie mniemając, że przez tę namiętność zaniedbam naukę w szkole... Musiałem więc ukrywać się z moim albumem na poddaszu, aby ojciec mnie na tym wykroczeniu czasem nie przyłapał. Tam na górze stała stara pusta skrzynia, w której ongiś przechowywano mąkę, i to właśnie w niej z moim przyjacielem Lejzikiem, jak dwie myszki, ukrywaliśmy nasze skarby. «Spójrz, oto Niderlandy, a to Egipt, a to Sverige, czyli Szwecja!» Ponieważ musieliśmy nasze skarby chować przed oczyma osób niepowołanych, czar rósł w dwójnasób i nabierał powabu niemal ukrywanego grzechu... Jak sobie te znaczki zdobywałem, to zupełnie osobna sprawa; wyszukiwałem znajome i nieznajome rodziny oraz upraszałem je, aby



Czesław Ślania. Król i królowa Belgii, staloryt

pozwołyły odklejać znaczki z nadchodzących do nich nowych i przechowywanych gdzieś w szufladach starych listów... To były najszczęśliwsze godziny mego życia, gdy siedząc na podłodze wertowałem z pasją całe stosy zakurzonych starych papierów, poszukując znaczków, jakich, być może, nigdy jeszcze nie widziałem. A się zdarzało, że znalazłem nawet dawną Lombardię czy znaczki małych księstw i wolnych miast niemieckich. Wówczas przeżywałem radość, która niemal mnie bolała – każde niewystawione szczęście powoduje ból. Szeptalem wtem do Lejzika: «Lejzik, Lejzik, mam Hanower!» – «Nie może być!» – «Tak, tak, zobacz!»...

Znajdowałem znaczki Syjamu, Południowej Afryki, Liberii, Afganistanu, Borneo, Brazylii, Nowej Zelandii, Indii, Konga – nie wiem, czy czasem i dla waszego ucha te nazwy nie brzmią tak tajemniczo? Mój Boże, radość, namiętna radość chwytala za serce, gdy np. znalazłem znaczek ze Straits-Settlements czy Korei! Nepal! Nowa Gwinea! Sierra Leone! Madagaskar! To odurzające uczucie, tę pasję przeżywają chyba jeszcze tylko myśliwi tropiący zwierzynę, poszukiwacze skarbów i archeolodzy! Szukać i znaleźć – to największe napięcie uczuć i zado-

wolenie, jakie może spotkać człowieka w życiu. Wówczas przeżyłem najpiękniejsze lata mego życia”...

To wspaniałe, gdy dorastający chłopak ma taką szlachetną, zajmującą umysł i czas, a nikomu nie przynoszącą szkody pasję, ponieważ, jak wiadomo, wolnym czasem zawsze dysponuje szatan.

Chodzi też o to, że znaczki pocztowe to bardzo często miniaturowe dzieła sztuki, niosące informację o różnych państwach i narodach, ich przyrodzie, architekturze, tradycjach, historii, kulturze, wybitnych osobach i wydarzeniach. Uprawianie filatelistyki pełni funkcje estetyczne, oświatowe, poznawcze, a nawet wychowawcze i psychoterapeutyczne, kształtuje bowiem w młodym człowieku tak wartościowe cechy charakteru, jak cierpliwość, wnikliwość, systematyczność, poczucie piękna, konsekwencja w myśleniu i postępowaniu, pracowitość, wytrwałość. Albert Einstein wyznawał, że gdy wracał po długim dniu pracy do domu, otwierał album ze znaczkami i zagłębiał się w ich badanie, wszystkie troski, zmartwienia i kłopoty jakby za machnięciem czarodziejskiej różdżki gdzieś się ulatniały, a nadchodziły spokój, cisza i radość płynące z obcowa-



Bitwa pod Grunwaldem Czesława Słania. Praca dyplomowa

nia z pięknym miniaturowych dzieł sztuki, wykonanych nieraz przez artystów plastyków z prawdziwego zdarzenia.

Najwybitniejszym projektantem znaczków pocztowych w skali globalnej był w XX wieku Polak, Czesław Słania, którego miniatury pocztowe ukazały się w łącznym nakładzie ponad stu miliardów egzemplarzy w ponad trzydziestu krajach.

Urodził się genialny artysta 22 października 1921 roku we wsi Czeladź koło Będzina w śląskiej rodzinie górniczej. Gdy chłopak miał sześć lat, rodzina przeniosła się do wsi Osmolice niedaleko Lublina. Już wówczas przejawiał się wrodzony jego malarski talent, gdyż mały Czesio z zapalem wykonywał miniaturowe rysunki z niesamowitą dokładnością odzwierciedlające otaczającą go większą rzeczywistość, czym wprawiał w osłupienie rodziców i sąsiadów.

W okresie niemieckiej okupacji młody człowiek został wciągnięty do antyfaszystowskiej partyzantki, został oficerem Armii Ludowej; patriotyczne podziemie wykorzystywało jego uzdolnienia grawerskie w celu podrabiania przepustek i innych dokumentów. Po

zakończeniu wojny, w maju 1945 roku, Słania – będący w stopniu porucznika Wojska Polskiego – dostał przydział osiedleńczy w miejscowości Pisarzowice koło Lublina, został właścicielem młyna i kilku hektarów ziemi uprawnej.

Jednak już jesienią tegoż roku 24-letni młodzian udał się na studia do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie specjalizował się w miniaturowych pracach graficznych pod kierunkiem profesora Wiktora Chomicza. Jego pracą dyplomową był staloryt w formie znaczka pocztowego o tematyce „*Bitwa pod Grunwaldem*” według obrazu Jana Matejki. Później znaczek ten został wyemitowany przez Poczta Polską, autor zaś rozpoczął pracę zawodową w Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych i w urzędzie Poczty Polskiej początkowo w Łodzi a następnie w Warszawie. W 1950 roku zaprojektował – zgodnie z wymogami sytuacji społecznej – znaczek polski z podobizną generalissimusa Józefa Stalina, który to znaczek jednak nie został wydany.

Pierwszy wykonany w całości przez młodego wówczas mistrza znaczek pocztowy, upamiętniający „*80-lecie Komuny Paryskiej*”, a przedstawiający wizerunek generała Jarosława Dąbrowskiego, ukazał się w marcu 1951 roku. Na tym właśnie znaczku po raz pierwszy widniało imię i nazwisko autora: Czesław Słania. W



Znaczek Królestwa Szwecji wykonany według stalorytu Czesława Słania.
Obok – powiększone fragmenty stalorytu, na których
widać misterną pracę Mistrza



tymże roku Poczta Polska wyemitowała serię „7. rocznica ogłoszenia Manifestu Lipcowego” oraz znaczek z podobizną prezydenta Bolesława Bieruta. W czerwcu 1952 zostaje wydany kolejny znaczek Słania z okazji „Międzynarodowego Dnia Dziecka”, ukazujący B. Bieruta w otoczeniu dziewięciorga dzieci; następnie ukazuje się seria poświęcona 70-leciu założenia partii „Proletariat” oraz znaczek „Ibn Sina Awicenna”. W 1954 wydrukowano „160. rocznicę Powstania Kościuszkowskiego” oraz „Zwierzęta pod ochroną”; w 1955 – „V Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny imienia Fryderyka Chopina” i „Pomnik Kopernika w Warszawie”; w 1956 – „Pomnik Bohaterów Getta w Warszawie” oraz „Igrzyska Olimpijskie w Melbourne 1956”.

Współczesnego czytelnika może niejako wprawić w zakłopotanie okoliczność, iż znakomity artysta projektował m.in. znaczki o tematyce „komunistycznej”, ale powinno się wiedzieć, że w epoce realnego socjalizmu wszystkim kierowała w Polsce partia marksistowska, która także malarzom wskazywała, co i jak mają malować, dziennikarzom – co i jak pisać, kompozytorom – co i jak komponować. Dopiero z biegiem czasu „dyktatura proletariatu” nieco zelżała i artystom



pozwolono na znaczną swobodę ruchów. Tak jak dziś warunki życia ostatecznie dyktuje kapitał, wówczas dyktowali komuniści.

Ciekawostkę dla zbieraczy stanowi okoliczność, że za modele podczas grawerowania anonimowych postaci na znaczkach nieraz służyli Czesławowi Słani członkowie jego rodziny, przyjaciele, znajomi, a w ornamenty znaczków były wpisywane mikroskopijnym pismem, możliwym do odczytania tylko przez lupę o silnym powiększeniu, ich imiona.

W sierpniu 1956 roku Słania opuścił Polskę i wyjechał do Szwecji; widocznie po prostu szukał bardziej sprzyjającego klimatu dla swej twórczości, chciał uwolnić się od partyjnej kurateli, od bezinteresownej polskiej zawiści, od małostkowych zaczepki i głupich pretensji przełożonych. Uległ też chyba najbardziej rozpowszechnionemu zabobonowi epoki socjalizmu, mianowicie przekonaniu, że Zachód to raj, królestwo wolności i obfitości, w którym dolary leżą na chodniku i trzeba tylko się pochylić, by je zbierać. Tak jak tysiące innych emigrantów zza „żelaznej kurtyny” Czesław Słania srodze się zawiódł, nikt go bowiem w Szwecji nie oczekiwał z otwartymi ramionami i nikomu nie był tam potrzebny. Przyszło mu więc sprzątać zachodnie brudy, zmywać rondle w podrzędnej restauracyjce w



Polskie i szwedzkie znaczki zaprojektowane przez Czesława Słanię



Sztokholmie. I to przez dobrych kilka lat. Traf jednak chciał, że ta jadalnia mieściła się na parterze stołecznego gmachu szwedzkiej Poczty Głównej.

Aby nie stracić wprawy w sztuce grawerskiej, wykonywał we własnym zakresie, „do szuflady”, projekty znaczków, na których przedstawiał podobizny znanych osobistości ze świata popkultury i polityki, jak Marilyn Monroe, Brigitte Bardot, Denis Day, Sophia Loren, Richard Nixon, Charles de Gaulle, Winston Churchill, John Fitzgerald Kennedy, Mao Tse Tung, królowa brytyjska Elżbieta II, monarchini Szwecji Sylwia, hrabia Lennart Bernadotte i jego małżonka Sonia, „Mistrzowie świata wagi ciężkiej w boksie” (23 znaczki). Dopiero po długich trzech latach zmywania naczyń dzięki nowym znajomościom udało się wreszcie panu Czesławowi zatrudnić na stanowisku asystenta w dziale produkcji znaczków Poczty Szwedzkiej. A przecież mało brakowało, by ten wielki talent, tak jak szereg innych, nie został dostrzeżony i znikł na zawsze nawet się nie ujawniając na skutek fatalnych okoliczności losowych. Przypadek sprawił, że w pewnym momencie ciężko zachorował czołowy grawer szwedzki Sven Evest, a jego projekt trzeba było pilnie sfinalizować; zaryzykowano i dokończenie zadania powierzono Polakowi; ten zaś wywiązał się ze swego obowiązku według zasady „Polak potrafi” – na medal.

Po odejściu w 1960 roku Svena Evesta na emeryturę jego miejsce zajął Czesław Słania i od tej chwili rozpoczął błyskotliwą i błyskawiczną karierę najwybitniejszego grawera znaczków w krajach skandynawskich, a faktycznie w całej Europie. Na rozmaitych corocznych wystawach filatelistycznych cudne miniaturki pocztowe Czesława Słania kilkadziesiąt razy zdobywały złote medale i wyrobiły mu imię najbardziej znanego na kuli ziemskiej artysty w tej gałęzi sztuki graficznej. W 1981 roku powołana została Szwedzka Akademia Sztuki Fi-

latelistycznej imienia Czesława Słania; w Danii ukazał się album jego prac pt. „*Mestaren Czesław Słania: Biografi och Katalog*”. W 1983 znaczek o temacie „*Muzyka w Szwecji*” został uznany za najładniejszy znaczek świata; działo się tak również w kilku innych przypadkach. W 1989 wydano w Niemczech album wszystkich prac Słania. W szeregu krajów po wielokroć organizowano specjalne wystawy, poświęcone jego twórczości; w Polsce uczyniły to swego czasu m.in. Kraków, Wrocław, Warszawa, Jelenia Góra, Radom.

Dzieła mistrza wyróżniał klarowny, harmonijny, nordycki styl, obcy jakiegokolwiek afektacji, pogoni za sztucznym nowatorstwem czy sileniu się na rzekomą „oryginalność”, która faktycznie jest niedorzecznością.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że sztycharstwo i grawerstwo to pradawny rodzaj sztuk plastycznych, znany przed ponad czterema tysiącami lat m.in. w Babilonii i Chinach, nieco później w Japonii, Judei, innych starożytnych cywilizacjach. W XVI wieku w Europie zaczęto stosować grawerstwo do wykonywania klisz drukarskich, co pozwoliło tę subtelna sztukę upowszechnić, a już w XVIII stuleciu był to dość szeroko funkcjonujący zawód w zakresie tzw. rzemiosła artystycznego. Z nurtem tym kojarzone są imiona tak znakomite jak Albrecht Dürer, Gustave Dore, Francois Boucher, Honore Daumier, a znawca twórczości Czesława Słania i jego przyjaciel Zygmunt K. Jagodziński napisał:

„*Tym, czym dla epoki Renesansu był Michał Anioł, tym dla naszych współczesnych był artysta i grafik Czesław Słania, geniusz rytu, miniaturzysta*”.

Czyli że został nasz rodak znakomitym kontynuatorem wielkiej europejskiej tradycji artystycznej w zakresie sztuk plastycznych.

Chodzi bowiem o to, że twórczość Czesława Słania nie ograniczała się do prac w zakresie filatelistyki. Tworzył on również *exlibrisy* stalorytnicze, miniaturowe sztychy, a wykonany przezeń atlas anatomiczny człowieka, opublikowany w kilkunastu krajach, uchodzi za nieprześcignione dzieło wszechczasów w tej dziedzinie.

Znaczki pocztowe zaprojektowane przez naszego rodaka były wydawane w Argentynie, na Wyspach Alandzkich, w Australii, Austrii, Belgii, Brazylii, W. Brytanii, Chinach, Danii, Estonii, na Wyspach Farerskich, w Finlandii, Francji, Gibraltarze, Grenlandii, Irlandii, Islandii, na Jamajce, w Litwie, Łotwie, na Wyspach Marszał, w Monako, Niemczech, Norwegii, Nowej Zelandii, na Wyspach Owczych, w Polsce, Portugalii, Rosji, San Marino, Singapurze, Szwecji, Tajlandii, Tunezji, USA, Watykanie, Wenezueli, a także przez pocztę ONZ.

Banknoty według projektów Czesława Słania emitowały takie kraje jak Argentyna, Belgia, Brazylia, Dania, Izrael, Kazachstan, Litwa, Portugalia, Szwecja, Urugwaj, USA, Wenezuela. Żaden inny artysta grawer nigdy nie był tak wpływowy, szanowany i popularny. Król Szwecji Gustaw VI Adolf, w 1972 roku, nadał Polakowi tytuł nadwornego grawera, Carl XVI Gustaw wręczył mu medal „*Ósmej wielkości z niebieską wstęgą*”; królowa Danii Małgorzata II wyróżniła Krzyżem Rycerskim Dannebrogem, książę Monako Rainer II – Krzyżem Świętego Karola; Watykan – papieskim Orderem Świętego Grzegorza; Polska – Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej. Oczywiście, same ordery jeszcze o niczym nie świadczyłyby, gdyby w tym przypadku naprawdę nie były one nadane za autentyczne osiągnięcia artystyczne.

Obecnie działa na świecie kilkaset klubów filatelistycznych specjalizujących się w kolekcjonowaniu znaczków zaprojektowanych przez Czesława Słania oraz w badaniu naukowym jego dorobku artystycznego. Zbiornice Danii prowadzą stronę internetową poświęconą twórczości wielkiego mistrza rylca. Towarzystwa im. Czesława Słania funkcjonują w Szwecji, USA, Danii, Niemczech, Polsce. Publikacje o tym wielkim grafiku w różnych krajach idą już bodaj w setki, jeśli nie tysiące. Jego nazwisko trafiło również do „*Księgi rekordów Guinnessa*” jako autora największej liczby wydanych znaczków w całych dziejach poczty powszechnej.

Czesław Słania bardzo często odwiedzał Polskę, na stałe mieszkając w Szwecji; miał w Krakowie własne mieszkanie, w którym się chętnie „chowal” i odgrodzony od świata zewnętrznego oddawał pracy, projek-

tując kolejne znaczki i banknoty. Jak powiada Antoni Kędzior, wiceprezes Zarządu Okręgu Rzeszowskiego Polskiego Związku Filatelistycznego, który osobiście znał Czesława Słanię, był to człowiek o wybitnych walorach intelektualnych, erudyta, znawca języków i historii świata, olbrzymi talent, a jednocześnie ktoś bardzo bezpośredni, dostępny, życzliwy i otwarty. (Jeszcze Mikołaj Rej zwracał uwagę na prawidłowość psychologiczną: o ile człek głupi i mierny, jeśli dostąpi w życiu jakichś zaszczytów, zaraz się nadyma, puszy, sapie i charczy jak wieprz, chodzi na wyprostowanych nogach jak na szczudłach, z góry spoziera na innych, o tyle człowiek naprawdę wartościowy i mądry, nawet gdy los wyniesie go na wyżyny hierarchii socjalnej, zachowuje się naturalnie, rozumnie, życzliwie i po przyjacielsku.) Nasz mistrz rylca potrafił m.in. podjąć w sposób kompetentny każdy temat polityczny czy filozoficzny, ale też lubił dobry żart i ciętą, lecz wytworną, ironiczną uwagę. Krótko mówiąc, był w każdym calu Polakiem z krwi i kości w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Niestety, także i jego niekiedy spotykały ze strony rodaków jakieś niemiłe niespodzianki, jak np. w 1991 roku, kiedy to odmówiono wyemitowania projektu przepięknego bloczku pocztowego, przedstawiającego najstarszą panoramę Krakowa według „*Kroniki świata*” Hartmanna Schedla z XVI wieku, choć artysta, powodowany zapewne względami patriotycznymi, wykonał projekt nieodpłatnie, a sprawa została wcześniej niby to po dżentelmeńsku uzgodniona z kierownictwem Poczty Polskiej. Małostkowa ambicjonalność i banalna zawiść okazały się wówczas mocniejsze niż zdrowy rozsądek i przyzwoitość czy interes narodowy. Inne bowiem kraje płaciły panu Czesławowi imponujące honoraria za tego rodzaju prace, władze zaś Poczty Polskiej nie chciały nawet zarobić na bezinteresowności wielkiego artysty, byle tylko mu dopiec i „pokazać” ... Co pokazać?... Nie wiadomo właściwie co... Dopiero po dziesięciu latach już nowe zwierzchnictwo tej szacownej instytucji państwowej opamiętało się i raczyło bloczek wyemitować w ramach propagandowej akcji „*Kraków – Europejskie Miasto Kultury 2000*”. Łatwo sobie wyobrazić, jak zniesmaczony był wybitny artysta tak żenującą postawą rodaków. Nie była to zresztą dla niego żadna nowina, przeszedł więc nad nią do porządku dziennego i owocnie pracował dla obcych, skoro „swoi” tego sobie nie życzyli.

Zmarł Czesław Słania 17 marca 2005 roku w Krakowie – 10 lat temu – 24 zaś dnia tegoż miesiąca pochowany został tamże na Cmentarzu Rakowickim.

Dr Jan CIECHANOWICZ

„Ciasto z promyków” WIERSZE AGATY LINEK

NAPAR

przygotować:
duży gar (najlepiej pięciolitrowy)
chochlę (koniecznie odporną na wysoką
temperaturę)
ostrzy nóż (jeśli jesteś niepełnoletni poproś o
pomoc rodziców)
stolnicę
wałek
piecyk (na temperaturę 2004 stopni)

składniki:
serce
mózg
10 szklanek własnej wartości
13 kapek promieni
2 oddechy zdecydowania
4 ziarnka inteligencji
3 łuty sprytu
7 kropelek pomysłowości
½ szczypty talentu
1 łyk szczęścia

składniki zmieszać w garze
wyłożyć na stolnicę
wałkować przez 13 minut
pokroić w plastry
włożyć do pieca na 13 godzin

gotowe do spożycia
po osiągnięciu dojrzałości



CZAJNIK

Dziadkowi Henrykowi

nastawił wodę
wyciągnął herbatę
i cukier...
(w domu już dawno nie ma słodziku)

żarówka w kuchni się przepaliła
poszedł do przedpokoju
wyłączył korki schowane za długim obrazem
i wrócił
żeby wkręcić nową

kuchnia znowu nappełniła się światłem
jakimś innym
cień w przedpokoju
taki znajomy
ciepło się nagle robi

uśmiech na jego twarzy
śliska cerata kuchennego stołu na palcach

– Heniu! Woda się zagotowała.
– Wiesiu! Chodźmy już...



MYŚLI PRZY ŁASICZCE

oczy ślepo zapatrzone w dal
o czym można jeszcze myśleć
po siedmiu latach pozowania

przemysłane wzdłuż i wszerz
niedzielne kazania
przepisy babci na obiad
plotki usłyszane na kółku haftowania
wyznania Rafała z naprzeciwnika

można jeszcze tylko myśleć
kiedy mistrz już wreszcie skończy

ale
co ja wtedy będę robić ze sobą
nie pamiętam co było wcześniej

Leonardo
nie spiesz się
daj mi przemyśleć

jeszcze tylko to
najważniejsze



STATUS

Józefowi Szajnie

nazyWam się nr 18725
lat: 24
ojciec: wiatr
matka: sOsna
status: porzucony

poszarpany przętyk
wygięty mózg
skopane oczy
i usta
nie tam gdzie trzeba

stoJę u bram
początku
skażone myśli
budują rzeczywistość
głodNe oczyszczenia

nazywam się nr 18725
lAt: 72
ojciec: głóg
matka: wierzba
status: adoptowany



STALOWA WOLA

Natalii Zawisłak

w moim mieście
mieszkają ludzie światła i duszy
spragnieni zawsze czegoś więcej

w moim mieście
wiele jest miejsca
choć przejdiesz całość wzdłuż i wszerz

w moim mieście
wszystko jest blisko
i wszędzie wiadomo gdzie co jest

w moim mieście
niewiele się dzieje
czasem lepiej po prostu wyjść z psem
albo poczytać w domowym zaciszu

ale to jest moje
miasto



PEWEX*

na parterze był
słonik
na monety
takie duże i srebrne
jak się wrzuciło taką
jedną to można było pojeździć

chyba różowy był nie
pamiętam
z Mamą i z Bratem
czasem tam przychodziliśmy

karuzela się skończyła
„Idziemy na górę, Atusiu!”
a na górze były
jeansy i dolary a ja nie
pamiętam niczego

bo z tamtych lat
ostał mi się jeno
słoń

* PEWEX – w czasach PRL-u sklepy, w których
można było kupić za waluty wymienialne towary
niedostępne w innych sklepach lub trudno do-
stępne, zarówno importowane jak i krajowe.



TĘCZOWA JULKA

skakała w kaloszach po żółtych kałużach
przebierała paluszkami po fioletowych
żdźbłach
kręciła piruety błękitną parasolką

na ścianie namalowała kanarkowe słońce
różowymi obłokami opatulila drzewa
sokiem z cytryny skropiła pomarańczową rosę

śmieje się do Ciebie zielonymi rękami
śnieży ząbkami zza czerwonych kontur
srebrzystą czupryną łaskocze za uchem

bezinteresowna
dziecięca istotka



SOKI TRAWIENNE

kromka chleba
trochę masła
kawałek szynki
jeszcze plasterek ogórka

wszystko się wchłonie
elegantko przetrawi
nie zostanie żaden ślad

szkoda że żołądek
nie ma połączenia z
sercem

można by
wyrzucać wszystkie
niepotrzebne wspomnienia
nie zostałby żaden ślad



SNY

dla A.B.

zasłonięta i zakapturzona
schowana pomiędzy palcami
zakryta i zatulona

czuję jak
zapadasz się we mnie
oddech zwalnia serce wolniej bije

patrzę na zamknięte powieki
żrenice ruszają się pod nimi

zaczaruję je dłońmi
by przynosiły Ci tylko te dobre sny



NIEDOKONANY

dziwili się
kobieta a spokojnie stała
gdy lekarze mówili
„Nic nie dało się zrobić”

dziwili się
gdy żadna kropla
nie spłynęła
na trumnę

dziwili się
zwyczajnie pakowała
jego rzeczy
jakby robiła to codziennie

nie widzieli
gdy weszła do kuchni
rozplakała się
na zielonym blacie

rachunek
dla niego już na zawsze
niezapłacony



PERSPEKTYWA

Janowi Belcikowi

przy wigilijnym stole
coraz więcej nas:
trzy pokolenia

5-letni Łukasz bawi się
na dywanie
tymi samymi zabawkami co
3-letnia Maja i 18-miesięczny Pawełek

tłoczno się zrobiło na tym
moim dywanie
jak tak dalej pójdzie będę się musiał dzielić
nawet moimi klockami

mama, tata, wujkowie, ciocie
oj, przybyło cię trochę, Maćku
zawołała Agnieszka klepiąc brata po brzuszku

tylko dzień jakoś krótszy chyba jest
coraz mniej ciebie dla mnie
i mnie dla ciebie

babcia, dziadek...
jedna para choć powinno być dwie
pusty fotel Dziadka Henryka – 8 lat...
samotne krzesło Babci Wiesi – 14 lat...
(bardziej samo niż kiedy
siadała na nim przelotem między kuchnią
a stołem)

opuszczony taboret wujka Wieśka co wyszedł
przed chwilą
i już nie wrócił
i czerwone oczy cioci Joasi

coraz mniej nas
przy wigilijnym stole



MOJA KONWALIA

Mamie

bo wiem
jak robić kawę
jak dobrze działa kolor zielony
ile wsypać proszku do prania
do czego służy zmywak
i jak dobrze umyć wannę

nauczyłaś mnie
że słońce wiatr i trawa są najcenniejsze
jakim skarbem jest rodzina
że wychowanie to ogromna odpowiedzialność
szacunku do każdego słowa
i człowieka

za
czytanie bajek na dobranoc
utulanie zapachem konwalii
spacery po lesie
wysłanie na zajęcia teatralne
wiarę że po każdej burzy widać tęczę
dziękuję Ci



W STRONĘ SŁOŃCA

Tacie

bo wiem
jak obsługiwać wideo
wkręcać dzieciom że Mikołaj istnieje
czym się różni krzyżak od imbusa
którą stroną wkręcać żarówkę
i jak robić zupę filozofów

nauczyłeś mnie
permanentnej fascynacji filozofią
miłości do muzyki
i pełnometrażowego głodu kina
przebierania palcami kartek kolejnych książek
i wyłapywania manipulacji pomiędzy
zdaniem

za
kukielkowe przedstawienia kota i misia
całowanie brody której wszyscy w przedszkolu
się bali
trzymanie za skórzane szelki gdy uczyłam się
chodzić
dmuchanie baniek mydlanych
świadomość że donoszenie jest rzeczą
najgorszą
dziękuję Ci



PRZEPIS

babciny przepis
na ciasto z promyków

wrzucić do serca pełną chochłę zaufania
dodać do żołądka gałkę cierpliwości
przyprawić szczyptą mięty dla smaku
i by zgagę po kontaktach międzyludzkich
łatwiej było znieść
do wątroby dorzucić kwartę wiary
w żyły wlać do pełna nadziei
i baczyć by się nie zwarzyła
w tym celu unikać stresów, kłótni i innych
naciśnień
które mogą zbyttno podwyższyć

wlać do szklanicy dłoni
i na gorąco spożywać
bez przepity czy zagrychy
bez umiaru upić się
własnego słońca promieniami



TERPSYCHORA

Mamie

mój pierwszy Aniał
to muza tańca

moja pierwsza Ania
słowa, wiara, uśmiech
choć nie da się nawet lirycznie
wyrazić holistycznej dyskrekcji kształtowania
mojej tożsamości
budowania szczebel po szczeblu obręczy słów
wypuszczania w świat z pewnością powodzenia
uśmiechu w kształcie światła w tunelu

moja pierwsza Ania



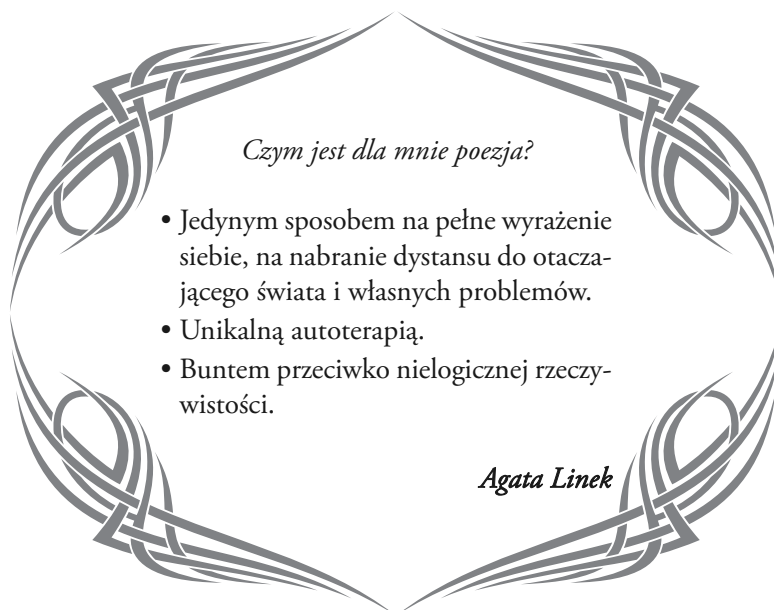
ERATO

ś.p. Annie Kajtochowej

mój drugi Aniał
to muza poezji miłosnej

moja druga Ania
dzisiaj mogę już tylko
oblec wiersze w czerwoną różę
i położyć z panem Jackiem na zimnym
marmurze
nie usłyszę już czy warto je publikować

pani Aniu
pokochałam czapki
nadal mam tę kupioną następnego dnia
„Noś czapkę, bo wyłysiejesz” – padł na mnie



blady strach
 nadal piszę to co chcę ze swojej własnej
 perspektywy
 znalazłam już kogoś kto to rozumie
 i tęsknię za panią, pani Aniu

moja druga Ania



EUTERPE

Annie Garbaczowej

mój trzeci Aniał
 to muza poezji lirycznej

moja trzecia Ania
 zna mnie dłużej niż pamiętam
 tajników matematyki nauczał Ją mój
 Dziadek
 odszedł po cichu bez zamieszania rozgłosu
 nieświadome zaśpiewaliśmy z siostrami też i
 Jemu
 „I dla tych, co dziś zasną raz ostatni –
 Panienko daj szczęśliwą dobranoc”
 na Apelu Jasnogórskim

mijały miesiące i lata
 nie potrafiłam wyrazić pustki
 po Babci Wiesi i Dziadku Henryku
 tęsknoty za każdym kątem i meblem
 przepelnionym światłem dzieciństwa
 smutku dziadkowego domu
 domu nieobecności i braku
 co zastąpił ten radosny
 naznaczony

pani Aniu
 jak pani to zrobiła? jak zaczarowała słowa?
 jednym zdaniem otworzyła tamę
 co trzymała tak długo wzbierającą wodę

moja trzecia Ania



Agata LINEK pochodzi ze Stalowej Woli.

Poetka, prozatkorka, animatorka kultury, redaktorka tomików, recenzentka poezji, krytyk teatralny.

Absolwentka Wiedzy o Teatrze, Kulturoznawstwa Międzynarodowego, oraz Animacji Społeczno-Kulturowej, a także podyplomowego Studium Literacko-Artystycznego na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Obecnie pisze rozprawę doktorską z zakresu poezjoterapii w Instytucie Filozofii UJ.

Członek Grupy Poetyckiej „Feniks”, Stowarzyszenia Literackiego „Witryna” oraz Stowarzyszenia Autorów Polskich.

Jest laureatką konkursów ogólnopolskich i międzynarodowych z zakresu poezji i prozy.

Swoje utwory publikowała w prasie regionalnej, ogólnopolskiej, antologiach poetyckich, a także na Słowacji i w USA.

Wydała tomiki poezji:

- „Jesteś elfem?” (2006 r., nagroda rzeszowskiego ZLP za Debiut Podkarpacia);
- „Śmiech ćmy” (2010 r.);
- „Śpiew delfina” (2012 r.).

W przygotowaniu znajduje się kolejny tomik „Szept pumy”.

Kontakt z poetką:

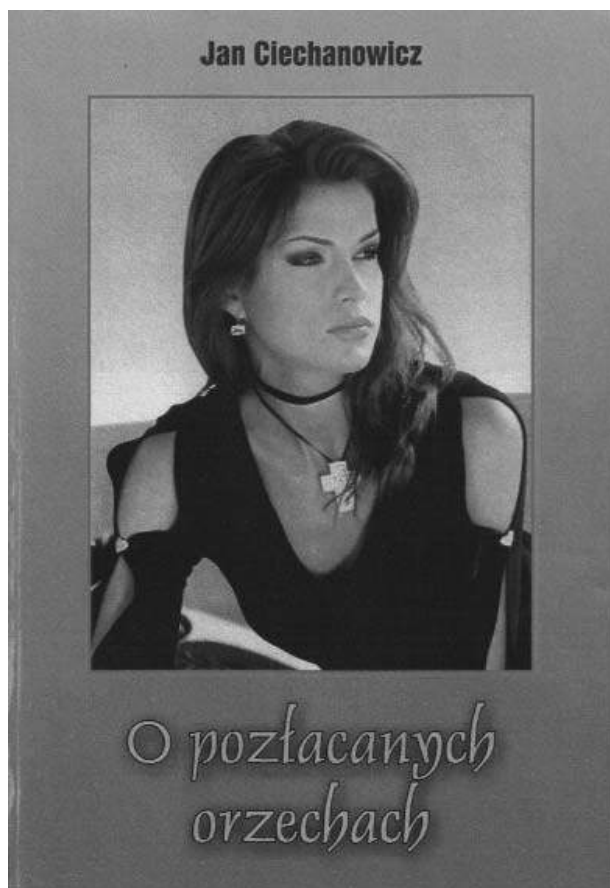
http://aga_linek.republika.pl

NOWE KSIĄŻKI: O TAŃCZĄCEJ MĄDROŚCI I MYŚLĄCEJ TRZCINIE

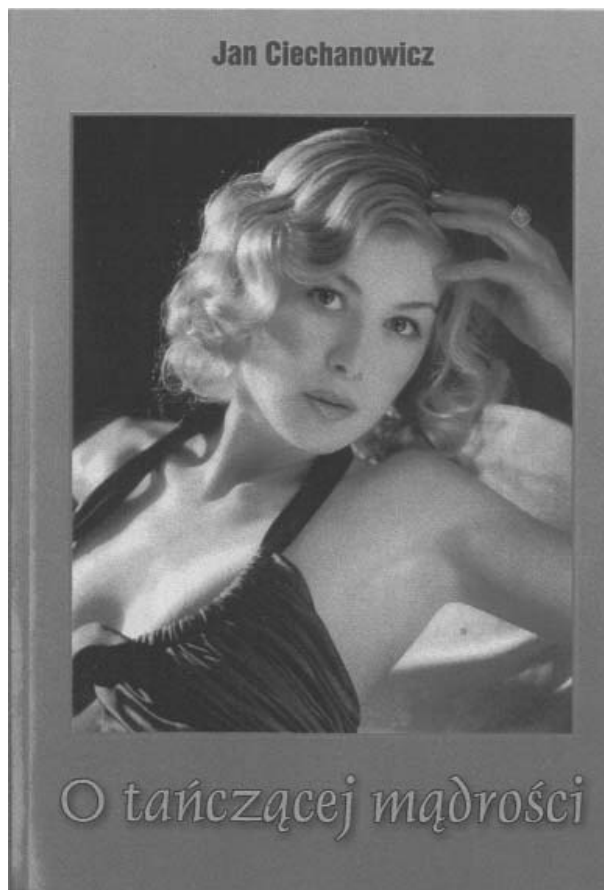
Któż, należąc do gatunku „*Homo sapiens*”, czyli „człowieka myślącego”, nie głowił się nad tajemnicą ludzkiego istnienia, sensem życia i śmierci, nad przemijaniem i niezbadanymi drogami duszy człowieczej, czyli nie był po trosze filozofem? Ostatnio ukazały się trzy książki jednego autora, które mogą być pomocne w znalezieniu odpowiedzi na najbardziej dramatyczne i fundamentalne pytania egzystencjalne. Są to dzieła dra Jana CIECHANOWICZA:

1. „O pozłacanych orzechach” (575 str.);
2. „O tańczącej mądrości” (536 str.);
3. „O myślącej trzcinie” (576 str.)

Wydała je oficyna wydawnicza „Kolumb” w Siemianowicach Śląskich.



Trzy tomy stanowią organiczną całość i są obszernym zbiorem esejów filozoficznych, które sam autor nazywa w podtytule „etiudami etognomicznymi”. Znajdziemy tu ujęte w przejrzystą formę literacką subtelne, pogłębione pod względem psychologicznym i filozoficznym



rozważania – że wymienimy tylko kilka spośród 153 tematów: o duszy, o przemijaniu, o wierze, o szczęściu, o pochlebstwie, o cierpieniu, o złu, o podstępie, o pracy, o gniewie, o pijaństwie, o wrogości, o głupocie, o wstydzie, o okrucieństwie, o kobietach, o uprzejmości, o zawiści, o niegodziwości, o łagodności, o pysze, o charakterze narodowym Polaków itd. Żaden z esejów nie przekracza kilku, góra kilkunastu stron, z wyjątkiem rozprawy „O genialności”, która zajęła raptem stron ponad 120. Autor nie ogranicza się do zaprezentowania tylko własnych – trzeba przyznać, niebanalnych – przemyśleń, ale i zapoznaje czytelnika faktycznie z całą mądrością świata, przytaczając setki, jeśli nie tysiące myśli w tej czy innej materii autorów mnóstwa rozmaitych i różnojęzycznych ksiąg, nie pomijając mędrców Starożytnego Egiptu, Chin, Indii, Japonii, Izraela, Sumeru, Grecji, Rzymu, cywilizacji nowożytnych. Ta najnowsza „trylogia” Jana Ciechanowicza stanowi swoisty ewenement w dobie obecnej, nawykłej do banalności, trywialności, płytkości życia, bycia i myślenia.



Zdaliśmy PT Autorowi „trylogii” kilka pytań.

– Oto trzymam w swym ręku trzy Pana najnowsze książki, jak zawsze napisane z werwą, w bardzo indywidualnym stylu, nacechowane nieprawdopodobną erudycją. Musiał Pan włożyć w te teksty nie jeden rok ciężkiej pracy. Biorąc pod uwagę fakt, że wydał Pan dotychczas kilkadziesiąt książek a ogólna ilość stron w tychże książkach brzmi wręcz „skandalicznie”: 19 798, muszę zapytać: dlaczego Pan tak dużo pisze?

– Wydałem zaledwie 49 książek, a Aleksander Dumas aż 301, nie mam więc się czym chwalić, Pani Redaktor.

– Dlaczego i po co w ogóle Pan pisze?

– Nie wiem, po prostu praca naukowa i pisarstwo to moje hobby i pewna przygoda życiowa.

– Dla kogo Pan pisze?

– Powiedziałbym za Fryderykiem Nietzsche: dla wszystkich i dla nikogo.

– No właśnie, czytając ostatnio trzy tomy Pana esejów filozoficznych, które nazwał Pan „etiudami etnomicznymi”, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że w czymś na-

wiążują one do stylu właśnie Fryderyka Nietzschego, Lucjusza Anneusza Seneki, Michela de Montaigne’a czy nawet Emila Ciorana...

– To dziwne, ale Pani Redaktor wymieniła właśnie nazwiska moich najbardziej ulubionych autorów, do których dorzuciłbym jeszcze Błażeja Pascala, Tomasza a Kempis i Arthura Schopenhauera. Skoro tak Pani twierdzi, widocznie rzeczywiście jestem pod urokiem tych geniuszy kultury europejskiej; nikt zresztą nie pisze w próżni i w XXI wieku ery chrześcijańskiej udawać kogoś zupełnie oryginalnego – byłoby pretensjonalnym pozerstwem.

– Zadam pytanie prowokacyjne. Oto na okładkach esejów „O pozłacanych orzechach”, „O tańczącej mądrości”, „O myślącej trzcinie” (co za nazwy!) potencjalny czytelnik postrzega wizerunki nie wielkich mędrców, filozofów czy uczonych, lecz... zdjęcia cudnej urody modelek. Co to za dziwny pomysł? Co chciał Autor przez to powiedzieć, przecież taka szata graficzna nie jest sprawą przypadku, a jak wiem, Pan zawsze sam wymyśla koncepcję graficzną swych książek?..

– To bardzo proste, Pani Redaktor. Wielu ludzi uważa, że filozofia, że mądrość życiowa – to koniecznie coś bardzo trudnego, poważnego, uciążliwego, wręcz nudnego i odpychającego. U greckich i żydowskich mędrców znajdujemy jednak słowa o tym, że ten, kto szuka mądrości, nie musi się nawet trudzić, a znajdzie ją rankiem siedzącą przy drzwiach swego domu; że filozofia to nie stara, dokuczliwa i zrzędliva jędra, lecz czarująca i sympatyczna, uwodzicielska i kokieteryjna, a przy tym nie zapominająca o swej godności i znająca swą wartość, Pani. Wystarczy Ją naprawdę kochać, a będzie ci wierną i wspaniałą towarzyszką całego życia. Oto i cała tajemnica: filozofia to istota piękna i „słodka”, ze wszech miar zasługująca na to, by zwrócić na Nią uwagę.

– Ostatnio został Pan wyróżniony specjalnym orderem jednej ze społecznych fundacji polskich, która w ten sposób doceniła Pana zasługi dla kultury narodowej i Państwa Polskiego...

– Tylko proszę, Pani Redaktor, nie pytać, co czuję, gdyż nie czuję nic oprócz zaskoczenia... Nie należę bowiem do tych, których się nagradza, lecz do tych, których się zwalcza...

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Dorota Jaworska

RODZICE I DZIECI

Ludzie starsi niekiedy narzekają na domniemane zepsucie i krnąbrność młodsze pokolenia, które, jak wiadomo, zawsze buntuje się przeciwko swym spolegliwym opiekunom. Nic nowego. W latach trzydziestych XIX wieku Henryk Rzewuski na łamach „Pamiętek Soplicy” narzekał:

„Wszystko dawniej szło lepiej niż teraz. Takie przestępstwa, co by dziś ich miano za żart, to i ludzi gorszyły, i widoczne kary od Boga ściągały. A teraz już tyle złego się namnożyło i takie paskudztwa, o których dawniej ani słychu”...

Nie powinniśmy jednak zapominać, że bardzo często takie narzekania są bezpodstawne, a jeśli „podstawne”, to przecież na czym wzoruje się młode pokolenie, jeśli nie na nieprawości starszego?..

„Uległość, oto dziecka największa ozdoba” – powiada Marianna w molierowskim „Świętoszku”. A przecież niekoniecznie, wszak uległość wobec złych wzorców zachowania wcale nie stanowiłaby czyjejkolwiek „ozdoby”. Co prawda miał poniekąd rację Ignacy Chodźko, gdy twierdził, że „*kto nie słucha rodziców, ten słucha katowskich biczów*”, i polskie przysłowie, które ostrzega, iż „*Kto nie słucha ojca, matki, bić go będą własne dziatki*”. Lecz przecież dalece nie wszyscy rodzice reprezentują należyty poziom moralny i w sposób odpowiedzialny wychowują własne dzieci. Wiele więc prawdy tkwi w słowach Aleksandra Makarenki: „*Nie ma złej młodzieży; są tylko źli wychowawcy*”.



W oczach dziecka dorosły uchodzi jakby za nieomylnego, lecz gdy ojciec zbyt wiele zakazuje lub nie potrafi swojej roli wszechwiedzącego i wszechmocnego przyjaciela poprzeć dostateczną mądrością, dziecko może całkowicie odrzucić proponowaną mu postać au-



torytetu. A więc zanim wychowa się dzieci, dobrze byłoby wychować rodziców, aby potrafili służyć młodemu pokoleniu za wzór rozumnego postępowania. Dla młodzieży bowiem jest przede wszystkim ważne nauczanie się rozumowania i rozważi w rozmaitych sytuacjach życia codziennego.

Rodzice powinni na przykład wiele razy powtórzyć dzieciom idącym do szkoły proste zasady:

- Nie rozmawiaj z nieznajomymi.
- Nie wchodź do windy z nieznana ci dorosłą osobą.
- Nie bierz żadnego poczęstunku od nieznajomych, a jeśli wzięłeś – w żadnym razie nie jedz go, lecz dyskretnie wyrzuć.
- Nie wsiadaj do samochodu z nieznajomymi osobami.
- Nigdzie nie idź z nieznanymi ci ludźmi, nawet jeśli bardzo cię o to proszą lub nalegają.
- Gdy ktoś cię zaczepia na ulicy, nie zatrzymuj się, lecz jak najspieszniej idź tam, gdzie jest dużo ludzi i gdzie palą się lampy (przestępcy boją się świadków i światła).
- Nie ruszaj a nawet nie dotykaj cudzych rzeczy, także tych, które leżą na ulicy lub na ławce w parku (nie wiadomo kto, dlaczego i po co je tam zostawił; może był to ktoś zakaźnie chory lub ktoś, kto cię z ukrycia obserwuje, aby potem oskarżyć o kradzież).
- Jeśli jesteś sam w domu, nikomu nie otwieraj drzwi, nawet jeśli ktoś bardzo cię o to prosi, mówiąc, że jest na przykład listonoszem itp.)
- Nie baw się na placach budów, w miejscach zapuszczonych i bezludnych.
- Po drodze ze szkoły nie zadawaj się z nieznanymi dziećmi.

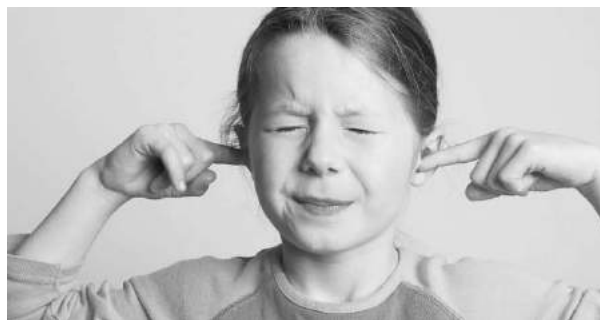
- Po zapadnięciu zmroku nie wychodź sam na ulicę.
- W żadnym razie nie pij alkoholu lub jakiegokolwiek innego płynu, nie próbuj narkotyków, nawet jeśli koledzy bardzo nalegają.
- Jeśli ktoś stale cię zaczepia lub ci się naprzykrza na ulicy lub w szkole – opowiedz o tym rodzicom i poradź się ich, jak masz się zachować.

Stałe powtarzanie tych zasad niejako mimo woli zostanie przez dziecko przyswojone, nawet jeśli jest ono z natury krnąbrne i nieposłuszne. Tym bardziej, że nikt nie podpatruje tak trafnie dorosłych, jak dzieci i młodzież. Oczywiście, z biegiem czasu dziecko usamodzielnia się a nawet odizolowuje od rodziców, lecz dalece nie wszystkie nauki, także w tym przypadku, „idą w las”. „W miarę jak dzieci dorastają, ich przekonanie o wszechwiedzy rodziców zanika. Autorytatywne stają się opinie uczonych, filozofów i innych osób, a z największym prawdopodobieństwem opinie dziecięcej grupy towarzyskiej lub poglądy przypisywane całej społeczności lub narodowi. Również zainteresowanie dziecka uznaniem i uczuciami ze strony innych ludzi w coraz większym stopniu przenosi się na osoby spoza jego rodziny. Uczucia swojej rodziny uważa za zapewnione i skierowuje wysiłki na zdobycie sobie miejsca w szerszej grupie, zwłaszcza we własnej grupie wiekowej. Można więc przewidywać, że w miarę dorastania dziecka pierwotną rolę jego rodziców przejmą inne osoby.

Trzeba jednak zachować w tej sprawie ostrożność. Wielu autorów uważa, że podstawowe wartości każdego człowieka zostają ukształtowane na całe życie, zanim skończy on dziesięć lat. Trzeba też pamiętać, że sądy wartościujące rodziców we wczesnym okresie życia padają na głębę dziewcząt, gdzie nie ma idei, które mogłyby z nimi rywalizować. Życie intelektualne człowieka staje się znacznie bogatsze, gdy pojawia się on na szerszej scenie, i nasze aprioryczne przewidywania w kwestii, co jest najbardziej prawdopodobne, mogą być zwodnicze” (Richard B. Brandt, „Etyka”).

Stąd zaskoczenie zjawiskiem młodzieńczego buntu, odrzucania autorytetu rodziców i nauczycieli przez uczniów. Mimo tej rzekomej krnąbrności, która jest po prostu dramatycznym przejawem poszukiwania własnej drogi życiowej przez dziecko, należy szanować jego godność osobistą. Tym bardziej, że jest także bardzo często zagubione i bezradne wobec własnego życia. Johann Wolfgang von Goethe odnotowywał:

„Że dzieci nie wiedzą, czego chcą, na to godzą się wszyscy wielce uczeni nauczyciele i ochmistrze. Że jednak i dorośli podobnie dzieciom płaczą się po tej ziemi, nie wiedzą, jak one, skąd przychodzą i dokąd idą, równie mało działają według prawdziwych celów, równie podle-



gają rządcom biskopu, ciastka i brzoźowej różgi, w to nikt nie chce uwierzyć, a zdaje mi się to jasne jak słońce”.

Człowiek i w dojrzałym wieku pozostaje nieco nie-dojrzały. „W człowieku dorosłym bowiem tkwi dziecko, wieczne dziecko, ktoś ciągle jeszcze rozwijający się, nigdy nie gotowy, kto nieustannie potrzebowałby opieki, uwagi i wychowania” (Carl Gustav Jung, „Rebis, czyli kamień filozofów”).

Być może u dzieci i u dorosłych suma głupoty jest jednakowa, z tą tylko różnicą, że u tych ostatnich – w innych dziedzinach i znacznie poważniejsza w następstwach. Wichrowatość młodości zresztą to wcale nie głupota. Jak trafnie pisał Leopold Staff:

„Bo coś w szaleństwach jest młodości,
Wśród lotu, wichru, skrzydeł szumu,
Co jest mądrzejsze od mądrości
I rozumniejsze od rozumu”.

Akt młodzieńczego buntu, w którym dziecko odrzuca wartości i oczekiwania rodziców, stanowi konieczną i niezbędną część procesu kształtowania się dojrzałej osobowości. Tylko przez akt buntu, sprzeciwu, ostentacyjnej niezależności młody człowiek nabywa wyposażenie psychiczne niezbędne do życiowej walki i samowystarczalności, a mianowicie poczucie własnej wartości oparte na zdolności do opuszczenia zaufanego środowiska domowego i do wejścia we wrogie otoczenie socjalne. Dopiero po okresie buntu dziecko może powrócić do relacji opartych na wzajemnym szacunku, tym razem jednak już nie jako ktoś podległy, lecz jako równy swoim rodzicom. Jest to więc nie lada sztuka – widzieć w wychowanku nie po prostu dziecko, lecz niezależnego człowieka. „Powinniśmy z dziećmi postępować jak Bóg z nami, który nas czyni najszczęśliwszymi, gdy pozwala nam wędrować po świecie w miłym złudzeniu” (J.W. von Goethe).

Dr Jan CIECHANOWICZ

LEGENDY LIPSKIE (cz. II)

Kilka słów na początek

Kuchnia w starym wiejskim domu z bali, tonąca w półmroku naftowej lampy, która oświetla tylko to, co ma oświetlać i tak fajnie swojsko pachnie. Kąty kuchni schowane w cieniu. Czają się z nich duchy przodków, słuchając opowieści domowników i gości siedzących przy stole. W „grubce” trzaskają drwa świerkowe. Przy kuchni stoi stara beczka z kiszoną kapustą. Na zapiecku mruczy kot, śniąc o słońcu lata. Za oknem dmucha wiatr, tnąc śniegiem po małych oknach uszczelnionych watą, na której ułożono bańki z choinki. Na ścianie długie cienie ludzkie. Opowiadają o zasłyszanych legendach, które ktoś komuś gdzieś mówił albo sam przeżył.

Tak zapamiętałem Lipę mojego dzieciństwa u dziadków. Zawsze pełno ludzi, pełno opowiadań o sprawach dnia powszedniego, czasami słychać było legendy. Ja zaś, siedząc pod stołem, wystawiałem swoje długie uszy i zakładałem okulary wyobraźni na duszę. Nigdy już potem nie wciągały mnie żadne opowieści, tak jak te w tej izbie, gdzie nie było radia, telewizora ani komputera. Nigdy też nie pomyślałem, że odważyć się to spisać i upublicznić. Proste i przasne historyjki, tak jak proste i przasne było życie lipiaków tamtych lat.

Abyście zrozumieli te historie, musicie jak ja założyć okulary wyobraźni. Ten świat już nie istnieje. Chciałbym, żeby poprzez te dwadzieścia jeden opowiadań chociaż jego odrobina została z nami. Tutaj opowiadam o Lipie, lecz takie historyjki mogły się wydarzyć w każdej polskiej wsi tamtych lat. Mam zatem nadzieję, że każdy znajdzie tu coś dla siebie.

W powstanie tej książeczki zaangażowała się Pani Barbara Bazińska, która dodała opowiadania zasłyszane od ś.p. Marii Chwałek, Genowefy Bazińskiej i Janiny Ziolkowskiej. Składam Jej za to serdeczne podziękowanie.

Jerzy DRZEWI

Jeleń

Pewna kobieta z Lipy miała czterech braci i siostrę. Przed wojną ciężko było o robotę, toteż bracia imali się wszystkiego, czego mogli, aby przeżyć. Jednego z nich postrzelił gajowy, gdy polował z obrzynem w lesie, i ten w konsekwencji zmarł. Pozostali po wybuchu wojny – uciekając przed robotami w Niemczech – poszli do lasu w partyzantkę. Jeden z nich przeżył, jeden zginął ucie-

kając z domu przez okno zastrzelony przez Niemców, którzy dostali wiadomość od konfidenta, że przyszedł coś zjeść i zmienić ubranie. Jeden natomiast zginął w lasach lipskich, nie wiadomo gdzie, w walce z Niemcami. W związku z tym, że kobieta ta wcześniej straciła matkę, wychowywała tych braci od dziecka.

W latach 50. XX wieku praktykowane było w Lipie odpasanie krów. Polegało na tym, że kilka gospodarstw dogadywało się, grupowało krowy i po kolei wyganiały paść najczęściej w las. Wspomnianej kobiecie wypadało co czwarty dzień paść stado krów.

Droga przegonu wiodła przez tzw. Białe Góry. Jest to teren zalesiony z niewielkimi wzniesieniami. Goniąc stado, zwróciła kiedyś uwagę na jelenia, który szedł równolegle z nimi po drugiej stronie wzniesienia. Ciekawe, że to się pojawiał, to znikał. Kobieta nie zwracała sobie tym głowy tłumacząc sobie, że gdzie mają żyć jelenie, jak nie w lesie. Gdy sytuacja się powtórzyła kilkakrotnie, zaczęło ją to zastanawiać. Pytała zmienników, czy oni też to widzą. Okazało się, że nikt niczego nie zauważył.

Po jakimś czasie jeleni wychodził na wzgórek, przystawał i patrzył w jej kierunku do czasu, aż znikła za horyzontem. Powtarzało się to całą jesień. Pewnego ranka jak zwykle szła ze stadem i zauważyła, że w miejscu, gdzie stał jeleni, stoi samochód wojskowy i kręcą się jacyś ludzie. Podeszła bliżej. Zobaczyła rozkopaną ziemię, a obok leżące zwłoki w stanie rozkładu. Zaczęła się dopytywać, co oni tu robią.

– Prowadzimy ekshumację grobu z czasów wojny. Nie wiadomo, kto tu był pochowany.

Spojrzała na szczątki, które były przygotowywane do przeniesienia.

– Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie – powiedziała odchodząc do krów. – Zastanawiające, skąd ja znam tę sprzączkę od paska do spodni zabitego?

Grób rozpaczcy

Starsi mieszkańcy Lipy słyszeli o grobie na tzw. Chamerowych rzekach. Czy to jest legenda, czy prawda? Nie wiem. Lecz grób był! Historia jest tyle banalna, co tragiczna.

Na naszym pograniczu lipsko-dąbrowskim mieszkała rodzina. Jak to zwykle bywa, naszym przodkom

nie było tak bardzo ciężko przedostać się przez granicę, bo Austriacy mieli cywilną obsadę przejść granicznych. Sądziło się, że jeżeli Rosjanie tak mocno pilnują swojej strony, to co my się będziemy napinać. Na przykład kordon Brody miał obsadę siedmiu ludzi, w tym jeden konny. Mieszkańcy Lipy i Dąbrowy znali żołnierzy i na odwrót. Jak to młodzi, przechodzili przez granicę w kawalerkę. Więc tak się złożyło, że syn gospodarza ożenił się po drugiej stronie tej granicy. Niestety, przyszła I wojna światowa i obaj zostali wcieleni do wrażeń wojsk.

Jak pech, to pech. Obaj spotkali się na jednym polu bitwy po przeciwnych stronach. Apogeum nieszczęścia nastąpiło, gdy syn trafił na ojca i walcząc zamierzył się bagnietem.

– Synu! Daruj! – krzyknął ojciec (tak mówi oryginalny przekaz).

Niestety, syn ugodził śmiertelnie ojca. Pochował go właśnie na Chamerowych rzekach.

Przez wiele miesięcy klęczał syn nad mogiłą ojca w świetle zachodzącego słońca od strony zachodniej, tak, że jego cień padał na grób. Nigdy do nikogo się nie odzywał, tylko klęczał w milczeniu. Pewnego popołudnia już nie przyszedł. Zwłoki ojca zostały przeniesione na cmentarz.

Kiedyś, jak byłem chłopakiem, uprawialiśmy łąki. Rzekami chodziliśmy kosić i suszyć siano. Przysięgłbym, że kilka razy, jak wracałem przed samym zachodem, widziałem cień klęczącego żołnierza. A może to tylko złudzenie...

Pogrzeb

Z dawien dawna o Białych Górach krążyły różne legendy. Ludzie starzy przestrzegali wszystkich młodych, aby przechodząc o dwunastej w południe lub o



północy przez Białe Góry modlili się. Jeżeli ktoś zapomniał o modlitwie, spotykały go różne nieprzewidziane przygody.

Dawno temu mieszkał w Lipie sklepikarz Żyd. Miał sklep, a w nim było wszystko. Mówiąc prościej, znajdowało się tam mydło i powidło. Gospodynie z Lipy i okolic kupowały u niego co im było potrzebne. Często robiły zakupy na zeszty. Później dług spłacały jajkami, masłem, serem i tym co miały w domu. W Goliszowcu mieszkała stara kobieta ze swoją piękną córką. Ona również prowadziła z Żydem handel wymienny. Pewnego dnia wysłała swoją córkę z dwiema kobiałkami do Mośka, aby wyrównała rachunki i poczyniła nowe zakupy. Zosia ubrała się w najładniejszą suknię, jaką



miała, splótła swoje długie blond włosy w warkocze i wyruszyła w drogę. Idąc śpiewała piosenki i patrzyła na śmigające po drodze zaskrońce i jaszczurki.

Czas mijał szybko, zbliżało się południe. Nawet nie spostrzegła, kiedy doszła pod Białe Góry. I, o dziwo, usłyszała kroki i pieśni idącego pogrzebu. Zdziwiona rozejrzała się dookoła, lecz oprócz drzew i jałowców niczego nie dostrzegła. Śpiew i kroki było słychać coraz bliżej. Zosia zaczęła przyśpieszać kroku, lecz czuła, że ktoś trzyma ją i ciągnie do tyłu. Odwróciła się, ale i tym razem nic nie zobaczyła. Usłyszała bardzo głośny śpiew i kroki wielu ludzi, którzy w tym momencie nie szli, ale biegli.

Zosi, mimo iż był to bardzo upalny lipiec i samo południe, zrobiło się zimno. Przypomniła sobie o tym, co mówili starsi ludzie. Ale, o dziwo, nie mogła się nawet pomodlić, bo wszystko zapomniała. Jedyna myśl, jaka jej wówczas przyszła do głowy, to „Święta Patronko ratuj mnie”.

Gdy wyrzekła ostatnie słowo, usłyszała trzepot skrzydeł wielu ptaków i szum wiatru. Kroki i śpiew ucichły. Zosia ile sił w nogach zaczęła biec w kierunku Lipy. Kiedy wbiegła do sklepu, nie mogła wyrzec słowa. Dopiero po dłuższym odpoczynku opowiedziała sklepikarzowi i jego żonie o tym, co ją spotkało.

Bardzo bała się wracać do Goliszowca, bo przecież musiała iść przez Białe Góry. Lecz kiedy zbliżyła się do kolejki, zaczęła odmawiać różaniec. Tym razem spokojnie przeszła i przed zachodem słońca wróciła do Goliszowca. Swoją przygodę opowiedziała sąsiadom i znajomym, którzy utwierdzili się w przekonaniu, że jednak hula złe.

Szczęście

Kiedys w Lipie był folwark, a przy drodze do Zaklikowa Krucze Góry (obok dzisiejszego cmentarza). Był to inny czas. Mieszkańcy musieli odrabiać pańszczyznę i płacić dziesięcinę. Prosty wieśniak był nikim, a jaśnie państwo było wyrocznią, bo wszystko mogło i wszystko wiedziało.

Zarządca folwarku w Lipie miał syna. A że byli bogaci i ustosunkowani, wieśniaków mieli za nic. Mało że gonili ich do roboty na ordynacie, to jeszcze nie wpuszczali do lasu ordynackiego.

Nie wszyscy mieszkańcy mogli utrzymać się z lichej ziemi. Zmuszeni byli „chodzić po proszonemu”. Tak to nazywali.

Pewnego razu jeden z mieszkańców wracał z Zaklikowa. Pod drzewem przy Kruczych Górach siedział

pięknie ubrany i odżywiony młody syn zarządzcy folwarku.

– Gdzie byłeś, dziadu? – zapytał.

– Wracam z prośby z Zaklikowa, jaśnie paniczu – odparł zagadnięty.

– Usiądź zatem ze mną.

Chłop usiadł. Wyjął z worka butelkę mleka, którą wyżebrał, i kromkę chleba, podając je paniczowi. Zaczął wypytować, co tam u dworu słyszą. W odpowiedzi usłyszał, że on takiego jadła do ust nie bierze i że ciężko ojcu zarządzać ordynatem, jak lipiacy kradną drzewo, kłusują i w ogóle są głupi. On jest na spacerze i musi uspokoić nostalgię, która nim owładnęła po przyjeździe z Petersburga, gdzie był na naukach.

– A dlaczegoż to nostalgia jaśnie panicza dopadła? – dopytywał się chłop.

– Rodzice moi mnie nie rozumieją i z tego powodu jestem nieszczęśliwy. A tak w ogóle, to nigdy szczęścia nie zaznałem i nie wiem, gdzie go szukać. A ty? – zakończył pytaniem.

– Ja cały czas je widzę – odparł chłop.

– Jak to, ty go widzisz? – zerwał się panicz.

– Gdzie? Tu?

– Tak. Jest wszędzie i każdy może je zobaczyć.

– Ile chcesz za pokazanie go? – spytał chłopiec.

– Nic nie chcę. Ale myślę, że panicz nie będzie chciał go zobaczyć.

– Chcę! Koniecznie chcę! – gorączkował się młody.

– Musisz zatem zrobić wszystko, co ci każę. Godzisz się na to?

– Na wszystko, co chcecie.

– Pamiętajcie, paniczu, że nie możemy przerwać tego, co rozpoczęliśmy.

– Tak, zgadzam się! Na wszystko się zgadzam, aby tylko szczęście zobaczyć.

– Zdejmij zatem kapotę, paniczu. Bierz mnie na plecy i jedziemy na szczyt tej góry i z powrotem.

Młodzieniec rad nie rad wziął chłopca na barana i sapiąc niesie go na szczyt i na dół. Ledwo się dowłókł, a chłop jeszcze raz. Panicz zacisnął zęby i niesie chłopca na górę. Na szczycie chciał odpocząć, ale chłop kopie po bokach i drze się, że na dół. Tam o mało młodzieniec nie zemdlał, gdyż pokonać taki dystans to wyczyn i jeszcze w słońcu. Chłop do niego, że na górę, młody, że nie da rady. Chłop mu na to, że zgodził się nie przerywać. Ostatkiem sił panicz wniósł chłopca na szczyt i



padł wyczerpany. Chłop kazał mu usiąść koło niego pod sosną.

– Jaśnie paniczu, może kawałek chleba z mlekiem?

Panicz wziął połowę kromki, zjadł, popił mlekiem i patrzył w dal.

– Jak się czujesz paniczu pod tym drzewem w cień? Czy dalej jesteś nieszczęśliwy?

– Nigdy mi tak dobrze nie było, pod żadnym drzewem. Szczęśliwy jestem, że mogę tu odpocząć po takim wysiłku i że już nie muszę was wnosić i znosić z tej góry.

Chłop wstał, zostawił go i odszedł.

Kruczych Gór już prawie nie ma. To pocieszające. I o ludzi ze zdrowym chłopskim rozumem jakby trudniej.

Gdy jednak narzekasz, że ci źle i jesteś nieszczęśliwy, pomyśl, abyś nie spotkał kiedyś takiego chłopca lub takiej sytuacji życiowej. Gdyż może ci pokazać na własnych barkach, jak trzeba cenić, co masz i nie szukać tego, czego nie możesz spotkać i...

Papieros

Był taki czas, kiedy mieszkańcy Lipy uprawiali ziemię. No, nie tyle uprawiali, co przewracali, bo z tego nic nie wychodziło. Ale był. Mało tego, mieli ziemię w Goliszowcu i Borowie, gdzie chodzili albo jeździli konno obrabiać swoje kawałki.

Jeden z chłopów lipskich miał kawałek pola w Goliszowcu i po pracy w tartaku w Lipie chodził suszyć siano, a potem po robocie wracał do domu. Jak zwykle, po złożeniu w kopki siana chłop ruszył w drogę powrotną. Jak to zwykle bywa, coś tam było nie tak. Już na łące brakło mu zapalek, aby przypalić papierosa. A że był zagorzałym palaczem, tak też cierpiał niemiłosiernie przeklinając nie wiadomo kogo. Trasa prowadziła przez las, a potem wychodziła na pola za torami i na swoją drogę do domu. Gdy był jeszcze w lesie, zrobiło się ciemno. Księżyc lekko świecił i niewiele było widać.

– Jasna cholera – pomyślał chłop. – Jak mogłem nie zabrać ze sobą zapalek! Papierosy mam, ale nie ma czym przypalić!

Wyszedł z lasu idąc w kierunku torów.



– A przejdę przez przejazd w końcu – pomyślał. – To niedaleko, a przy tym zobaczę, jak tam z podkładami na przejeździe. Jak jutro będę wioził siano, to będę wiedział, na który przejazd jechać. Na ten czy przy nastawni.

Podchodząc do przejazdu od strony lasu, zobaczył coś jakby cień.

– Ktoś idzie. Może chłop, to pewno ma zapalki – pomyślał i wyjął papierosa.

Wchodząc na przejazd spotkał się z cieniem i rzekł.

– Dobry wieczór. Macie ogień?

Napotkany zapalił zapalkę. Blask ognia z bliska oślepił go. Wyprostował się, zaciągnął i spoglądając na przechodnia powiedział:

– Dziękuję. Już myślałem, że mnie skręci.

Przed nim nie było nikogo. Rozejrzał się, a tu nic! Ani śladu człowieka! Spojrzał na papierosa, ten się pali. Zimny pot zlał plecy chłopca. Nie było w zwyczaju odchodzić bez słowa.

Chłop zaciągnął się mocno, dwa razy się rozejrzał. Wszędzie dookoła puste pola i nikogo. Przyśpieszył kroku do domu, paląc papierosa cały czas. Dochodząc uświadomił sobie, że papieros jest niespalony i ma taką samą długość, jak na początku. Pociągnął jeszcze mocniej, a żar rozświetlił mu nos. Wszedł do domu. Na stole stała miska zupy, którą mu postawiła żona. Papierosa położył w popielniku kuchni. Zjadł zupę i siedząc przy stole cały czas myślał o papierosie. Papieros nie wypalał się. Wstał, wziął go i położył na ławce przed domem. Poszedł spać. Tylko że sen nie nadchodził. Papieros i spotkanie na przejeździe kolejowym nie dawały mu spokoju. Po północy wstał i spojrział przez okno, czy papieros dalej się pali. Żar papierosa było widać z izby.

Wtem jakiś cień zbliżył się od furki. Podniósł papierosa i wyszedł z podwórza. Chłop wypadł z mieszkania, o mało nie przewracając się na śpiącym Burku przed ławką. Na ławce leżał papieros: cały, nieprzypalony. Nigdy nie szedł już później przez ten przejazd. Palił dalej, ale zapalki miał.

Klonowy Kopiec

Skąd nazwa „Klonowy Kopiec” pochodzi, nawet najstarsi mieszkańcy, którzy tę legendę znają, nie wiedzą. Ale „że wodzi”, wszyscy z dawien dawna powtarzali. Niedaleko „Klonowego Kopca” są ogromne stawy. Dawno, dawno temu żyli tam ludzie, którzy opiekowali się tymi stawami, a właściwie pilnowali ich.

W rodzinie rybaków, bo tak trzeba ich nazwać, była piękna córka. Gdy dorosła, często chodziła do lasu zbierać grzyby, jagody czy maliny. Pewnego dnia wybrała się na jagody na „Klonowy Kopiec”. Jagód było dużo, ale drobnych. Dziewczyna zostawiła je i poszła dalej. Gdy już miała całą kobiałkę, chciała wrócić jak najszybciej do domu.

Wyszła na drogę, którą dwie, może trzy godziny temu wchodziła na „Klonowy Kopiec”. Idąc drogą znów doszła, jak się jej wydawało, do miejsca, z którego wyszła. Odwróciła się i teraz poszła w odwrotnym kierunku. Po jakimś czasie doszła do pnia, na którym usiadła, gdy obwiązywała kobiałkę przed powrotem do domu. Zrobiło się jej bardzo nieprzyjemnie. Przypomniła sobie historie, które słyszała o tym miejscu. Ale przecież jest dzień, świeci słońce, więc jeżeli pójdzie tak, by słońce miała za plecami, wyjdzie na drogę, skąd zobaczy rybakówkę. Dla pewności, że tym razem

dobrze idzie, przyczepiła do grubej jodły liść paproci. Zadowolona wyruszyła w drogę.

Jakież było jej zdziwienie, gdy po pewnym czasie przyszła do klonowych grobków. Usiadła na trawie i zaczęła się mocno zastanawiać.

– Jak znaleźć drogę do domu? Przecież powinienam znać tu każde drzewo – myślała.

Przypomniła sobie, jak ludzie starsi opowiadali, że w takiej sytuacji trzeba się pomodlić. Uklękła i zaczęła się modlić za dusze, które strzegą tego miejsca. Miała wstać, gdy pomyślała sobie, że dobrze będzie pomodlić się do patrona zagubionych, św. Antoniego. Po modlitwie, nie zastanawiając się ruszyła w drogę. Po chwili była już w domu.

Jeszcze dziś leśnicy i robotnicy leśni zgodnie mówią, że jest coś w tym miejscu. Najlepiej jest przystanąć i odmówić „wieczne odpoczywanie”. Nigdy nic nie wiadomo...

Mądrość

Za czasów zaborów, przy drodze do posesji pana Sędziaka na stawy i na Gielnię znajdowała się jednostka





wojska carskiego jako wsparcie zabezpieczenia granicy z Austrią. Kwaterował tu szwadron kawalerii z całym inwentarzem. Stosunki z mieszkańcami Lipy i znajdującym się opodal folwarkiem były w miarę poprawne. Tam, gdzie teraz jest staw wędkarski, było rozlewisko. To tutaj żołnierze carscy poili i myli swoje konie.

Jako że służba w wojsku carskim trwała dwadzieścia pięć lat, zazwyczaj wiek żołnierzy określano jako średni. Po tułaczce po imperium tutaj mieli odpoczynek. Zazwyczaj do takich starych wygów zawsze dowództwo dawało kilku młokosów na przeszkolenie, aby przy starych szybciej nauczyli się żołnierskiego fachu. Dawali też młodych oficerów po szkole w Petersburgu na placówki pod komendę doświadczonym oficerom frontowym.

Do Lipy dostał przydział pochodzący ze środkowej Rosji syn średniozamożnego szlachty, niejaki Grisza. Grisza był wesołym, uczynnym chłopakiem, nauczonym posłuszeństwa i szacunku do ludzi starszych, tak jak to było powszechne w Rosji na wsi. Do jego zadań należała opieka nad końmi, a sprawował ją przy po-

mocy kilku starych wygów. Szli zatem zawsze razem z końmi nad rozlewisko. Tam każdego wieczora poili je i myli wodą. Wszyscy żołnierze lubili swe konie i nawzajem.

Pewnego razu, pędząc konie młody żołnierz zauważył, że nad rozlewiskiem siedzi stary chłop i patrzy na wodę. Grisza przywitał się po rosyjsku i poszli dalej. Sytuacja powtarzała się kilka dni pod rząd. Biednie ubrany starzec siedział nad wodą i patrzył w dal. Po kilku dniach młody Grisza kazał żołnierzom zająć się końmi, a sam przysiadł się do starca. Zaczął go wypytować, skąd jest, co robi i takie tam rzeczy. Okazało się, że starzec to prosty chłop z Lipy, wiekowy już i niedołężny. Został sam i siedzi tu wspominając w spokoju swoje przeżyte lata. Machorka wyjęta z kieszeni spodni Griszy zrobiła swoje i rozmowa szła luźno i przyjemnie. Stary chłop lipski zaczął opowiadać, że miał rodzinę, ale żona zmarła, dzieci – jak to zwykle bywa – poszły w świat, on zaś mieszka sam w chałupie w Lipie.

– Skąd znacie tak dobrze rosyjski? – spytał Grisza.

– Dwanaście lat byłem w wojsku w środkowej Rosji
– odparł starzec.

To przełamało wszelką nieufność młodego. Ożywił się i zaczął wypytywać gdzie był, jaką miał rangę i jak tam było. Na odchodne spytał, czy jutro też tu przyjdzie.

– Tak – odpowiedział starzec.

Nazajutrz młody przyszedł, polecił żołnierzom zająć się końmi, a sam przyniósł machorkę, prowiant i słuchał opowieści weterana. Sytuacja powtarzała się. Pewnego razu chłopiec przyszedł jakiś odmieniony. Przysiadł jak zwykle i zaczął mówić.

– Dziadku, długo już rozmawiamy. Lubię was i wasze opowieści utwierdzają mnie w przekonaniu, że jesteście mądrym człowiekiem. Dzisiaj rano goniec przyniósł wiadomość, że przenoszą mnie na inną placówkę. Nie wiem jeszcze gdzie, bo to tajemnica. Siedząc tu z wami czasami czułem się, jakbym siedział z własnym dziadkiem nad rzeką, która u nas płynie, i słuchał go. Miałem tu namiastkę rodzinnych stron. Ale cóż, taką wybrałem drogę życia i muszę się z tym pogodzić. Mam do was jedno pytanie. Czy mogę wam go zadać?

– Tak – odparł starzec.

– Czy wiecie, jak być mądrym? Gdzie tej mądrości szukać?

– Mądrość jest tu – pokazał starzec na wodę. – A jak jej szukać, pokażę ci jutro jak przyjdiesz.

Chłopak nie mógł się doczekać jutra i spotkania z chłopem. Przyszedł szybciej niż starzec i czekał na niego z niecierpliwością. Gdy tamten przybył, powiedział do chłopca.

– Podejdź do brzegu wody.

Gdy chłopiec podszedł, ten chwycił go za kark i zanurzył całą głowę. Po kilku chwilach młody oficer zaczął się topić i wrywać. Starzec nie puszczał. Widząc, że chłopiec wędnie, wyciągnął go z wody i pozwolił zaczerpnąć powietrza.

Chłopak dochodził do siebie, gdy pozostali żołnierze podbiegli ratować dowódcę. Oficer kazał zostawić chłopca i leżał pod drzewem ledwo żywy.

– O czym myślałeś, gdy byłeś pod wodą? – pytał chłop. – Czego chciałeś najbardziej?

– Dziadku, najbardziej chciałem zaczerpnąć powietrza – odpowiedział oficer.

– Widzisz zatem jak być mądrym. Musisz każdego dnia pożądać mądrości, tak jak tego powietrza dzisiaj. I uczyć się od ludzi mądrych.

– Nie zapomnę was dziadku i mądrości ludzi tu mieszkających. Gdziekolwiek się znajdę, będę pamiętał i chwalił waszą Lipę.

Młody oficer poszedł w świat. Dokładnie zastosował się do rad lipskiego starca. W wojsku, pomimo braku koneksji, doszedł do stopnia adiutanta dowódcy batalionu i brał udział w I wojnie światowej.

Szkoda, że nie ma już tego starca z tamtych czasów. Zawsze, gdy jestem w tamtym rejonie Lipy, patrzę, czy nie siedzi nad stawem ten mądry starzec. Czasami wydaje mi się, że go widzę, ale to tylko wędkarz. Jeżeli zobaczycie tam kogoś w starych ciuchach, bez wędkki, to sprawdźcie, bo może to być właśnie on. A historia lubi się powtarzać.

Dziad proszalny

Na początku ubiegłego stulecia często można było spotkać na drogach dziadów lub baby, którzy chodzili „po proszonemu”. Zazwyczaj byli to starzy ludzie, nie mieli środków do życia. Utrzymywali się z tego, co im ktoś podarował lub czym poczęstował. Byli to ludzie mający swój kodeks honorowy. Nikt nigdy nie słyszał, aby taki dziad zrobił komuś krzywdę lub okradł. Dlatego też duża część ludzi przyjmowała ich i dawała co tam kto mógł.

Podeszły wiek i bardzo zniszczony ubiór wzbudzały litość i tak przecież ubogich mieszkańców Lipy. Po proszonemu zazwyczaj chodzili ludzie nietutejsi. Tak było przyjęte. Zwyczajem było, że jak ktoś przyjął takiego człowieka, obdarował i ugościł, to ten musiał usiąść i porozmawiać z domownikami. Było to niepisane prawo i świecki obyczaj.

Jako że ludzie chodzący po proszonemu odwiedzali dużo okolicznych miejscowości, posiadali dużą wiedzę. Z czasem stawali się ludźmi mądrymi życiowo. Byli zatem dobrym źródłem informacji i porad.

Był piękny letni dzień, gdy do jednej z najbiedniejszych chałup lipskich zaszedł dziad po proszonemu. Tu nie było bogactwa. Ta gospodarka była tak biedna, że nawet myszy się wyprowadziły z głodu. Poza tym w domu panowały choroby, głód i przygnębienie.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział domowników, którzy byli akurat w komplecie.

– Siadajcie, dziadku, to wam co podam – zagała gospodyni.

– Widzę, że u was się nie przelewa, chociaż jesteście ludźmi uczciwymi.

– Ano, tak się składa. Ale to stare dzieje – odparł gospodarz. I opowiedział, jak to pewnej wigilii ich dziadek wracał z kościoła i tak dalej, i tak dalej, aż do-

szedł do tego, że mają bidę za piecem, która się zapasła od kilkudziesięciu lat.

– Siedzi tam, piszczy, niszczy nas i nie ma sposobu, aby ją wykurzyć i stąd to wszystko.

Dziad wysłuchał, pokiwał głową ze zrozumieniem, zjadł jagodzianki, podziękował i rzekł:

– Za dwie niedziele będę tędy przechodził. Na ten czas przygotujcie bochenek chleba, pół funta smalcu, kwaterkę gorzałki i czekajcie.

Gospodarz zaczął narzekać, że nie ma na to pieniędzy.

– To pożycz od Żyda – rzekł dziad.

Czas płynął, bida za piecem piszczała, nic się nie wiodło, aż upłynęły dwa tygodnie. Gospodarz spełnił prośbę dziada i pożyczył wszystko, co chciał. Wszyscy dzień w dzień go wyglądali, aż w końcu przyszedł. Już od drzwi narobił rumoru. Śpiewał, stukał kijem i potrząsał lnianym workiem, w którym coś niósł.

– Witajcie, gospodarze! – zawołał od drzwi. – Czas świętować wyprowadziny.

– A kogóż to będziemy stąd wyprowadzać? – spytał gospodarz.

– Zobaczycie. Dawać na stół co macie najlepszego, a ja wam niosę na nową drogę prezent w worku.

Gospodyni wniosła do izby wcześniej pożyczone produkty i postawiła na stole.

– Koniec waszej męki. Dlatego trzeba się cieszyć, jeść, pić i śmiać się.

Wszyscy usiedli przy stole, który był tak zastawiony, jak wiele lat temu na święta Bożego Narodzenia. Zaczęli jeść i pić. Gorzałka wprowadziła wszystkich w dobry humor, tak też i śmiechy się pojawiły.

Za piecem coś się poruszyło i wystawiło łeb.

– Nalewaj i pij, smaruj chleb – krzyczał dziad prośzalny. I sam dawał przykład, jak to należy robić.

Zza pieca bida zaczęła piszczeć dając znak, że jakieś nieszczęście nadchodzi, jak zwykle. Wszyscy zamilkli.

– Już jej rządy się skończyły. Cieszcie się z tego – rzekł dziad.

Wszyscy zaczęli dalej ucztować. Bida piszczała jeszcze głośniejszym głosem. Biesiada trwała. Po jakimś czasie bida wyłazła zza pieca i rzekła:

– Co wy robicie? Takiego sutego stołu nigdy u was nie widziałam. To się nie godzi! Ja tu jestem!

Dziad porwał wszystkich zza stołu do tańca i dalej hulać. Bida podeszła zobaczyć z bliska, co tam jest.

– Nie żałuj sobie! Poczęstuj się! – krzyknął dziad do bidy.



Bida z ciekawością wlała na stół. Dziad schylił się po worek, niepostrzeżenie wyjął pustą kość udową krowy. Dwa razy się obrócił w tańcu z domownikami, złapał bidę ze stołu za kościsty łeb i szybko wsadził do środka, zamykając otwór korkiem od gorzałki.

– No i po bidzie – powiedział siadając do stołu.

Z wnętrza kości dobiegało wycie bidy. Potem prośby i straszenie piszczaniem, że teraz to ona pokaże. Nie robiło to żadnego wrażenia na biesiadnikach.

– Teraz mamy powód do świętowania. Nalewaj zatem gospodarzu, a ty gospodyni szykuj jedzenie i spróście sąsiadów.

Kość z zawartością trafiła do worka dziada prośbalnego. Gdy się rozstawali, gospodarz spytał nieśmiało.

– Zadłużyłem się na ten dzisiejszy dzień i nie wiem, co teraz będzie.

– Dobrze będzie już od dzisiaj. Wkrótce wszystko zacznie iść coraz lepiej.

Gdy dziad się żegnał, rzekł:

– Pamiętaj, że nigdy nie pozbędziesz się bidy zamartwianiem i niemocą. Gdy ci źle, śmiej się i żyj, jakby wszystko było dobrze. A bida pofolguje, bo ona nie lubi, jak się ją lekceważy. A ja życzę wam odmiany losu i zagrę kiedyś, jak będę w tej okolicy.

Tak też tu się stało. Wystarczyło, że nikt na bidę nie zwracał uwagi i wylazła zła pieca. Teraz jest tam, gdzie jej miejsce. Nazajutrz przyszli sąsiedzi z ciekawości zobaczyć czy to prawda, że już bida nie ma za piecem. A jak nakazuje zwyczaj, każdy przyszedł z czymś. Dług u Żyda został spłacony nazajutrz, a w domu zagościło zdrowie, zgoda i dostatek.

Co się stało z dziadem prośbalnym? Poszedł swoją drogą. A bida? Mówili w Lipie, że słyszano, jakoby jakiś obcy dziad kość zakopywał, tylko nie wiadomo gdzie.

Tak też ostrzegam. Jeżeli chcecie mieć spokój koło chałupy i jako taki dostatek, to przede wszystkim pod żadnym pozorem nie zaglądnijcie do kości, jeżeli wam się uda coś takiego wykopać, a już o przyniesieniu do domu mowy być nie może. Bo nie wiadomo, czy to nie ta kość. Bo jak toto do domu przyniesiecie, to...



Jerzy Witold DRZEWI rocznik 1960.

Z zawodu projektant konstrukcji budowlanych prowadzący swoje biuro projektowe „Projekt – Service” w Lipie na Podkarpaciu.

Przygoda z pisaniem zaczęła się od poradnika budowlanego „*Jak zbudować, ale się nie zrujnować*”. W 2009 r. ukazało się I a w 2014 r. II wydanie rozszerzone.

Jako autor idei budowy uzdrowiska Lipa-Zdrój (na bazie występujących tam wód mineralnych siarkawych o wysokich walorach leczniczych), mając na uwadze rozsławienie Lipy wydał następujące opowiadania:

- „Legendy Lipskie” – legendy ludowe wsi Lipa (2011 r.);
- „Opowieści Lasów Lipskich” – jako II część „Legend Lipskich” (2012 r.);
- „Rozdroże” – opowiadanie historyczne o Lipie przed drugą wojną światową (2012 r.);
- „Biały nietoperz” – tragiczna historia miłosna żołnierza na poligonie Lipa (2013 r.);
- „Die Jagd Polowanie” – o pacyfikacji wsi Goliszowiec (2014 r.).

Obecnie powstaje pozycja pod roboczym tytułem „*Dziedzictwo*” mówiąca o drodze, jaką przeszedł jeden z wielu ludzi zaczynających i prowadzących działalność gospodarczą po przemianach ustrojowych po 1989 r. w Polsce.

Jerzy Witold Drzewi okresowo publikuje artykuły z dziedziny poradnictwa budowlanego w czasopiśmie regionalnych.

Redakcja „Krynicy” prezentuje Czytelnikom wyjątkowy tekst: powieść „Pod żaglami «Zawiszy». Don Kichoci z «Cietrzewia»”, opartą na autentycznych, pełnych bohaterstwa i jednocześnie tragicznych wydarzeniach.

Wyrażamy ogromną wdzięczność jej Autorowi – kapitanowi żeglugi wielkiej Piotrowi Dymitrowi WISZNIEWSKIMU za to, że właśnie Polaków Ukrainy wybrał na pierwszych czytelników swojej powieści, zanim jeszcze zostanie wydana w Kraju już jako książka.

Piotr Dymitr Wiszniewski

POD ŻAGLAMI „ZAWISZY” DON KICHOCI Z „CIETRZEWIA” (Opowieść prawdziwa)

Motto:

„...Nie ma w literaturze światowej przykładu tak bolesnej rozpacz człowieka, który widzi jak rozpada się w jego kraju wszystko, co stworzyli przodkowie, co kochał i do czego był przywiązany. Zdeptane zostają więzi przyjaźni i pokrewieństwa, szczerłość, otwartość, szacunek do tradycji. Te bezcenne wartości zastępuje gangrena przystosowania, podyktowana strachem przed więzieniem, deportacją do gułagu czy rozstrzelaniem...”

(Fragment recenzji książki „Droga do nikąd” Józefa Mackiewicza, napisanej przez Czesława Miłosza o sowieckiej okupacji Wileńszczyzny w latach 1940-41.)

Dnia 3 maja do portu Nexø na Bornholmie wchodzi szkuner ZAWISZA CZARNY – flagowy żaglowiec polskich harcerzy. Manewrując w wąskim kanale uderza zaobleniem dziobowej części swego kadłuba w lewe nadburcie katamaranu JANTAR, zacumowanego przy terminalu pasażerskim a należącego do Kołobrzeskiej Żeglugi Pasażerskiej. Trwa akurat ambarkacja pasażerów. O godz.18.00 JANTAR odcumuje i wyruszy w podróż do Kołobrzegu. Po „stłuczce” kapitan ZAWISZY, pan Marek Ihnatowicz, przybył na mostek JANTARA, aby – zgodnie z procedurą dobrej praktyki morskiej – podpisać „list obciążający”; prawdziwi pracownicy morza zawsze

byli i są w każdym calu i każdym momencie dżentelmenami.

W rozmowie z dowódcą JANTARA komendant ZAWISZY podzielił się swoją refleksją o zaistniałym przed chwilą zdarzeniu:

– Pogoda wymarzona, wiatr 0 st. B, widzialność doskonała, maszyna sprawna, statek słucha steru i nagle, ni stąd ni zowąd, dziób leci w lewo i uderza w JANTARA; to jakieś irracjonalne zjawisko...

– Zgadzam się całkowicie – odrzekł kapitan JANTARA – musiały zadziałać paranormalne moce, czy jak tam je nazwać, których ingerencja spada jak

grom z jasnego nieba w momencie zawsze nieodpowiednim i nieoczekiwanym. Nie zgłębiona tajemnica; jak np. pojąć taki oto przypadek: uroczystości pogrzebowe Papieża Jana Pawła II, Watykan, na trumnie otwarta Biblia, żadnych przeciągów i w pewnym momencie Święta Księga samoczynnie się zamyka?!.. Również nadprzyrodzonym wydarzeniem jest to, że Pański żaglowiec najechał dzisiaj na JAN-TARA o godzinie 17.30. A wie Pan co wydarzyło się dokładnie co do minuty 59 lat temu?..

– ???..

– ZAWISZA CZARNY, wówczas ługrotrawler CIETRZEW łowił śledzia na Morzu Północnym. Został uprowadzony i właśnie o godzinie 17.30 dnia 3 maja 1955 roku buntowników-porywaczy pojmano i aresztowano. Zdarzyło się to na pełnym morzu, 110 mil morskich od wschodniego wybrzeża Szkocji. Aresztantów lodołamacz SWAROŻYC dostarczył do Szczecina na Wały Chrobrego, skąd czarnymi limuzynami marki Citroën powieziono ich do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa przy ulicy Małopolskiej. Kompleks monumentalnych budynków z blokiem więziennym na zapleczu do 1945 roku należał do GESTAPO. I znowu zdumiewające skojarzenie, niepojęty znak ze świata paranormalnego. Podczas dywanowych nalotów alianckie bombowce zburzyły miasto w 80%. Starówka legła w gruzach a okazały gmach opery przylegający do siedziby GESTAPO, przemieniony w pryzmę gruzu z smalonymi kikutami ścian i stropów, straszył przez lata i nie pozwalał zapomnieć o okropnościach wojny. Ale kombinat zbrodni i oprawców bomby oszczędziły. To przykład diabelskiej intrygi, to nakaz

przekazania pałeczki następcom także z piekła rodem. Podczas Konferencji Jaltańskiej (4-11.02.1945 r.), skazującej Polskę na niewolę bolszewicką, Roosevelt nachyliwszy się do Stalina zapytał konfidentycznie, wskazując na łysego bruneta w binoklach:

– Kto to?

Stalin uśmiechając się szyderczo odparł:

– A... to Ławrentij Pawłowicz Beria, taki nasz Himmler...

Konferencja odbywana się w okazałej rezydencji LIWADIA, wybudowanej w latach 30. XIX wieku przez hr. Józefa Potockiego. Zgubę Polski zatwierdzono w pałacu należącym niegdyś do polskiego arystokraty. To nie sprawa przypadku, to zamierzona cyniczna prowokacja i kpina.

19 kwietnia 1955 roku CIETRZEW przysposobił się do wyprawy na łowisko. Zaopatrzony w sprzęt łowny, beczki, sól, prowiant, paliwo, wodę pitną, oleje smarne, papierosy, alkohole wysokogatunkowe etc. Kierownik zaopatrzenia nie robił trudności mimo wygórowanej specyfikacji dostawczej. Nawet na twarzy pojawił się przyjazny uśmiech po otrzymaniu bakszyszu w postaci 2 kartonów papierosów marki „Wawel” i 3 butelek „Czystej Wyborowej”, każda o pojemności litra, zwanych „krowami”. Prezenty owe zaliczały się do artykułów luksusowych, nieosiągalnych w sklepach PSS.

Wyjście ze Szczecina wypadło podczas paskudnej, typowo rybackiej pogody: wiatr 6/7 st. B, rześisty



M/s STALOWA WOLA –
statek-bliźniak MORSKIEJ WOLI



M/s STALOWA WOLA –
statek-bliźniak MORSKIEJ WOLI

deszcz, widzialność 2 mile, szybkość statku ok. 7 węzłów. Po dotarciu na Rynnę Norweską wydano sieci stawne, zwane w żargonie rybackim „fletem”. Kilka dni później okazało się, że rep (lina o długości 3 km) łącząca zestaw sieci – grozi zerwaniem, a tym samym utratą sprzętu łownego. Kapitan Leszek Żmudziński powiadomił bazę, czyli MORSKĄ WOLĘ, o potrzebie wymiany repu.

Dnia 3 maja w godzinach rannych m/t CIETRZEW zacumował do lewej burty m/s MORSKA WOLA – statku o bogatej i chwalebnej przeszłości. W służbie PMH u armatora GAL (Gdynia America Lines) pojawiła się wraz z siostrzaną STALOWĄ WOLĄ w lutym 1939 roku. Oba drobnicowce zbudowane w 1924 roku obsługiwały porty południowej i środkowej Ameryki. Przez okres wojny, od 1939 do 1945 roku, podobnie jak 50 pozostałych frachtowców PMH, uczestniczyły w konwojach. Pierwszy pamiętny chrzest bojowy MORSKA WOLA przeszła na grudniowym Atlantyku 1940 roku. Konwój – 37 statków zaatakował niemiecki krążownik ADMIRAL SCHEER, pięć z nich posłał na dno. Każdego dnia niemieckie uboty podstępnie atakowały konwoje, zatapiały statki, czyniąc spustoszenie w systemie dostarczania materiałów wojennych dla walczącej Europy. MORSKA WOLA pod dowództwem kpt. Ż.W. Stanisława Zelwerowicza syna Aleksandra – wielkiego aktora scen polskich, uchodziła za „lucky ship” (szczęśliwy statek). Kazimierz Sosnkowski udał się na emigrację do Kanady, gdy na żądanie W. Churchilla utracił po wybuchu Powstania Warszawskiego stanowisko naczelnego wodza. 20 września 1945 roku m/s MORSKA WOLA wraca z wojny do Gdyni pod dowództwem kpt. Ż.W. Tadeusza Szczygielskiego, popularnego

we flocie znawcy gołębi pocztowych. W roku 1952, po remoncie adaptacyjnym stała się bazą rybacką.

...M/t CIETRZEW kołysze się lekko, rep ciągnie winda ładunkowa MORSKIEJ WOLI, załoga rozpięchła się po zakamarkach bazy. Niektórzy udali się do łazienki, inni zajęli miejsca w sali kinowej; wyświetlano film p.t. „Czapajew”, gloryfikujący waleczność czerwonoarmistów podczas wojny domowej. Za chwilę puszcza „Świat się śmieje” – propagandowy gniot o radosnych kołchoźnikach. W mesie załogowej z polecenia sekretarza partii i oficera KO szkolenie ideologiczne o „chwalebnej” postaci z panteonu kanalii sowieckiego państwa Pawce Morozowie. Zasłużył się tym, że w okresie kolektywizacji doniósł władzy na swoich rodziców, iż razem z kułakami ukryli zboże, za co zostali rozstrzelani. W swojej wsi rodzinnej założył bojowy oddział komсомolski, którego zadanie polegało na odbieraniu zboża kułakom i tropieniu kontrrewolucjonistów. Gdy Stalin przeczytał o nim w „Prawdzie”, rzekł do Andrieja Żdanowa:

– A to gnida.

A po chwili namysłu dodał:

– Ale pożyteczna, trzeba go rozsławić.

I w ten sposób Pawka Morozow, zero moralne, został wykreowany na patrona ruchu komсомolskiego i stał się wzorem do naśladowania dla młodzieży i obywateli, najpierw Związku Sowieckiego, a po 1945 roku – PRL.

...Ha mostek MORSKIEJ WOLI udał się Paweł, gdzie spotkał II oficera Marka Wojciechowskiego, kolegę ze Szkoły Morskiej, zajętego akurat korektą map i wydawnictw nawigacyjnych. Udostępnił stare,

pamiętające czasy świetności frachtowca i już nieaktualne mapy, locje, spisy światła. Paweł zabrał cały plik pomocy nawigacyjnych, obejmujących północne i zachodnie wybrzeże Szkocji, Przesmyk Pentland, wody irlandzkie, Kanał La Manche, Zatokę Biskajską.

Na pokładzie CIETRZEWIA są tylko cztery wtajemniczone osoby.

Każdy wie co ma robić. Mechanik Albert udaje się do maszyny, Janek staje przy sterze, Krzysztof dowodzi całością. Na MORSKIEJ WOLI, oprócz wachty kotwicznej, służbę pełnią zakonspirowani ubowcy udający załogę. Są uzbrojeni. W razie potrzeby do pomocy powołają grupę ormowców (*ORMO – Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej* – przyp. red.). CIETRZEW musi szybko, jak najszybciej odcumować. Czas nagli, potrzeba go nie więcej niż złodziejowi do ukradzenia samochodu. W grę wchodzi sekundy, żeby zdążyć przed ewentualnym abordażem... Warunki meteo niekorzystne do manewrowania, wiatr dociska CIETRZEWIA do kadłuba bazy: żeby odskoczyć trzeba wykonać kilka ryzykownych manewrów maszyną i sterem. Trzeba

się zmieścić w dwóch minutach!.. Paweł zrzucił z polerów wszystkie cztery cumy i szpringi. Maszyna pracuje, CIETRZEW uderza i ociera się o kadłub MORSKIEJ WOLI. Paweł wskoczył do ładowni, prawą ręką chwycił linę o grubości 7 cm i nożem kuchennym, ostrym niczym brzytwa, jednym pociągnięciem odciął rep. Na MORSKIEJ WOLI zamieszanie – nie wiedzą co się stało?!.. Na powierzchni morza pływają rep i cumy manilowe; nie zdążyły jeszcze nasiąknąć wodą. CIETRZEW szczęśliwie oderwał się od bazy i położył na kurs 210°. Gęsta mgła – tym razem sprzymierzeniec. To ta mgła właśnie zaważyła o podjęciu decyzji o uprowadzeniu lugrotrawlera. Spiskowcy uznali, że wachlarz pomysłów jest optymalny, bo oprócz mgły, która uczyni CIETRZEWIA dla innych „statkiem niewidkiem”, to jeszcze dobrze się złożyło, że najbliższe trawlerzy dalmatorskie i lugrotrawlerzy świnoujskiej „Odry” łowią w pobliżu Norwegii, jakieś 30-40 mil stąd. Wszystkie znaki na niebie i morzu wskazują, że opatrność sprzyja.

Plan opanowania i uprowadzenia lugrotrawlera zrodził się w październiku 1954 roku. Krzysztof, Albert i Paweł opracowali następującą strategię. Statek zostanie przejęty podczas postoju przy statku-bazie



M/s CONSUL HORN, statek niemiecki – później polski m/s MORSKA WOLA

późnym wieczorem, bo żaden statek rybacki PRL nie dysponował radarem, nie byłby więc w stanie określić ani pozycji, ani kursu CIETRZEWIA. Portem docelowym będzie La Coruna, Aviles, Santander inne miejsce na północy Hiszpanii. Dlaczego Hiszpania? Bo generał Franco uważał PRL – zgodnie z prawdą – za gubernię sowiecką, a jako wiarygodnego przedstawiciela Polski honorował ambasadora Józefa hr. Potockiego, reprezentującego Rząd RP na Uchodźctwie nieprzerwanie od 1944 roku. Nasz rząd emigracyjny uznawały w owym czasie jeszcze: Irlandia, Kuba, Liban i Watykan.

Dlaczego zdecydowali się na przejęcie statku?.. Chcieli wywołanym skandalem zwrócić uwagę społeczeństw Wolnego Świata, uświadomić, że mimo bezwzględного terroru – ogniska oporu tła się w całym kraju. Gdyby chodziło im o zwykłą ucieczkę za granicę, nie mieliby problemu. Podczas każdego rejsu na łowiska Morza Północnego i z powrotem statek żeglujcie cieśniną Sund i w odległości 100 m mija Kopenhagę...

Po rozwiązaniu Armii Krajowej 19 stycznia 1945 roku skryształizowała się na terytorium Polski nowa forma konspiracji pod nazwą WIN (Wolność i Niezawisłość). Pierwszą Komendę „bezpieka” aresztowała. Powstała druga – też aresztowana. Powstała trzecia – aresztowana, czwarta – też aresztowana. Po każdej likwidacji WIN-owców prześladowano i ska-

zywano na długoletnie więzienie, a kierownictwu i co znacznijszym bojownikom-patriotom wymierzano karę śmierci.....

WIN formalnie istniała od 1945 do 1952 roku. Ale jedynie w okresie 1945-48 jej działalność była infiltrowana wyłącznie przez UB. Po rozbiciu IV komendy i spacyfikowaniu wszelkich struktur organizacyjnych, zbrodnica spółka Bezpieka i NKWD wzięły sprawy w swoje ociekające krwią ręce i zajęły się tworzeniem kolejnej V komendy. Dla uwiarygodnienia mistyfikacji pożądana była wybitna postać z Państwa Podziemnego czasu okupacji niemieckiej; charyzmatyczna, ciesząca się powszechnym autorytetem. Niektórzy przewerbowani oficerowie WIN za cenę zachowania życia poszli na współpracę, ale były to tylko plotki; potrzebny był „rekin”. Julia Bristigierowa – szara eminencja Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego „wytypowała” gen. Emila Fieldorfa ps. Nil (szef Kedywu AK podczas wojny, ale po jej zakończeniu nie angażował się w żadną działalność wojskową ani polityczną; chciał pozostać neutralny). Kazała go aresztować. Już następnego dnia wezwwała go na rozmowę. Proporcję firmowania komendy kategorycznie odrzucił. Odmawiając – skazał siebie na śmierć. Bezpieka znalazła statystę-renegata. I fałszywka pod nazwą V Komenda WIN weszła do gry. Tą drogą udało się Bezpiece wyłudzić od CIA przeszło 12 mln dolarów i nadwerżyć prestiż Rządu



MORSKA WOLA w czasie załadunku towaru podczas postoju w porcie w Gdyni. Marzec 1939 r.

Emigracyjnego RP. Prowokacja się powiodła. Specjaliści NKWD zawsze wszystko potrafili, nawet wykreować posłuszną sobie opozycję.

O fałszywą V Komendę nieświadomie otarł się Paweł za sprawą znajomego pana Władysława Przybyszewskiego, wychowawcy w bursie Szkoły Technicznej w Szczecinie. W roku 1948 wrócił z Zachodu, przez okres okupacji czynny w konspiracji. Jako porucznik AK walczył na barykadach stolicy. Po upadku Powstania Warszawskiego internowany w oflagu. Wiosną 1945 roku wyzwoliła go dywizja gen. Maczka. Wstąpił do kompanii wartowniczej przy III Armii USA w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Nawiązał współpracę z delegaturą WIN w Londynie. Poznał wielu znaczących przedstawicieli emigracji niepodległościowej. Zaprzyjaźnił się z kpt. Adamem Boryczką, oficerem Wileńskiej Brygady AK, „cichociemnym” (*„cichociemni” – żołnierze, partyzanci Polskich Sił Zbrojnych desantowani do okupowanej Polski podczas II wojny światowej w celu prowadzenia nieregularnej walki z niemieckim okupantem oraz organizowania i szkolenia polskiego ruchu oporu w kraju* – przyp. red.). Kpt. Boryczka w 1949 roku pojawił się w Szczecinie jako emisariusz delegatury WIN w Londynie. Chociaż był doświadczonym konspiratorem, jednak został wyprowadzony w pole: uwierzył, że V Komenda to twór prawdziwy. Ale prawdę znali tylko najwyżsi rangą funkcjonariusze UB i ich mocodawcy z NKWD.

Paweł spotkał się z emisariuszem w mieszkaniu Przybyszewskiego przy Jasnych Broniach. W czasie rozmowy z Boryczką Paweł wspomniał, że jako 15-latek chciał rzucić szkołę i zaciągnąć się do oddziału partyzanckiego majora Zapory na Lubelszczyźnie. Ale zamiast werbunku Zapora ofuknął go i kilku innych ochotników:

– Do szkoły a nie do lasu narażać życie! Przyda się ono w wolnej Polsce! My, wyklęci przez reżym – będziemy trwać do końca. Nowych straceńców nam nie potrzeba, szkoda waszej krwi...

Major Hieronim Dekutowski ps. Zapora we wrześniu 1943 roku, cichociemny, na spadochronie wylądował na polskiej ziemi koło Wyszkowa. Podjął natychmiast walkę, został dowódcą oddziału AK. Wejście czerwonoarmistów w 1944 roku na Lubelszczyznę zamiast wyzwolenia niesło represję i niewolę. Partyzanci ujawniali się, broń ustawiali w koźły,

chcąc okazać „wyzwolicielem” przyjazne intencje. Zamiast dobrej woli – bolszewicy aresztowali szeregowców a oficerów rozstrzeliwali. Prowokacja była zamierzona i miała na celu zduszenie oporu zbrojnego, żeby pokazać światu, że Polacy to nie tylko antysemita, ale również sabotażyści i dywersanci. NKWDziści nachodzili prywatne mieszkania, dokonali rewizji i aresztowań. Powoływali się na wytyczne Konferencji Jałtańskiej i uchwały PKWN upoważniające NKWD i Armię Czerwoną do zwalczania reakcyjnego podziemia i oczyszczania zaplecza frontowego. W Bełżycach koło Lublina zaaresztowano kilkuset mężczyzn i wysłano do łagrów na Syberii. Niektórzy wrócili dopiero pod koniec lat 50. XX w., wielu zaginęło bez śladu. Na Ziemi Augustowskiej przeprowadzili obławę, aresztując kilka tysięcy osób, z tego ponad 600 zamordowano na miejscowych mokradłach. Bezmiar bezprawia i niepojęty terror rozplenił się na obszarze od Narwi po Karpaty... „Trybuna Ludu” doniosła, że 15 listopada 1948 roku Sąd Rejonowy w Warszawie skazał Zaporę na karę śmierci; wyrok wykonano. Każdego dnia w każdej gazecie i radiu komunikaty o szalejącej śmierci. Buntownicy z CIETRZEWIA wieźli ze sobą szczegółowe opisy udokumentowanej prawdy o zbrodniczych poczynaniach tzw. „władzy robotniczo-chłopskiej” od jej zarania. Już we wrześniu 1939 roku mieszkańcy wschodniej Polski zostali poinformowani przez gazety i głośniki radiowe, że „pańska Polska, bękart Traktatu Wersalskiego”, przestał istnieć na zawsze. Słowa te usłyszał najpierw od sowieckiego wiceministra spraw zagranicznych, Władimira Potiomkina, ambasador RP Wacław Grzybowski w nocy z 16 na 17 września 1939 roku... Podpisany w dniu 28 września 1939 r. w Moskwie układ ustalający nową granicę między III Rzeszą a Związkiem Sowieckim i zacieśniający współpracę gospodarczą i polityczną między oboma krajami głosił: „Obie strony nie będą tolerowały na swoich terytoriach jakiegokolwiek agitacji i konspiracji polskiej godzącej w jedną ze stron”. Na mocy tego układu Niemcy przyłączyli do Rzeszy nowe okręgi administracyjne: Kraj Warty, Prusy Zachodnie i Gdańsk a pozostałe 95 tys. km kw. polskiej ziemi pozostawili jako „kraj peryferyjny” o nazwie „Restpolen”. Stalin nie godził się, żeby „kadłubowe terytorium Polski”, będące hitlerowskim łupem, miało w swej nazwie słowo „Polen”. Niemcy ustąpili i obszar ten nazwali „Generalne Gu-

bernatorstwo”... Władysław Mołotow w przemówieniu wygłoszonym na forum Rady Najwyższej, powiedział m.in.: „Koła rządzące Polską chęły się trwałością swego państwa i potęgą swojej armii... Wystarczyło krótkie natarcie wojsk niemieckich i Armii Czerwonej, by nic nie pozostało po tym pokracznym tworze Traktatu Wersalskiego pasożytującym na ucisku niepolitycznych narodów. Wyrok historii: państwo to już nigdy nie powstanie...”. Związek Sowiecki wspaniałomyślnie udzielił obywatelstwa mieszkańcom Ziemi II RP zabranym w wyniku agresji, na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow z 23.08.1939 roku. Z tej okazji pojawimy się w prasie i radiu czołobitne oświadczenia nikczemnych renegatów. Wanda Wasilewska dziękowała władzy radzieckiej za udzielenie mandatu deputowanej Rady Najwyższej i nie omieszkła podziękować za pokonanie „pańskiej Polski”. Za wymazanie z mapy Europy na zawsze burżuazyjnej Polski dziękowali m.in.: Piotr Jaroszewicz, Aleksander Zawadzki, Karol Świerczewski, Jerzy Putrament, Jakub Berman, Ostap Dłuski i inne zbiry...

Nie minęły 3 lata a wiosną 1943 roku władza sowiecka zrywa stosunki dyplomatyczne z rządem emigracyjnym RP. Powód?.. Wyszła na jaw prawda o zbrodni katyńskiej dokonanej przez „bratni” Związek Sowiecki a nie Niemców. Na nieludzkiej ziemi powstaje powołany przez Stalina „Związek Patriotów Polskich”. Porażający chichot historii: przywódcami są te same kreatury, które w październiku 1939 roku opłuli naród i państwo polskie i radowały się, że „bękart Traktatu Wersalskiego” zszedł na wieczny czas do lamusa... Teraz jako najemni patrioci firmowali PKWN i Rząd Tymczasowy. Linie Cursona zaakceptowali jako wschodnią granicę PRL. Upoważnili NKWD do zwalczania reakcyjnego podziemia. Nowa codzienność jawiła się aresztowaniami, wysyłką do łagrow i rozstrzeliwaniami.

Politykę mocarstw zachodnich wobec Rosji Sowieckiej cechowała w kwestiach dotyczących Polski daleko posunięta skłonność do ustępstw. Głos Rządu RP na uchodźstwie, cieszącego się poparciem narodu, nic nie znaczył dla niedawnych aliantów, jakoby nam życzliwych; udawali, że nie dostrzegają zniewolenia. Społeczeństwo polskie łudziło się, że na Zachodzie nie znają prawdziwego oblicza „demokracji po bolszewicku”. Zamiarem buntowników z

CIETRZEWIA było więc wyjawienie i głoszenie prawdy o „czerwonej gangrenie”.

W Maladze, do której zmierzał CIETRZEŹ, znajdowało się biuro armatorskie: „Towarzystwo Żeglugowe Wolna Polska” należące do przedsiębiorczych emigrantów. Współzałożycielem był także kpt. Ż.W. Jan Ćwikliński, pełniący jednocześnie funkcję dowódcy s/s WOLNA POLSKA bandery białoczerwonej z orłem w koronie. Statek z serii Liberty, których Stany Zjednoczone w latach wojny wyprodukowały 10 tysięcy sztuk, każdy o nośności 10 tys. ton, z przeznaczeniem dostarczania materiałów wojennych walczącej Europie i zaprojektowanych na jedną podróż. Ale w rzeczywistości, zachowując dzielność morską, kursowały szlakami żeglugowymi jeszcze w latach 90. ub. wieku.

Kapitan Ćwikliński przez okres wojny dowodził polskimi statkami uczestniczącymi w konwojach. W roku 1944 zaokrętował na BATOREGO, który poddano remontowi w celu przywrócenia mu charakteru transatlantyku pasażerskiego, gdyż w czasie wojny pełnił rolę jednostki wojskowo-transportowej. W roku 1948 kapitan Ćwikliński przyprowadził do Gdyni BATOREGO, który wrócił na przedwojenną linię żeglugową: Gdynia – Kopenhaga – Londyn – Nowy York. W roku 1949 na frachtowcach PMH pojawiło się nowe stanowisko służbowe: „oficer KO”. W książce żeglarskiej zaokrętowanie: „z-ca kapitana” – w rzeczywistości rezydent UB. Podczas postoju w Nowym Yorku oficer KO, niejaki Piotr Szamiel, potajemnie wprowadził na pokład BATOREGO Gerharta Eislera, którego po wypłynięciu z portu ulokował w apartamencie I klasy. Samowola tego rodzaju jest niedopuszczalna! Kapitan poczuł się nie jako komendant transatlantyk, lecz – jak sam to określił – „kierowca-nawigator” o ograniczonych uprawnieniach. Okazało się, że Gerhart Eisler był poszukiwany w USA listem gończym jako niebezpieczny sowiecki szpieg.

Minął jakiś czas a tow. Szamiel przyszedł do kapitana Ćwiklińskiego z propozycją „nie do odrzucenia”. Zachowywał się butniej jak podwładny, nie jak kacyk podwładny, lecz jak kacyk...

– Kapitanie, musimy pomóc pewnemu małżeństwu, szykanowanemu przez instytucję Mc Carthego. Ich rodzice wyemigrowali z naszej ziemi do USA (zabrzmiało to jak rozkaz). – Mają lewicowe



BATORY (za nim PIŁSUDSKI) przy Dworcu Morskim w Gdyni w 1937 roku

poglądy. Na statek wejdą dyskretnie, zajmę się nimi. Później, po opuszczeniu Nowego Yorku, ulokujemy ich w jakiejś kabinie.

– Kim oni są z grubsza już pan określił – odezwał się kapitan. – Ale jak się nazywają?

– Rozenbergowie. Juliusz jest z wykształcenia inżynierem elektrykiem a Ethel to śpiewaczka i aktorka..

– Panie Szamiel, zabraniam panu prowadzenia na dowodzonym przeze mnie statku wszelkiej działalności kolidującej z obowiązkami służbowymi. BATORY cieszy się w świecie żeglugowym dobrą opinią, nie wolno jej zszargać. Koniec rozmowy...

Wkrótce cały świat dowiedział się, że Rosenbergowie to wytrawni szpiedzy i zdrajcy, którzy przekazali Sowiетom pakiet tajemnic dotyczących produkcji broni jądrowej. Zostali za to osadzeni w więzieniu i skazani na karę śmierci. Wyrok na krześle elektrycznym wykonano w więzieniu Sing-Sing.

Instynkt samozachowawczy podpowiedział kapitanowi, że do kraju nie wolno mu wracać, bo czeka go los, jaki zgotowali komuniści generałowi Fieldorowi czy rotmistrzowi Pileckiemu. Poprosił w Anglii o azyl polityczny, który bez problemu otrzymał. Statki PMH były często używane do różnych ciemnych machinacji dla potrzeb sowieckich służb specjalnych, a faktycznie dla PRL-owskich.

...CIETRZEW zbliża się do akwenu, na którym połamała zęby Wielka Niezwyciężona Armada liczącą w dniu 27.07.1588 roku 200 okrętów, na owe czasy nowoczesnych i gabarytowo największych, oraz 40 tysięcy doświadczonych żeglarzy wszechstronnie wykształconych. Wyruszyła na północ w zamiarze zawojowania Anglii. Potęgą tą dowodził admirał książę Sidonia. Hiszpanie byli mistrzami abordażu, ich żaglowce o wysokich nadbudówkach, zwanych kasztelami, umożliwiały po szczepieniu ich z okrętem nieprzyjacielskim wysadzenie desantu i walkę wręcz. Armada ta to także flota wenecka i portugalska, okazała się demonstracja ogromnej siły; niczym

miecz boży przybyła ukarać królową Elżbietę za popieranie rozbójów na statkach hiszpańskich i portugalskich w wykonaniu piratów angielskich oraz za odrzucenie przez jej ojca, Henryka VIII, zwierzchnictwa religijnego Rzymu i ustanowienie wiary anglikańskiej.

Okręty Armady nazywano imionami świętych a żagle oznaczone były krzyżami. Gdy kawalkada tych niejako nieziemskich żaglowców pojawiła się na trasie Calais, na rozkaz admirała Sidonii stanęła na kotwicach. Francis Drake, znienawidzony przez Hiszpanów angielski pirat, tylko czekał na ten brak rozważli. Z wybrzeża angielskiego „wypuścił” ponad 40 branderów. Płonące pochodnie, niesione wiatrem i prądem pływowym, uderzały w potężne drewniane kadłuby. Pożar floty wywołał panikę. Żaglowce, których nie ogarnęły jeszcze płomienie, podniosły kotwice i rozpierzchły się po Morzu Północnym. W cieśninie Pentland First, znoszone silnym prądem pływowym i roztrzaskiwane o skały, tonęły niczym kamienie. Rozbitkowie – jeśli wysoko urodzeni – szli do angielskiej niewoli i mogli liczyć na wykupienie przez rodzinę, ale chodopachołków Szkoci i Anlicy zabijali na miejscu.

Do Hiszpanii po sromotnej porażce Niezwyciężona Armada wróciła niczym sfora skopanych i pokaleczonych Azorków i Burków. Straciła 70% stanu floty i żeglarskiej obsady. Nie przegrała pobita przez Anglików, lecz z powodu głupoty dowódców. Klęski dopełniły sztormy, mierziny i skały rozsiane wzdłuż wybrzeża Szkocji Anglii i Irlandii. Przegrana doprowadziła do zmierzchu dominacji iberyjskich żeglarzy na morzach świata. Pałeczkę przejęli Anglicy, chociaż jeszcze w wieku XVI nikt na Wyspach Brytyjskich morzem się nie przejmował. Na potrzeby „gospodarki morskiej” królowa Elżbieta przenaczała ze swej kieszy 4 funty 4 szylingi i 6 i 1/2 pensa!..

...Po przepłynięciu Morza Północnego CIETRZEW wejdzie do cieśniny Pentland Firth. Mimo trudnych warunków żeglugowych, od czasów Wielkiej Armady po dzień dzisiejszy niezmiennych, jednak dokładnie rozeznanych i oznakowanych. Prądy pływowe tak jak kiedyś osiągają prędkość do 10 węzłów. Ale dla statku wyposażonego w maszynę trudność ta jest do przewyciężenia.

Pogoda – ku przerażeniu buntowników – ulega poprawie; siła wiatru maleje, widzialność jest coraz

lepsza, mgła całkowicie zanika. Za rufą pojawiają się kontury MORSKIEJ WOLI. Znajduje się ona w odległości jakieś sześciu mil. Albert udał się do maszynowni i podłożył pod regulator obrotów silnika głównego 4-milimetrowe podkładki, przez co została uzyskana większa moc i wzrosła szybkość.

Ale na MORSKIEJ WOLI mechanik uczynił to samo, narażając statek-bazę na niebezpieczeństwo, gdyż PRS w świadectwie klasy MORSKIEJ WOLI ograniczył obroty do uzyskiwania szybkości nieprzekraczającej 6 węzłów. Oba statki, łamiąc zasady bezpieczeństwa żeglugi, pędzą z prędkością 12, 13 węzłów. Na pokładzie CIETRZEWIA optymizm ulega skwaszenia, lot na skrzydłach fantazji obniża swój pułap. Buntownicy zdają sobie sprawę, że depcząc im po piętach rybacka baza to śmiertelne niebezpieczeństwo. Mgła – najważniejszy sprzymierzeniec zdradziła. Manitu – wielki duch Indian, nadprzyrodzona siła opuścił pokład CIETRZEWIA i przeszedł na stronę ścigających. Mimo symptomów niepowodzenia dezenterzy nie do końca tracą nadzieję. Na fali bezpieczeństwa 2182 kHz ślą w eter suplikację: „This is fish vessel CIETRZEW call seign: Sierra Papa Golf Zulu, position... needs urgent help, she is in great deadly dangerous, requires a helicopter or speedy ship...”. Żądanie pomocy odebrała stacja brzegowa „Wick Radio” z północnej Szkocji a trawlerzy angielskie ST. KEVERN i ARCTIC BUKANEER usłyszały sygnały rozpacz z CIETRZEWIA i ruszyły na pomoc.

Radiostacja MORSKIEJ WOLI, wielokrotnie silniejsza od aparatury na innych statkach rybackich, rozpoczęła zagłuszanie komunikatów wysyłanych z CIETRZEWIA metodą stosowaną w utrudnianiu odbioru audycji nadawanych przez Wolną Europę i inne niezależne rozgłośnie. W kabinie radiowej oprócz telegrafisty przebywał zastępca kapitana d/s KO. W rzeczywistości rezydent Bezpieki. Po wydaniu polecenia trawlerom zaprzestania połowów i wszczęcia pościgu, prowadzono wymianę zaszyfrowanych komunikatów z Warszawą.

Międzynarodowa fala bezpieczeństwa o częstotliwości 2182 kHz według „Konwencji o bezpieczeństwie życia na morzu” służyła wyłącznie do wzywania pomocy i korespondencji w sprawie ratowania życia. Prowadzenie innych rozmów, jak dezinformacja i głuszenie, było nie tylko naruszeniem etyki morskiej,

lecz poważnym przestępstwem. MORSKA WOLA w tym łajdactwie brnęła dalej: nakłamała, że CIETRZEW, na którym kilkusobowa załoga nie potrafi obsługiwać maszyny i nie zna się na nawigacji, już nie potrzebuje pomocy, znajduje się blisko statku-bazy a niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Podziękowała radiostacji brzegowej „Wick Radio” i zagranicznym statkom śpieszącym na pomoc. W tej sytuacji angielskie trawlerzy ST. KEVERN i ARCTIC BUKANEER, ufając, że CIETRZEWOWI nic nie grozi – skierowały się na łowiska atlantyckie.

Sytuacja na CIETRZEWIU początkowo była. „z górki” – morze osnute mgłą. Ale dobrą passę kończy przejrzyste powietrze i widoczność 10 mil!.. W oczy zagłęda zwątpienie, lecz na jego dnie miga słaba isierka nadziei: może nadejdzie pomoc ze strony rządu emigracyjnego?.. Takie precedensy miały już miejsce.

W końcu lipca 1954 roku w ładowni m/s JAROSŁAW DĄBROWSKI zamelinował się starszy marynarz Antoni Klimkiewicz, zwolniony z PLO za odmowę współpracy z Bezpieką. Po opuszczeniu Gdyni statek zawinął do Londynu. Po otwarciu ładowni odkryli go dokerzy. Z inicjatywy zastępcy kapitana do spraw KO (rezydenta UB) st. mar. Klimkiewicza uwięziono w jednej z kabin. Dokerzy powiadomili Urząd Emigracyjny (Emigration Office). Na pokładzie pojawiła się policja. Kapitan wraz ze swoim zastępcą nie chcą wydać blindziarza.

Władze brytyjskie w pierwszej chwili akceptują decyzję i zezwalają na wyjście z portu. Wiadomość o skandalu na m/s JAROSŁAW DĄBROWSKI przedostała się na łamy prasy emigracyjnej. Przywódcy organizacji niepodległościowych podjęli akcję uwolnienia Antoniego Klimkiewicza. Mecenas Jan Jaxa ze Zjednoczenia Polskiego interweniował u szefa Foreign Office. Przywołał edykt królewski Karola II o nazwie „Habeas Corpus” (prawo zbiegłego niewolnika) ogłoszony w XVIII wieku, zabraniający aresztowania kogokolwiek na morzu i ziemi angielskiej bez nakazu sędziego i gwarantujący postępowanie przed właściwym sądem.

Na polecenie ministra spraw wewnętrznych policja – po anulowaniu poprzedniej decyzji – uwolniła Klimkiewicza na Tamizie przy jej ujściu. Bolesław Bierut zażądał do wglądu wszystkich publikacji z angielskich i emigracyjnych środków przekazu dotyczących Antoniego Klimkiewicza.

1 sierpnia 1951 roku okręt hydrograficzny ŻURAW opuścił Kołobrzeg i nawigował do Gdyni. Na pełnym morzu wybuchł bunt, komendę objął st. marynarz Henryk Barańczak. Na burcie znajdowała się grupa wyższych oficerów z szefostwa Hydrografii Marynarki Wojennej. Wszyscy zostali odizolowani w mesie oficerskiej... Okręt zawinął do szwedzkiego portu Ystad. 11 marynarzy poprosiło o azyl, reszta załogi powróciła ŻURAWIEM do Gdyni. Wytocono im proces o zdradę i szpiegostwo. Uciekinie-



ZAWISZA CZARNY II

Facta Nautica

www.graptolite.net/Facta_Nautica

rów skazano zaocznie na karę śmierci, a tym co wrócili – wymierzono kary więzienia od 10 do 15 lat...

Biuro Polityczne PZPR udzieliło nagany dowódcy Marynarki Wojennej kontradmirałowi Wiktorowi Czerokowowi i jego zastępcy adm. Iwanowi Szylingowskiemu – obaj Polacy „sovieticus causa” (nie mylić z „honoris causa”)...

Marszałek Konstantin Rokosowski (także Polak „sovieticus causa”) wydał rozkaz skreślenia ŻURAWIA na zawsze z ewidencji Marynarki Wojennej. Ale okręt po przemianowaniu na ORP KOMPAS dalej pełnił obowiązki jednostki hydrograficznej.

W Sztokholmie na kończącym remont parowcu WIELUŃ (były s/s WILNO), we wrześniu 1951 roku, kucharza o nazwisku Kulka zamknięto w magazynku na polecenie oficera KO, żeby uniemożliwić mu pozostanie w Szwecji. Ale on powiadomił kogoś bliskiego, że jeśli nie pojawi się o określonej godzinie, to osoba ta ma powiadomić policję. „Wyzwalanie” Kulki z WIELUNIA miało charakter wyjątkowo spektakularny. Na nabrzeże zajechało 8 bojowych samochodów policyjnych, a na kanale portowym zakotwiczył niszczyciel Szwedzkiej Marynarki. Komendant policji sztokholmskiej, pan Johansson, wszedł na trap, na którym przewieszono banderę. Miało to oznaczać, że osoby „non grata” nie mają wstępu na statek. Pan Johansson odchylił banderę i z grupą policjantów udał się do kubryku załogowego, by uwolnić kucharza Kulkę. Epizod sztokholmski stał się dla Stanisława Daukszy – kierownika radiowęzła w porcie szczecińskim inspiracją do napisania sztuki teatralnej p.t. „Bandera na trap”... Gniot propagandowy nie okazał się bestsellerem, ale odegrał rolę trampoliny dla autora, który nagle dołączył do klanu szermierzy indoktrynacji i został mianowany redaktorem „Tygodnika Morskiego”.

W sprawie s/s WIEUŃ i kucharza Kulki „Trybuna Ludu” nie zostawiła suchej nitki na Królestwie Szwecji, nazywając kraj ten zacofanym, policyjnym państwem. Warszawa wysłała notę dyplomatyczną; w zakładach pracy organizowano wiece protestacyjne przymusowo-spontaniczne.

...Na CIETRZEWIU zdają sobie sprawę, że według nowego kodeksu karnego ucieczka za granicę zalicza się do najcięższych przestępstw politycznych.

3 mile z lewej burty uciekinierzy widzą niepolską jednostkę rybacką, zajęta połowem. Zmienili kurs na nią, wywiesili sygnał „NC” – flagę kodu międzynarodowego wzywania pomocy. Gdy przybliżyli się na jedną milę, zaczęli strzelać czerwonymi rakietami. Kapitan trawlera widząc CIETRZEWIA pędzącego na niego, zbliżającą się w jego kierunku MORSKĄ WOLĘ i w nieco dalszej odległości „armadę” trawlerów, a w eterze szumy, trzaski, buczenie i niezrozumiałe słowa – każe odrąbać trał i rozpoczyna ucieczkę... Na CIETRZEWIU znowu poczuli się zdradzeni. MORSKA WOLA przybliżyła się na 3 mile. Silnik dławi się, słabnie, szybkość niepokojąco maleje. Zbliżają się dalmorowskie trawlerzy biorące udział w nagonce i polowaniu. Osaczenie CIETRZEWIA to kwestia już niedługiego czasu, jeśli oczywiście nie nadejdzie pomoc. Dezerterzy przygotowują się na najgorsze. Nie może być ich czterech, ale mniej niż trzech – też nie. Ustalają więc, że Janek będzie ofiarą kidnapingu. Paweł idzie z nim do kubryku, w okolicy klamki odłupuje śrubokrętem framugę od wewnątrz. Niby, że Janek usiłował się wyzwolić, ale nie mógł, bo drzwi były zamknięte od zewnątrz. Teraz jest ich tylko trzech. Mają cały plik notatek, wycinków z gazet, list polecający do ambasadora RP w Madrycie Józefa Alfreda hr. Potockiego i szereg dokumentów traktujących o zbrodni katyńskiej, sfingowanych procesach, barbarzyńskich torturach stosowanych przez ubeckich oprawców na aresztowanych AKowcach i członkach podziemia niepodległościowego. Posiadane materiały nie mogą dostać się w niepowołane ręce. Trzeba je zniszczyć. Wyrzucone za burtę mogą pływać po powierzchni morza. Pozostaje spalenie. Płonęły na mostku; języki ognia były tłumione mokrymi szmatami... Uśmiech fortuny przemienił się w skrzywiony pysk przeznaczenia. W tym czasie ucieczką CIETRZEWIA zajmują się w Warszawie najwyższe czynniki PRL. Nie przebrzmiały jeszcze echa skandali międzynarodowych związanych z ŻURAWIEM, WIELUNIEM, JAROSŁAWEM DĄBROWSKIM, PUSZCZYKIEM a tu kolejny „pasztet” p.t. CIETRZEW. Z kancelarii prezydenta Bieruta MORSKA WOLA otrzymała polecenie staranowania i zatopienia lutorawlera wraz z dezerterami. Ale odległość między uciekającym Dawidem a goniącym go Goliatem jest jeszcze za duża.

W Londynie społeczność emigracyjna celebrytuje 164. rocznicę Konstytucji 3 Maja. Przywódcy są przychylni i życzliwi rodakom próbującym przedostać się do wolnego świata. Z pomocy tej skorzystali m.in. rybacy z lugrotrawiera PUSZCZYK. Uprawdzili swój statek z łowiska na Morzu Północnym do portu brytyjskiego Hartlepool.

Stanęli przed sądem angielskim. Oskarżał londyński adwokat Gaster, wynajęty przez Konsulat Generalny PRL w Wielkiej Brytanii. Każdego z nich przedstawił sądowi jako przestępcę kryminalnego poszukiwanego listami gończymi. Do Anglii uciegli, żeby uniknąć odpowiedzialności karnej. Obrony uciekinierów podjął się mecenas Jan Jaxa, który udowodnił, że Gaster kłamie, bo zatrudnieniem pracowników morza w PRL zajmuje się służba bezpieczeństwa i tylko ona udziela tzw. „prawa pływania”. Uciekinierzy „uwięzili” na niby kapitana, ale otoczyli go troskliwą opieką, dostarczali jedzenia, napojów i papierosów. Postąpili zgoła inaczej niż angielscy buntownicy z HMS BOUNTY, którzy w 1789 roku pod wodzą Christiana Fechtera – I oficera na pełnym morzu przejęli siłą żaglowiec a kapitana Williama Bligha wraz z 17. wiernymi mu marynarzami wysadzili na szalupę. Gdy wiadomość o buncie dotarła do Anglii, admiralicja wysłała ekspedycję do pojmania buntowników; dla każdego z nich wystawiono sądowy nakaz aresztowania zgodnie z edyktem Karola II „Habeas Corpus”...

...Na CIETRZEWIU buntownicy widzą oczami wyobraźni wiszący nad ich słowami miecz Dmoklesa. Zdają sobie sprawę, że ich misja spłonie na panewce. Materiałów, nad którymi długo pracowali pozbyli się – ogień je strawił. Ale instynkt samozachowawczy pulsuje; jaki los ich czeka po pojmaniu?.. Czy zostaną potraktowani jak ta grupa marynarzy posądzonych o usiłowanie zorganizowania ucieczki do Szwecji na ścigaczu Marynarki Wojennej, o czym oskarżeni dowiedzieli się dopiero podczas śledztwa? Sądono ich w grudniu 1951 roku. Trzem wymierzono karę śmierci, którą natychmiast wykonano... Czy też jak inni, skazani 22.12.1951 roku przez Sąd Marynarki Wojennej za przynależność do wrogiej organizacji, którą w rzeczywistości wymyśliła sama Bezpieka? Kary: od 10 do 15 lat więzienia, a „przywódcę” – mata Mariana Kowala skazano na karę śmierci. Za co?.. Przewodniczący składu sędziowskiego, komandor ppor. Celestyn Obst, tak

uzasadnił wyrok: „...oskarżony Kowal w grudniu 1950 roku i styczniu 1951 roku słuchał audycji radiowych państw imperialistycznych. Wiadomości fałszywe o naszym obozie pokoju rozpowszechniał wśród marynarzy, a pod koniec marca powiedział, że dobrze byłoby uciec za granicę, aby na wypadek wojny – walczyć przeciwko ZSRR i państwom demokracji ludowej w szeregach armii Andersa...”. Wyrok na Kowalu wykonano 31 marca 1951. Żył 22 lata, do marynarki wstąpił w wieku 18 lat jako ochotnik. Przed wojskiem uczył się na stolarza, należał do ZMP (*Związek Młodzieży Polskiej* – przyp. red.).

...Ucieczka w dniu 3 maja okazała się momentem niefortunnym. Każdego innego dnia sygnały wzywania pomocy przez CIETRZEWIA i zagłuszanie tych sygnałów dałoby dużo do myślenia i byłoby przedmiotem dociekania i analizy specjalistów z otoczenia gen. Andersa, byłoby impulsem do energicznej akcji. Operatorzy brytyjscy z Wick-Radio całą sprawę potraktowali rutynowo, nawet do głowy im nie przyszło, że na morzu dzieje się jakieś łajdactwo ignorujące ludzki dramat.

Rząd Wielkiej Brytanii *de jure* uznawał PRL, ale *de facto* dyskretnie wspierał w niektórych sprawach Rząd RP na Uchodźctwie. Porucznik pilot Franciszek Jarecki po udanej ucieczce „Migiem-15” na Bornholm w dniu 5 marca 1953 roku został powitany jak bohater przez polską emigrację niepodległościową w Londynie. Generał Anders uhonorował go Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami. W każdym przypadku, gdy w grę wchodziła przemoc reżymowej dyktatury na morzu czy lądzie i poza zasięgiem stalinowskich czekistów, można było liczyć na interwencję i pomoc brytyjskiej Intelligence Service. Bo dewiza „Habeas Corpus” ma swoje odbicie w katalogu prawa międzynarodowego i odnosi się do każdego człowieka bezprawnie więzionego. Interwencja w celu uwolnienia „zbiegłego niewolnika” znajduje akceptację opinii publicznej w każdym kraju wolnego świata.

...Maszyna CIETRZEWIA puchnie, szybkość nie przekracza 5 węzłów. MORSKA WOLA tuż tuż, trawlerzy otaczają pierścieniem. Z tego kotła nie ma najmniejszej szansy wydostania się; z megafonów MORSKIEJ WOLI brzmią złowieszcze słowa adresowane do CIETRZEWIA:

– Maszyna stop, natychmiast! To ultimatum! Nie wykonacie polecenia – staranujemy was!

Gdyby słowa te popłynęły w eter i zostały odebrane przez stacje brzegowe rejonu Morza Północnego, porywacze-dezerterzy byliby uratowani. Polecenie zatopienia nie wykonał kapitan MORSKIEJ WOLI, którego piękną kartę czasu wojny przypominamy...

14 listopada 1939 roku s/s ROZEWIE pod dowództwem kpt. Ż.W. Stanisława Lehra przybyło do Rochester u ujścia Tamizy – ulubionego portu i miasta Dickensa. W nagrodę za wyprowadzenie parowca z opanowanych już przez Kriegsmarine wód Bałtyku, kpt. Lehr odznaczony został przez prezydenta RP Władysława Raczkiewicza Krzyżem Zasługi z Mieczami. W roku 1943 dowodził frachtowcem LWÓW – sam pochodził ze Lwowa. 3 grudnia duża liczba statków zacumowała w Bari, które po obaleniu Mussoliniego stanowiło bazę zaopatrzeniową aliantów. Nocny nalot 105 bombowców Luftwaffe spowodował zatopienie 16 statków, w tym dwóch polskich: s/s PUCK i s/s LWÓW. Kpt. Lehr opuścił płonący frachtowiec ostatni. Obecnie dowódca bazy rybackiej MORSKA WOLA nie wykonał polecenia kancelarii Bieruta: staranowania i zatopienia CIETRZEWIA. Decyzję swoją uzasadnił tym, że kadłub CIETRZEWIA zbudowany został ze stalowych opancerzonych płyt – stoczniove remanenty poniemieckie – przeznaczonych na poszycie burt ubotów i jednostek bojowych. Staranowanie byłoby powtórką kolizji TYTANICA z górą lodową. Grubość poszycia tego luksusowego transatlantyku wynosiła 10 m/m, i dlatego miał być niezatapialny. Grubość płyt na kadłubie MORSKIEJ WOLI to 6 do 7 m/m, materiał zmęczony. Ale grubość poszycia CIETRZEWIA to 12 m/m! Po najechaniu na niego zamiast czterech porywaczy – na dno poszłaby MORSKA WOLA ze 120-osobową załogą i niezbędnym zaopatrzeniem dla floty łowczej.

...Do zatrzymanego w dryfie CIETRZEWIA, po wytraceniu inercji, przybliżyła się MORSKA WOLA; była godz. 17.30. Burty prawie przylegały do siebie. Morze spokojne. Grupa ZMP-owskich komandosów niczym konkwistadorzy Francisco Pizarra dokonali abordażu. Było ich może 15.; przyjęli z MORSKIEJ WOLI cumy i sztormtrap. Nadarzyła się okazja zamanifestowania nadgorliwości ideolo-

gicznej „szermierzy socjalizmu”. Dwóch czekistów zaczęło łżyć i wyzywać, wrzeszczeć: „Powiesić zdrajców!” Wrzeszczeli głośno, żeby ich szczere, proletariackie oburzenie było usłyszane na statku-bazie. Kazali dezterterom usiąść na ładowni, każdemu na wysokości klatki piersiowej zawiazali pętlę bezpieczeństwa, koniec linki asekuracyjnej podali na MORSKA WOLĘ. Dezterterzy wchodzili po sztormtrapie, mając świadomość poniesionej klęski z powodu nie spełnionej misji. Nie przerażały grożące im konsekwencje. Zostali zaprowadzeni do mesy oficerskiej i postawieni przed areopagiem w składzie: Oficer KO, Kapitan, Szef wyprawy i Sekretarz statkowej organizacji partyjnej. Krótkie przesłuchanie. Uwierzyli – a może udawali? – że Jan nie należał do zmo- wy, „był zmęczony po wachcie, spał w kubryku, dezterterzy go nie zauważyli”. Kapitan oświadczył:

– Jesteście aresztowani, zastosuj areszt morski, racje żywnościowe otrzymacie jak każdy zamustrowany, zostaniecie odizolowani...

Każdy porywacz otrzymał oddzielne pomieszczenie zamykane od zewnątrz. Paweł trafił do kabiny wyposażonej w podwójną koję i bulaj o dużej średnicy, przez który mógłby bez trudu wydostać się za burtę. Wglądając przez ten bulaj widział przelatujące odrzutowce. Mecenas Jan Jaxa ze Zjednoczenia Polskiego domyślał się, ale nie miał pewności czy buntownicy z CIETRZEWIA są więzieni na MORSKIEJ WOLI. Przelatujący odrzutowiec ani okręt brytyjski, który na małej szybkości przepływał obok statku-bazy niczego podejrzanego nie stwierdziły. Paweł widział go wyglądając bulaj...

8 maja 1955 roku do burty MORSKA WOLA zacumował lodołamacz SWAROŻYC. To jednostka do zadań specjalnych, zimą łamie lody, latem wykonuje holowania oceaniczne. Jego przybycie miało na celu wykluczenie podejrzenia, że pełni rolę statku-więźniarki...

Z Warszawy drogą radiową oficer KO, oficjalny z-ca kapitana d/s bezpieczeństwa, otrzymał rozkaz, że po przybyciu SWAROŻCA wszystkie jednostki rybackie mają odcumować. Obawiano się, że liczna grupa rybaków – widząc uwiezionych kolegów z CIETRZEWIA – mogłaby zaprotestować w sposób niekontrolowany. W rozgoryczonej społeczności rybackiej drzemał odruch buntu. W latach 50. XX w. statki rybackie poławiające na Morzu Północnym

obowiązywał kategoriyczny zakaz zawijania do obcych portów. Na lugrze DELFIN II podczas „wyrzepywania” ryb z sieci oderwana łuska od śledzia przykleiła się rybakowi do oka. Oko zaszło krwią; nikt z kolegów nie potrafił jej wyjąć. Na szczęście pojawił się w pobliżu niemiecki motorowiec szpitalny SEE KATZE. Szyper nawiązał łączność radiową z bazą-rybacką. Prosił o wyrażenie zgody na skorzystanie z pomocy medycznej dla ratowania oka i wysłanie drugiego rybaka z zakażeniem krwi lewego przedramienia, otartego rękawem kurtki roboczej nasiąkniętej solą i zmiażdżonymi meduzami. Na drugi dzień przyszło z ministerstwa zezwolenie na wizytę u okulisty a zakażenie polecono wyleczyć we własnym zakresie zastrzykami z penicyliny. Kiedy z SEE KATZE dobiła motorówka i zabrała rybaka do okulisty, szyper z KO-wcem pobledli i paląc papierosa za papierosem czekali zdenerwowani na mostku póki pacjent nie powrócił. Władza ludowa zakazując zawijania do obcych portów „gwarantowała”, że wszystko co potrzebne do życia i pracy rybaka zapewnią bazy rybackie, których było dwie: m/s MORSKA WOLA i s/s CHOPIN. Gdy jedna pełniła dyżur na morzu, druga pobierała w kraju zapotrzebowanie. Ale latem 1954 roku tak się złożyło, że przez kilka tygodni nie było ani CHOPINA, ani MORSKIEJ WOLI. Na trawlerach skończyła się żywność, woda pitna, paliwo a ładownie pełne były złowionej ryby. Przyszedł rozkaz, żeby statki zaprzestały łowienia, udały się do zatoki Moray Firth i na kotwicy czekały na przybycie którejś bazy. Poradzono rybakom, żeby nie wykonywali żadnej pracy, oszczędzali energię życiową. Kucharze gotowali byle jakie zupy, statki dzieliły się solidarnie wodą. Kto miał trochę produktów – dawał temu, co nie miał nic. Stan totalnego głodowania trwał ponad tydzień. Na niebie księżyc w pełni, podczas syzygijnego odpływu woda „uciekła”, statki kotwiczące najbliżej lądu leżały prawie na suchym dnie morza; rybacy zaczęli z tych statków schodzić i biec w strony brzegu. Czujni „politrucy” zorganizowali pogoń, niektórych pojмали. Po nadejściu wysokiej wody statki stojące najbliżej lądu musiały podnieść kotwice i zakotwiczyć ponownie w odległości minimum 5 mil od brzegu.

...Lodołamacz SWAROŻYC zacumował do prawej burty MORSKIEJ WOLI, statki rybackie odbiły i kilka mil dalej stanęły w dryfie. Wśród zmuszonych

do oddalenia się był lugrotrawler CZUBATKA, wymagający pilnego wyładunku i energicznej interwencji ślusarsko-spawalniczej. W ładowni przeciek, alarmujące niedomaganie systemu drenażowego. Zamiast poddać remontowi w trybie nagłym, statek z pełnym ładunkiem i ładownią wypełniona do połowy musiał odpłynąć. Ślad po nim i 14 rybakach zaginął. Na polecenie KC PZPR w gazetach napisano, że lugrotrawler zatonął na skutek najechania na minę – pozostałość wojny...

SWAROŻYC przybył nie dlatego, żeby zrealizować kontrakt na holowanie oceaniczne, lecz tylko żeby dostarczyć grupę wysokich rangą funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i dyrektora Centralnego Zarządu PMH Włodzimierza Szynarowskiego, który przed i podczas wojny był marynarzem, uczestniczył w konwojach. Na krótko przed zwycięstwem nad III Rzeszą założył w Anglii filię PPR (*Polska Partia Robotnicza* – przyp. red.), której przewodniczył. W roku 1951 powołano Centralny Zarząd PMH, którego został na naczelnym dyrektorem. Po październiku 1956 roku zrzekł się tej funkcji i powrócił do PLO (*Polskie Linie Oceaniczne* – przyp. red.) na stanowisko bosmana, odrzucając wszelkie inne propozycje.

...Aresztantów przyprowadzono przed oblicze dygnitarzy do mesy oficerskiej. Pierwsze pytanie:

– Dlaczego uwięziliście rybaka Jana S.?

– Musieliśmy go zamknąć, żeby nie dokonał jakiegoś sabotażu...

– A to dobre sobie!.. – oburzył się dygnitarz, częściowo łysy brunet, podobny do Ławrentja Berii – to wy dopuściliście się sabotażu i dywersji politycznej. 30 statków zamiast łowić ściagało was po morzu!.. Wolna Europa, ten wulkan wrogości, od kilku dni pluje lawą nienawiści bębniąc o was. Angielski wojenniak podpłynął pod statek-bazę, wrogie odrzutowce przelatują... a Jan S. sabotażysta!.. Dobrze sobie!.. A może on sabotując waszą głupotę uchroniłby was od hańby? Flota nie poniosłaby tych ogromnych strat!.. I co wy na to?!

Dezerterów po sztormtrapie przetransportowana na SWAROŻYCA, każdego „zakwaterowano” w oddzielnym magazynku.

Po drodze, w Sundzie, jeden z dygnitarzy radził się Pawła, na czym by umocować spreparowanego



MORSKA WOLA

kraba – prezent z MORSKIEJ WOLI. Odpowiedź brzmiała: „na zaimprowizowanej pajęczynie”...

– O, interesujące. Potraficie coś takiego zrobić?..

– Oczywiście...

Bosman przyniósł koło z drutu i duży motek jujinu. Paweł niczym pajak-krzyżak tkął pajęczą sieć. Dygnitarz bacznie obserwował każdy jego ruch, trzymając prawą rękę w kieszeni chyba nie po to, żeby przesuwac paciorki różańca...

Lodołamacz zbliżył się do duńskiej latarni Drogden, postawionej na granicy cieśniny Sund i Morza Bałtyckiego. Do latarni było około 100 m, tak przebiegał tor wodny. Na balkonie okalającym latarnię stał oparty o reling latarnik, pykając fajkę, bacznie przyglądał się przepływającemu SWAROŻCOWI. Pod jego stopami kołysał się na fali zacumowany do pachołka wiosłowy bączek. Paweł nawet przez chwilę nie myślał, żeby wyskoczyć za burtę. Nie ze strachu, za żadną cenę nie zostawi kolegów w niebezpiecznej pułapce.

Krab umocowany na utkanej pajęczynie stał się interesującym gadżetem. Dygnitarz był zadowolony, pięknie podziękował.

12 maja 1955 roku SWAROŻYC zacumował przy Wałach Chrobrego w Szczecinie. Na nabrzeżu cztery samochody marki Citroën, koloru czarnego, w każdym uzbrojeni ubowcy. W czasie jazdy na siedzeniu obok szofera funkcjonariusz z pepeszą, na tylnym siedzeniu 3 osoby, w środku aresztant. Limuzyny podjechały na ulicę Małopolską. Otworzyły się okute sztabami wrota, wyszło z nich 6 kolejnych ubowców. Wstrzymali ruch pieszego na chodniku. Przechodnie z zaciekawieniem, lękiem i

współczuciem patrzyli na pojedynczo wprowadzanych do środka nieszczęśników. Aresztowanie to dziura w życiorysie, ma moc ssąco-tłoczącej pompy, która wchłania nadzieję a tłoczy doznanie porażki. Następny krok w przedśionku piekieł to magazyn odzieżowy. Paweł otrzymał mundur huzara fason 1870 rocznik; z remanentów wojny francusko-pruskiej... Za chwilę „spotkanie” z szefem Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Mógł liczyć około 50 lat, średniego wzrostu, atletycznej postury, w mundurze oficera ludowego wojska, na lewej piersi 3 rzędy baretek, na policzku głęboka blizna.

– Czy zdajesz sobie sprawę, młody człowieku, coś narobił? – głos miał donośny a oczy szare o przenikliwym spojrzeniu.

– Błąd młodości... – wymamrotał Paweł.

– Zapamiętaj, błędy kosztują najwięcej...

Pułkownik Elias Koton skończył w Wilnie Szkołę Techniczną, ciesząc się powszechną renomą w II RP. Jej absolwenci byli artystami w zakresie sztuki kateorii i metaloplastyki. Elias Koton – absolwent z 1933 roku Wydziału Ślusarsko-Mechanicznego wykonywał ozdobne bariery, kraty, zamki i inne artystyczne cudenka w nowobudowanym kościele, w Kowlu na Wołyniu. Wkrótce zbiesił się, wstąpił do Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, która podobnie jak bratnia Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy – były sowiecką filią NKWD na terytorium II RP. Obie optowały za oderwaniem Kresów od państwa polskiego i przyłączeniem do Związku Sowieckiego. Towarzysze partyjni opracowali dokumentację personalną mieszkańców wschodnich województw, która po 1939 roku posłużyła do eks-

terminacji i deportacji na Sybir. Eliaś Koton ukończył specjalną szkołę NKWD i już w 1944 roku jako funkcjonariusz UB „oczyszczał zaplecze frontowe i umacniał władzę ludową” na zajętych przez Armię Czerwoną ziemiach Podlasia i Lubelszczyzny.

...Po „kurtuazyjnej wizycie” u szefa, Paweł pod eskortą dwóch profosów udał się pod celę. Oddziałowy otworzył z trzaskiem drzwi. Wnętrze przypominało klatkę szeroką na półtora metra, długą na cztery, wysoko zakratowane okno. Do ściany przypięta prycza. W rogu 50-litrowy kubeł, zwany kibelem. „Lokator” – około 30-letni mężczyzna o bladej twarzy w zniszczonym ubraniu cywilnym. Paweł trzyma w ręce wyfasowaną „wyprawkę” więźnia: kalessony i koszulę na troczki zamiast guzików, prześcieradło i koc połatany, żeby nazywało się, że podwójny, aluminiową miskę i łyżkę z tego samego kruszcu...

– Jestem Bogdan Kabat z Janikowa Wielkopolskiego, siedzę już 8 miesięcy – przedstawił się współlokator.

Paweł podał mu rękę i powiedział:

– Na imię mam Paweł, jestem ze Świnoujścia. Mam pytanie: kiedy kolacja i gdzie stołówka?..

– Spóźnił się kolega, była kawa zbożowa, obfite jedzenie przed snaniem szkodzi zdrowiu – odrzekł sarkastycznie Bogdan.

Godz. 21.00 – apel wieczorny. Trzask, zgrzyt zasuw, drzwi się otwierają, aresztanci przybierają postawę zasadniczą. Bogdan melduje oddziałowemu: „stan dwóch, obecnych dwóch”... Za chwilę kiblowanie, w żargonie więziennym znaczy: obaj chwytają za ucha kubeł, niosą go do ogromnego zlewu, wywracają do góry dnem, płuczą i wracają do celi niosąc dodatkowo wiadro ze świeżą wodą. Rozbierają się, odzież złożoną w kostkę kładą na taborecie i po ponownym otwarciu drzwi wystawiają na korytarz... Ze ściany odpinają pryczę, wydobywają siennik. Położony na podłodze przed pryczą przemienia się w legowisko dla drugiego aresztanta. Cela upodabnia się do niedźwiedziej gawry. 22 godzina, mignęła klapka judasza, światło zgasło, cisza nocna. Rano o szóstej pobudka, kiblowanie, powrót do celi. Poranna toaleta: jeden drugiemu polewa na ręce wodę z czarpaną miską z wiadra. Z korytarza dochodzą odgłosy szurania kotła po posadzce. Mignięcie judasza,

oddziałowy otwiera celę, kalifaktorzy nalewają do michy 3/4 litra czarnej kawy zbożowej i podają 400 gramów razowego chleba – porcja całodobowa. Więźniowi pracującemu przysługuje 500 gramów...

Po godzinie 8-mej mignięcie judasza, drzwi się otwierają, oddziałowy wywołuje Pawła i prowadzi korytarzami na przesłuchanie. Młody, widać świeżo upieczony podporucznik wręcza kartkę papieru w kratkę, kałamarz wypełniony atramentem i poleca: „Piszcie życiorys”. Po piętnastu minutach młodego zmienia stary wyga i każe pisać... życiorys. Po piątej edycji autobiografii Paweł został odprowadzony do celi. Akurat pora obiadowa. Do michy uniwersalnego przeznaczenia kalifaktor wlał chochlę zupy. Była rzadka, zawierała botwinkę i małe buraczki z korzonkami, pochodzące niewątpliwie z przerwyki.

Wieczorem dokwaterowano nowego aresztanta. Dla dwóch cela ciasna, teraz będzie ich trzech... Wpadł w ręce Bezpieki bardzo głupio, ale w sposób typowy dla demokracji ludowej. Po powrocie z morza cała załoga kutra zamieszkała w Domu Rybaka przy ul. Władysława IV w Świnoujściu. Wypoczęci zasiedli przy stole. Po udanym połowie „żytnia” zakupiona w Baltonie była balsamem na utrudzoną rybacką duszę. Z radiowęzła płynęły kojące, przyjemne melodie. W pewnym momencie głośnik zamilkł i rozległy się słowa: „Tu radio Wolna Europa, podajemy serwis informacyjny; za chwilę włączymy ponownie Radio Luksemburg...”. W bufecie i holu zamieszanie. Recepcjonista kręcąc gałką radioodbiornika złapał lekką i przyjemną muzykę. Nie zastanawiając się na jaką stację natrafił, odbiór skierował na wszystkie głośniki a sam udał się do biura kierownika. Przybiegł zdyszany i przerażony, wyłączył radiowęzeł. Podczas tego zamieszania rybak – obecnie aresztant zbiegając po schodach zaczepił nogą o gablotę stojącą na półpiętrze. Spadło z niej popiersie Lenina. Wydmuszka gipsowa rozpadła się na drobne kawałki...

– Ze strachu wytrzeźwiałem, widząc wodza rewolucji w proszku – mówi aresztant-nowicjusz. Zaczęłem zmiatać gipsowe szczątki na szufelkę... Nagle dwóch cywilów chwyciło mnie pod pachy, wyprowadzili, powieźli do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, no i... jestem tu z wami, panowie, i nie wiem co ze mną zrobić?..

– Głowy nie urwą, ale jakiś paragraf z małego kodeksu ci dopasują, portierowi też nie odpuszczą – rzekł Bogdan.

Rano, tuż po pobudce oddziałowy wywołał rybaka i gdzieś go poprowadził. Widocznie pomyłkowo zakwaterowali go nie w tej co trzeba celi. Rybak powiedział, zanim go zabrano, że w „Trybunie Ludu” i „Głosie Szczecińskim” przeczytał o CZUBATCE, która zatonała na Morzu Północnym po najechaniu na minę. Nikt nie ocalał. Wiadomość ta cynicznie omijała prawdę. Minę wymyślono w kancelarii Bieruta po to, żeby ukryć ideologiczne łajdactwo... A było tak: ługotrawler CZUBATKA powiadomił MORSKĄ WOLE, że na burcie ma już ponad 30 ton śledzia, ale w ładowni pojawiła się woda. 7 maja CZUBATKA przybiła do MORSKIEJ WOLI. Po otrzymaniu dwóch ton wody pitnej i 400 kg prowiantu kazano odcumować...

– W ładowni mamy przeciek! – alarmuje szyper Aleksander Jabłoński.

Nikt go nie słucha. CZUBATKA odbija. Załoga liczy 14 osób, czterech rybaków zostało na bazie. W ładowni coraz więcej wody, przelewa się z burty na burtę, stateczność krytyczna. Okres kołysań mógł być zbliżony do okresu fali. Wystąpiło więc zjawisko rezonansu kołysań, który spowodował wywrotkę...

12 maja wieczorem załoga norweskiego kutra ARNHOLM w odległości ok. 7 mil morskich od Stavanger napotyka na blaszaną tratwę z dwoma osobami nie dającymi znaku życia. Kuter ARNHOLM bierze tratwę na hol i wraca do portu. Po drodze Norwegowie stwierdzają ze zgrozą, że tratwa jako środek ratowniczy to makabryczne nieporozumienie! Żadnego prowiantu ani kropli wody, brak pirotechniki. Stwierdzili to po wyważeniu zamkniętych na głucho pojemników. Pokrywała je gruba warstwa zapieczonej farby. Na pierwszy rzut oka niemożliwe było ustalenie do jakiego statku należy tratwa i kim są dwaj nieżyjący rozbitkowie. Nie dziwmy się zatem, że gazeta „Bergen Tigende” z 13 maja napisała: „...tratwa prawdopodobnie należy do polskiego trawlera CIETRZEW, który 3 maja wzywał pomocy z Morza Północnego, pozycja szer. geogr. 59°12 N, dług. geogr. 1°55 E, nadając SOS, MAYDAY. Komunikat zawierał słowa: „jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie, przyslijcie samolot”... Radio Bergen natychmiast powiadomiło Stację Kontroli Lotniczej.

Publikacją z „Bergen Tigende” zainteresowały się rozgłośnia Radia Wolna Europa, londyński „Dziennik Polski” i „Dziennik Żołnierza”. Sprawie CIETRZEWIA przez blisko 8 miesięcy nie skąpiono miejsca w gazetach i w eterze. Mecenasy Jan Jaxa z ramienia Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii podróżował do Norwegii celem uzyskania wiarygodnych informacji od tamtejszych stacji brzegowych.

Sprawa CIETRZEWIA szczególnie bliska była redaktorowi „Dziennika Polskiego” i „Dziennika Żołnierza” Karolowi Zbyszewskiemu, wywodzącemu się z rodu kresowych zamożnych ziemian, posiadaczy wielu statków uprawiających żeglugę na Dnieprze i Morzu Czarnym. Każdego polskiego marynarza uznawał za bratnią duszę, a szczególnie mającego na pieńku w władzę ludową.

14 maja zostało ustalone ponad wszelką wątpliwość, że tratwa pochodziła z CZUBATKI, a w niej znajdowali się kapitan Aleksander Jabłoński i rybak Jerzy Rutkowski. W momencie katastrofy tylko im dwóm udało się dosiąść nie ratunkowej, lecz śmiercionośnej tratwy. CZUBATKA musiała bardzo szybko zatonać, pozostali rybacy w liczbie 12 osób nawet nie zdążyli założyć kapoków. Polegli śmiercią marynarza...

...Mignięcie judasza, zgrzyt zasuw, otwierają się drzwi, oddziałowy wywołuje Pawła i prowadzi do śledczego. Pokój na II piętrze, przy oknie obszerne dębowe biurko, obok wysoka szafa pancerna. Przy drzwiach, w odległości 4 metrów od biurka, krzesło przeznaczone dla aresztanta. Oficer śledczy, schludnie ubrany w stopniu porucznika. Przesłuchanie:

– Mówicie, że plan ucieczki opracowaliście wspólnie, ale wasi koledzy twierdzą, że to wy ich namówiliście, mając gotowy plan. I co wy na to?..

– Jeśli winę zwałają na mnie, to kłamią... – odpowiedział spokojnie Paweł, mając świadomość, że doświadczony ubek posługiwał się metodą socjotechniczną, która często bywa skuteczna.

16 maja oddziałowy wyprowadził z celi Bogdana. Wrócił na obiad, przyniósł gazetę „Głos Szczeciński”. Czołowa wiadomość: „...14 maja br. zawiązał się Układ Warszawski. Tworzą go państwa: ZSRR, Albania, Węgry, Rumunia, Polska Ludowa i Czechosłowacja. Dowodzenie powierzono marszałkowi Iwanowi Stiepanowiczowi Koniewowi. Utworzenie

bloku wojskowego przez kraje socjalistyczne jest odpowiedzialnością na przyjęcie Republiki Federalnej Niemiec do struktur NATO...” Paweł zapytał Bogdana, skąd ta gazeta?.. Odpowiedział:

– Po drodze wstąpiłem do ubikacji i tam ją znalazłem...

Za kilka dni mignięcie judasza, trzask zasuw i oddziałowy odprowadza Pawła na przesłuchanie.

– Czy Tadeusza Dąbrowskiego znacie? – pada pytanie.

– Tak, znam...

– Co o nim wiecie?

– Byliśmy razem w Szkole Jungów Państwowego Centrum Wychowania Morskiego. W 1940 roku pływaliśmy na DARZE POMORZA, odwiedziliśmy interesujące porty: Karlshamn, Szczecin, Kopenhagę, Le Havre, Plymouth, Liverpool, Bergen, Goeteborg i Gdynię. Pod żaglami DARU spędziliśmy ponad 8 miesięcy. W 1949 roku zostaliśmy przyjęci, po zdaniu egzaminu, do Szkoły Morskiej: Dąbrowski na wydział mechaniczny, ja nawigacyjny...

– Czy kobietę o imieniu Alfreda znaliście?..

– Alfreda była pielęgniarką w przychodni portowej w Szczecinie, poznaliśmy się na balu karnawałowym 1949 roku w auli Szkoły Morskiej. Urody mogłaby jej Lolobrigida pozazdrościć...

– Czy wiecie, gdzie ona teraz się podziewa?..

– Słyszałem, że promem kolejowym KOPERNIK, kursującym na linii Świnoujście-Troeleborg, wyjechała do Szwecji...

– Nie wyjechała, tylko uciekła, jej się udało a wam nie... – zjadliwy wkręt ubeka. – Co wiecie o działalności szpiegowskiej Dąbrowskiego, w jakim zakresie współpracowaliście z nim?..

Po pytaniach o Alfredę i Dąbrowskiego stało się jasne, że nowy wątek śledztwa to niekoniecznie rezultat wnikliwej dedukcji oficera śledczego, lecz donos podłego kapusia. Oto potwierdzenie:

„...Do Wojewódzkiego Urzędu d/s Bezpieczeństwa Publicznego w Szczecinie zgłosił się ob. Szlakcikowski Edwirt i oświadczył, że chce złożyć zeznanie odnośnie osoby P.W., który mieszkał u niego w 1954 roku i pozostawił w mieszkaniu różną koresponden-

cję w językach obcych oraz szereg innych zaświadczeń i książek...” Po rewizji przedmioty te zostały zarekwirowane jako dowody rzeczowe.

Dnia 2 czerwca Bezpieka wystąpiła do Prokuratury Wojewódzkiej w Szczecinie o zarządzenie rewizji w celu odszukania i zabrania mikroskopijnego aparatu fotograficznego i mikrofilmów jako dowodów przestępstwa, które to przedmioty mogą znajdować się u ob. Alfreda Luksa zamieszkałego w Gdańsku-Wrzeszczu przy ul. Partyzantów 9 m. 8. U pana Luksa, który był wujkiem Dąbrowskiego, Paweł mieszkał jako sublokator.

Aparat został zarekwirowany. Kolejnym dowodem był słownik zawierający po tysiącu najpotrzebniejszych słów w językach: 1) polskim, 2) niemieckim, 3) szwedzkim, 4) angielskim i 5) francuskim. Była kartka z adresem „Wolnej Europy”; dołożona została przez łotra Szlakcikowskiego. Po jego donosie pojawiły się wątki polityczne a te z reguły stawały się pretekstem do nieograniczonej swawoli.

Śledczy:

– Ustaliliśmy – Dąbrowski to agent angloamerykański, zdezerterował z parowca KIELCE, wystąpił w Wolnej Europie. Wy dysponujecie narzędziami szpiegowskimi takimi, jak aparat mikro, słownik niezbędny agentowi, kartka z adresem wrogiej rozgłośni. I co wy na to?..

– Mikro aparat to dziecinna zabawka – zeznał Paweł. – Otrzymałem go w prezencie od młodego Anglika poznanego w Liverpoolu w 1948 roku, gdy DAR POMORZA wizytował ten port. Mikrofilmów do niego nigdy nie miałem i nigdy ich nie widziałem. Słownik bardzo praktyczny i przydatny dla każdego, przeznaczony dla polskich żołnierzy, którzy po demobilizacji zdecydowali się pozostać na Zachodzie... A jeśli chodzi o szpiega Dąbrowskiego, rzecz miała się następująco: celnicy szczecińscy złapali go na przemyście 20 zegarków marki Delbana. Groziło mu zwolnienie z PŻM i czekała go sprawa karnoskarbowa. Wezwany do Urzędu Bezpieczeństwa – przyjął propozycję współpracy. Pierwsze zadanie: sporządzić plan portu w Hamburgu. W kiosku kupił mapę miasta z portem. Skopiował na kalce technicznej i wręczył funkcjonariuszowi UB w Szczecinie... Po jakimś czasie nowe zlecenie: ma rozpracować nowego kapitana, niedawno awansowanego, po odbyciu kursów dokształcających, w czasie wojny starszy

marynarz, uczestnik konwojów. Zdenerwowany Dąbrowski powiedział mi, że jego sumienie Polaka nie pozwala mu wywiązania się z tej podłości... Zszedł ze statku w Szwecji. Z tego co mi wiadomo, przez pewien czas szpiegował, ale nie dla Amerykanów.

Zeznanie Pawła zszokowało śledczego, przecież Dąbrowski podpisał zobowiązanie, że nie ujawni nikomu swoich kontaktów z Bezpieką. Nie spodziewał się wycieku tajemnicy zagrożonej karą od 5 lat więzienia do dożywocia łącznie. Wezwał oddziałowego:

– Odprowadzić więźnia do celi – rozkazał.

Po drodze Paweł zatrzymał się na korytarzu przed toaletą.

– Panie plutonowy, chciałem wstąpić na chwilę, może znajdzie coś do czytania...

– To ustęp a nie klubo-czytelnia – poucza profos.
– Za potrzebą to w celi, tam macie kibel, rozumiemy się?!

Ciekawe jak to się stało, że Bogdan znalazł „Głos Szczeciński” w ubikacji?.. Sprawa nie tyle podejrzana, co jasna. Dostał gazetę od śledczego, aby zaobserwować reakcję Pawła na wiadomość o Układzie Warszawskim. Reakcji nie było żadnej, ale stało się jasne, że Bogdan to tajny współpracownik. Paweł wiedział, że kapuś zdekonspirowany jest już niegroźny. Trzeba tylko zdyscyplinować język jako organ mowy, który w otoczeniu naszpikowanym donosicielami może stać się najgroźniejszym własnym wrogiem.

22 lipca oddziałowy zaprowadził Pawła na przesłuchanie.

Śledczy:

– Może nie wiecie, jakie dzisiaj święto?.. Odpowiem wam: 11. rocznica Manifestu Lipcowego – najważniejszego święta Państwowego. Związek Radziecki nasz wielki przyjaciel, wypróbowany, sprezentował z tej okazji okazały monumentalny Pałac Nauki i Kultury w Warszawie. Społeczeństwo powodowane uczuciem wdzięczności nadało mu imię Stalina. Kraj Rad swoją hojność okazał wybudowaniem Nowej Huty pod Krakowem, wielkiego miasta i nowoczesnego kombinatu metalurgicznego... Ale trafiają się w naszym narodzie wyrzutki społeczne,

ulegają podszeptom wrogów i sypią piach w szprychy, ale jesteśmy czujni...

Czułość w stosunku do porywaczy przejawiała się m.in. tym, że w zakwestionowanych osobistych rzeczach: kalendarzykach, notatnikach wytropione adresy różnych osób, przeważnie dziewczyn, kolegów, kuzynów czy przypadkowych znajomych posłużyły do napełnienia dodatkowych segregatorów nowymi „protokołami przesłuchań świadka”.

Podczas apelu porannego Paweł zgłosił oddziałowemu, że czuje się chory, może mieć gorączkę. Po godzinie został wywołany z celi i „cytrynką” zawieziony do kliniki przynależnej milicji i służbie bezpieczeństwa. Lekarz stwierdził zapalenie oskrzeli. Przypisał leki i choroba minęła. Ale po kilku dniach Paweł poczuł bardzo dotkliwy ból gardła. Nie był w stanie spożyć obiadu w postaci zupy ani chleba. Raport w tej sprawie otrzymał naczelnik aresztu, który wezwał Pawła przed swoje marsowe oblicze:

– Głodówkę rozpoczynacie – reprimenda na powitanie. – Co chcecie zamanifestować?

– Panie naczelniku, niczego nie manifestuję i nie zamierzam tego robić, ale mnie gardło boli jak nigdy dotąd...

– Pojedźcie do lekarza. Jeśli okaże się, że symulujecie – karcer was nie minie przynajmniej przez miesiąc...

Wyprawa do szpitala w konwoju trzech „cytrynek” wypełnionych ubowcami. W środkowej Paweł z rękami w kajdankach. Na korytarzu szpitalnym sierżant mówi:

– Nie wolno podawać nazwiska. Jeśli lekarz zapyta, macie powiedzieć: „siedemdziesiąt siedem...”

– Aha, siedemdziesiąt to nazwisko a siedem imię...

– Nie wydurniać się... – burknął konwojent.

Gabinet laryngologa, lekarza o postawie gladiatora, śnieżnobiały kitel okrywa mundur oficera. Wskazując fotel zwrócił się do Pawła:

– Niech pan siada. Czemu ręce ma skute z tyłu? Proszę rozkuć!

Sierżant, dowódca konwoju, nachyla się nad lekarzem i szeptem scenicznym poleca:

– Jeśli symuluje, napiszcie w raporcie...

– Dla was to każdy symulant! Panie „77”, proszę otworzyć usta... Eee, to nie dla laryngologa zajęcie, tylko dla dentysty. Nie dziwię się, że cierpi, „szóstka” niewiarygodnie spuchnięta...

Młoda, sympatyczna lekarka-dentystka:

– Ale kolega laryngolog się pomylił. To nie „szóstka”, to „ósemka”; „zab madrości” się wyżyła. Z bólu można zemdleć...

– Czy nie za późno pojawił się ten „zab”? – zapytał Paweł.

– A ile pan „77” ma lat?

– Dwadzieścia trzy, pani doktor...

– Jest pan usprawiedliwiony, chociaż pokolenie wojenne szybciej dojrzewa...

Czy Śmigły Rydz był wystarczająco dojrzały jako wódz naczelny i czy był wystarczająco dorosły, jeśli jeszcze 14 września 1939 roku wierzył, że Francuzi rozpoczną ofensywę przeciw III Rzeszy, a 16 września okłamywał żołnierzy, że w Konstancy na polskich pilotów czekają angielskie samoloty...

...Śledztwo ciągnęło się w czasie, sztuczki nękania psychicznego zmierzające do rekryminacji, czyli

wzajemnego obwiniania się nie ustawały. Próby socjotechniki zawiodły; nie udało się zepchnąć oskarżonych z drogi kultu rycerskiej lojalności...

Śledczy przesłuchując Pawła radzi i udziela wskazówek, jak powinien zeznawać, jeśli chce zasłużyć na przychyłność sądu:

– Zdążyliście się chyba przekonać, że władza nasza jest czujna, dywersantom i sabotażystom działającym na szkodę państwa pociągamy ręce a jak zajdzie potrzeba – to i głowy. Wy jednak macie szczęście – koledzy-rybacy nie pozwolili wam zdezerterować do wrogiego obozu. Nabroiliście, musicie to odpokutować, zdajecie sobie z tego sprawę... Będzie sąd, rozpatrzy wasze przewinienia. Wiecie, sędziowie w PRL są niezawisli, ocenią dowody, zeznania świadków, ale najbardziej miarodajne będą wasze słowa. Opowiem wam o pewnym przypadku z mojej praktyki... Podejrzany, wróg władzy ludowej do n-tej potęgi. Dowody, jakie zebrałem przeciwko niemu, wystarczały dla najbardziej pobłażliwego sądu na wymierzenie przynajmniej 5-krotnej kary śmierci. Pod koniec śledztwa pogadałem z nim ot tak, jak z wami teraz rozmawiam... Rozprawa, on zeznaje. Przecie-



BATORY, 1962 r.

ram oczy: on ujawnia szczegółowo dywersyjne plany organizacji WIN i swojej wrogiej roboty. Przekonał sąd, że zbłądził i żałuje tego, co zrobił. I wiecie, jaką dostał karę? Tylko jednokrotnego „kaesa” (*kara śmierci* – przyp. red.) , ale prezydent Bierut w drodze łaski wyrok ten zamienił na dożywocie.

Paweł powrócił do celi. Przyszedł fryzjer, ogolił, włosy przyszyty. Oddziałowy zaprowadził do fotografa. Zdjęcia: lewy profil, prawy i en face; odciski palców z lewej i prawej dłoni. Następnego ranka profos zaprowadził chłopców z CIETRZEWIA do magazynu depozytowego. Pobrali swoje ubrania i zostali oddzielnie usadowieni w więziennej „suce” z „bransoletkami” na rękach w towarzystwie czterech uzbrojonych milicjantów. Konwojem dowodził starszy sierżant, były mistrz bokserski wagi ciężkiej. Kawalkada: „suka” plus dwa busy pomknęła w stronę Świnoujścia. Dojechała pod „dom kultury” w Warszawie. Sala kinowa wypełniona publicznością. W każdym rogu funkcjonariusz UB z automatem gotowym do strzału. Stół prezydialny zarezerwowany dla sądu i prokuratora. Zaimprovizowana z rzędu krzesła ława oskarżonych. Adwokatów dwoje. Kobieta z urzędu będzie bronić Krzysztofa i Pawła. Mężczyzna z wyboru – reprezentuje Alberta.

Sędzia ogłasza rozprawę główną, proces pokazowy. Poniżająca impreza wymyślona przez bolszewików. Metoda osaczania nie tylko wymyślonych wrogów, ale i tych, mogących stać się nimi dopiero po rekryminacyjnej obróbce. Wynalazek Stalina spodobał się szefowi Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Reinhardtowi Heydrichowi i znalazł zastosowanie w słownictwie bratniego kraju – III Rzeszy. Tryb postępowania sądowego nie mający precedensu w państwach demokratycznych. Oskarżycielem ma być sam oskarżony. Sędzia, prokurator i obrońca dopilnują, żeby proces przebiegał zgodnie ze scenariuszem. Ponury spektakl ma pohańbić, ośmieszyć oskarżonego lub oskarżonych w oczach opinii publicznej przez żenujące kajanie się i samooskarżenie.

Zeznają po kolei, Paweł – główny oskarżony. Krzysztof i Albert podtrzymują wersję ustaloną w ostatniej chwili przed pojmaniem, że motywem ucieczki było pragnienie zwiedzania świata i praca na zagranicznych statkach, do czego predestynuje ich wykształcenie. Rybołówstwo to zawód pokrewny, wymagający również głębokiej znajomości dotyczą-

cej rybactwa, konserwacji, przechowywania etc. A oni tej wiedzy dopiero się uczą, zaś wiedza, w którą uzbroiła ich Szkoła Morska nie umocniona praktyką – ulatnia się, podąża w kierunku analfabetyzmu... Ale sąd interesuje zupełnie inny profil sprawy. Przywódca grupy przestępcze już wytypowany. Muszą to jednak potwierdzić współoskarżeni, świadkowie, „dowody rzeczowe”... Adwokat w swej mowie wskazuje Pawła jako inicjatora: „Namówił i nakłonił współoskarżonych do popełnienia tego antypaństwowego czynu”...

O głos poprosił Paweł. Sąd wyraził zgodę:

– Wysoki sędzie, pełnomocnik oskarżonego Alberta mija się z prawdą. Po zakończeniu śledztwa umożliwiono mi zapoznanie się z kompletem akt sprawy. W żadnym protokole ani Krzysztof, ani Albert nie wskazywali mnie jako herszta bandy, ja także nie wskazywałem żadnego z nich. Wspólnie postanowiliśmy kolektywną odpowiedzialność. Za skutki tego co się wydarzyło odpowiadamy solidarnie. Proszę wysoki sąd o zezwolenie zadania pytania współoskarżonym: czy aprobują wystąpienie pana mecenasa?..

Obaj zaprotestowali; konsternacja na linii prokurator, sędzia, grupa aparatczyków udających publiczność... Kolejna próba rekryminacji spaliła na panewce.

Jako świadek wystąpił kpt. Ż.W. Stefan Brąglewicz – kierownik wyprawy, czyli szef flotyli rybackiej operującej na Morzu Północnym.

Na pytanie sędziego:

– Kiedy i na skutek czego statek CIETRZEW w maju dobił do statku-bazy?

Odpowiedział:

– Lugrotrawler CIETRZEW zacumował do MORSKIEJ WOLI 3 maja 1955 roku w godzinach rannych, mogła być 7.00, celem wymiany repu, który uległ zerwaniu. Widziałem załogę CIETRZEWIA na MORSKIEJ WOLI. Na moje zapytanie: co oni tu robią, załoga odpowiedziała, że jedni byli wysłani przez sternika do pomocy na pokładzie bazy, inni znów, że chcieli udać się do kina; załoga maszynowa mówiła, że została wysłana przez mechanika. Załoga ta nie była potrzebna do wyciągania repu, gdyż ciągnęła go winda z bazy obsługiwana przez dwóch ludzi... Gdy statek rybacki dobiega do bazy, to

połowa załogi, ze względów bezpieczeństwa, powinna pozostać na jego burcie...

Pytanie:

– Kiedy i w jakich okolicznościach świadek dowiedział się o odbiciu CIETRZEWIA od MORSKIEJ WOLI?

Odpowiedź:

– O godzinie mniej więcej 8.30 będąc w radiostacji usłyszałem uderzenie CIETRZEWIA o burtę bazy. Wybiegłem na pokład i zobaczyłem, że CIETRZEW odbija. Pomyślałem, że wykonuje jakieś próby, natomiast kapitan lugrotrawlera – Leszek Żmudziński, który stał obok mnie powiedział: „Chyba się urwał”... Kilka minut później zorientowaliśmy się, że nie mogą to być próby maszyny, jak również zerwanie się cum. To zwyczajna dezercja! Zwróciłem się do kapitana Lehra – dowódcy m/s MORSKA WOLA – ażeby statek-baza wyruszył w pogoń. Początkowo było widać, że CIETRZEW popłynął w kierunku Norwegii, później zmienił kurs na Anglię. Drogą radiową nadałem do jednostek łowczych meldunek, że CIETRZEW ucieka. Poleciłem supertrawlerom wszczęcie pościgu... Na fali bezpieczeństwa dezercerzy wzywali pomocy, żądali przysłania samolotu lub szybkiego statku. Odpowiedział im angielska stacja brzegowa „Wick Radio”. Kapitan Lehr powiadomił operatora stacji brzegowej, że CIETRZEWOWI nic już nie grozi a MORSKA WOLA podąża do niego. Porywacze nadal żądali pomocy, ale „Wick Radio” przestało reagować. Podczas pogoni widziałam jak CIETRZEW zmieniał kurs, gdy napotykał obce statki. Widziałem wywieszone flagi kodu międzynarodowego „NC” wzywania pomocy. Po dopędzeniu nakazaliśmy zatrzymanie. Załoga pozostawiona na bazie zeskoczyła na pokład i wyprowadziła czterech ludzi. Niebawem okazało się, że „czwarty” nie był wtajemniczony w zamierzoną ucieczkę. Przekazaliśmy porywaczy na lodołamacz SWAROŻYC, który zawiózł ich do kraju. Lugrotrawler na skutek dezercji doznał zatarcia silnika głównego i właściwie nie nadawał się do dalszej eksploatacji...

Inni świadkowie okazali przychylną powściągliwość w stosunku do oskarżonych jako wrogów, opiniowali pozytywnie jako kolegów, współpracowników czy znajomych.

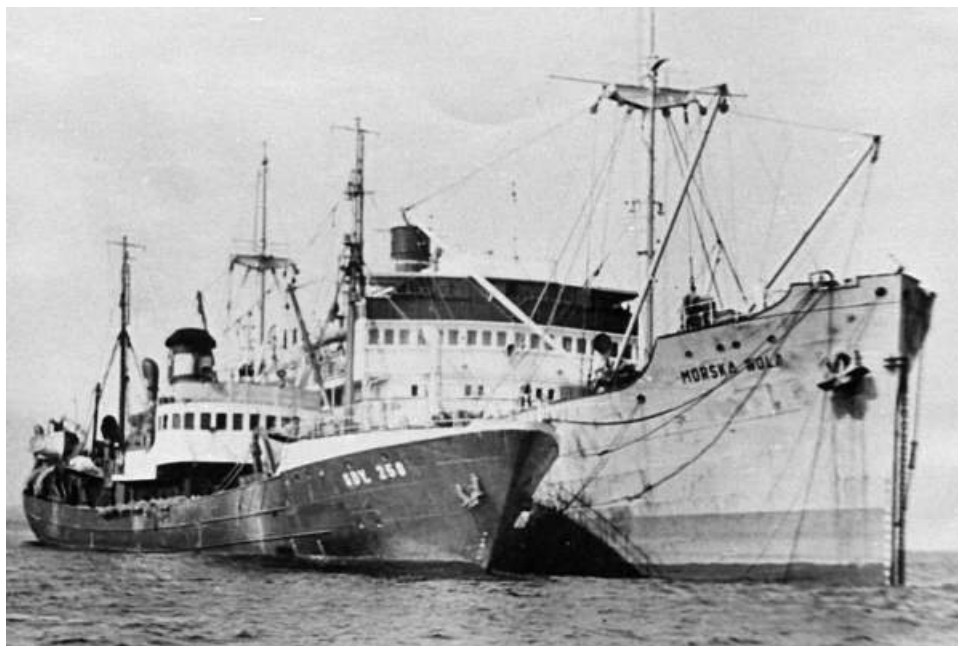
Około godziny 13.00 przewodniczący składu sędziowskiego zarządził dwugodzinną przerwę. Oskarżonych wyprowadzono z sali kinowej. Według stosowanej praktyki mieli być umieszczeni w oddzielnym pomieszczeniu. W jednej z pomniejszych sal na stole dymiła waza wypełniona smaczkowym rosółem, półmiskiem z kotletami i salaterka smakowitej surówki. Pracownik Domu Kultury zaprosił milicjantów i oskarżonych na wspólny obiad. Aromat smaczkowych potraw osłabił manię wyższości i milicjanci skusili się zasiąść do stołu razem z „wrogim elementem”. Dla aresztantów zamówione było tylko pierwsze danie, ale szef kuchni samowolnie zmienił menu. Podczas posiłku milicjanci wyrazili zdumienie graniczące z zaskoczeniem, że oskarżeni nie obwiniają się nawzajem.

– Jesteśmy pełni podziwu dla waszej niezłomnej postawy – odezwał się szef konwoju. – Uczestniczyliśmy w bardzo wielu procesach zwykłych i tych pokazowych. Z reguły oskarżeni obciążają się nawzajem winą, każdy myśli, że w ten sposób obroni siebie. W czasie przerwy musieliśmy ich izolować, bo skakali sobie do oczu. Nierzadko byli to oficerowie wysokiej rangi, przeżyli partyzantkę, po wojnie trafili do konspiracji...

Stanisław Cat-Mackiewicz napisał w jednym ze swych esejów, że „nikogo z powodu niegodnego zachowania przed sądem komunistycznym potępiać się nie godzi. Zachowanie to należy przypisać stosowanemu niegodnym, barbarzyńskim środkom wymuszania zeznań. Robienie z powodu tego zachowania zarzutu oskarżonym – jest rzeczą niegodną; to tak, jakby szydzić z osoby kalekiej”...

Porywacze CIETRZEWIA mieli to szczęście, że nie torturowano ich fizycznie, presję moralno-psychiczną znieśli godnie i może dlatego łatwiej im było przeciwstawić się rekryminacji. Po rewelacjach Józefa Światły transmitowanych przez Wolną Europę o koszarnej vegetacji i nieludzkich metodach śledztwa stosowanych w kazamatkach Bezpieki (wyrwanie obcęgami paznokci, wybijanie zębów, miażdżenie szufladą genitalii ect.) – patologiczni sadyści ludowego wymiaru sprawiedliwości: Stefan Michnik, Józef Różański, Helena Wolińska, Julia Bristigierowa – usunęli się w cień.

...Za chwilę koniec przerwy, pełnomocnik Alberta mówi do Pawła:



Statek baza
MORSKA WOLA
w czasie obsługi trawlera
Dalmoru na Morzu
Północnym, 1952 r.

– Swoją mową psuje pan szyki nam, obrońcom. Tu odbywa się proces pokazowy, a w procesie tego formatu gros winy bierze na siebie główny oskarżony. Później, w dalszym postępowaniu czy w II instancji łatwiej będzie o złagodzenie kary a nawet o ułaskawienie. Pańskie ugruntowane na niewiedzy gadanie zaszkodzi tylko panu i pańskim kolegom...

– Po pańskim gadaniu – riposta Pawła – widać od razu szlif szkoły Duracza i maniery powiatowego kauzyperdy... Powiem coś: zdarzyło się to w carskiej Rosji. Porucznik hazardzista z zapadłego na prowincji garnizonu zamiast zwrócić dług – zastrzelił przybyłego doń Żyda-lichwiarza. Przywołał ordynansa i rozkazał:

– Słuchaj, Stiopka, powiesz, że ty go zabiłeś, nic ci nie zrobią. Obronię cię nawet gdybyś stanął przed plutonem egzekucyjnym. Bądź pewien, w ostatniej chwili przybędzie goniec z carskim ułaskawieniem...

– Tak toczno, wasze wysobłahorodje – odpowiedział posłusznie ordynans.

– I wie pan jak zakończyła się ta afera? – kontynuował Paweł. – Ordynansa nie ułaskawiono, tylko powieszono...

...Dalszy ciąg rozprawy. Prokurator uwagę swoją skoncentrował na Pawle:

– Niech oskarżony opowie wysokiemu sądowi, jak to wszedł we Wrzeszczu do samolotu wraz z Dąb-

rowskim. Obaj kompletnie pijani poleciliście do Krakowa. Kto czekał tam na was? Może ktoś z konsulatu USA?

– Przed wstąpieniem do Szkoły Jungów – wyjaśnia Paweł – Dąbrowski zamieszkiwał w Zabrze, po opuszczeniu Lwowa w 1945 roku. Miał tam rodzinę, kolegów... Zwykle odwiedziny... Chciałbym nadmienić, że personel nietrzeźwego pasażera nie wpuścił do samolotu. Proszę wysoki sąd anulować to pomówienie...

Publiczność bijąc brawa wybuchła śmiechem; przewodniczący składu sędziowskiego też lekko się uśmiechnął...

O godz. 18.00 sędzia zarządził koniec postępowania na dzień dzisiejszy. Milicyjna „suka” zawiozła oskarżonych do aresztu Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Świnoujściu. Mieścił się w piwnicach pod pokojami przesłuchań. Funkcjonariusze, którzy z pepeszami gotowymi do strzału pełnili służbę na sali kinowej, zamienionej przejściowo na sądową, powinni byli osadzić oskarżonych w oddzielnych celach, lecz z tych samych motywów co milicjanci – pozwolili im przebywać razem. Mieli sporo spraw do obgadania. Wyszło sztydło z worka: śledczy, który namawiał Pawła, żeby winę wziął na siebie, nakłaniał natarczywie Krzysztofa i Alberta – każdego z osobna – aby nie oszczędzali go:

– To zdeklarowany wróg – judził – ściągnął na was nieszczęście, utrzymywał kontakty z reakcyjnym podziemiem, zamieszał wam w głowach...

Ani Krzysztof, ani Albert nie dali się zwieść bolszewickiej przewrotności, która niczym łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Ale łaska pańska nie była tak podstępna, okrutna i mściwa. 20 marca 1945 roku rząd Polski Podziemnej został zaproszony na konferencję polityczną z władzami sowieckimi. Płk Pimenow dał słowo honoru oficerowi Armii Czerwonej, że polskim politykom włos z głowy nie spadnie. Życie pokazało, że sam włos rzeczywiście nie spadał, tylko razem z głową.

Wszyscy trzej porywacze wywodzą się z rodzin o tradycjach patriotycznych. Ich ojcowie to weterani wojny bolszewicko-polskiej z 1920 roku. Walczyli: ojciec Krzysztofa o Lwów, Alberta o Wilno, Pawła zdobywał – Kijów. Albert po 1944 roku należał do konspiracji niepodległościowej na Mazowszu. W ich domach rodzinnych pielęgnowano kult honoru i wiary, szanowano historię. Ludzie oderwani od swej przeszłości, tradycji rodzinnej i plemiennej stają się podatni na indoktrynację jako bezrozumna masa zoologiczna bez tożsamości, łatwa do manipulowania przez demagogów-renegeatów. Jako aresztanci potrafili zachować godność, poczucie honoru i nie splamili dobrego imienia wspólnej solidarności. Srebrne kruki nie zabijają się nawzajem. Gniazdo rodzinne już od kołyski kształtuje istotę ludzką, kształtuje kulturę osobistą, sposób bycia składający się niekiedy z drobiazgów takich na przykład, jak posługiwać się widelcem, jak prowadzić rozmowę wyrażając się pięknym językiem. W przedwojennej Szkole Morskiej uczono eleganckich form zachowania się, kultury towarzyskiej, nawet tańca, wzorując się na uczelniach tego typu w carskiej Rosji. Te formy elegancji kontynuowano po wojnie, ale tylko do czasu, bo już w 1951 roku zostały zakazane jako wielkopański przeżytek i wprowadzono łagierniczo-obozowe maniery, skutkiem których aluminiowa łyżka i także micha „wyparły” talerze i wazy fajansowe ozdobione emblematami Szkoły Morskiej. Usunięte obrusy, stoły przykryła odrażająca cerata.

Narody wielkie szanują tradycję, na przywódców powołują nie przypadkowych nieudaczników, lecz charyzmatycznych liderów, dla których służba spo-

łeczna jest najwyższym honorem. Pełzająca służalczość czerwonemu okupantowi pobudziła u porywaczy CIETRZEWIA zew walki odziedziczony po przodkach.

...7 października 1955 roku drugi dzień procesu. Prokurator spodziewał się, jak zwykle w takich okolicznościach, że pokazówka przebiegnie według schematu, że świadkowie i współoskarżeni wskażą herszta szajki, który usiłował podstępnie sprowadzić ich na manowce. Ale oni wreszcie zrozumieli swój błąd, bo oficerowie UB otworzyli im oczy. Z sali od publiczności miały paść słowa potępienia... Scenariusz, niestety, nie sprawdził się. Zabiera głos prokurator:

– W niewoli u Czang-kai-Szeka pozostają dwa statki naszej bandery. Zostały bezprawnie zajęte nieopodal Formozy – obecnie Tajwan; już od dwóch lat marynarze ślą rozpaczliwe listy prosząc rząd PRL o wybawienie z niewoli. Znaleźli się tam wbrew swojej woli. Zostali brutalnie porwani wraz ze statkiem i uwięzieni... Oto kolejny obrazek z kapitalistycznego eldorado: steward, dezterter z PLO-owskiego statku w recepcji hotelu SERENA w Sztokholmie, filii radia zwanego, jak na ironię, „Wolna Europa”, podcina sobie żyły i umiera... A na ławie oskarżonych widzimy byłych rybaków, którzy porywają statek i pędzą przez morze do wrogiego świata. Dezercja się nie powiodła, rybacy z trawlerów pokrzyżowali im plany... Czy tylko pokrzyżowali? A nie uchronili przed żalosnym losem deztertera-stewarda z PLO?... Teraz skruszeni tłumaczą swój podły czyn tym, że chcieli zwiedzać świat, poznawać siłownie statkowe, żeglugę pod obcymi banderami i inne dyrdymały... Czy mamy im wierzyć?... Może nas oszukują, może chcieli się najać u podżegaczy wojennych do wrogiej roboty?!

Wystąpienie prokuratora zajęło dobre dwie godziny, zakończył je:

– Dla oskarżonych domagam się kary więzienia w granicach od 5 do 6 lat.

Obrońcy zabierając głos usiłowali złagodzić prokuratorskie gromy na niedoszłych najemników gotowych podjąć się obalenia ustroju PRL. Jako źródło zła, które dotknęło oskarżonych wskazali emigrację niepodległościową w wolnym świecie – „rząd na uchodźstwie” i podległy mu obóz reakcji w kraju posłusznie realizujący akty sabotażu, dywersji i szpiego-

stwa. Centrale podżegaczy wojennych prowadzą oszczercze kampanie propagandowe przeciwko Związkowi Radzieckiemu, granicy na Odrze i Nysie, przeciwko zdobyczom społecznym i politycznym obozu krajów demokracji ludowej a PRL w szczególności...

Proces pokazowy zakończony 7 października 1955 roku o godz. 18.00. Uzasadnienie:

„...Na podstawie całokształtu okoliczności ujawnionych podczas przewodu sądowego, wyjaśnień oskarżonych, zeznań świadków, dokumentów wyszczególnionych w wykazie, Sąd Wojewódzki przy wymiarze kary wziął pod uwagę wysoką szkodliwość i niebezpieczeństwo społeczne czynu oskarżonych, jak również i to, że ugodzili w autorytet floty rybackiej, która ofiarną pracą zaskarbiła sobie sympatią całego polskiego społeczeństwa. Działali na szkodę klasy pracującej Polski Ludowej, która dzięki ofiarnej i wytężonej pracy stworzyła im warunki pracy, nauki, dostatniego życia, oddała w ich ręce i powierzyła im dobry warsztat pracy, jakim jest statek. Nadto Sąd miał na uwadze, że oskarżeni postawili swój interes osobisty nad interes ogólnonarodowy szerokich mas pracujących, które z najwyższą pogardą odnoszą się do zdrajców ludowej ojczyzny. Wierność Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest zaszczytnym obowiązkiem obywatela, wypływającym z zasad konstytucyjnych. Oskarżeni nie zrozumieli, że uczucia osobiste nie zwalniają ich z obowiązku pracy w kraju nad odbudową ojczyzny.

Obywatele winni są posłuszeństwa prawu i nakazowi państwa, które zabrania opuszczania granic bez odpowiedniego zezwolenia. Z tych względów Sąd uznał za słuszne współmierne do zawinienia wymierzyć oskarżonym karę, która będzie dla nich przykładną represją i spełni rolę socjalnej reedukacji, a dla innych będzie przestrożą, że sądy Polski Ludowej nie pobłazają tym, którzy z pełną świadomością dopuścili się czynów godzących w najżywotniejsze interesy Państwa.”

Przewodniczący składu sędziowskiego odczytał wyrok: Paweł – 8 lat, Albert – 7 lat, Krzysztof – 5 lat... Po usłyszeniu wyroku publiczność zgromadzona na sali zamiast bić brawa – wybuchła płaczem. Może nie wszyscy, ale dała w ten sposób wyraz swojej sympatii dla galerników a dezaprobaty dla „niezawiesłego” sądu... Podczas odwilży październikowej

1956 roku, na wiecu potępiającym epokę stalinowsko-bierutowską społeczność Świnoujścia – w tym pracownicy lądowi i morscy przedsiębiorstwa rybackiego „ODRA” – żądali zwolnienia i zrehabilitowania porywaczy CIETRZEWIA...

Skazani zostali na podstawie dekretu z 13 czerwca 1946 roku „O przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa” za czyn z art. 36. Jego brzmienie: „Kto bierze udział w związku, którego istnienie, ustrój albo cel ma pozostawać tajemnicą wobec państwowej władzy, podlega karze więzienia”. Dla bytu przestępstwa z art. 36 mkk istotną cechą jest tajność istnienia, a to już oznacza charakter spiskowy. Przekładając formułkę na język potoczny zrozumiemy, że z art. 36 można było „zafasować” nawet dożywocie, a nie wykluczone, że karę śmierci w przypadku procesu doraźnego. A więc buntownicy z CIETRZEWIA zostali ukarani za udział w zakonspirowanym wrogiem związku. I tak jak do tanga trzeba dwojga, to do zakwalifikowania przez sąd PRL „wrogiej antypaństwowej bandy” wystarczyła „trójka” w myśl rzymskiej zasady „tres faciunt collegium” (*„co trzy głowy to nie jedna”* – przyp. red.). Tylko że w starożytnym świecie dewiza ta nie służyła za pretekst do szykany, lecz dawała podstawę prawną do utworzenia stowarzyszenia zdolnego do działań legalnych. Dla Rzymian wszystko złożone z „trzech” było doskonałe (*„omne trinum perfectum”* – *„wszystko co potrójne jest doskonałe”* – przyp. red.)... Jeśli w jakimś Pcimiu trzech słuchało „Wolnej Europy”, automatycznie stawali się wrogami władzy ludowej albo „sługusami podżegaczy wojennych”. „Niezawiesłe” sądy ferowały wyroki 5, 10, 15 lat. Ale jeśli słuchających było więcej – wyroki odpowiednio wyższe. Od wrogów ludu i sługusów reakcji więzienia PRL-owskie pękały w szwach...

Porywaczy CIETRZEWIA „pasowanych” na wrogów ludu po zakończonym procesie „suka” przewiozła do więzienia karno-śledczego w Szczecinie przy ulicy Kaszubskiej. Każdego osadzono osobno w pojedynczej celi...

...Niepokój duszy o sile 12 stopni w skali Beauforta!..W głowie kłębowisko myśli, niesamowity szok psychiczny... Nadeszła noc, pierwsza po wyroku, to niemożliwe do opisanie cierpienie duszy, najwyższy stopień sprzężenia niemocy z agresją i de-

presją. Żeby tylko w burzy szarych komórek nie doszła do głosu rozpacz. Paweł wyteżył wyobraźnię, peregrynacja po minionym czasie zawiodła do Szkoły Jungów na wykład polonisty dr Władysława Drapelli – erudyty z zakresu historii żegluga...

„Dzisiaj, chłopcy, mija 377. rocznica najkrwawszej bitwy morskiej w dziejach. Pod Lepanto na wodach zatoki Korynckiej starły się dwie potęgi: turecka i chrześcijańska. Ale zanim doszło do walki, Sułtan Selim w aroganckiej formie obiecywał bazylikę Świętego Piotra w Rzymie zamienić na stajnię dla swoich rumaków, zaś pałac papieski na harem, którego kamerdynerem zostanie Ojciec Święty Pius V.

Liga Święta pod wodzą don Juana de Austria przeciwstawiła 210 okrętów i 65 tysięcy rycerzy, zaś Turcy dowodzeni przez Alego Paszę w sile 285 okrętów i 80 tysięcy wojska natarli z zamiarem pokonania chrześcijańskiej Europy i narzucenia religii islamskiej. Po zaciętej walce w dniu 7 października 1571 roku Turcy ponieśli sromotną klęskę, stracili 230 okrętów, z galer uwolniono 12 tysięcy wioślarzy-galerników, chrześcijan uprowadzonych w jasyr przez Tatarów z Kresów Rzeczypospolitej...”

W bitwie pod Lepanto walczył z bisurmanami Miguel de Cervantes Saavedra, doznał szeregu ran. Autor „Don Kichota z La Manchy” 7 października 1571 roku stracił lewą rękę a 377 lat później don Kichoci z CIETRZEWIA stracili wolność. Przekroczyli Rubikon a padli pod Waterloo... To skojarzenie sugeruje, że paranormalne moce panoszą się na CIETRZEWIU...

...Od pobudki rutynowy kierat więziennej egzystencji. Obładowanie, śniadanie: czarna kawa zbożowa, suchy chleb. Spacer na wybiegu o wymiarze 50 m szerokości i 70 m długości. Na świeże powietrze wychodzą więźniowie z całego oddziału. Można kontaktować się między sobą. Krzysztof, Albert i Paweł spacerowali razem, mieli dla siebie 40 minut póki nie przyszła następna tura. Po zapędzeniu do celi Paweł wezwał oddziałowego. Zgrzyt zasuw, mignięcie judasza, w drzwiach pojawił się strażnik w stopniu plutonowego:

– Czego? – zapytał szorstko.

– Prosiłbym o skontaktowanie z celą numer 115 albo 162 – rzekł Paweł.

– Nie można, oni też chcieli z wami pogadać; za wcześniej, bo wiecie, niektórzy po usłyszeniu wyroku, zanim nie przyzwyczają się do nowej sytuacji, dostają małego rozumu, w celi zbiorowej dochodziło do awantur, bojek. Dlatego świeżych wyrokowców umieszczamy w pojedynkach, niech się oswoją. Swoim żalem nie męczą innych, bo jeśli się któryś załamie i, dajmy na to, na prześcieradle się powiesi – będzie jasne, że to jego osobista decyzja bez udziału osób trzecich...

Trudno nie przyznać racji plutonowemu, przecież w momencie rozchwiania psychicznego nie każdy łatwo poddaje się specyficznej odmianie beznadziei. Przed porywaczami CIETRZEWIA długie lata skondensowanego bytowania pod kluczem w okratowanej celi. Przebrani w szarą barchanową odzież, czapki bez daszków i obuwie na drewnianej podszewie, którego łoskot rozlegał się od pobudki do wieczornego apelu. Po kilku dniach Albert został wywieziony do Nowogardu. W tamtejszym zakładzie karnym produkowano obuwie dla wojska. Ogromny zmechanizowany kombinat. Nastąpiła poważna awaria systemu transmisji napędzającej szlifierki, tokarki, kamaszniczej maszyny do szycia, itp. Albert to złota rączka w tym zakresie. Maszynieria nie tylko pracowała bezawaryjnie, ale jego pomysły racjonalizatorskie wpłynęły na wzrost wydajności i poprawę ergonomii. Wyróżniono go odznaką „Zasłużony Przodownik”. Opuścił więzienie pod koniec 1956 roku. Powrócił do rodzinnej Wysokiej Mazowieckiej, założył warsztat samochodowy, z morzem się pożegnał. W pamięci kolegów zapisał się jako wspaniały, odważny, uczciwy kompan...

Pawła i Krzysztofa „zakwaterowano” w 8-osobowej celi. W krótkim czasie poznał bliżej współlokatorów. Jeden z nich otrzymał w 1951 roku 14 lat z dekretu „O przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy”... Aresztowano go w szuwarach Zalewu Szczecińskiego nieopodal Karsibora. Gdy patrol WOP-u wytropił jego kajak, spał owinięty kocem. Miał w torbie lornetkę, mapę Zalewu Szczecińskiego i północnej części NRD. Przyznał się, że zamierzał dotrzeć do Berlina. Życiorys pasował do schematu „wroga ludu”. Krótko przed wojną, po maturze pracował jako urzędnik w Ostrogu nad Horyniem. Ożenił się, został ojcem dwóch synów. 17 września 1939 roku aresztowany przez NKWD i zesłany do kopani złota w dorzeczu Kołomy. Trafił do

Magadanu – rozdzielni katorżników dla potrzeb azjatyckiego GUŁAGU na Kamczatce, Sachalinie, Czukotce, Jakucji. Do armii Andersa nie miał szans się załapać, bo wiadomość o porozumieniu Sikorski-Majski z lipca 1941 roku do niego nie dotarła. Dopiero w maju 1943 roku w gazetach sowieckich ukazał się artykuł o powstającej, za zgodą rządu ZSRR, dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Zaciągnął się w jej szeregi, a że posiadał maturę i stopień kaprała z cenzusem po 6-tygodniowym przeszkoleniu – otrzymał stopień chorążego. Odbił szlak bojowy od Lenino po Berlin. Zdemobilizowany rozpoczął poszukiwanie rodziny. Smutna wiadomość: żonę i synów zamordowali Ukraińcy z UPA. Rozpacz sparaliżowała instynkt samozachowawczy. Do równowagi psychicznej powrócił w zaciszu klasztornej azyli. Pomocna okazała się głęboka religijność. Wstąpił do seminarium, otrzymał święcenia kapłańskie. Jesienią 1951 roku w amerykańskim sądzie rozpatrywano sprawę zbrodni katyńskiej; zeznawało wielu świadków, m.in. oficerowie amerykańscy internowani w niemieckich oflagach a przywiezieni przez Niemców w kwietniu 1943 roku do Katynia. W PRL-owskich gazetach seria artykułów piętnujących Amerykanów, że ferują prowokację przypisując zbrodnię katyńską nie Niemcom tylko państwu radzieckiemu.

Nasz kaznodzieja w kontekście tych publikacji, w wygłoszonej z ambony homilii powiedział wiernym m.in., że latem 1940 roku podczas transportu polskich zesłańców morzem z jednej wyspy Sołowieckiej na drugą nadzorca barki będąc podpity wrzeszczał: „Ja by was Paliaki wsiech postrelał kak wiesnoj w Katyni!..” Księdzu groziło aresztowanie za „szkalowanie Kraju Rad”. Postanowił zbiec za granicę... Nie powiodło się...

...Na podwórku więziennym widać spacerującą grupę liczącą 50-60 chłopców w przedziale wiekowym 12-15 lat. Wszyscy naruszyli dekret z 13 czerwca 1946 roku, zostali ujęci podczas próby przekraczania granicy lub mieli to tylko w zamiarze. Wśród nich trzech uczniów 9. klasy z Mysłowic. Aresztowani w Szczecinie na Placu Żołnierza około 20 kilometrów od lądowej granicy z NRD. Ubrani w harcerskie mundurki, w plecakach mieli trochę żywności, ciepłą odzież, koc, peleryny. Rozglądali się niespokojnie, twarze pobladłe, oczy rozbiegane. Milicjantom wydali się podejrzeni, zaprowadzili ich na

komisariat. Chłopcy ze strachu wyznali, że zamierzali przedostać się do Berlina. Z poczty w Szczecinie wysłali listy pożegnalne do swoich rodzin. Było ich trzech („tres faciunt collegium”), jak ułał dopasowali się do dekretu „O przestępstwach szczególnie niebezpiecznych”... Tajna organizacja antypaństwowa, sprawa do rozpracowania dla Bezpieki a nie milicji...

Krzysztofa i Pawła więzienna „suka” zawiozła do Goleniowa. Więzienie karne, kompleks 6-ciu bloków, z tego cztery połączone w krzyż. Zakwaterowali w pojedynkach. Na pierwszym spacerze spotkali grupę Niemców, jeńców wojennych wziętych do niewoli przez Armię Czerwoną w 1944 i 1945 roku. Ale ich internowanie się kończy, bo kanclerz Konrad Adenauer zawarł w Moskwie układ, w wyniku którego zostały nawiązane stosunki dyplomatyczne. Mocą tego układu jeńcy niemieccy będą zwolnieni i wyjadą do swoich rodzin. Ich radość nie ma granic!..

Po kilku dniach Krzysztof i Paweł spotkali się w jednej zbiorowej celi. Krzysztof został wybrany, czy wyznaczony, starszym celi. Obaj liczyli się z tym, że długo miejsca w Goleniowie nie zagrzeją, gdyż los zwykłego więźnia sprowadzał się do „uprawiania” osobliwej turystyki. Niektórzy w ciągu 10 lat odsiadki zaliczyli Wronki, Sawicz, Wrocław, Sztum, Wiśnicz, Kraków etc. Tylko więźniowie niezbędni administracji ze względu na posiadane kwalifikacje zawodowe (hydraulicy, ślusarze, kowale, krawcy) na żądanie naczelnika nie podlegają rotacji. Paweł i Krzysztof opracowali na własny użytek szyfr, przy pomocy którego – w przypadku rozdzielenia – będą przysyłać sobie informacje nie do wykrycia przez cenzorów, gdyż korespondencja i paczki w obie strony więziennej bramy podlegały ścisłej kontroli. Kluczem ich szyfru było słowo: „brudasek”. Tak w żargonie więziennym nazywano chleb codzienny przeznaczony dla więźnia.

Po kilku tygodniach Krzysztof został wysłany na Śląsk do kopalni. Paweł zgłosił się do naczelnika, do raportu w sprawie skierowania do pracy. Naczelnik wytłumaczył, że prośby tej nie może spełnić, bo więźniowi I kategorii zatrudnienie nie przysługuje; zaleca się natomiast medytację i czytanie w ramach autoresocjalizacji. Czytał więc, poznał już biografie najważniejszych bolszewików. Na całe życie utkwiał mu w pamięci fragment listu Feliksa Dzierżyńskiego z carskiego więzienia do siostry Aldony:

„...dochodzą słuchy, że cenzorzy zaczną kontrolować korespondencję i przesyłki adresowane do więźniów politycznych. Nie dopuścimy!.. Przystąpimy do głódówki a jak będzie trzeba – wzniesimy bunt!..”.

Nie do wiary, że carscy żandarmi byli aż tak „okrutni” a car bezduszny i bezwzględny samowładca. Gdzie im do dzisiejszych humanitarnych przywódców zatroskanych o lud pracujący. Towarzysz generalissimus Stalin powiedział na którymś Zjeździe WKP-(b):

„...Jeśli wśród 20 tys. rozstrzelanych znajdzie się choćby jeden wróg, to egzekucja była słuszną i uzasadnioną.”.

Wymuszona reedukacja przyczyniła się do przeczytania większości książek z zasobów więziennej biblioteki. Powieść Mikołaja Ostrowskiego „Jak hartowała się stal”, niezapomniany epizod: na granicy między ZSRR i II RP spotykają się patrole polski i sowiecki; ci z KOP-u mają na sobie dziurawe buty i zniszczone płaszcze, natomiast sowieccy pogranicznicy ubrani w szynele podbite futrem, na nogach solidnej roboty walonki i palą luksusowe papierosy, którymi poczęstowali zabiedzonych Polaków, na co dzień zbierających pety na trasach patrolowych.

Ale Paweł nie był podatny na bolszewicką indoktrynację, interesowała go wiedza prawnicza. Rozmawiał dużo z przedstawicielami przedwojennej palestry, solidnie wykształconymi prawnikami, skazanymi przeważnie w fingowanych procesach z de-

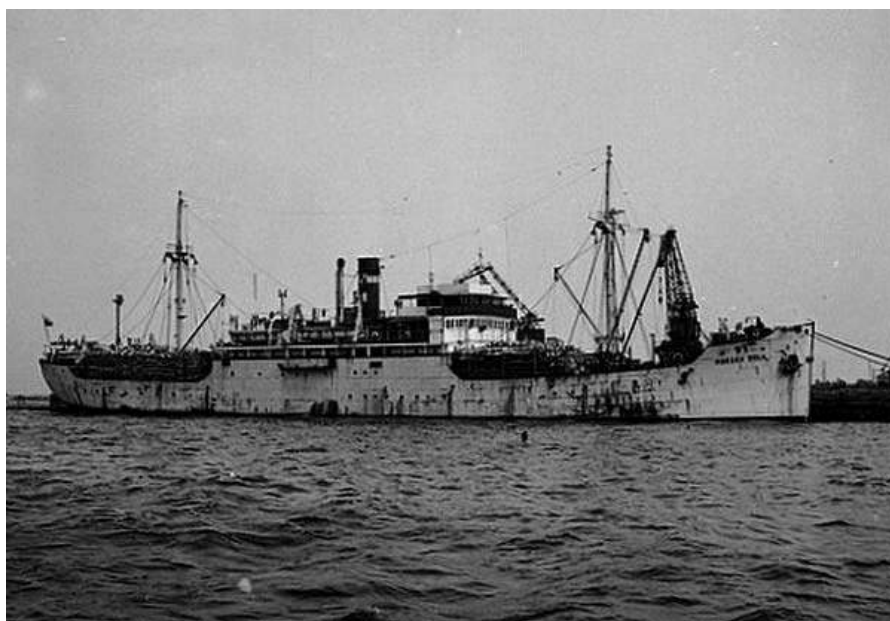
kretu z 31 sierpnia 1944 roku „O wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw, znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego”, przewidującym karę więzienia do kar śmierci włącznie. Dekretu tego nie obejmowała żadna amnestia ogłaszana w PRL.

Któregoś dnia oddziałowy otworzył drzwi, więźniowie wnieśli 3 ogromne wory z pomieszanym zbożem.

– Posegregować, ma być osobno groch, pszenica, jęczmień, zrozumiano!..

– Tak jest panie plutonowy!.. – odpowiedziała chórem ósemka lokatorów celi i niczym postacie z bajki o Kopciuszku chyżo zabrali się do sortowania ziarna. Niedawno celebrowano dożynki w pobliskim PGR-e, przodownicy pracy socjalistycznej upili się i nie byli w stanie odróżnić grochu od cebuli.

Współlokator, Ślązak o urodzie cygańskiego księcia, autochton z Opola, służył w Afrika Corps, jako komandos lądował na Krecie. W Afryce Północnej zdezerterował. Wojnę zakończył jako andersowiec. Wrócił na Śląsk. Dostał wyrok nie za to, że był w Wehrmachcie, tylko za wstąpienie do II Korpusu. Otrzymał pismo z sądu, od którego w ciągu 2 tygodni musi się odwołać. Nie czuł się na siłach, żeby złożyć to zażalenie. Paweł zaoferował pomoc w zredagowaniu odwołania. Zgłosił się następny petent, Paweł napisał. Kolejka petentów, Paweł niestrudzenie pisał odwołania, skargi, zażalenia. Przez dwa lata



MORSKA WOLA
jeszcze przed przebudową na statek-
bazę dla kutrów rybackich. To ona
dogoniła CIETRZEWIA,
gdy ten próbował uciec

pod sowiecką okupacją uczył się kaligrafii, pismo miało czytelne. Pewnego dnia oddziałowy zaprowadził „samorodnego prawnika” do kancelarii więzienia. Po regulaminowym zameldowaniu się Paweł usłyszał od naczelnika:

– Z prokuratury napisali, że bym was powstrzymał, za dużo pism wychodzi spod waszej ręki, gotowi są posądzić was o rozrabianie. Wiem, że pomagacie innym, ale czemu oni nie przepisują własnoręcznie!?

– Proszę żebyś przepisał, bo niektórym posługiwanie się piórem nie wychodzi... A tak przy okazji panie naczelniku, widzę na podwórzu jakieś warsztaty a ja przez dwa lata uczyłem się w gimnazjum mechanicznym, miałem praktykę ślusarską, kowalską, chętnie bym popracował...

– Dobrze, wy porzucicie praktykę adwokacką a my zatrudnimy w Przedsiębiorstwie Obróbki Metali...

Następnego dnia dostał Paweł przydział do komórki planowania. Spotkał interesujące towarzystwo. Szefem działu – nieoficjalnym – jest były generał AL i były profesor Wojskowej Akademii Politycznej. Na swoje nieszczęście w II RP służył zawodowo w wojsku. Sąd PRL wymierzył karę śmierci, ale przez Bierutą ułaskawiony na dożywocie. Drugi towarzysz pracy, Eugeniusz M., funkcjonariusz UB w Szczecinie. W 1948 roku został rozpoznany; w latach 1942–43 pełnił służbę policjanta w getcie w Baranowiczach, nie miał zmiłowania dla współziomków. Wyrok: 3-krotna kara śmierci, ale w wyniku interwencji wysoko usytuowanych osób zamieniona na dożywocie. Dział liczył 5 pracowników: trzech więźniów i dwóch wolnościowych. Jeden nie miał ucha, małżowinę udawała porcelanowa proteza, czasem przekrzywiona, gdy „właściciel” był pod rautem. Po dwóch tygodniach Paweł już wiedział, że POM nr 3 produkuje wysokiej jakości szafy pancerne i wózki kopalniane. Faktycznym szefem produkcji był inżynier Borys Nowosielski. Pochodził z Równego, absolwent Politechniki Gdańskiej z 1938 roku. Po studiach podjął pracę u Siemens w Gdańsku. W roku 1941 Ukraińcy próbowali utworzyć rząd w Równem, Nowosielskiemu powierzono tekę ministra. Niemcy rozpędzili samozwańczy twór, podobnie jak uczynili to z „rządem” we Lwowie a Bandere wysłali do obozu koncentracyjnego.

Nowosielski okupację przeżył pracując u Siemens. Po wojnie osiedlił się w Gorzowie. Ale w 1946 roku aresztowany i skazany na karę śmierci. Ułaskawiony na dożywocie. Doskonały organizator produkcji, wysoka kultura osobista. Ustabilizował kadrę wysokokwalifikowaną, techników i inżynierów z dziedziny obróbki metali.

Przekładanie papierków, nanoszenie cyferek na arkusze nie satysfakcjonowało Pawła. Ustawiacz maszyn, doświadczony technik-mechanik (wyrok 15 lat), już 7 lat nie ogląda wolności – przeniósł go z biura i postawił przy tokarce. Ostatnie dwa lata Paweł toczył beczki ze śledziami po pokładzie. I to wychodziło mu całkiem dobrze, ale przy tokarni zdolności za grosz. Tuleje miały być dokładne do 1/100 milimetra, jego miały błąd do 3/100 milimetra. Inżynier Nowosielski nie dopuścił ich do montażu. Paweł dostał inną funkcję: szlifierkę wyglądał koleby świeżo pospawane. Pomagał mu przedwojenny sędzia, absolwent Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie. Był oficerem rezerwy, od listopada 1939 roku udzielał się w Związku Walki Zbrojnej (ZWZ – przyp. red.). Organizację penetrowało NKWD. Tysiące osób wywieziono na Sybir, rozstrzelano w więzieniach a trzech samozwańczy szefowie ciągle działali, rywalizowali ze sobą, każdy uważał siebie za prawowitego komendanta okręgu lwowskiego. Gen. Stefan Rowecki-Grot zaniepokojony tym stanem rzeczy wysłał do Lwowa gen. Leopolda Okulickiego-Niedźwiadka celem zaprowadzenia porządku. 2 listopada 1939 roku Niedźwiadek był już we Lwowie, po tygodniu aresztowany przez NKWD. Na pierwszym przesłuchaniu z-ca Berii, gen. płk Iwan Sierow – szef NKWD Ukrainy, nie owijając sprawy w bawełnę powiedział, że zgadza się na istnienie ZWZ na Ziemi Lwowskiej, ale pod kontrolą NKWD. Niedźwiadek odmówił, więc w tri migi wylądował na Łubiance w Moskwie. A konspiracją we Lwowie kierował oficer WP pozyskany przez NKWD, które nadało mu pseudonim: „Bolek”.

Partner Pawła od szlifowania koleb nigdy nie pracował fizycznie; przedwojenny pracownik umysłowy, w konspiracji oficer sztabowy, w PRL więzień, nie przyzwyczajony do ruchu i wysiłku fizycznego; wiek 52 lata, z tego 7 pod celą. Paweł zaoferował większy udział we wspólnym wykonaniu planu. Normę przekraczali o 150%, wystarczyło jeszcze czasu na roz-

mowy i naukę. Partner – erudyta prawniczy i skarbnica wiedzy historycznej był wspaniałym partnerem do dyskusji nieskrępowanej, bo w warunkach więziennych żadna wypowiedź „antypaństwowa” nie skutkowałą sankcjami karnymi. Można było śmiało nucić „Czerwone maki...” albo głosić prawdę, że zbrodnia katyńska to dzieło ukochanego Kraju Rad. Za co na wolności czał się osławiony dekret z 13 czerwca 1946 roku „Za przestępstwa szczególnie niebezpieczne...”. Więzienia były w PRL niekwestionowanymi „enklawami wolności słowa”. Więźniowie korzystali w tym zakresie z „immunitetu” niczym posłowie i nie podlegali... aresztowaniu. Mieli to już za sobą, mogli więc spać spokojnie.

Szlifierka wynalazek ustawiacza maszyn – rozpadła się, ale zapas koleb gotowych do produkcji wózków wystarczy przynajmniej na dwa tygodnie. Pawła przeniesiono do pomocy spawaczowi, który elektrodą elektryczną scalał poszczególne elementy koleb: jego partner dostał „etat” w rachunkowości. Ale na każdym spacerze mogli swobodnie wyrażać swoje opinie o otaczającym świecie, o rzewnej przeszłości. Wspominali rodzinne strony stracone na zawsze. Mogli tylko pomarzyć o przepięknej przyrodzie Kresów. Podczas budzącej się wiosny radował głęboki czar bujnej roślinności, morze kaczeńców na łąkach i... szybko nadchodzące lato. Przywołany z zakamarków pamięci Mickiewicz w księdze IV tak oto wyraził, jakby z myślą o nich, swoją nostalgię:

*„... Drzewa moje ojczyste
Jeśli Niebo zdarzy
Bym wrócił was oglądać
Przyjaciele starzy...
Zali was znajdę jeszcze?
Wy wokół których pęzłem
jako dziecię...”*

Ustawiacz maszyn podziękował Pawłowi za ważne użytkowanie prototypu szlifierki. Spostrzeżone niedoróbki już wychwycono i ulepszony egzemplarz za parę dni wejdzie do użytku. Więźniowie zatrudnieni w tej fabryce na eksponowanych stanowiskach mogli pędzić ustabilizowany tryb życia. Mieli świadomość, że ich wiedza i praca gwarantuje im dobre samopoczucie, bo są tu niezbędni. Pozostali więźniowie co jakiś czas byli przerzucani do innych więzień.

Dzień powszedni w Goleniowie znacznie różnił się od żywota w areszcie UB czy w więzieniu karności. Tutaj np. spacer na obszernym dziedzińcu dużą grupą; na UB betonowy kojec o wymiarach 10 x 5 m i spacer w pojedynkę. Korzystanie z łaźni na UB 10 minut, tu bez ograniczeń. Na UB każde wyjście poza celę pod eskortą profosa, tu więcej swobody w poruszaniu się po „swoim” oddziale. Wyżywienie na UB: 40 dkg chleba, kawa zbożowa, micha zupy i „drugie” danie – 2-3 dkg gotowanego mięsa. Tutaj pół kilograma chleba, kawa, na obiad zamiast zupy gulasz z dorsza. Z puli BHP każdy pracujący przy spawarce otrzymywał pół litra mleka, zaś zatrudniony w kuźni 0,75 litra. Osoba nalewająca chochlę z kotła zupę czy „gulasz” to przedwojenny granatowy policjant: aresztowany w 1944 roku, skazany na KS (*karę śmierci* – przyp. red.), ułaskawiony na dożywocie. Zamiatacz hali i sprzątac podwórca; wtedy 17-latkowi sąd w Kielcach wymierzył 5 lat za kradzież konia. Osadzony na Świętym Krzyżu, w 1941 roku wyszedłby na wolność, gdyby nie wojna. Sanacja wrót więziennych nie otworzyła a okupant „uszanował” decyzję sądu w Kielcach i wywiózł go do Auschwitz. W styczniu 1945 roku ewakuacja obozu na Zachód. Po drodze „awans” na kapa. Wyzwolony przez wojsko brytyjskie. Anglicy uwolnili zwykłych więźniów, funkcyjnych zaś zatrzymali w areszcie. W 1948 roku stanął przed sądem Polski Ludowej. Za współpracę z niemieckim okupantem otrzymał karę śmierci, Bierut ułaskawił na dożywocie. Kiedy zaczynał kryminalno-więzienny nie epizod, lecz nielimitowany rozdział swego życia, w 1937 roku zapoznał się z Sergiuszem Piaseckim – autorem książki p.t. „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy”, któremu sędziowie też „przyłożyli” karę śmierci, ale prezydent Ignacy Mościcki zamienił na 15 lat odsiadki. Na Świętym Krzyżu napisał swoją sensacyjną opowieść o przemytniczo-rozbójniczym procederze na polsko-sowieckim pograniczu, którą wydał mu Melchior Wańkowicz. Powieść zza krat zyskała niebywały rozgłos i przyczyniła się do kolejnego ułaskawienia. W roku 1937 darowano mu wolność i pożegnał naszego zamiatacza...

Kreatura sanitariusz, dlaczego sanitariusz? Nie-wysoki, krępy, niedźwiedziowaty, smagły, okrucieństwo miał wypisane na twarzy. W czasie wojny obsługiwał piec krematoryjny w Auschwitz. Zdarzało się, wcale nie rzadko, że wrzucał do ognia ży-



Lugrotrawler CIETRZEW po pierwszym etapie przebudowy
na szkuner ZAWISZA CZARNY, 1960 r.

wych, będąc głuchy na głosy rozpacz. Po wojnie kara śmierci zamieniona na dożywocie. I ten nikczemnik o predyspozycjach oprawcy jest opiekunem... chorych!.. Życie rzeczywiście składa się z paradoksów!..

...Paweł otrzymał nową „posadę”. Jeden z kowali „wyjechał” do Wronek. Wakat trzeba wypełnić. Dołączył do pomocy Ślázakowi a nazwisku Kocur; siedzi już 10 lat a przed nim jeszcze pięć. Odezwał się do Pawła:

– Tobie dali tylko osiem, czemu tak mało, i może to dopiero jakaś zaliczka?... Popatrz, każdy wkoło nas ma na grzbiecie „dożywotkę” albo „piętnachę”...

Kresowiak i Ślázak utworzyli zgrany duet. W palenisku nagrzewali do białości 16 nitów o średnicy 12 milimetrów każdy i łączyli nimi dwa płyty podwozia. Do rozklepania służył 12-kilogramowy młot, nazywany przez kowali „proboszczem”. Dwa uderzenia dla każdego nitu i podwozie gotowe. Na warsztacie 3 imadła, jedno wyczyszczone i umyte służyło do rozcierania pilnikiem-zdzierakiem „uratowanych” kości, wyłowionych z kotła i przeznaczonych na śmietnik. Uzyskany proszek kostny mieszały z mlekiem, prażyli na palenisku i spożywali. Po miesiącu paznokcie tak im stwardniały, że można było nimi

wkręcać – niczym śrubokrętem – każdy blachowkręt...

Styczeń 1956 rok. Sąd Najwyższy w Warszawie rozpatrywał apelacje uciekinierów z CIETRZEWIA, skazanych przez Sąd Wojewódzki w Szczecinie. Generalną Prokuraturę reprezentowała Helena Wolińska – I sekretarz POP, żona Franciszka Jóźwiaka – członka Biura Politycznego. To ona – ten zwyrodniały babsztyl – spreparowała fałszywy akt oskarżenia przeciw gen. Gustawowi Fieldorfowi-Nilowi. Na podstawie tego paszkwilu generał został skazany i stracony...

Zaatakowała dezertersów z grubej rury:

– Sąd Wojewódzki w Szczecinie nad wyraz łagodnie potraktował pozornie zagubionych młodych marynarzy, nie ustabilizowanych ideologicznie. Ale to tylko pozory. Właśnie na takich rozchwianych światopoglądowo imperialiści zastawiają pułapki, i z ich udziałem usiłują przeniknąć do ogniw najwyższej władzy, próbują powstrzymać nasz rozwój, mąca, bo wchodzimy w etap pomyślnego rozwoju socjalistycznego i zaostrej waleki klasowej. Za wszelką cenę musimy chronić wszystkie szczeble władzy przed penetracją wroga. Nasz wymiar sprawiedliwości jest skutecznym orężem i oddał nam ogromne usługi! W walce z wrogiem docieramy do jego ośrodków dyspozycyjnych, poznajemy jego plany i metody. Jedna z nich, szczególnie perfidna, to nakłanianie do ucieczki zagranicę. Dezertersy z okrętu ŻURAW nie stawili się przed sadem PRL, zabrakło im odwagi, skazani zostali zaocznie na karę śmierci. A ci z CIETRZEWIA wywołali skandal międzynarodowy, „Wolna Europa” bębniła na ich temat przez pół roku, prasa emigracyjna będąca na żołdzie podżegaczy wojennych wypisywała o nich same kłamstwa szkalując Polskę Ludową. Kilkanaście statków rybackich przerwało połowy i wyruszyło w pościg, zapobiegło dezercji. Rybacy chcieli nawet staranować i zatopić CIETRZEWIA. Pogoń ta to nie incydent na Morzu Północnym, to próba poderwania prestiżu państwa i ogromna strata finansowa. Za swój niegodny czyn otrzymali karę: pięć, siedem i osiem lat więzienia. To nazbyt łagodna kara. Wnoszę o podwyższenie kary – są precedensy – do poziomu już uprzednio zasądzanych za analogiczne przestępstwa...

Sąd Najwyższy apelacji nie rozpatrzył, postanowił przekazać ją do rozpatrzenia przez zgromadzenie siedmiu sędziów Sądu Najwyższego. Sumienie sędziowskie nie pozwoliło na podwyższenie kary a obecność sadystry Heleny Wolińskiej, specjalistki w sporządzaniu fałszywych i zmyślonych oskarżeń, spariżowała ich inicjatywę.

...Ogromne poruszenie wśród społeczności więziennej. Każdy skazany z dekretu z 31 sierpnia 1944 roku został powiadomiony, że z urzędu została mu zmieniona kwalifikacja przynajmniej. Do tej pory dekret ten omijała każda amnestia. Teraz niektórym złagodzono poważnie karę a nielicznym skazanym w fingowanych procesach darowano wolność. Okazało się, że nie był to wspaniałomyślny gest władzy, lecz perfidny manewr z wyrachowanym podtekstem. W kwietniu 1956 roku ogłoszono dla więźniów politycznych amnestię, która wykluczała tych ze zmienioną kwalifikacją prawną....

Współwięźni – byli komandos z Kresy, podczas spaceru podziękował Pawłowi za pismo procesowe, na które przyszła z sądu pomyślna dla niego odpowiedź.

Znowu zaczęli się zgłaszać „klienci”, ale „kancelaria” nie została reaktywowana. Brakowało czasu i warunków. Podczas spaceru albo przerwy obiadowej Paweł poprawiał napisane już skargi, podania czy inne pisma, ale każdy musiał je potem przepisywać sam lub prosić kolegę... Dzięki szerokim kontaktom poznał Paweł całą gamę ludzkich dramatów. Oto pierwszy z brzegu, perfidna prowokacja... Pan Sałamacha wypędzony z Kresów po 1945 roku, osiedlił się koło Białogardu i podjął pracę jako kolejarz. Na kolei rozpoczął pracę za pierwszej okupacji sowieckiej w Sarnach. Okupację niemiecką przeżył pracując w warsztatach naprawczych wagonów. Pod koniec lat 40. XX w. awansował na dyżurnego ruchu stacji Rabin. Kilka razy zagadał do niego ni to pasażer, ni to podróżny czekający na pociąg. Pewnego dnia rzucił pytanie:

– Panie dyżurny, ciekawy jestem, ile pociągów towarowych i pasażerskich przejeżdża w ciągu doby?..

– Nie powiem panu, bo nie liczę – odpowiedział Sałamacha.

Za jakiś czas pytanie z innej beczki:

– Panie dyżurny, czy podczas wojny brał pan udział w konspiracji?..

– Oczywiście, każdy młody człowiek u nas na Wołyniu należał albo do partyzantki, albo do samoobrony przed ubowcami – powiedział kolejarz.

– Powiem panu, że konspiracja się nie skończyła, ludzie z lasu czekają na III wojnę, która lada moment może wybuchnąć. Jesteśmy gotowi, nasi sprzymierzeńcy muszą mieć rozległą wiedzę o wojsku ruskim i ludowym, o logistyce, o potencjale transportowym – poinformował nieznajomy.

Po kilku spotkaniach nieznajomy jawił się jako „kurier z Londynu od gen. Andersa”. Pozyskał zaufanie i sympatię Sałamachy, poprosił o sporządzanie miesięcznych raportów o przejeżdżających pociągach w stronę Koszalina i Szczecina. Podał adres w Monachium, gdzie ma wysyłać raporty. Próbował wręczyć 50 dolarów. Sałamacha odmówił:

– To co zrobię, to nie dla pieniędzy...

„Kurier” niespeszony powiedział:

– Cenię pańską bezinteresowność, przełożeni także wysoko oceniają pańską szlachetność, ale musi pan przyjąć chociaż 20 dolarów na znaczki pocztowe. Nie chce pan zarabiać na służbie ojczyźnie, ale nie może być pan stratny...

– No dobrze, na znaczki to wezmę....

Trzy miesiące później na peronie zatrzymały się dwa czarne samochody marki Citroën. Przybyłszy, cywile, aresztowali dyżurnego i zawieźli do aresztu UB w Szczecinie. Śledztwo, rozprawa – wszystkie listy wysłane do Monachium i sfałszowane pokwitowanie pobrania od „kuriera” 50 dolarów leżą na stole sędziowskim jako „dowody” przestępstwa. Wyrok: 15 lat z art. 7 mkk, czyli z dekretu z 13 czerwca 1946 roku...

Stefan J. w lipcu 1944 roku, mając 18 lat zakończył działalność konspiracyjną na Lubelszczyźnie i wstąpił do Milicji Obywatelskiej. Przeniesiony do UB jako osoba z cenzusem – absolwent szkoły powszechnej z 1939 roku. Uznany został za osobę wykształconą; jego najwyższy szef Bezpieki Stanisław Radkiewicz skończył tylko 3 klasy powszechniaka. Po krótkotrwałym przeszkoleniu został oficerem kontrwywiadu. Był rok 1950, szef lubelskiego Urzędu Bezpieczeństwa wezwał go na rozmowę.

– Od dzisiaj jesteście kapitanem, pagony porucznika możecie spalić, gratuluję awansu. Ojczyzna ludowa powierza wam odpowiedzialne zadanie: pracowaliście w kontrwywiadzie, znacie teren, reakcja nie kapituluje, jest coraz bardziej zuchwała. Po wykonaniu zadania pojedziecie na Akademię NKWD w Kujbyszewie... Możecie odmaszerować, zameldujcie się u mojego zastępcy.

Zastępca, major NKWD:

– Nu, wzmaga się działalność band zbrojnych popierana przez legalne stronnictwa opozycyjne, dlatego zadanie wasze następujące: pójdziecie do lasu z radiotelegrafistą i zorganizujecie oddział partyzancki podległy V komendzie WIN. Jak zbierzecie 50 chłopów, otrzymacie kolejną instrukcję...

Stefan J. przeżył szok, wrócił do swojej „sublokatorki”, którą zajmował samotnie, wyjął z kabury TT-etkę, zarepetował, przyłożył do skroni. W głowie trzęsienie mózgu. Błyskawiczny bilans życia: 24. urodziny obchodzone przed tygodniem, dwa lata w AK, sześć w Bezpiece. Widzi, jak się wykańcza „bandytów” z AK i WIN zgodnie z „prawem”. Tu nie działa wymiar sprawiedliwości, tu funkcjonuje państwowy kombinat zbrodni. Modli się; biczowanie psychiki przerwało walenie do drzwi. To telegrafista Jurij, sierżant NKWD ze sprzętem. Zawahał się: iść czy strzelić sobie w łeb?!.. Musi jednak iść, jest elementem wszechwładnego kombinatu zbrodni.

Jurij wręczył mu 15-strzałową „belgijkę” – ulubiony pistolet partyzantów Zapory... Przed domem zatrzymał się gazik z „partyzanckim” wyposażeniem. Pojechali do wsi Wytyczno nieopodal Włodawy. Stefan J. napotkanemu przechodniowi powiedział, że jest z WIN-u i organizuje oddział. Pokazał belgijski Browning i radiostację. Może kontaktować się bezpośrednio z Londynem. Nie spodziewał się, że w 6-tym roku istnienia „umiłowanej” władzy ludowej spotka mrowie „reakcjonistów”. W ciągu tygodnia zmobilizował ponad 60 młodych ludzi; nie zdawali sobie sprawy, że padli ofiarą prowokacji. Uzbroić mógł tylko 50-ciu. Radiotelegrafista kontaktował się szyfrem z bezpieką w Lublinie, ale udawał, że rozmawia z Londynem. Na rozkaz UB dokonano napadu na Urząd Gminy, rabując 20 tys. złotych. Maszerowali na Parczew, tam rozbijają więzienie. Nie doszli. W Chmielowie zasadzka KBW i UB. W potyczce zginęło 7 „partyzantów” Stefana J. i 12 ubow-

ców. Stefan J. źle wykonał zadanie, bo ofiarami mieli być tylko „partyzanci”. Po walce aresztowanie. Śledztwo. Rozprawa. Wyrok: kara śmierci, zamieniona na „dożywotkę”. Stefan J. domaga się spotkania z szefem UB w Lublinie. Nic z tego...

Początek roku 1956, na szczytach władzy PRL zamieszanie. Płk Światło po ucieczce na Zachód z rozgłośni Radia Wojna Europa ogłasza światu prawdę o zbrodniach dokonywanych przez funkcjonariuszy UB, NKWD i tzw. wymiar sprawiedliwości. Aresztowania w pionie śledczym resortu bezpieczeństwa bezwzględnych, cynicznych oprawców: Różańskiego i wiceministra Romkowskiego. W Moskwie umiera Bierut; przed wyjazdem na peronie w Warszawie podpisał jeszcze ostatnie wyroki śmierci.

I sekretarzem KC PZPR zostaje Edward Ochab i do niego Stefan J. pisze, że ma ważną, ściśle tajną sprawę, nie może jej przekazać normalną drogą służbową, bo zobowiązał się do przestrzegania tajemnicy, a ujawnienie jej niewłaściwej osobie grozi śmiercią.

Poznany na spacerze więzień karny Z. wraz z żoną i zaprzyjaźnionym majorem lotnictwa zaplanowali ucieczkę samolotem za granicę. Aresztowano ich na lotnisku zanim zdążyli uruchomić silnik. Proces, wyrok po 6 lat dla obojga Z. Druga instancja w trybie rewizyjnym z udziałem Heleny Wolińskiej podwyższyła karę do 10 lat. A co z majorem?.. Nie stanął przed sądem, awansował na podpułkownika...

Przykład wyjątkowo tragicznego pecha; w roku 1953 los zadzwinił w sposób szatański z porucznika Adama Petko. Samolotem JAK-9 udało mu się szczęśliwie przelecieć przestworza PRL, Czechosłowacji, dotrzeć do Austrii. W pobliżu Wiednia dostrzegł lotniska. Wyładował; radość trwała kilka sekund. Pas startowy należał do okupacyjnej Armii Czerwonej. Przekazany władzom PRL; proces, KS, wyrok wykonany...

...Podwórzec więzienny obwarowany wysokim murem podczas pory spacerowej staje się wzorem greckiej agory miejscem spotkań „starych” znajomych lub świeżo przybyłych. Nowa twarz, młody student lubelskiego KUL-u dostał 15 lat w procesie odpryskowym za współudział w morderstwie Stefana Martyki – szczekacza „fali – 49”, która głosem Martyki atakowała zachodnio-amerykańskich imperialistów i faszystów. Zabójców pojmano i skazano na karę śmierci. Było ich czterech, ale to mało jak na

„cause celebre” („głośny proces” – przyp. red.), sprawców trzeba dokooptować, najlepiej spośród studentów KUL-u. Podczas pogrzebu kronika filmowa głosem Andrzeja Łapickiego besztala podżegaczy, sabotażystów i wrogów władzy ludowej... „Jego śmierć jeszcze bardziej zwarła nasze szeregi, wzmogła czujność i naszą nienawiść do imperializmu i bandy reakcyjnych najmitów...”

Utrapieniem więźnia w PRL były rutynowe kipi-sze. Po spacerze więzień wraca celi a tu demolka, sienniki powywracane, gazety rozrzucone, listy, notatki zabrane. Szczególnie dokładnie sprawdzano pomieszczenia zatrudnionych w POM nr 3. Może ktoś wykonał przyrząd do przecięcia krat albo do wykucia wyłomu w ścianie?..

Tego ranka oddziałowy powiadomił Pawła, że do pracy nie idzie. Po śniadaniu (czarna kawa + czarny suchy chleb) trzask zasuwy, wyjście na korytarz. Oddziałowy zaprowadził go i kilkunastu innych do magazynu depozytowego po odbiór rzeczy osobistych. Grupę odzianych w sorty mundurowo-więzienne zaprowadzono do kibitki. Po opuszczeniu bramy zakładu karnego kibitka zatrzymała się w szczerym polu na boczniczy oddalonej od stacji kolejowej w Goleniowie. Lokalizacja gwarantowała pełną dyskrecję i nie krępowała konwojentom użycia broni maszynowej w przypadku takiej potrzeby. Lokalizacja pozwalała także czerwonoarmistom na korzystanie z tej nie rzucającej się oczy rampy...

Przejście do kibitki kolejowej odbyło się przez szpaler żołnierzy KBW uzbrojonych w „kałasze”. Wagon, czyli salonka specjalnego przeznaczenia, została wynaleziona przez Piotra Stołypina – carskiego ministra pod koniec XIX wieku. Po kolejnych modernizacjach wagon podzielono na 4-osobowe klatki zamykane na cztery spusty. Każdy „pasażer” otrzymał na podróż suchy prowiant: 20 dkg solonej słoniny i bochenek razowego chleba. Stacja docelowa: Strzelce Opolskie, więzienie karne. W 3-osobowej celi Paweł przedstawiając

się współlokatorom powiedział, że jest oficerem Polskiej Marynarki Handlowej ze Szczecina. Jeden z nich, Ludwik Świerkiewicz, mieszkał w Szczecinie, pracował w „Kurierze Szczecińskim”. Mają wspólnych znajomych. Jan Papuga – bosman PMH podczas wojny służył na statkach w konwojach. Napisał interesującą marynistyczną opowieść p.t. „Szczyry morskie”. Bardzo aktywny w środowisku artystycznym i marynarskim Szczecina. Wspólnie ze Świerkiewiczem planowali zbudować nad Zalewem Szczecińskim ośrodek pracy twórczej dla literatów. Zamierzenie spłonęło na panewce, gdyż Ludwik Świerkiewicz został w sierpniu 1953 roku aresztowany i rozpoznany jako Ludwik Kalkstein Stoliński. Oficer wywiadu AK. Po aresztowaniu w kwietniu 1942 roku przez Gestapo, przeszedł na stronę okupanta; do współpracy zwerbował swoją przyszłą żonę Blankę Kaczorowską i szwagra Eugeniusza Świerczewskiego. Trójka zdrajców wydała w ręce Niemców ponad 500 kadrowych AK-owców oraz komendanta gen. Stefana Roweckiego. Podziemie skazało ich na karę śmierci, ale wyrok wykonano tylko na Świerczewskim... Ludwik Kalkstein skazany został w PRL na dożywocie, ale wyrok złagodzono do 12 lat. Blankę Kaczorowską ostatecznie Sąd Wojewódzki dla miasta Warszawy skazał 12 czerwca 1953 roku



Lugrotrawler RYBITWA, Morze Północne, lata 50. XX w.

na 10 lat więzienia. Uzasadnienie wyroku – znamienny fragment – cytuję ku pamięci potomnych:

„...Zdaniem sądu oskarżona Blanka Kaczorowska jest ofiarą zbrodniczej działalności kierownictwa AK, które – jak wiemy obecnie – współpracowało z Gestapo, było na usługach Gestapo i wraz z Gestapo walczyło przeciwko większej części Narodu Polskiego w jego walce o narodowe i społeczne wyzwolenie. Wiadomo, że AK wydało w ręce Gestapo najlepszych patriotów polskich a ludzie tego rodzaju co Blanka Kaczorowska byli przez nich wykorzystywani do swoich niecznych celów, czyniąc z niej zdrajcę Narodu Polskiego. Jest ona jeszcze jedną ofiarą kierownictwa AK. Początkowo z całym oddaniem, w jej subiektywnym przekonaniu, walczy dla dobra wyzwolenia Polski; stacza się następnie do tego, co dzisiaj wiadomo wszystkim Polakom, iż AK służyło Gestapo, a więc do roli pomocnika wroga Narodu Polskiego; stacza się do pozycji zdrajcy własnego narodu tak, jak uczyniło to kierownictwo AK...”

Władza ludowa rozgrzeszyła za współpracę z Gestapo a ukarała za przynależność do Armii Krajowej. Krewni Ludwika Kalksteina zamieszkali w kraju i za granicą napisali zbiorowe oświadczenie, że przeklinają go i wyrzekają się jako krewnego na zawsze.

...Pobyt w celi z Kalksteinem po tygodniu zakończony; Pawła przewieziono do Obozu Pracy Więziennej w Strzelcach Opolskich. Kamieniołomy ogromnych rozmiarów. Wydobywano wapień, z najgrubszych brył wytapiano na miejscu w piecach

wapno budowlane, mniejsze kawałki – nazywane „azotem” – wysyłano do cukrowni, zaś „miał” – zwany „topikiem” – wywożono do hut. Obóz ogrodzony murem i zasiekami z drutu kolczastego. Co kilkadziesiąt metrów wieża strażnicza. Trzy baraki poniemieckie standardowej budowy czasu wojny. Stołówka, świetlica, kuchnia, magazyn gospodarczy, pralnia, izba chorych etc. mieściły się w innych zabudowaniach. Na środku rozległy plac apelowy. Pracownicy specjálni, czyli więźniowie, pracowali na trzy zmiany. Pawła przydzielono do bloku „A” brygady pracującej stale w godz. 06.00-14.00; brygada bloku „B” pracowała w godz. 14.00-22.00, zaś brygada bloku „C” w godz. 22.00-06.00. Dwie ostatnie brygady co tydzień zmieniały cykl zatrudnienia.

Pracownicy specjálni otrzymywali 50% zarobkowej pensji. Mogli pieniądze zostawiać na koncie osobistym, wydawać w miejscowej kantynie na tzw. „wypiskę”. Pozostałe 50% zatrzymywano na opłatę za wikt i opierunek, opiekę, strażników i inne koszty. Wyżywienie było bardzo dobre i urozmaicone. Może nawet lepsze niż w niejednym sanatorium dla klasy robotniczej.

Każda niedziela wolna, w granicach obozu – swoboda poruszania się. Do dyspozycji łaźnia, zakład fryzjerski, koncerty w wykonaniu obozowej orkiestry. Kierował nią Józef Quick – multiinstrumentalista, absolwent paryskiego konserwatorium. Po koncercie Paweł zawarł znajomość z osobą po przejściach wręcz niewiarygodnych...



Lugrotrawler JEMIOŁUCHA
na Morzu Północnym

11 lutego 1940 roku wczesnym rankiem siedział człowiek do pracy w rodzinnym Włodzimierzu Wołyńskim. Postanowił na skrót, przez stację kolejową. Był młynarzem. W pewnym momencie na torach zatrzymał go czerwonoarmista. Przyłożył „win-tówkę” z nasadzonym sztychem do pleców i rozkazał:

– W period!!!

Zaprowadził do długiego pociągu na bocznicę; rozsunął drzwi wagonu bydłowego i kazał wejść. Wewnątrz ciasna masa wystraszonych ludzi. Jedni ciepło ubrani, inni lekko, młoda kobieta w letniej gimnazjalnej bluzeczce. Płacz dzieci, zimno przejmujące, wszyscy głodni – czarna rozpacz. Zrozumienie dramatycznej sytuacji nie dotarło jeszcze do świadomości. Kilka godzin temu zostali bezceremonialnie wyrwani ze snu. NKWD-ziści dali 15 minut na opuszczenie mieszkania... Młynarz chce wiedzieć, dlaczego został zatrzymany? Kierownik młyna nic nie wie, rodzina też nie powiadomiona. Czerwonoarmista zasuwaający odrzwia wagonu odpowiedział:

– Neżurysia, za dnia wszystko się wyjaśni...

O świcie eszelon ruszył na wschód razem z młynarzem, który chciał skrócić drogę do pracy. Miał pecha, stał się zesłańcem tylko dlatego, że naczelnikowi transportu do pełnego stanu brakowało jednego „wroga ludu”. Kazał żołnierzowi złapać kogoś, żeby rachunek się zgadzał...

Podróż trwa już ponad dwa tygodnie; zimno, mroź, nie dają nawet gorącej wody. Ludzie umierają, zwłoki obsługa usuwa z wagonu i pozostawia w rowie, na peronie, gdzie popadnie; eszelon jedzie dalej... Tajga, wyręb lasu. W sierpniu 1941 roku po podpisaniu układu Sikorski-Majski dotarł młynarz do Buzułuku, gdzie gen. Anders organizował Polskie Wojsko... II Korpus, Iran, Palestyna, Monte Cassino, Bolonia i koniec wojny. Ewakuacja do Wielkiej Brytanii, przekształcenie Armii Andersa w Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia. W 1948 roku wrócił do Polski Ludowej. Swoją gehennę, poczynając od bandyckiego kidnapingu, opowiadał znajomym i osobom przypadkowym. Aresztowany i skazany na 10 lat za szkalowanie Związku Radzieckiego i wysługiwanie się podlegaczowi wojennemu baronowi Andersowi...

– Widzi pan tego tam, co gra na trąbce? – zagadnął eks-młynarz i zesłańiec. – To oficer ze sprawy gen. Tatara, rodem z Kowla...

Po koncercie Paweł nawiązał znajomość z trębaczem p. Władysławem Romanem. Byli krajanami, on major WP, artylerzysta, podwładny generała Tatara od czasów przedwojennych. W konspiracji od 1939 roku do 1944, „oficer do specjalnych poruczeń” Komendy Głównej AK. Ujawnił się i wstąpił do Ludowego Wojska. Służył w Biurze Historycznym, któremu szefował gen. Jerzy Kirchmayer. W listopadzie 1949 roku mjr Władysław Roman został aresztowany a 31 lipca 1951 roku rozpoczął się proces pokazowy grupy przestępczej gen. Stanisława Tatara, liczącej 4 generałów, 3 pułkowników i dwóch majorów.

25 kwietnia 1956 roku major Władysław Roman został powiadomiony przez Naczelną Prokuraturę Wojskową o uchyleniu wyroku w jego sprawie i współoskarżonych, w związku z ujawnieniem poważnych wypaczeń organów śledczych. Władze prokuratorskie zbadały całość sprawy i ustaliły, że dowody, na podstawie których skazano te osoby, uzyskano w wyniku stosowania niedopuszczalnych metod śledztwa...

Głównym oskarżonym był gen. Stanisław Tatar, podczas wojny zastępca Komendanta Głównego AK. Już w 1943 roku nawoływał polskie podziemie do zawierania przyjaznych stosunków z Armią Czerwoną. Anglosasi nie są Polską zainteresowani – słusznie uważał – dlatego należy zaprzyjaźnić się z Sowietami, których areną operacyjną będzie front wschodni. Po Konferencji Jałtańskiej 22 lutego 1945 roku ton wypowiedzi premiera Winstona Churchilla zabrzmiał szczególnie złowrogo dla Polaków:

„...Nie gwarantowaliśmy nigdy żadnej określonej linii granicznej dla Polski. Brytyjski pogląd wyrażony w 1919 roku zawarty jest w tzw. «Linii Curzona» jako granicy wschodniej i pozostał nie zmienny. Żądanie Rosji zabezpieczenia swojej granicy zachodniej nie wykracza poza obręb tego co rozsądne i sprawiedliwe...”.

20 kwietnia 1944 roku gen. Tatar odleciał samolotem do Londynu; wysłała go tam KG AK celem przekazania aliantom rzetelnej informacji o sytuacji w kraju, o możliwościach i potrzebach konspiracji. Otrzymał nominację na zastępcę Szefa Sztabu Na-

czelnego Wodza d/s Krajowych. Spotyka się z Churchilllem, deklaruje, że jest zwolennikiem kompromisu Polski z Sowietami. Towarzysząc premierowi Stanisławowi Mikołajczykowi składa wizytę Prezydentowi USA Rooseveltowi. Zapewnia go, że od 1943 roku nakłania polskie podziemie do wspólnej z Sowietami walki przeciw Niemcom. Roosevelt wiadomość z pierwszej ręki przyjął z zadowoleniem i jakby z wdzięczności kazał przekazać Rządowi RP w Londynie sumę 10 mln dolarów: z tego 1 ½ mln dla ludności cywilnej a 8 ½ mln na potrzeby armii podziemnej...

Minister Obrony Rządu RP na Uchodźstwie gen. Marian Kukiel mianował gen. St. Tatara, płk M. Utnika i płk St. Nowickiego powiernikami zasobów Funduszu Obrony Narodowej zgromadzonego ze składek dobrowolnych społeczeństwa w latach 1936-39.

Trzej oficerowie najwyższej rangi obdarzeni bezgranicznym kredytem zaufania sprzeniewierzyli się, nawiązali poufną współpracę z ambasadą komunistyczną. W 1947 roku zmarł gen. Lucjan Żeligowski, którego ostatnią wolą był pochówek w Warszawie. Organizacją pogrzebu w Londynie zajmował się attache wojskowy ambasady Polski Ludowej płk Maksymilian Chojecki a w Warszawie gen. Wacław Komar. Zamiast katafalku trumnę postawiono na 10 żelaznych skrzyniach po amunicji, zawierających 350 kg złota. Żołnierze brytyjscy z kompanii honorowej dziwili się, że skrzynki są takie ciężkie, gdy ustawiali je w samolocie. Wy tłumaczono im, że dla zachowania stabilizacji podczas lotu zostały specjalnie obciążone. Po oddaniu salwy honorowej 19 czerwca 1947 roku samolot wystartował. Gdy wylądował na Okęciu, skrzynki odjechały pod tajemniczą eskortą w siną dal. Do dzisiaj niewiadomo, gdzie się podziało 350 kg złota oraz 6,5 mln dolarów?..

W roku 1949 gen. St. Tatar, płk dypl. Marian Utnik i płk dypl. St. Nowicki wrócili na stałe do kraju, pozostawiając po sobie pogardę i niesławę w środowisku niepodległościowym na emigracji. Ludowa ojczyzna okazała im „socjalistyczną wdzięczność” w dniu 17 sierpnia 1951 roku. Stanęli przed sądem po trwającym dwa lata śledztwie; zarzut: defraudacja dolarów, kradzież złota ze skarbu FON i próba przekazania tych depozytów na działalność szpiegowską... Aferę rozkręcił płk Anton Skulba-

szewskij – Polak „bolszevicus causa”, w owym czasie trybik w maszynie państwowego terroru. Trzymał rękę na pulsie funkcjonowania V Komendy WIN, nadzorując intensywną i wnikliwą penetrację struktur krajowych i delegatury w Londynie. Kontrwywiad angielski od początku miał sceptyczny stosunek do powojennej konspiracji w Polsce, swoje wspieranie ograniczył do przekazywania sprzętu technicznego w postaci aparatury nadawczo-odbiorczej. Natomiast Amerykanie nie tylko finansowali działalność, ale pozwolili utworzyć w Berlinie fałszywą filię delegatury WIN, która pod pełną kontrolą NKWD szkoliła szpiegów przesyłanych z Polski, a po przeszkoleniu wysyłanych z powrotem na prawy brzeg Odry i natychmiast wyłapywanych przez WOP-istów.

Amerykanie nie orientowali się, że V Komenda WIN to w rzeczywistości filia NKWD. Jakie było ich zaskoczenie i zdziwienie, gdy w grudniu 1952 roku szefostwo V komendy WIN powiadomiło władze PRL, że postanowiło ujawnić się i przekazać Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego posiadaną broń, radiostacje, szyfry oraz zasoby finansowe w dolarach USA. Zarząd V Komendy uznał działalność swoją za wrogą i destrukcyjną dla państwa. Przez 4 lata CIA była wodzona za nos, włożyła kilkadziesiąt milionów dolarów na fikcyjną działalność konspiracyjną. Prowokacja NKWD z udziałem MBP okazała się majstersztykiem improwizacji na skalę światową. Władza ludowa wspaniałomyślnie puściła w niepamięć przestępstwa dokonane przez V Komendę WIN. Tylko emisariuszowi kpt. Adamowi Boryczce – „cichociemnemu” wymierzyła karę śmierci zamienioną na dożywocie.

...Paweł po krótkiej adaptacji wyszedł do pracy. Brygadzysta, także pracownik specjalny – były funkcjonariusz UB przydzielił go do ekipy obsługującej na podeście sztolni wagoniki powracające z urobkiem. Skalnik po załadowaniu wagonika zawieszał na nim swoją markę. Paweł zdejmował ją i urobek wpisywał na konto danego skalnika. Z-ca naczelnika por. Miłoś nie zaakceptował „nominacji”. Rozpoczął karierę skalnika.

Dzienna norma 20 wózków urobku, na który składały się wapień i hałda. Narzędzia pracy: kilof, szufla, gable (*szerokie widły z długimi zębami zakończonymi kulkami* – przyp. red.). Codziennie o godz.

11.00 odstrzał skały. Na dźwięk syren wszyscy przerywali pracę i chowali się do bunkrów wyglądających jak czołgi. Po każdym odstrzale w powietrzu śmigały kamienie i uderzały w stalową powłokę bunkrów... W połowie drogi na sztolni była kuźnia. Paweł wstąpił do niej i własnoręcznie z dwóch gabli zrobił jedne dubeltowe. Zwiększył wydajność ładowania topiku i hałdy. Brygadzysta – pracownik wolnościowy – p. Burek zobaczył, że Paweł doskonale sobie radzi w poczynaniach ślusarsko-kowalskich i powierzył mu funkcję kowala. Naprawiał uszkodzone wózki, które niedawno jeszcze produkował w Goleniowie. Rozklepywał końcówki szyn do rozjazdów itp. Pewnego razu ciąg wózków ciągniony liną stalową nagle się zerwał – pękła lina – i z ogromną prędkością zjechał po sztolni na dno odkrywki-wyrobiska. Na szczęście nikt nie został poszkodowany... Skutek katastrofy: powywracane wózki, pogiete koleby, zdemolowany rozjazd. Grupa podenerwowanych osób: brygadzysta Burek, kilku strażników, dyrektor kamieniołomu. Bezpieka ustali: albo sabotaż, albo zmęczenie materiału... Nowa lina może być dostarczona nie prędzej niż za tydzień; oznacza to przestój. Paweł mówi do brygadzysty:

– Sprawdziłem linę, jest w dobrym stanie. Mogę zapleść oko.

– Kaj, przecież nie mamy zacisków?..

– Nie potrzebne, „zaszplajsumę”.

– Nie wierzę, aby to mogło być bezpieczne...

– Tak czy owak trzeba czekać na nową, za godzinę ta będzie gotowa.

Paweł podciągnął końcówkę liny do kuźni, z pręta stalowego odkuł marspikiel (szpikulec do rozpychania pokrętek stalowych), odmierzył 3 m liny, wkręcił ją w imadła i za 30 minut oko gotowe. Wózki można ciągnąć do góry; przeprowadzono próbę. Brygadzysta nie był przekonany, że lina spełni swoje zadanie. Wezwany inżynier-mechanik z dyrekcji Śląskiego Kombinatoru Wapiennego przybył specjalnie, żeby ocenić bezpieczeństwo liny. Obejrzał splot, pokiwał głową, uśmiechnął się z aprobatą:

– Pierona, dobra robota, w wojnę służyłem w Krigsmarine, wszystkie liny, cumy na okręcie w ten sposób łączono. Kto tu tak potrafi?.. Burek wskazał na Pawła.

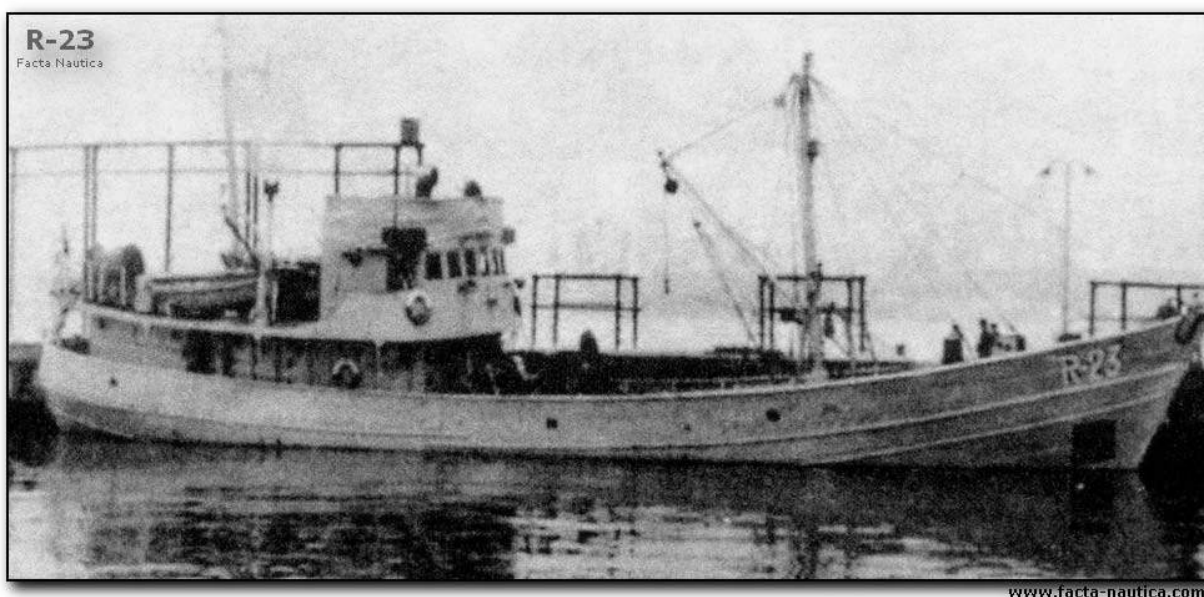
– Pan chyba marynarz?

– Zgadza się...

Opinia pozytywna, lina pociągnęła wózki po sztolni w górę...

Po kuźni kręci się pracownik specjalny – wiertacz wierci otwory strzałowym. Prosi Pawła o wykonanie szczypiec, które ułatwią mu pracę. Paweł nie zastanawiając się wiele spełnił życzenie wiertacza. Za kilka dni wizyta Miłonia w kuźni:

– Czy wiecie, że szczypce mogą posłużyć do przecinania zasieków otaczających kamieniołom?..



R-23, okręt ratowniczy Marynarki Wojennej, zbudowany na zmodyfikowanym kadłubie lugrotrawlera typu B-17

Mała prowokacja, koniec kariery kowala, powrót na wyrobisko skalnika...

Pracując na zmianie „A” od godz. 06.00-14.00 korzystał ze światła dziennego w drodze do i z pracy. Zbierał różne zioła a w szczególności liście mniszka lekarskiego nazywanego potocznie mleczem. Przyrządzał surówki.

Wzdłuż baraku środkiem przebiegał korytarz, po obu jego stronach 10-osobowe izby. W jednej z nich więźniowie się dogadali i przystąpili do drążenia podkopu. Wyliczyli, że wylot tunelu wypadnie na pionowej ścianie sztolni. W ciemną noc dojdą do drutów i zasieków ogradzających obóz i kamieniołomy. Kopali tunel, urobek wynosili w kieszeniach i niepostrzeżenie wysypywali między barakami. Podkop gotowy, noc ciemna. Chłopaki po fingowanych procesach i wieloletnich wyrokach czułą się ku wolności. Wydostali się na sztolnię, zrobili może 10 kroków, gdy usłyszeli: „Stój! Ręce do góry!” Nie ulega wątpliwości, że kapuś był wśród nich... Ale pełnią szczęście los obdarzył innego więźnia, który po tygodniowym pobycie w obozie obmyślił sposób ucieczki. Udało się, na wolność przedarł się niepostrzeżenie przez zasieki ogradzające kamieniołom.

...W marcu 1956 roku niczym tsunami na oceanie potężna fala nadziei zakołysała archipelagiem więzień i obozów pracy więziennej. Zmiana „kwalifikacji prawnej czynu” tysiącom więźniów spowodowała wzmożoną rotację, wynikiem której spora grupa tychże przybyła z innych ośrodków odosobnienia do Strzelec. Opowiadali o niebywałej rozszadzie personelu nadzorczego. Jakaś zakąła z Wronek jest w tej chwili oddziałowym w Krakowie a sadysta z Rawicza służy w Goleniowie itd. Na tę pozorną zmianę systemu penitencjarnego nakładają się wydarzenia w Poznaniu. W bliskim sąsiedztwie zakładów karnych pojawiły się posterunki z żołnierzami KBW. Wstrzymano spacer, pracę w kamieniołomach, w goleniowskim POM-ie. Stan pogotowia i wzmożonej ostrożności trwał 4-5 dni. W masmediach epidemia wiadomości o „błędach i wypaczeniach”, o wszczęciu dochodzeń w stosunku do funkcjonariuszy UB stosujących niedozwolone metody śledztwa, o zwolnieniu z więzienia prymasa Stefana Wyszyńskiego, Władysława Gomułka, Mariana Spychalskiego. 21 października 1956 roku

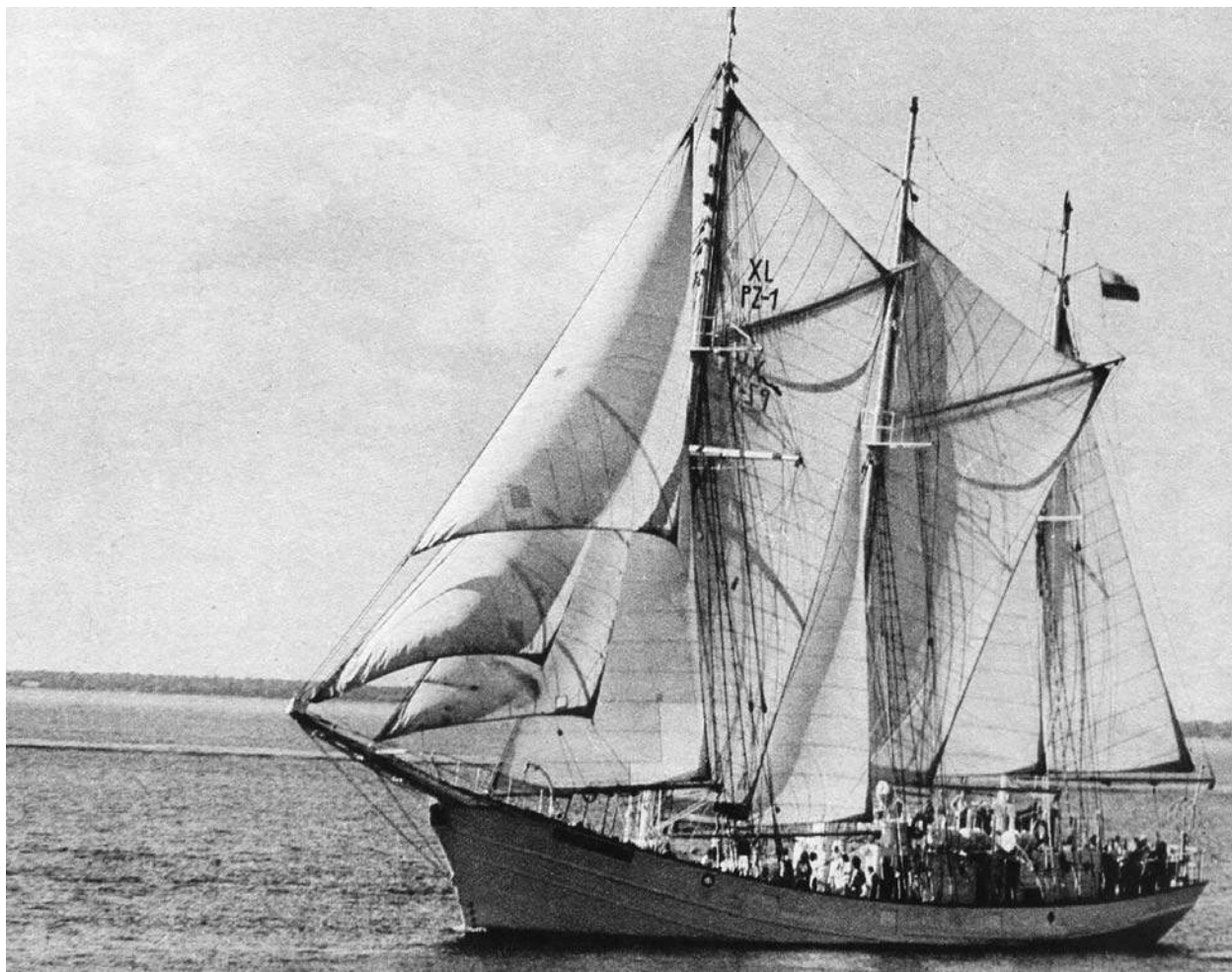
Gomułka zostaje I Sekretarzem KC PZPR. Wygłoszone na VIII Plenum przemówienie nacechowane było ostrym potępieniem stalinizmu, niekorzystnym dla PRL bilansem handlu ze Związkiem Radzieckim. Gdy w listopadzie wyjeżdżał do Moskwy na rozmowy z Nikitą Chruszczowem, ludzie stojący na peronach dworców kolejowych skandowali: „Wiesław, zawracaj!”... Gomułka nie posłuchał, wrócił cały i powoli zaczęło się przykręcanie śruby na nowo...

Na Węgrzech stanowisko premiera obejmuje 24 listopada 1956 roku Imre Nagy. Chruszczow stawiając na niego liczył, że jako długoletni ideowy komunista, uczestnik wojny domowej w Rosji i plutonu egzekucyjnego czekistów Jankiela Jurkowskiego, który w nocy z 16/17 lipca 1918 roku dokonał w willi Ipatiewa w Jekatierinburgu masakry cara Mikołaja II i jego rodziny – będzie posłusznym wykonawcą zmodyfikowanych dyrektyw NKWD i KC KPZR. Tymczasem Nagy zawiódł na całej linii przyłączając się do węgierskiego powstania. 1 listopada wypowiedział członkostwo Układu Warszawskiego i zaapelował do ONZ o zatwierdzenie neutralności Węgier. Tłumieniem powstania węgierskiego kierował ambasador sowiecki Juryj Andropow, były komisarz polityczny na froncie fińskim w 1939 roku (wojna z Finlandią). Po stłumieniu zrywu węgierskiego został szefem KGB w stopniu generała armii. Jako sekretarz generalny KC KPZR był prekursorem reformy łagodnego przejścia komunizmu totalitarnego w komunizm mafijny. Operacja nazwana „transformacją” przyjęła się we wszystkich krajach obozu socjalistycznego.

...Na dziedzińcu obozu jeden z więźniów daje osobliwy popis muzykowania. Ustawił 10 butelek napełnionych wodą, ale nie do pełna i uderzając w nie kijkiem wyzwał różne melodie: arie operowe, ludowe przyśpiewki, pieśni wojskowe. Sam śpiewał i zachęcał publiczność do współudziału. Podchodzi do Pawła jeden z więźniów i w imieniu jakiejś nieokreślonej grupy zaprasza do objęcia przywództwa buntu.

– Ma pan doświadczenie w tej materii...

– Szanowny kolego, muszę pana rozczarować, propozycji nie przyjmuję i w razie jakiegoś rokoszu nie przyłączę się...



ZAWISZA CZARNY. Podczas drugiej przebudowy w latach 1966-67 przedłużono kadłub i zmieniono takielunek. W trakcie tej przebudowy silnik napędowy został wymieniony na używany 6-cylindrowy silnik firmy DWK (Deutsche Werke Kiel, obecnie MaK – Maschinenfabriek Krupp) typu 6Mu421 o mocy 330 KM

– Jestem zaskoczony i mocno rozczarowany, osoby o predyspozycjach przywódczych nie kapitulują a w rozgardiaszu, jaki się wytworzył, zwycięstwo leży na ulicy.

– To niech pan je podniesie...

Paweł nie analizował sensu czy absurdu propozycji, która mogła być ordynarną prowokacją. Ale zaraz? Może to próba spełnienia. „przepowiedni” śledczego, napomknięta dzień przed rozprawą?

Jakkolwiek z za krat wiatr wolności przywiewa różne, nawet sensacyjne wieści, to codzienność więzienna toczyła się według ustalonego schematu. Fedrowanie skały wapiennej przebiegło bez zakłóceń. Ale czasami monotonna szarość bywa rozjaśniana zabawnym epizodem. Wśród zgłoszonych do lekarza znalazł się jeden skręcający się z bólu, obiema rękami trzymał się za krocze. Diagnoza oddziałowego:

– Jak bolą jaja, to sprawa do ginekologa.

Suka więzienna zawiozła pacjentów do przychodni przy szpitalu powiatowym w Strzelcach Opolskich. Chorych strażnik przyprowadzić pod gabinet ginekologiczny. Na korytarzu czekały pacjentki. Pielęgniarka widzi dziesięciu chłopca, więc pyta zdziwiona:

– Gdzie więźniarka? Zakład karny zgłosił jedną wizytę, a pan nie wie, czemu przyprowadził grupę mężczyzn?!

– Ten tam, widzi go pani? Jaja mu spuchły jak arbuzy, to co, do dentysty miałem, go zaprowadzić?.. – odpowiedział strażnik.

Pod koniec października 1956 roku powstanie węgierskie zostało stłumione przez Armię Czerwoną i kolaborantów pod wodzą Janosa Kadara. Imre Nagy aresztowany i po rozprawie sądowej stracony.

Nastał rok 1957. W styczniu Paweł otrzymał list od Krzysztofa. W części zakodowanej poinformował, że 10 stycznia wyszedł na wolność, po krótkim odpoczynku wyruszy na wybrzeże. W sierpniu otrzymał etat oficera nawigacyjnego w Kapitanacie Portu Szczecin. Albert też już na wolności, ale od morza się odwrócił, życie ułożył sobie w Wysokiej Mazowieckiej. Uruchomił warsztat mechaniczny, ukończył Politechnikę Warszawską i cieszył się opinią doskonałego inżyniera-mechanika. Paweł ciągle jeszcze drażył skałę.

30 września 1957 brygadzysta Burek wręczył mu kopertą od inżyniera, który swego czasu zaopiniował pozytywnie złączenie zerwanej liny stalowej. W kopercie wycinek z gazety niemieckiej: „...Dnia 21 września 1957 r. zatonął podczas huraganu na Atlantyku w pobliżu Wysp Azorskich czteromasztowy bark PAMIR, statek szkolny Szkoły Morskiej w Bremen. W akcji ratowniczej uczestniczyło 78 statków. Uratowano 6 rozbitków spośród 80-osobowej załogi”. Ten okazały żaglowiec zbudowała w 1905 roku stocznia w Hamburgu. Parametry; długość – 94 m, szerokość – 14 m, pojemność – 3030 BRT. Los tak dziwnie zrządził, że w roku 1975 Paweł pracował na statku bandery RFN CAROLA REITH, którym dowodził kapitan Heinrich Koopmann, jeden z 6-ciu uratowanych; na PAMIRZE był kadetem.

3 października 1957 roku na polecenie Gomułki przestaje się ukazywać tygodnik „PO PROSTU”. Ulega likwidacji „jako czołowe pismo popaździernikowych rewizjonistów”. Decyzja Biura Politycznego wywołana falą zamieszek studenckich. Milicja protestujących potraktowała brutalnie. Aresztowano kilkaset osób. Część zespołu redakcyjnego wyrzucono z partii a część pozbawiono pracy w zawodzie dziennikarza. W tej skandalicznej atmosferze Paweł opuszcza kamieniołom, zwolniony warunkowo od odbywania reszty kary. Udaje się do Bytomia w towarzystwie bliskiego, Mieczysława Kotarskiego, brata matki, starszego od niego o niecałe 3 lata. Niezręcznie byłoby nazywać rówieśnika „wujem”, więc mówili do siebie po imieniu. Babcia Pawła – Emilia zwracała się do swojego brata Hipolita, starszego o 21 lat „panie bracie”. Nigdy nie mówiła: Hipek czy Hipolicie.

...Pierwszy dzień wolności i błąd płomyk paździenikowej nadziei zdmuchnął Gomułka, któremu przed rokiem społeczeństwo polskie zawierzyło. Tygodnik „PO PROSTU” najśmielej rozpoczął odsła-

niać ciemne strony PRL. Drugi dzień wolności – 4 października, Związek Sowiecki inaugurując erę podboju Kosmosu wystrzelił pierwszego w dziejach sztucznego satelitę Ziemi. Jego średnica 58 cm, waga 83,5 kg, szybkość na orbicie 24,5 tys. km/godz. Ziemię okrążył w ciągu 95 minut. Paweł tego dnia musiał zdobyć się na wysiłek samodzielnego organizowania swojego życia w warunkach wolnościowych. Przez blisko 3 lata wszelka inicjatywa i przedsiębiorczość były tłamszone... Musi pozbyć się uwierającego gorsetu i wszystko poukładać na nowo...

Porusza się jak we mgle; żeby załatwić cokolwiek w jakimś urzędzie, trzeba okazać dowód osobisty. Do chwili aresztowania oprócz książeczki żeglarskiej – innego dokumentu identyfikacyjnego nie posiadał. Złożył kiedyś papiery wymagane na dowód i na tym się skończyło. Urząd Miejski w Bytomiu wydał warunkowo „tymczasowe świadectwo tożsamości” ważne 12 miesięcy. Mógł się rozglądać za pracą. Szansa była tylko jedna: górnictwo. Posiadał kwalifikacje skalnika, w kopalni węgla kamiennego ROZ-BARK powierzono mu „stanowisko” cieśli górniczego. Praca polegała na naprawie rozjazdów, układaniu torowisk w chodnikach na różnych poziomach. Pracował nieraz pół kilometra pod ziemią a czasem półtora! Co za bajeczne krajobrazy na od lat nieeksploatowanych przodkach. Podziemne potoki, małe jeziora, woda spływająca z łoskotem po filarach jak w krainie wodospadów...

Po wyjeździe na powierzchnię człowiek wchodzi do szatni, jest umorusany, idzie do łazienki, która mogła pomieścić kilkaset osób jednocześnie. Własnych pleców nikt nie był w stanie sam sobie umyć; utrwalił się zwyczaj, że myjąc komuś plecy używał swojego mydła a ten ktoś swoje plecy mył także swoim mydłem. Paweł złożył ofertę sąsiadowi drobnej postury spod prysznicy obok, ten ją odrzucił:

– ...Masz pieronie za wielgie plecy, zetrę za dużo mydła...

Paweł niespeszony nawiązał łaźniebną kooperację z właścicielem tym razem „wielgich pleców”...

Sztygarem d/s logistyki podziemnej był doświadczony górnik p. Kostyra. Osoba o przymiotach wzorowego kapitana statku. Na jego głowie było przygotowanie przodków do fedrowania, obudowa chodników, przewóz ludzi i urobku wózkami „made in Goleniów”, obsługa szybów itd. Doskonały organizator...

Kilka tygodni musiało minąć zanim udało się posklejać psychikę połamaną więziennym doświadczeniem. Pomogła Pawłowi rodzina: kuzyn Mieczysław, jego żona Aldona i jej wujostwo państwo Przybyłowie – wysiedleńcy z Borysławia. Po 7 miesiącach przebywania wśród życzliwych ludzi i pełnym zaadaptowaniu się do egzystencji w warunkach wolnościowych, nadszedł list od Krzysztofa z informacją, że w Oddziale Oznakowania Nawigacyjnego (OON) w Szczecinie potrzebują inspektora hydrografii. Do niedawna funkcję pełnił kpt. Ż.W. Antoni hrabia Ledóchowski – długoletni profesor astronawigacji w Szkole Morskiej w Tczewie, Gdyni i Szczecinie do 1953 roku. Jego następcą został kpt. Ż.W. książę Puzyna. Obaj arystokraci nie cieszyli się sympatią władzy ludowej, która pozbawiła ich „prawa pływania”. Przygarnął obu pod swoje opiekuńcze skrzydła inż. Zbigniew Poniecki, kierownik OON. Po październiku 1956 roku ministrem żeglugi został prof. Stanisław Darski – shippingowiec światowego formatu; flota handlowa weszła na drogę dynamicznego rozwoju. Statków zaczęło przybywać w PŻM-Szczecin, PLO-Gdynia. Obaj arystokraci wypłynęli na morskie szlaki a vacat w OON wypełnił Paweł w czerwcu 1958 roku. Zamieszkał chwilowo u Krzysztofa; przyjaciel dysponował w tym czasie „wolną chatą”, bo żonę odwiózł do szpitala na porodówkę. Wróciła z małą Małgosią w beciku. Paweł wynajął pokój sublokatorski w willi dr Stanisława Telegi – wybitnego znawcy literatury marynistycznej.

Rola inspektora hydrografii w oddziale szczecińskim polegała na zbieraniu materiałów do opracowania mapy Zalewu Szczecińskiego, portów przyległych, zaś akweny Bałtyku znajdowały się w gestii

OON Gdyni i Świnoujścia. Przez cały rok, wyłączając okresy zalodzenia, prowadzono pomiary głębokości portu szczecińskiego i toru wodnego Świnoujście-Szczecin. W tym czasie pogłębiarki nieustannie pracowały. Nie nadążały z drażnieniem łóżyska, bo ruch wody pobudzony pogłębianym korytem ściągał muł z pobliskich płycizn i mielizn. Zamysł z punktu widzenia ekonomii pozbawiony sensu, ale propagandowa wymowa miała świadczyć, że dzięki socjalistycznej gospodarce Szczecin przyjmuje większe statki i stał się lepszym portem niż za czasów niemieckich...

Pomiary hydrograficzne znalazły się w polu zainteresowania prof. Jana Wereszczyńskiego z katedry geodezji Politechniki Łódzkiej. Dokonał on analizy map morskich wybrzeża polskiego w aspekcie stosowanych urządzeń nawigacyjnych aktualnie i w przeszłości. Zaskakujące, że w Łodzi dalekiej od morskiego brzegu, na politechnice o tradycji kształcenia specjalistów włókiennictwa, chemii, elektryków – rozwinęła się kartografia morska. Jak do tego doszło? Jan Wereszczyński, młody oficer Marynarki Wojennej, rozpoczął karierę zawodową w Biurze Kartografii w Gdyni. W październiku 1939 roku skutkiem kapitulacji Helu trafił do oflagu w Lubece. Okres niewoli przeżył na studiowaniu nawigacji i kartografii, czego niemiecka administracja mu nie zabraniała a zasoby wiedzy morskiej były nieprzebrane. Po wojnie wrócił do Gdyni i rozpoczął służbę w Urzędzie Morskim. Szybko zorientował się, że dla nowej władzy jako sanacyjny oficer jest doskonałym materiałem na „wroga ludu”, opuścił więc Gdynię i przeniósł się do rodzinnej Łodzi. Kierując katedrą geodezji utworzył w niej sekcję morską. Niebawem stał się autorytetem w za-

SWAROŻYC miał na swoim koncie wiele spektakularnych akcji ratowniczych i holowniczych. Autor fotografii nieznan



kresie hydrografii i kartografii. Po konsultacji zwracały się do niego sztaby Układu Warszawskiego i NATO. Paweł współpracował z nim przez kilka lat, uczestniczył w kolokwium naukowych na Politechnice Łódzkiej. Znajomość tę cenił bardzo wysoko.

Wejście do małego portu rybackiego w Nowym Warpnie przecinała wzdłuż granica państwowa między PRL a NRD. Od pewnego czasu nasiliły się incydenty naruszania terytorium. Pretensje wniosło dowództwo zachodnio-pomorskiego sztabu WOP. Chodziło głównie o to, że rybacy wypływając z Nowego Warpna przekraczali linię graniczną nieraz o 2 metry a nieraz o 50 cm! Rozwiązanie problemu zlecono Urzędowi Morskiemu w Szczecinie. Powołano komisję; blisko miesiąc trwało załatwianie odpowiednich zezwoleń i wyznaczenie delegatów. Z Warszawy nadeszła lista: 2 naczelników z UM Szczecin, kierownik OON i inspektor hydrografii. Z Nowego Warpna motorówka NRD-owskiej straży granicznej z polską delegacją popłynęła do odległego 3 km Alt Warp. Przedstawiciele obu niby-państw zasiedli przy okrągłym stole. Inż. Poniecki znał język niemiecki w stopniu doskonałym, Paweł także dość dobrze sobie radził. Ze strony NRD-owskiej nikt nie mówił po polsku. Delegaci niemieccy to dawni szczeciniacy i urzędnicy administracji morskiej. Jeden z inżynierów zapytał:

– Kiedy miała miejsce ostatnia kontrola techniczna nabrzeża przy Wałach Chrobrego?.. – Za moich czasów przeprowadzaliśmy inspekcję dwa razy do roku – powiedział. – Często wzmacnialiśmy keję Larsenami, bo grunt tam torfowy... A wy pogłębiacie tor wodny, kanały portowe, czy nie zdajecie sobie sprawy, że w ten sposób naruszacie konstrukcję nabrzeży wzdłuż Odry?

– Wszystkie nabrzeża i pirsy w porcie kontrolujemy 2 razy w roku – blefował naczelnik Stanisław Sala z Urzędu Morskiego w Szczecinie.

Do sali obrad wtargnął nagle podoficer NRD-owskiego WOP-u i zameldował, że odebrał z Berlina rozkaz, żeby konferencją zakończyć natychmiast!

– Chyba zwariowali! – wrzasnął poirytowany inżynier niemiecki.

Wybiegł na dwór i wrócił po 15 minutach.

– Nieporozumienie, wytłumaczyłem ciemniakom, iż nie mają racji...

Konferencja zakończona, ustalono, że problem wymaga załatwienia na szczeblu ministerialnym... Motorówka z delegatami strony polskiej przybyła do Nowego Warpna. Na nabrzeżu 5 „Willisów” z oficerami i dwie ciężarówki wypełnione żołnierzami. Tak dużej liczby WOP-istów tu jeszcze nie było! Po odpłynięciu Niemców inż. Poniecki i Paweł zostali odwiezieni do strażnicy.

– Było polecenie przerwać obrady – poirytowanym głosem oznajmił zastępca placówki. – Dlaczego nie wykonaliście polecenia?

– Panie poruczniku – odezwał się inż. Poniecki – organizatorami konferencji byli Niemcy, my nic nie wiemy o przerwaniu obrad, nic nam nie powiedzieli...

– Widzi pan to wojsko? Są tu przez was. Ogłosiliśmy ostre pogotowie, bo dla każdego kto przekroczy granicę z NRD – droga do Berlina Zachodniego będzie wolna. Wy znaleźliście się na niemieckiej ziemi i gdyby nie szczelny pierścień niemieckich WOP-istów, czy wróciłibyście w komplecie?! Tego nie wiem...

Komendant strażnicy ani razu nie spojrzał na Pawła, traktował go jak powietrze. Ostentacyjnie dawał do zrozumienia, że nie darzy go zaufaniem...

Kilka dni po incydencie inż. Poniecki ustalił, że „afera” została „nagrana” przez WUB w Szczecinie. Dzięki czujności udaremnilo ucieczkę za granicę. Paweł znalazł się w składzie delegacji przez niedopatrzenia Warszawy. Według wyobrażeń szefa szczecińskiej Bezpieki droga z Altwarp do Berlina wiodła bez przeszkód i Paweł mógłby skorzystać z tych udogodnień...

Miesiąc po konferencji w Altwarp nastąpiło zawalenie się nabrzeża aż do połowy szerokości jezdni na Wałach Chrobrego. Usuwanie skutków braku profesjonalizmu i karygodnego niedbalstwa trwało 2 lata i pochłonęło kilkanaście mln złotych.

Jasne Błonia w Szczecinie, mieszkanie p. Władysława Przybyszewskiego – wtajemniczonego jeszcze w 1954 roku przez Pawła w plany uprowadzenia CIETRZEWIA do Hiszpanii i włączenia się do działalności niepodległościowej. Kiedy usłyszał z „Wolnej Europy” o pojmaniu CIETRZEWIA, czekał każdej chwili na aresztowanie, że ubowcy pokażą mu list polecający do ambasadora Józefa hrabiego Potockiego...

– Jak już było z nami źle, – uspakajał Paweł – wszystkie materiały, listy, notatki, ulotki spaliliśmy a popiół wiatr zdmuchnął...

– Pamięta pan Adama Boryczkę?.. Do końca 1952 roku kursował do Londynu jako emisariusz nie wiedząc, że V Komenda WIN jest kukułczym jajem NKWD. Po „ujawnieniu się” V Komendy został aresztowany i skazany na karę śmierci. W październiku 1955 roku Rada Państwa wyrok zamieniła na dożywocie.

Pan Władysław nie akceptował oporu przeciw bolszewickiej epidemii, nie widział szans na sukces. Zniewolenie zostało zorganizowane perfekcyjnie. Po kapitulacji Niemiec Łazarz Beria – szef stalinowskiej Bezpieki umieścił w sowieckiej strefie okupacyjnej 10 pułków, czyli 2 ½ dywizji NKWD-zistów. Natomiast na terytorium bratniej Polski i na prośbę PKWN rozmieszczono więcej, bo 15 pułków, czyli 5 dywizji czekistów pod dowództwem gen. Nikołaja Sieliwanowskiego, któremu Bierut nadał tytuł „Polaka sowietikus causa” i mianował zastępcą Stanisława Radkiewicza, ministra Bezpieczeństwa Publicznego. Żołnierze państwa podziemnego ledwo wyszli z lasu zdziesiątkowani przez okupanta niemieckiego, a już do hekatombi tej doszły ofiary kolejnej sowieckiej okupacji. 14 lipca 1944 roku Stalin podpisał dyrektywę zaadresowaną do dowódców frontów Białoruskiego i Ukraińskiego, które na swej drodze bojowej mogą napotkać polskie oddziały zbrojne, podległe polskiemu rządowi emigracyjnemu. Przypominamy – oddziały te działają przeciw interesom Armii Czerwonej. Kwatera Naczelnego Dowództwa rozkazuje: „Nie zawierać z polskimi oddziałami porozumienia; po spotkaniu rozbijając a w przypadku oporu zastosować siłę zbrojną...”.

W kontekście „wielkiej przyjaźni” narodów radzieckiego i polskiego zrodziło się komando eksterminacji i deportacji. Do 1 października 1944 roku tylko na Lubelszczyźnie NKWD aresztowało 40 tys. młodych Polaków. Po przebraniu w niemieckie mundury wojskowe powieziono ich na Sybir. 5 września 1944 roku Doraźny Sąd Wojskowy Garnizonu Lubelskiego skazał na karę śmierci Franciszka Gardziałę i Tadeusza Benesza za to, że podczas wojny przechowywali bez zezwolenia aparaty radiowo-nadawcze, zaś w okresie od 11 do 13 września 1944 (trwało powstanie w Warszawie) nadawali szyfrem depesze do Londynu. Władysław Miszczuk sąd ska-

zał na 10 lat więzienia za to, że wiedziała, iż oskarżeni posiadają radiostację i nie tylko nie doniosła władzy, ale sama słuchała wrogich komunikatów...

Organizacje niepodległościowe i tzw. opozycyjne w czasach PRL były penetrowane przez Służbę Bezpieczeństwa; mało tego, powstawały z inicjatywy UB i NKWD! Wielu kurierów i emisariuszy utrzymujących łączność pomiędzy „konspiracją” w kraju a rządem emigracyjnym przekraczało granicę pod baczny okiem komunistycznych nadzorców.

Dla pokolenia Polaków wychowanych w duchu patriotycznym, w patriotycznym domu, najwyższym honorem była walka z okupantami. Byli łatwym łupem dla prowokatorów. Dopełnieniem nieszczęścia okazały się decyzje polityczne najwyższej miary podejmowane przez nieudolnych i pozbawionych wyobraźni amatorów. Stanisław Cat-Mackiewicz z jeszcze przed 1939 rokiem przestrzegał:

„– ...Wojna jest instrumentem polityki mającej na celu zwycięstwo; jeśli podczas działań wojennych za jednego zabitego wroga płacimy życiem stu własnych obywateli, to to już nie wojna, to zbiorowe samobójstwo...”

Rząd Winstona Churchilla zakazał w 1940 roku mieszkańcom Wysp Normandzkich w Kanale La Manche stawiania oporu Niemcom, którzy zajęli je za pomocą kilku motorówek i bez jednego wystrzału. Podpisując akt kapitulacji wynegocjowali łagodne warunki okupacji. Uniknęli represji, ofiar w ludziach, zniszczeń bazy ekonomicznej i dóbr kultury; wykazali rozsądek, realizm i nie odczuli cierpień wojny. Tylko głupcy stawiają czoła przeciwnościom, kiedy zdrowy rozsądek nakazywałby uniknięcie ich...

Juliusz Mierosławski – wybitny publicysta emigracyjny, jeden z filarów „Kultury Paryskiej” antycypował, że komunizm w Polsce się skończy. „...Legitymizm tego sekwensu historycznego będzie się opierał na następującej przesłance: wrócą Polacy z emigracji, wygnańczy prezydent stanie przed polskim sejmem i przekaze narodowi swoją władzę będącą kontynuacją II Rzeczypospolitej zgodnie z konstytucją z 1935 roku...”

Morska i lądowa epopeja porywaczy skończyła się. Ich CIETRZEW po forsownym i feralnym rejsie



Nabrzeże Pomorskie z pokładu ORP BURZA,
1962 r.

do wolnego świata z zatartym silnikiem zaholowano do Gdańska. Za „zhańbienie” komunistycznej flagi PRL nie zasługiwał, podobnie jak siostrzany lugrotrawler PUSZCZYK, na służbę w rybołówstwie. Obie jednostki wysłano na „bezrobocie”, co w gwarze marynarskiej nazywa się: „na sznurek”... PUSZCZYK został przebudowany na statek instrumentalny dla Szkoły Morskiej w Gdyni, otrzymał imię ZENIT; służył do szkolenia oficerów PMH w zakresie automatyki i elektroniki. CIETRZEWIEM zainteresował pan Witold Bublewski – przedwojenny działacz morskiego harcerstwa, inicjator przebudowy w 1934 roku szkunera PETREA na jacht szkolny ZHP ZAWISZA CZARNY. W latach 1941 – 1948 najbliższy współpracownik ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego w Delegaturze Rządu d/s Wybrzeża. Inicjator utworzenia Państwowego Centrum Wychowania Morskiego. Jego staraniem lugrotrawler CIETRZEW po przebudowie zaistniał jako szkuner sztaksłowy i otrzymał nazwę ZAWISZA CZARNY. W nowym wcieleniu rozpoczął służbę 15 lipca 1962 roku pod komendą kmr Boleśława Romanowskiego, znanego dowódcy okrętów podwodnych czasu wojny. Podczas podniesienia bandery Paweł pojawił się na Wałach Chrobrego w Szczecinie. Gdy zbliżył się do trapu, został zatrzymany przez funkcjonariusza UB w cywilu. Po wylegitymowaniu „uprzejmie” rozkazał, żeby się „zmył” i nie pokazywał w dniu dzisiejszym na żaglowcu...

S/v ZAWISZA CZARNY II swymi rejsami, podobnie jak jego poprzednik, realizuje po dziś dzień cele edukacji i wychowania morskiego harcerskiej młodzieży. Odbił podróż wokołoziemską, opłynął

kilkakrotnie przylądek Horn wziął udział w regatach z okazji jubileuszu 200. Stanów Zjednoczonych. W „Operacji Żagiel – 1984” na trasie Saint Malo – Quebec, w pobliżu Bermudów podczas trudnych warunków pogodowych uratował 8 osób z tonącego żaglowca MARQUES. Mimo wysokiej atlantyckiej fali i huraganowego wiatru poszukiwał dalszych rozbitków. W Quebec, po zacumowaniu uroczyste powitanie a gazety kanadyjskie nazwały ZAWISZĘ CZARNEGO „rescue and lucky ship” („*ratunek i szczęśliwy statek*” – przyp. red.)... Imię dla przedwojennego ZAWISZY wybrał gen. Mariusz Zaruski a dla powojennego Witold Bublewski.

Po komandorze Boleśławie Romanowskim dowodziło szkunerem ZAWISZA CZARNY II 28 kapitanów, opętanych i oczarowanych morską tematyką, misjonarzy głoszących prawdę o morzu, a wśród nich kpt. Ż.W. Andrzej Drapella – syn generała Juliusza Drapelli, dowódcy 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty w 1939 roku, ceniony kapitan statków towarowych i niestrudzony popularyzator żeglarstwa.

Komandor Jan Piasecki – marynarz z powołania, dla którego praca na morzu jest tym, czym dla mnicha służba w świątyni, zamiłowany wychowawca młodzieży powiedział:

„Dziękuję kapitanowi Stanisławowi Lehrowi za nie staranowanie CIETRZEWIA i jego porywaczom; dzięki temu zbiegowi okoliczności harcerstwo nasze dysponuje wspaniałym i szczęśliwym żaglowcem, noszącym chlubne imię Zawiszy Czarnego – szlachetnego bohatera spod Grunwaldu, słynącego z odwagi, dotrzymywania słowa i będącego świetlanym wzorem cnót rycerskich...”



Kpt. Ż.W. Piotr Dymitr WISZNIEWSKI

Kresowianin z dziada pradziada.

Urodzony na Wołyniu 4 grudnia 1931 roku.

Wczesne dzieciństwo spędził na ojcowskim chutorze.

Wojna zmusiła go do samodzielnego bytu na obszarze rozległej Ukrainy.

Jako czyścibut polerował saperki i oficerki żołnierzom Wehrmachtu podążającym masowo na Ostfront.

Jako chłopiec stajenny pracował w Soldatenheimie — gospodzie wojskowej nieopodal kwatery Hitlera w Winnicy. Kapitan James Cook, zanim został żeglarzem a potem słynnym odkrywcą — był także chłopcem stajennym.

Po opuszczeniu Kresów, gdzie poznał okrucieństwo straszliwej wojny, mając niespełna 16 lat wstąpił do Szkoły Jungów PCWM (Państwowego Centrum Wychowania Morskiego) w Gdyni. Od tej pory swój los związał z morzem.

Ukończył studia z zakresu shippingu.

Jest dyplomowanym kapitanem żeglugi wielkiej, inżynierem nawigacji i ekspertem Polskiej Izby Handlu Zagranicznego.

Pracował na 40 statkach pod banderami: RFN, Wielkiej Brytanii, Panamy, Cypru, Hondurasu.

Nadal czynny zawodowo, dowodzi katamaranem „Jantar” pod banderą RP.